



NORMA MARTYN



DZIEDZICTWO MARZEŃ

TOM II

15.

Mike nie był już myśliwym, tylko zwierzyną.

Przez sześć miesięcy kluczył po Irlandii, od położonego na północnym wschodzie Cork przesuwał się na południowy zachód, zostawiając za sobą fałszywe ślady.

W listopadzie sześćdziesiątego siódmego dotarł do brzegów Claddagh w Galway i wiedział, że już nie ma gdzie dalej uciekać.

Jechał od trzech dni, starając się zmylić myśliwych. Nie spał przez ostatnie dwie noce, a mężczyźni byli niewiele ponad godzinę czy milę drogi za nim. Wiedział to od czasu, gdy zatrzymał się w gospodzie przy Shannon na południe od Athlone.

— Bractwo z Baile Atha Cliath zastawia na kogoś pułapkę — wyszeptał oberżysta, podając mu piwo. — I pamiętaj, że ode mnie nie usłyszałeś ani słowa ostrzeżenia.

Chciałby, żeby gonili go Anglicy. Mógłby wtedy przestać uciekać, mógłby nawet zginąć, ale zabrałby ze sobą kilku z nich. Ale to byli Irlandczycy, Fenianie Jamesa Stephensa, gotowi pociąć jego serce na kawałki, by otrzymać amerykańskie złoto i kupić za nie broń.

Patrząc na wody zatoki Galway, powracał myślą do sześćdziesiątego trzeciego roku. Wtedy swą przyszłość widział tylko z Jennifer i Jenny, i teraz wydawało mu się, że przyplływ oceanu zwraca mu ubiegłe lata — przynosi z powrotem i rzuca u jego stóp pomiędzy szarymi kamieniami i kawałkami drewna, jakby ofiarowując mu stracony czas, w który mógł się schronić przed podążającymi za nim mężczyznami. Zanim go złapią i zabiją.

I nagle ich usłyszał. Cichy plusk przyplwywu tłumiał odgłosy męskich stóp krocących po dywanie z wodorostów, potem słyhać już było skrzypienie piasku.

Mike stał nieruchomo koło porozwieszanych sieci. Nasłuchiwał, jak zbliżali się, patrzył na ciemne kształty łodzi rybackich wypełnione sprzętem, a może i ludźmi.

Jedna z nich kołysała się lekko w rytm przyplwywu.

Usłyszał, jak ktoś poślizgnął się na mokrym kamieniu i zaklął. Mike ruszył szybko do przodu, położył się na brzuchu i wśliznął w płytką wodę, wstrzymując oddech. Przejęło go przeraźliwe zimno.

Ruch morza przeniósł go na głębszą wodę. Mike czekał i dał się nieść kolejnym falom, coraz bliżej pustej łodzi zlewającej się w jedno z ciemną wodą, na której się kołysała.

Kiedy dotarł do rufy, podciągnął się nad wodę i złapał powietrze, trzymając kurczowo cumowniczej liny. Czekał, aż kolejna fala uniesie dziób i obniży rufę. Musiał się wdrapać po okrywającym łódkę brezencie, nie powodując jej ruchu, który mógłby go zdradzić.

Przemoczone ubranie i ściekająca z niego woda były nieznośną katuszą. Leżał twarzą w dół na pokładzie i usiłował rozruszać zeszywniałe dłonie i stopy.

Wydawało mu się, że pali go skóra pod lodowato zimnym ubraniem. Ciężki od wody materiał stał się jeszcze cięższy, kiedy zamarzył, zeszywniał i zamienił w lodowatą skorupę. Mike przesunął się trochę do przodu, wyciągnął ramiona, jak mógł najdalej, szukając dłonią jakiegoś suchego ubrania. Łódka była lekka i przy każdym jego ruchu zaczynała się chybotać.

— Jeśli nie będziesz kiwać łodzią, nie sprowadzisz na siebie kłopotów — powiedział mu ojciec dawno minionego dnia w czterdziestym drugim, na tydzień przed czternastymi urodziny Mike'a. Był to dzień płacenia dziesięciny i rządca składał wizyty w domach dzierżawców na obrzeżach Connemary. Przezywano go zagrodnikiem, a on sam twierdził, że jest ekonomem pana na Connacht. Uśmiechnięty, zadowolony z siebie grubas wyciągał rękę po dodatkowe datki. A żaden z dzierżawców nie miał nic poza dziurami w kieszeniach. Tylko niektórzy mieli uśmiechy na twarzach, między innymi jego ojciec.

— Człowiek odpowiada uśmiechem i jest mu równy, a jak spuści czoło, to już nie jest. Bez względu na to, czy kłania się nisko z własnej biedy, czy przed cudzym bogactwem — mówił ojciec i uśmiechał się. — Człowiek, który potrafi się uśmiechać, jest dość bogaty, a jego uśmiech nie przynosi uszczerbku ani jemu, ani nikomu innemu.

To właśnie z takim trudem wywołany uśmiech ojca rozgniewał go tamtego dnia. Z tego powodu to zrobił — zebrał innych chłopców z Connemary, i poszli razem powitać zagrodnika bez uśmiechów, za to z pałkami i kamieniami.

Zagrodnik strzelił tylko raz ostrzegawczo, nie więcej. Oddał tylko jeden strzał wycelowany ponad nim i innymi chłopcami, w kamienną ścianę, na postrach. Mike usłyszał uderzenie kuli odbijającej się od kamienia i nagle urwany tupot nóg biegnącego ojca, gdy kula trafiła go rykoszetem. A ten zagrodnik na pogrzebie płakał. Nazywał ojca swym przyjacielem. Mike wpatrywał się w twarz tego człowieka, nie chciał uwierzyć w to, co widział, ale łzy były prawdziwe.

Ze wspomnień wyrwał nagle Mike'a odgłos kroków po kamieniach i głosy mężczyzn. Oceniał, że jest dwóch, może trzech. Pokrzykiwali do siebie, już nie usiłowali się ukryć czy zachować ciszy.

Mike skupiony starał się zrozumieć jakieś słowo, zdanie, coś, co wskazywałoby, że idą szukać gdzie indziej lub że go odkryli i przygotowują się, by go dostać.

Z każdą przemierzaną milą na zachód od rzeki Shannon upewniał się, że jego czas się kończy i tym razem bojownicy Bractwa go ujmą. A jeśli dostaną go teraz, przemoczonego do szpiku kości na łodzi rybackiej, prawdopodobnie po prostu wrzucą go do wody, nie zajmując się już nim więcej.

Był całkowicie wykończony, jedyne, czego pragnął, to ciepła, suchego ubrania i kilku godzin snu. Myślami przeniósł się do wygodnego łóżka, gdzie leżał z dziewczyną opierającą mu głowę na ramieniu, przytulającą swe ciepłe ciało do jego ciała. Usłyszał jej szept. „Nie będziesz...? Idź spać, Jenny. Śpij”. Zamknął oczy i usnął — na kilka godzin albo kilka sekund. Obudził się, lecz nadal czuł potworne zmęczenie. Ciemność zimowej nocy wciąż przykrywała wąską przerwę między brezentowym przykryciem łodzi i linią brzegu, na której ciągle widać było lampy, i skąd dochodziły głosy.

Czuł, że jego ciało zaczyna się rozgrzewać. Wydostał się z kałuży wody, w której dotąd leżał. Do diabła z ostrożnością. Jeżeli krzyczą tak dlatego, że go odkryli, powita ich jak prawdziwy mężczyzna. A jeśli nie, widok kołyszącej się łódki nie miał żadnego znaczenia. Przesuwał się od szafki do szafki, wymacując ręką ich zawartość. W pierwszej znalazł takielunek, w drugiej konopne sieci i puszki, a butelki w trzeciej. Wreszcie w kolejnej wyczuł cudowną miękkość zgrzebnej wełny ubrań i kocy.

Rozebrał się. Powietrze zimowej nocy zacisnęło na nim lodową pięść, wyostrzając zmysły. Na pół ubrany w marynarski kombinezon sięgnął do szafki, w której wcześniej natrafił na kamionkowe butelki.

Otworzył jedną i aż uśmiechnął się, czując ostrą woń czystej whisky. Pociągnął głęboki łyk. Mocny alkohol przywrócił go do życia. Dopiero wtedy usiadł na brzegu łódki i zaczął z uwagą nasłuchiwać głosów mężczyzn kręcących się po brzegu.

Znaleźli kogoś. Ta myśl pozwoliła mu się skupić, stał się jednym z poszukujących, choć w istocie był ich ofiarą. Złapali jakiegoś biednego rybaka, który wstał wcześniej na połów, pomyślał. Już gotował się, by wstać i powiedzieć im, że się pomylili, gdy poczuł głęboki, dręczący niepokój. Ich nazbyt chętne do działania karabiny gotowe były zabić człowieka, który nie był nim, niewinnego człowieka. Zastrzelić go kulą rykoszetującą od prawdziwego celu.

Doszły go jakieś okrzyki, przekleństwa szukających, a potem padły ostre słowa wypowiedziane mocnym głosem rybaka — i pola światła zaczęły się cofać i niknąć w ciemności brzegu.

Mike roześmiał się, naciągnął brezent, a potem opuścił się do kabiny, lecz tym razem sen nie nadchodził. Był zbyt zmordowany, żeby spać — męczyły go dawne wspomnienia i przyszłe niepokoje. Niosły go tam, gdzie sen nie miał dostępu, w nicość, w punkt, gdzie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość splotły się razem.

Wydawało mu się, że słyszy najpierw głos ojca, a potem Pata O'Reilly'ego, Jenny i oberżysty z Shannon ostrzegających go, że od Dublinu przez całą Irlandię poszukują człowieka.

— Kołdra prababki Niall — mruknął.

Jego umysł wypełniały urywkowe obrazy, przypadkowo wracające do niego dawne zdarzenia. Fragmenty zdarzeń. I nagle jedno wspomnienie zawładnęło jego myślami — wspomnienie, które nosił w sobie od dwudziestu pięciu lat.

Znalazł się znowu na ulicach Galway. Był rok czterdziesty trzeci. Słyszał siebie, jak głosem piętnastolatka wykrzykuje obraźliwe słowa pod adresem angielskich żołdaków, a oni coraz ciaśniej zaciskali się wokół sprawiających im kłopoty chłopców. A wreszcie złapali i jego, i innych, którzy byli razem z nim.

Z wyjątkiem Pata. Pata O'Reilly'ego, pieska ojca Flanagana, który nie mógł pomóc Mike'owi. Złapali wszystkich chłopców z Connemary oprócz Pata.

Mali niewolnicy lorda Connacht, tak ich nazwał jeden z angielskich żołnierzy, zapisując nazwiska chłopców. Do protokołu, tak im powiedział, a oni podawali je dumni, że zostaną zapisani jako członkowie Ruchu Młodej Irlandii O'Connella.

Jego własne nazwisko zaznaczone zostało dwa razy, jako tego, który miał się znaleźć na liście przewidzianych przez Williama Harta, lorda Connacht, do ekstradycji. Ale lord Connacht zapomniał nazwisko tego chłopca.

Mike zapadł w półsen i jego wspomnienia znów podzieliły się na pojedyncze fragmenty. Pół śpiąc, pół śniąc słyszał ojca Flanagana: „Anglicy wezmą Mike'a, ale nie ciebie, Pat. Mam dla ciebie bezpieczne miejsce na północy, Pat. Dla Mike'a już jest za późno". A potem głos sędziego okręgowego: „Michaelu Donohue, jesteś skazany na odsłuzenie pięciu lat w kolonii karnej na Ziemi Van Diemena".

„Jeśli będziesz słuchał wichrzycieli, twój umysł zamieni się w jajecznicę". Mike otworzył oczy i usiłował się podnieść. Kto to powiedział? Ojciec Flanagan? Jego ojciec? Nie mógł

sobie tego przypomnieć i dlatego nie zasypiał. Potem usłyszał ten sam głos jeszcze raz, dochodził do niego przez zatokę. Głos z akcentem dublińskim.

— I tak już pewnie wcale nie wiesz, co myśleć. Przyjechaliśmy łowić ryby, a przy okazji czekamy na przyjaciela.

Odpowiedziały im jakieś gniewne głosy.

— Nie witamy tu serdecznie dublińskich rybaków. Czyżby zabrakło wam ryb u siebie?

Słońce już wzeszło. Mike wyjrzał spod brezentu. Pośród ludzi zebranych na brzegu rozpoznał rybaków z Connemary. Siedzieli z wędkami, tak jakby w ich zwyczaju nie było wypływanie kutrami na morze. Za nimi stali inni, patrzyli i czekali.

Uśmiechnął się. To nie byli już dzierżawcy, tylko gospodarze z prawami do połowu. Nie byli już, lecz potrafili nadal służyć — tym, którzy zwrócili im wolność. Dublińczycy znaleźli się na nieprzyjaznym terytorium. Jak długo miejscowi rybacy utrzymają straż na brzegu, udając, że łowią ryby? — zastanawiał się. Na tyle długo, by się wyspał i pozbiarał do kupy. Ile czasu upłynie, nim dublińczycy zrozumieją, że nie mogą go tutaj złapać? I w tej samej chwili uprzytomnił sobie ryzyko, które podejmowali rybacy, stając przeciwko Bractwu.

Nagle konsekwencje stały się jasne.

Dublińczycy, których nie skrywała już ciemność nocy, zbierali się w grupy. Po dwóch, trzech, pięciu — było ich więcej, niż się spodziewał. Dwóch stało, przyglądając się rybakom. Trzymali ręce w kieszeniach. Trzech wsiadło do łódki.

Jego czas dobiegał kresu. I bez żadnego logicznego zakończenia. Pozostawiał tak wiele nie zakończonych spraw.

Zaczęły go gnębić szczegóły. Czy powiedział Patowi O'Reilly'emu wszystko co konieczne, żeby zabezpieczyć przyszłość? Czy Jenny zrozumie wiadomość zakamuflowaną na kartach pocztowych, które jej wysyłał?

Na brzegu rybacy przesunęli się do przodu, pilnujący ich dublińczycy nie wyjmowali rąk z kieszeni, czujni i gotowi. Ostatnia rozgrywka.

Odrzucił brezent i wstał. Ziewnął szeroko i przeciągnął się, a potem podrapał po głowie, na której widniała rybacka czapka, naciągnięta po same uszy.

— Dzień dobry wam — krzyknął po celtycku do mężczyzn na brzegu i do tych na wiosłowej łodzi, która wynurzała się spomiędzy kutrów. Spojrzał na niebo. — Dobry dzień, jeśli wiatr się utrzyma.

— Skąd się wziąłeś? — wykrzyknął w jego stronę jeden z ludzi na łodzi wiosłowej.

— Z kabiny mojej łodzi. A gdzież to indziej mógłbym się dobrze wyspać? Na pewno nie w chałupie z moją starą i pięciorgiem dzieci.

Gdy to mówił, przyglądał się uważnie mężczyznom w łodzi, oceniając każdego z nich po kolei. Wszystkie obce twarze, żaden z tych, których widział podczas spotkania w Dublinie. A małe było prawdopodobieństwo, żeby tym tutaj pokazano jego podobiznę lub w jakikolwiek inny sposób ułatwiono identyfikację.

Łódź podpłynęła bliżej.

— Jak długo tutaj jesteście?

— Od czasu jak moja stara zamierzyła się na mnie miotłą, jeszcze przed zachodem słońca! Człowiek ma przynajmniej to szczęście, że jest rybakiem z własną łodzią, którą może nazwać domem. — Znowu ziewnął szeroko i spojrzął na nich zaspanym wzrokiem. Rozbudzony człowiek mógłby raczej chcieć im zadać parę pytań, pomyślał i ziewnął jeszcze raz. — Jedyne, czego człowiek potrzebuje, to się porządnie w nocy wyspać, ale nieraz i to wydaje się zbyt dużym wymaganiem. Od zachodu słońca wydaje mi się, jakbym był na jarmarku. Najpierw jacyś ludzie przegalopowali na południe, chyba ich sam diabeł gonił, a potem inni gadali i krzyczeli na brzegu przez całą noc. — Nadal zachowując się jak przyglup, zerknął niespokojnie na brzeg. Podnosząc głos, wrzasnął do innych rybaków. — Czy to moja stara wrzeszczała na swego Murphy'ego? Jeśli tak, to lepiej trzymajcie się od niej z daleka.

Spojrzął na mężczyzn w łodzi; odrzucili wiosła i badawczo mu się przyglądali. Uśmiechnął się do nich. Wyraźnie patrzył teraz przytomniejszym wzrokiem. Spojrzął czujnie na dublińczyków i zmarszczył czoło.

— A wy co za jedni? Nie pochodzicie z tych stron.

— Szukamy przyjaciela. Jechał w tę stronę. Myśleliśmy, że może go widziałeś.

— Mógłbym go zobaczyć tylko wtedy, gdyby przyszedł tu do mnie pod brezent i schował się razem ze mną. — Roześmiał się ubawiony własnym żartem, a potem dodał. — Szukacie go w dziwnych miejscach.

— Zajął się własnymi sprawami. Odwinął brezent, odsłaniając puste wnętrze, a następnie wyjął osprzęt ze schowka i zaczął szykować się do wypłynięcia w morze.

— Ale słyszałeś jeźdźców galopujących na południe. Ile było koni?

Wyprostował się, znowu podrapał się w głowę i spojrzął w dal, jakby tam szukał odpowiedzi.

— Tak mi się zdaje, że to był tylko jeden jeździec. Moja stara zawsze mówi, że słyszę echo w głowie, kiedy napiję się zbyt dużo tego — odparł.

Wyciągnął kamienną butelkę whisky, jakby przepijając do nich, a potem podniósł ją do ust, by pociągnąć potężny łyk. Znowu spojrzął na dublińczyków. Na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości.

— Zadajecie dużo dziwnych pytań. Nie jesteście chyba z Towarzystwa Wstrzemięźliwości, co? Anglicy ich opłacają, żeby gnębili porządnych Irlandczyków. — Jego głos zabrzmiał nieco bełkotliwie i pojawiła się w nim nuta gniewu. — Mężczyzna ma prawo cieszyć się swym śniadaniem i nie potrzebuje wpatzonego w siebie wilczego oka ludzi ze Wstrzemięźliwości.

Pociągnął kolejny łyk.

— Tracimy tylko czas — mruknął jeden z mężczyzn, po czym zapytał. — Na południe? Jesteś pewien, że jakiś jeździec odjechał na południe?

— Południe, zachód, północ czy wschód, czy to mój interes? — Przekrzywił głowę i patrzył na nich ponuro. Znowu pociągnął z butelki.

Jeden z mężczyzn, o ostrzejszym wzroku od pozostałych, nadal się mu przyglądał.

— Myślałem, że szykujesz się do połowu — powiedział.

— Zawsze jestem gotowy, by płynąć na ryby. Jeśli nie złapię ryby dzisiaj, jutro nadal tu będą. — Spoglądał na intruzów. — Nie lubię mężczyzn z Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Wolę ryby, więc dzisiaj nie będę ich łowił. Możecie powiedzieć ode mnie mojej starej, że jeśli nasłała na mnie tych ludzi, jej Murphy już nigdy nie złapie ani jednej ryby. Angielskie pieski. Powiedzcie to ode mnie mojej starej.

Mężczyzna, który już wcześniej uznał, że marnują czas, odezwał się teraz niecierpliwie.

— Cała noc na nic. Jeśli się nie pośpieszymy, odjedzie daleko.

— Ja nigdy nie tracę czasu — odparł jego towarzysz o bystrym spojrzeniu.

Nadal przyglądał się Mike'owi.

Zbyt dużo amerykańskiego angielskiego w jego głosie, jak na Irlandczyka, pomyślał Mike. Uważnie wpatrywał się w twarz mężczyzny, chciał ją dobrze zapamiętać.

— Jak się nazywasz? — zapytał mężczyznę, nie do końca wierząc, że usłyszy prawdę.

— O'Donovan.

To nie było kłamstwo, pomyślał Mike. Miał dziwne przeczucie, że jeśli obaj przeżyją następną godzinę, spotkają się kiedyś znowu.

Na amerykańskiego Irlandczyka teraz już mocno naciskali dublińczycy.

Mike uważał, aby wyraz twarzy nie zdradził jego uczuć. Dublińczycy byli ludźmi niecierpliwymi, prowincjonalnymi, łatwo było ich wprowadzić w błąd. Z O'Donovanem to już inna sprawa. Było coś takiego w oczach Amerykanina, co kusiło Mike'a, by porozumieć się z nim jakimś spojrzeniem czy słowem albo gestem. Pokusę łatwo było pokonać, ale uczucie wspólnoty pozostało.

Łódź zawróciła do brzegu. Mike przyglądał się, jak zabierała wrogię Irlandczyka, z którym czuł dziwną więź.

— Nie ma wątpliwości, że to jest dobry dzień — mruknął do siebie. — Nie liczyłem, że uda mi się go przeżyć, ale skoro już się tak stało, lepiej będzie wynieść się z tego miejsca jak najdalej.

Irlandzki ksiądz pracował w przyklasztornym ogrodzie. Habit miał podwiązany na wysokości kolan. Kiedy Mike zbliżył się, ksiądz podniósł na niego wzrok, uśmiechnął się i odłożył narzędzia.

— Michael, mój chłopcze, jak to dobrze cię widzieć.

— I ja się cieszę, ojcze.

— To teraz jestem dla ciebie ojcem? Tak jakbyśmy razem nie spędzili młodości. Czy jest coś złego w imieniu, którym się dotąd do mnie zwracałeś? — W jego oczach pojawiło się pytanie.

— Gdybym zwracał się do ciebie, Pat, używając słów z naszej młodości, byłby to przejaw braku szacunku dla kościoła. Dzisiaj odwiedzam ojca O'Reilly'ego, a nie Pata O'Reilly'ego, irlandzkiego buntownika.

Z twarzy księdza nie zniknął uśmiech, ale jego oczy stały się czujne.

— To znaczy, że nagle poczułeś respekt dla kościoła, tak? No cóż, dobrze wiedzieć, że nauczyłeś się szacunku i nie polegasz już tylko na własnym osądzie. Czy w takim razie przyszedłeś się wyspowiadać i oczekujesz, że ksiądz przyrzeknie wznosić modły za twą duszę. A może jednak chcesz zobaczyć się ze swoją córeczką? Nie muszę chyba pytać.

— Jak ona się miewa? Czy zmieniła się bardzo od czasu naszego ostatniego spotkania czternaście miesięcy temu?

— Niedługo będzie dorosła, Mike. Dzieciństwo mija jak westchnienie, nie trwa wiele dłużej niż dziesięć lat. Nawet wtedy, gdy się jest bezpiecznie ukrytym za murami klasztoru.

— Mam nadzieję, że nie dorośnie — Mike zawiesił głos — zanim moja praca będzie skończona.

— Twoja praca, oczywiście! — Ksiądz rozwiązał sznur i habit opadł na sandały. — Pójdę z tobą w stronę klasztoru. Możemy porozmawiać po drodze.

Zatrzymał się na płaskowyżu. Dłonią wskazał krainę otaczającą Ulster i leżącą niżej dolinę rzeki Lagan.

— Co za spokojny widok, prawda? Ale tu nie jest spokojnie. Beal Fearset, bród na piaskowym brzegu — szepnął, nie odrywając wzroku od średniowiecznego kościoła stojącego przy brodzie. — Belfast powinien oznaczać coś więcej.

Mike spojrział przez dolinę i dalej na porośłą wrzosem skarpe.

— To jest dziwny zakątek Irlandii, zamieszkany od wieków także przez Anglików i Szkotów — powiedział ksiądz. — A stał się również dziwnym miejscem dla chrześcijanina, i to przez twój upór, z jakim żądałeś, by wychowywać Jennifer zarówno w zasadach kościoła anglikańskiego, jak i rzymsko-katolickiego. Nigdy nie słyszałem o dziwniejszym sposobie nauczania dziecka religii, ale teraz wydaje mi się, że i dojrzały umysł też mógłby wiele w ten sposób skorzystać.

Uniósł dłoń, powstrzymując Mike'a przed odpowiedzią.

— Wysłuchaj mnie. Biskup Robert Cox i ja, anglikanin i rzymski katolik, zmuszeni byliśmy porównać nasze poglądy, aby dowiedzieć się, ile mamy ze sobą wspólnego. Wkrótce okazało się, że niewiele jest spraw, które nas dzielą. I nie musiałem ustępować bardziej niż o cal, bo tylko taka jest to różnica. Ale ten cal to jest właśnie to, co odróżnia moją religię.

— Jej dziedzictwo jest zarówno anglikańskie, jak i katolickie — powiedział Mike, czekając, by ten osobliwie czujny wyraz zniknął z twarzy księdza. — Jestem wdzięczny, że to rozumiesz. I nieco zdziwiony, że spotkałeś się oko w oko z anglikaninem.

— To ksiądz się spotkał, nie Irlandczyk. Irlandczyk niewiele więcej już może się nauczyć od Anglika.

— Ty zawsze wolałeś chodzić naokoło, niż wybierać prostą drogę, Pat. Powiedz, o co ci chodzi.

— Grasz w jakąś dziwną grę, Mike. Przez moment nawet myślałem, że dziecko, które powierzyłeś naszej opiece, jest niczym więcej jak tylko pionkiem w tej grze. Jakiejś grze przeciwko Anglikom, powiedziałem wtedy sobie, po cóż inaczej potrzebowałyby angielskiego nauczyciela. Ale myślę, że teraz powinienem dowiedzieć się nieco więcej.

— Nie zadawaj za dużo pytań, Pat.

Ksiądz stanął nagle i przez chwilę milczał.

— Jest jedno pytanie, które ci muszę zadać, Mike. Czy wciąż jesteś po stronie Irlandii, czy już po stronie Anglików?

Mike uderzył księdza pięścią prosto w szczękę, posyłając go na piasek. Czekał i przyglądał się, jak ksiądz wstawał i otrzepywał habit.

— To na pewno jest odpowiedź na kilka pytań — powiedział Pat O'Reilly, masując sobie szczękę. — Wciąż jesteś Irlandczykiem i twoja zdrowa nienawiść irlandzka nie jest jeszcze martwa i pogrzebana. W ciągu tych ostatnich pięciu lat, kiedy kursowałeś między Irlandią, Anglią i Ameryką, zaczynałem myśleć, że zamieniasz się w angielskiego dżentelmena i tracisz ją.

— Ani nie umarła, ani nie osłabła. Nienawiść jest siłą, która mną kieruje, i nauczyłem się ją konserwować. Ostatnio wykorzystuję ją tylko w stosunku do ludzi, których kocham.

— Nie zdradź tego wrogom — odparł ksiądz, kiedy znowu ruszyli. Odwrócił wzrok od idącego obok niego mężczyzny i spojrzał w stronę lasu kryjącego klasztor. — Wykonujesz dobrą robotę, Mike. Kradniesz amerykańskie złoto dla Irlandii.

Mike spojrzał na niego ostro.

— Skąd o tym słyszałeś? Może popełniam poważny błąd, nazywając cię ojcem, jeśli jesteś tak blisko Bractwa. A to przecież ty wysłałeś mnie, żebym ich znalazł, prawda?

— Co zrobiłeś, Mike? Szukają cię. Wiesz o tym.

— Bardziej na miejscu byłoby pytanie, skąd ty o tym wiesz?

— Księża słyszą o różnych sprawach.

— Czy Bractwo czeka tu na mnie, Pat? Czy idę wprost w pułapkę?

Pat O'Reilly obrócił się na pięcie sandałów, aż sznury przy habcie zatańczyły w powietrzu.

— Teraz ty powinieneś dostać w szczękę, Mike. Znasz mnie przecież, jak możesz mówić coś takiego?! — Ksiądz odetchnął głęboko. — Znasz mnie lepiej, niż ja znam ciebie. Być może nie zwróciłeś się przeciwko nam, ale się zmieniłeś.

— Tak, zmieniłem się. Czy wiesz, kto to jest łowca? Nie wiesz i nie ma to znaczenia. Ale ja stałem się bardziej łowcą niż Irlandczykiem. Jako łowca człowiek uczy się pewnych sztuczek, które potem przydają się w czasie walki z nieprzyjaciółmi. Nie ma większej zemsty niż odnieść sukces, Pat. A człowiek może tylko wtedy wygrać z Anglikami, jeżeli celuje w ich najwrażliwsze punkty. Ja właśnie to robię. — Mike szedł dalej.

— I coś jeszcze — unikasz odpowiedzi na pytania.

— Anglicy cieszą się z każdej zbrojnej potyczki, po cóż więc im na to pozwalać? Ja twierdzą tylko, że istnieje lepsza broń niż karabiny użyte przeciwko Anglikom. Złoto nadal należy do Irlandii. Nie potrzebuję kraść czyjegoś złota — Mike rozluźnił się i wzruszył ramionami. — Może nie użyłem amerykańskiego złota bezpośrednio na cel, na który było przeznaczone, ale nie ukradłem go. A co z nim zrobiłem, tego nie musisz wiedzieć.

— Gdybym nie był przywiązany do stanu duchownego, może sam zrobiłbym to samo. Traktując to nawet jako obowiązek wobec kościoła. Bo również kościół w całej Irlandii cierpi biedę i także potrzebuje środków na wykupienie irlandzkiej ziemi od Anglików.

Mike zwolnił krok i pozwolił trochę się wyprzedzić księdzu, którego habit łopotał wokół nóg, a sandały klepały o ziemię. Pat O'Reilly przekrzywił głowę w oczekiwaniu na odpowiedź. Mike znał ten jego gest.

— Jeśli pójde się spowiadać, sprawdzę najpierw, czy to nie ty siedzisz po drugiej stronie — skomentował Mike. — Tyle ci powiem, Pat. Tylko pierwsza partia złota została użyta na wykupienie ziemi. Wszystko co przywiozłem podczas czterech następnych lat jest teraz bezpiecznie schowane i posłuży najlepszym interesom Irlandii. Złoto zostało zebrane w Ameryce na pomoc dla Irlandii i dokładnie w tym celu zostanie użyte.

— Celowałbym w stronę Westminsteru. Oczywiście, gdybym nie był księdzem — powiedział w zamyśleniu Pat O'Reilly. Odwrócił się do Mike'a i puścił oko. — Wiem, że są Irlandczycy, którzy podążają tym kursem. Uważają, że do przyszłego roku zmuszą parlament legalnymi metodami, by ten przywrócił Irlandię Irlandczykom. Twierdzą, że mają już na to środki. — Tym razem, gdy spojrzał na Mike'a, w jego oczach czaiło się pytanie. — Z tego, co nie chcesz mi powiedzieć, wnioskuję, że to nie są dla ciebie nowiny.

— Przynajmniej są to dobre nowiny dla Irlandii — z twarzy Mike'a nie można było niczego odczytać. — I masz rację. To jest zadanie dla polityków, nie dla księży.

— Przyjąłem święcenia kapłańskie. Ale także złożyłem przysięgę Fenianom.

Mike stanął jak wryty. Patrzył na przyjaciela.

— Czy służysz Kościołowi, czy Bractwu, czy obu, to jest sprawa twojego sumienia, Pat.

— Kiedy Irlandczyk składa przysięgę, to jej nie zrywa, Mike.

— Nawet kiedy składa ją pijany Irlandczyk?

Pat O'Reilly roześmiał się.

— Niewiele razy zdarzyło się w Irlandii, by trzeźwy Irlandczyk składał przysięgę.

— Ale to stało się w Ameryce, nie w Irlandii. Wszystkim przysięgom, które składałem tutaj, jestem wierny.

Przed nimi leżał obszar lasu, ograniczony niebem od góry, a wrzosowiskiem od dołu. Przez las biegła droga coraz szersza, w miarę jak zbliżali się do bramy konwentu.

— Matka Weronika mnie oczekuje — powiedział Mike.

Pat O'Reilly zatrzymał przyjaciela, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Byli tutaj tydzień temu, Mike. Mężczyźni z Bractwa. Wyprzedzili cię.

Twarz Mike'a pobladła.

— Jennifer?

Ksiądz przyglądał się twarzy przyjaciela, potem uśmiechnął się, jakby znalazł odpowiedź na pytanie.

— Nie, Mike. Oni nie wiedzą nic o dziecku i nie będą wiedzieć. Przyszli spotkać się ze mną, ponieważ powiedziałem kiedyś amerykańskiemu oddziałowi Bractwa, że może im przyśle ciebie. Tłumaczyłem, że się pomylili. Michael Donohue, którego ja znałem, jest zupełnie innym człowiekiem. — Ksiądz uśmiechnął się. Jego twarz znowu stała się twarzą psotnego chłopaka. — To okropne, kiedy oszust wykorzystuje nazwisko uczciwego człowieka.

— Dziękuję ci, Pat. Winien ci jestem za to wdzięczność.

Ksiądz uniósł brwi.

— Przynajmniej mogę im powiedzieć, że coś słyszałem, a księża słyszą o różnych sprawach. Może przestaną wtedy szukać złota. Nie masz twarzy kłamcy, Mike, więc mam nadzieję, że nie dopuszczasz się nieuczciwości w swoich knowaniach.

— Takie sposoby nie są mi potrzebne. Jako broń posłuży mi prawda.

Pat uśmiechnął się znowu.

— Teraz możemy iść do klasztoru. Zabierz swoją córkę do Anglii. Trzymaj się z daleka od Irlandii, Mike. Odjedź od Irlandii tak daleko, jak tylko się da.

Mike odwrócił się, szukając wzrokiem linii wzgórza łączącego się z szarym niebem po drugiej stronie doliny. Dostrzegł tam jakby chmurę albo wejście do jaskini — i przypomniał sobie inne groty.

— To właśnie zamierzałem zrobić, Pat. Dlatego tutaj dzisiaj jestem. Po prostu zabijałem czas, czekając na właściwy moment.

Dziecko spało mu w ramionach, kiedy wsiadali do powozu. Obudziły je dopiero okrzyki woźnicy i rzenie koni.

— Gdzie jesteśmy, tato?

— W Liverpoolu, Jennifer. To Anglia.

Blade popołudniowe słońce zalewało szare miasto, wciskając się do każdego zakamarka. Po ulicy włóczyły się dzieci wałęsające się od jednego straganu do drugiego.

Jennifer, nagle w pełni rozbudzona, patrzyła przez okno powozu.

— Spójrz, tato. Te dzieci są brudne.

Spojrzenie Mike'a powędrowało za jej wzrokiem. Banda siedmio- i ośmioletnich łobuziaków szukających pożywienia. Codziennosc Liverpoolu.

— To dzieci ulicy, Jennifer. — Spojrzał na swoją córkę. Była ośmioletnią kopią jego Jenny. — Nie wszystkie dzieci mają tyle szczęścia co ty. Chcę, żebyś zawsze o tym pamiętała.

Zanim dojechali do Berkshire, zapadła noc. Powóz zatrzymał się przed georgiańskim dworem. Mike spojrzął na dom, który był jego własnością.

— Przybyliśmy do naszego nowego domu, koteczku — szepnął do śpiącej dziewczynki.

Pojawiło się światło w nagle otwartych drzwiach. Za lokajem, pokojówką i odźwiernym stał mężczyzna, do którego przyjechali z wizytą.

Mike wysiadł z powozu, ze śpiącą dziewczynką w ramionach. Mężczyzna, który wyszedł im na spotkanie, rzucił służbie jakieś zwięzłe polecenie.

— Witaj, Michaelu — powiedział, schodząc spiesznie po schodach. — Co za rzadka przyjemność. Zbyt rzadka jak dotąd. Miałem nadzieję, że zobaczę cię wcześniej. To oczywiście twoja córka, Jennifer. Zawołam gospodynię. To miła, macierzyńska kobieta, zajmie się dobrze twoją małą dziewczynką.

Na powitanie zawsze można oczekiwać potoku słów od czcigodnego Williama Harta, lorda Connacht, pomyślał Mike. Musi czymś pokryć zakłopotanie, kiedy wita mnie jako przyjaciela.

— Dziękuję, Willu. Czy otrzymałeś mój list?

— Rzeczywiście, Michaelu, otrzymałem, jeśli typowe dla ciebie kilka linijek można w ogóle nazwać listem! — Roześmiał się. — Najwyraźniej szukasz rad u starego człowieka, a ja mam ci zamiar ich udzielać, jak długo uda mi się cię zatrzymać. O, jest już pani Fogarty. Daj jej dziecko. Delikatnie, delikatnie. Żeby nie obudzić małej osóбки. Po wyglądzie powozu wiadać, że przebyliście długą drogę. Dziewczynka musi być wykończona. — Zwrócił się do gospodyni. — Proszę ją zanieść do jej pokoju, pani Fogarty. Wszystko jest przygotowane i na nią czeka.

Kiedy Mike chciał coś wtrącić, gospodarz tylko machnął ręką z uśmiechem.

— Porozmawiamy w środku przy ciepłym ogniu, a nie tu, gdzie chłód przenika do szpiku kości. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Napijesz się zimnego grogu, a ja mam swój ciepły cytrynowy sok. Służba zajmie się twoim bagażem i powozem. Chodź, chodź, nie ociągaj się. Już nie mogę się doczekać, kiedy usiądę przy ogniu w miłym towarzystwie.

Pijąc grog, Mike zastanawiał się, jak ma wyrazić swoją myśl. Wreszcie powiedział.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie tymi wszystkimi gestami przyjaźni, Will.

— Między nami nie ma mowy o zakłopotaniu, Mike. Zawdzięczam ci życie. I więcej. Zawdzięczam ci chęć do życia. Ile to już lat się znamy? Cztery? Mam nadzieję, że to, co powiem, tak naprawdę nie wprawi cię w zakłopotanie. To już wzbierało we mnie od jakiegoś czasu. Prowadziłem życie utracjusza, na niczym mi nie zależało. Podczas ostatnich czterech lat wzbogaciłem się. Niewątpliwie wzbogaciłem się o dom, bezpieczeństwo, wolność od długów, ale wcale nie o tym mówię. Przywróciłeś mi szacunek do samego siebie. — Zamilkł, usta ułożyły mu się w uśmiech, gdy spoglądał na Irlandczyka. — Chyba nie umiem tego lepiej wyrazić.

Obrócił kieliszek w rękach, potem objął go dłonią, jakby ogrzewał koniak.

— Powiem jeszcze więcej, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Ale teraz zdradź mi, Michaelu, jaką to sprawę chcesz ze mną przedyskutować. Na cóż to przyszedł odpowiedni czas? — Uśmiechnął się. — Dotyczy dziecka, prawda? Chyba się nie mylę?

Mike przytaknął.

— Przyszedł czas, by opuściła klasztor. Kiedy będzie w odpowiednim wieku, wyślę ją do szkoły dla młodych dam w Szwajcarii. Na razie muszę poczynić jakieś plany dotyczące jej najbliższej przyszłości.

William Hart z rozpromienioną twarzą przerwał mu machnięciem ręki.

— I ty myślisz, że stary wdowiec może wiedzieć coś na temat dzieci? Nie wiem, Michaelu, ale za to wiem, jakie są wymagania w tych kręgach towarzyskich, do których najwyraźniej pragniesz ją przygotować. Chcesz, żeby przebywała wśród ludzi, z którymi będzie musiała rozmawiać po francusku bezbłędnie i grzecznie. Bo to jest język elity, bogatych sfer. W związku z tym rozwiązanie twojego problemu jest proste. Powinna mieszkać tutaj, w swoim domu. A my musimy dla niej sprowadzić francuską guwernantkę, która zajmie się jej wykształceniem.

Roześmiał się lekko, zauważając cień, który przemknął przez twarz Mike'a.

— Twoje podejrzenia pochlebiają mi, Michaelu. Możemy oczywiście wybrać bardzo starą i bardzo brzydką Francuzkę, lecz najważniejszą jej kwalifikacją, poza wysoką moralnością, musi być zdolność nauczania bezbłędnego francuskiego.

William Hart wpatrywał się przez jakiś czas w ogień, potem dorzucił kilka szyszek i przyglądał się, jak zajmują się płomieniem i sypią iskry.

— Skoro tu zamieszka twoja córka, spodziewam się również, że potraktujesz to miejsce jako swoją wiejską posiadłość. Cóż innego chciałeś zrobić? Kupić kolejny dom, zapłacić go służbą i pozostawić przyszłość dziecka w rękach obcych? To jest twój dom. Uczyniłeś go domem przyjaciela, ale ja jestem również twoim sługą, czyż nie? Człowiekiem, którego od czasu do czasu prosisz o przysługę. Czyż nie nadszedł czas na takie właśnie rozwiązanie?

Wtedy wreszcie odezwał się Mike.

— Nie wiem, Willu. Nasza dżentelmeńska umowa upoważniła mnie, by prosić cię o pewne przysługi, które mi wyświadczałeś. Prośby dotyczące mojej córki wychodzą poza jej zakres.

— Och, Michaelu, nie licz tak bardzo na dżentelmeńską umowę, a tak mało na przyjaźń. W interesie dziecka zapomnijmy o tak zwanej umowie dżentelmeńskiej i złączmy współpracować jak przyjaciele.

— Zawsze mówisz o przyjaźni, Willu. Nigdy nie oczekiwałem, że zdobędę twoją przyjaźń albo że ty będziesz poszukiwał mojej.

William uśmiechnął się krzywo.

— Proponuję ci przyjaźń, a ty ją odrzucasz. To jak policzek.

Ponieważ Mike nie odpowiedział, stary człowiek westchnął. Napełnił szklanekę ostygłym sokiem cytrynowym i gdy uniósł ją do ust, aż zakręciło mu w nosie od ostrego zapachu.

— W takich momentach żałuję, że zostałem abstynentem. — Zmusił się do uśmiechu, spoglądając na milczącego gościa. — Cokolwiek nadchodzące lata mają mi przynieść, nigdy już nie będę takim człowiekiem, jakim byłem. To przeszłość.

Mike nadal milczał.

— Kiedy wysiadłeś z powozu z dzieckiem w ramionach, poczułem radość, którą mi nawet trudno wyrazić. Miałem nadzieję, że ten dzień nastąpi. Niekiedy nawet odważałem się snuć plany... — jego głos zamarł. Nagle zerwał się na równe nogi i cisnął szklanekę w palenisko. — Nie! Nie czekałem z nadzieją na ten dzień! Nienawidziłem myśli, że on przyjdzie, ten dzień i ta noc. A że nadejdzie, wiedziałem od chwili, kiedy zjawiłeś się u mnie w Connacht i zobaczyłem

mężczyznę, którego widziałem ostatnim razem jako chłopca. Chłopca stojącego w dokach, czekającego na zesłanie. Gniewnego, zgorzkniałego chłopca, którego ojciec był jednym z moich dzierżawców. Chłopca, którego nigdy nie spotkałem i wcale nie miałem ochoty spotkać. Byłem zadowolony, że się go pozbywam.

Mike pochylił się do przodu i patrzył uważnie na Williama Harta.

— O tak, Michaelu, poznałem cię. Myślałem, że powróciłeś po dwudziestu latach, żeby mnie zabić. I cieszyłem się na to! Zapijaczony siedemdziesięciolatek, który nienawidził siebie i całego swego życia.

Stary człowiek opadł na fotel.

Mike odwrócił wzrok, patrzył teraz na palenisko. Przez moment pomyślał o Jennifer. Płomienie igrały na kawałkach szkła potłuczonego w kominku, a Mike skojarzył obraz dziecka w grocie z chłopcem w więzieniu, zgorzkniałym piętnastolatkiem, chłostanym batem w ciemnym więzieniu.

William pochylił się w stronę wpatrującego się w ogień mężczyzny.

— Śmiałem się później z ciebie, Michaelu. Śmiałem się z ciebie! Jak na człowieka, który szuka zemsty, okazałeś wielką słabość charakteru, tak sobie wtedy myślałem. Nie masz w sobie nienawiści. Gdybyś miał, zrobiłbyś to, co ja zrobiłbym na twoim miejscu. Wyrzuciłbyś mnie z Connacht do najędźniejszej chaty jednego z dzierżawców, których zawsze tak źle traktowałem. Zostawiłbyś mnie na potępienie. Musiałbym sam sobie kopać ziemniaki, a gdyby mi nie starczyło już sił, by kopać, umarłbym z głodu. Lecz ty tak nie postąpiłeś. Zamiast tego przyniosłeś mi wybawienie! Wyniosłeś mnie, odnowiłeś moje życie, zemściłeś się tylko, czyniąc mnie swoim dzierżawcą, człowiekiem, którego możesz wezwać do świadczenia sobie usług, tak samo jak ja kiedyś wzywałem moich ludzi. To cała twoja zemsta za to, co musiałeś wycierpieć.

Mike odwrócił się od ogniska i spojrzął na starego człowieka.

— Jeśli ty tak uważasz, Will.

— Jeśli ja tak uważam? A ty nic mi nie powiesz! Ty tylko siedzisz i milczysz. Jak to teraz powiadają? Pozwalasz mi utonąć w moim własnym pocie? Kiedy otrzymałem wiadomość od ciebie... — zamilkł. — Zacząłem się zastanawiać... — głos mu zadrżał, cień przemknął po twarzy. — Nie myślałem o tym już od tak długiego czasu. Zacząłem żyć wygodnie i spokojnie. Minęły cztery lata. Przestałem wątpić w moje szczęście. — Wzruszył ramionami, starając się odzyskać spokój. Spróbował się roześmiać, ale mu się nie udało. — Zemsta, którą opisałem, była niczym w porównaniu z tym, czym mogła być. Po cóż marnować zemstę na nieszczęsne-

go, starego wraka, którym się stałem, skoro można było poczekać, uczynić mnie znowu człowiekiem i wtedy dopiero zniszczyć?

— Nie jesteś dobrym sędzią ludzi, Will. Może potrafisz ocenić zgorzkniałych chłopców, ale nie mężczyzn, którymi się stali.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Nic, czego ci nie powiedziałem tego pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do Connacht — odparł Mike. — Powiedziałem, że ten dom może pozostać twoim na resztę życia. Powiedziałem, że go kupię i będę jego właścicielem. Kupiłem go i jestem właścicielem. Powiedziałem ci również, jaki mam w tym cel. Po prostu nadejdzie czas, kiedy będę potrzebował domu dla mojej córki, żeby mój cel został osiągnięty. Jak sobie z tym poradzimy, to kwestia do dyskusji.

Mike odwrócił wzrok, widząc wyraz ulgi malujący się na twarzy mężczyzny.

W pokoju słychać było tylko trzask ognia na kominku, tykanie zegara i cichy, świszczący oddech Williama Harta.

— Och, Michaelu — odezwał się wreszcie stary człowiek. — Gdyby wszyscy arystokraci byli takimi dżentelmenami jak ty, byłiby prawdziwymi szlachcicami.

Mike roześmiał się.

— Nie przesadzaj, Will. Nawet mnie jeszcze dobrze nie znasz.

— Wcale cię nie znam! Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, mówiłeś o swojej córce i związanych z nią nadziejach. Nie zwróciłem na to uwagi. Widziałem przed sobą tylko młodą kobietę. Wypełniłem moją część umowy, ale ten obowiązek traktowałem tylko jak cenę, którą przyszło mi zapłacić. Ludzie z mojej klasy nauczyli się odrzucać tych, którzy próbują się z nami zrównać. Albo wejść na nasze miejsce.

— Jako chłopiec nienawidziłem cię, Will. Każdy inny byłby dla mnie lepszym wzorem. — Mike pochylił się do przodu, cała uwaga starego człowieka była teraz tylko na nim skupiona. — Ale dla mojej córki miałem bardziej ambitne plany i nikt im nie stanie na przeszkodzie. Nie pozwolę, by ktoś z niej kpił, tak jak ludzie twojej klasy kpili ze mnie.

— Ostrzegałem cię! Nasza dżentelmeńska umowa nie mogła ci dodać znaczenia, Michaelu. Obawiam się, że układy ludzi o różnym pochodzeniu rzadko mają taki skutek. Starzy ludzie stają się przebiegli, a musisz pamiętać o tym, że ja już byłem stary, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pijany starzec, ale nie głupi, jeśli to w ogóle możliwe, by stać się tym pierwszym, nie będąc drugim. Nie miałem wątpliwości, że twoja propozycja oznacza dla mnie wy-

bawienie. Wszystko, co mi wtedy powiedziałaś, było prawdą, ale nie jej istotą. Mogłem jedynie zgadywać, jakie są twoje prawdziwe cele. Nadal ich nie znam. Zawsze każesz mi zgadywać. Po prostu na chwilę zapomniałem, że to tylko gra.

Ponieważ Mike nie skomentował tego, William uśmiechnął się odprężony.

— Teraz sądzę, że masz przed sobą inny cel, Michaelu. Cel ważniejszy dla ciebie niż William Hart. Zajął on moje miejsce podczas tych dziewiętnastu lat, które spędziłeś w kolo- niach. Cel uosobiony w kimś równie wysoko urodzonym, a niewielu jest przedstawicieli wiel- kich rodów posiadających koneksje na antypodach, których ja bym nie znał. W rezultacie nie jestem niczym więcej jak tylko zakupionym narzędziem, które trzymasz, by go użyć w przy- szłości, ale mimo wszystko taka myśl zaintrygowała mnie. Udział w intrydze w wieku siedem- dziesięciu czterech lat może ożywić ducha.

— Jeśli mierzę w kogoś wysoko urodzonego, mała jest szansa, że zdradzę ci imię tej osoby — powiedział Mike, rozgniewany bijącym z Williama Harta zadowoleniem.

— Wspaniale! Nie ma nic bliższego sercu Anglika niż prawdziwie sportowe podchodze- nie nie zidentyfikowanej zwierzyny.

Mike nie czuł już gniewu. Wyparło go rozbawienie i niechętny podziw dla starego czło- wieka, starego wroga, który ratował godność, odwracając się plecami do murów, którymi Mike się obwarował.

Ukrył uśmiech. Stary diabeł ożył. I był sprytny. Namalował swój portret, przedstawiając się jako człowiek, który zmarnował życie i zasłużył na nienawiść. I zmusił Mike'a, by ujrzał siebie jako zgorzkniałego, zbuntowanego chłopca, który zasłużył sobie na karę, jaką otrzymał. Ale stary człowiek stając się zakupionym narzędziem, okazał się również narzędziem spryt- nym. Takiego właśnie mu było potrzeba.

— A jeśli powiem ci, Willu, że kłamałem? Tak jak prawdziwemu dżentelmenowi przy- stało! A jeśli powiem ci, że planuję osobiście wedrzeć się do arystokratycznych sfer? I oczekuję twojej pomocy, bo w przeciwnym razie zostaniesz zesłany na banicję do jednej z chat w Con- nemarze, z jednym tylko zagonem ziemniaków?

William Hart odwrócił wzrok od Mike'a i przebiegł nim po ścianach biblioteki, zastawio- nych książkami i zawieszonych portretami. Jego wzrok przenosił się od portretu do portretu, z każdego spoglądały twarze jego przodków. Kiedy wreszcie odezwał się, w jego głosie słychać było rozważę człowieka, który przemyślał każde słowo.

— Choćbyś nie wiem jak ostro potępiał arystokrację, i to ze słusznych powodów, będzie ona nadal strażnikiem wartości, które należy zachować. Zniszczyć ją znaczyłoby zniszczyć kryteria cywilizacji. A do tego ja nie przyłożę ręki, choćby nie wiem jak dużo miało mnie to kosztować. Jeśli rzeczywiście chcesz siebie umieścić w wysokich kręgach, zdecyduję się na ten ziemniaczany zagonek. Jeśli jednak twoim celem jest wywyższenie córki, nie przyniesie to szkody. Jest kobietą, a tymczasem dzieckiem, które łatwo jeszcze ukształtować. Mogę pomóc wychować ją na jedną z najwspanialszych dam Anglii.

Mike rozsiadł się w fotelu, opierając głowę o podglówek. Jego twarz skryła się w cieniu.

— Właśnie tego dla niej pragnę — powiedział. Pochylił się do przodu i wynurzył się z mroku. Przyglądał się człowiekowi, z którym już dawno postanowił podzielić się swym dzieckiem. — Pozycja prawdziwej damy przysługuje jej z tytułu urodzenia. Czy musisz wiedzieć więcej, Will?

— Nie, Michaelu, prawdę mówiąc nie chcę, abyś mi cokolwiek mówił.

William Hart siedział przez jakiś czas w milczeniu, potem wstał i podszedł do zasłoniętych okien. Pociągnął za sznur, odsuwając draperie, i wyjrzał w noc.

— Starzy ludzie nie lubią nocy — szepnął. — Zawsze czekamy na poranek.

Odwrócił się i spojrzał na młodego mężczyznę siedzącego przy kominku.

— Nie skłamałem mówiąc, że widok dziecka w twoich ramionach przejął mnie radością. Jutro przejdziemy się po ogrodzie i pokażę ci, co interesuje starych ludzi. Drzewa i rośliny. Wszystko, co rośnie. Sadzimy, bo chcemy patrzeć, jak rosną. Ani pieniądze, ani pozycja nie potrafią dać nam takiego poczucia ciągłości. Kiedyś zasadzę drzewo i nie zobaczę, jak urośnie, ale ono poniesie mnie w przyszłość, która nie będzie już moją. Nie ma dla mnie większej radości, jak pomóc dziecku w dorastaniu. Tylko to może zapewnić staremu człowiekowi przyszłość.

Zaciągnął szczelnie zasłony i podszedł do swego fotela. Mike spojrzał na starego wroga, wątpiąc w prawdziwość powagi, którą widział na jego twarzy.

— Czy naprawdę sadzisz rośliny, których dojrzałości możesz nie doczekać?

Starzec przytaknął.

— Wzdłuż podjazdu.

— Już ponad rok nie robiłem zdjęcia Jennifer — powiedział Mike, myśląc o Jenny. Starł się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz wysłał jej wiadomość. — Już czas na następne. To będzie dobre miejsce. Ustawimy ją na tle wejścia do jej nowego domu, koło twoich sadzonek.

16.

W podgórskiej okolicy nie mieszkało już zbyt wielu aborygenów, ale Jenny zauważyła, że jedna czarna kobieta zbudowała swój szałas w pobliżu wąwozu. Czasami siedziała z chłopcem u boku, gotując coś na ognisku. Częściej można było zobaczyć malca, jak odskakiwał przed jadącym wozem lub dwukólką. Kulał, gdyż jego jedna noga była nieco krótsza niż druga. We wczesnym dzieciństwie musiał mieć jakiś wypadek. Jenny zastanawiała się leniwie, co też mu się mogło przydarzyć.

Po raz pierwszy dostrzegła szałas wczesną wiosną sześćdziesiątego ósmego, kiedy wymagania rozrastającego się przedsiębiorstwa pozwoliły jej uciec od domu i ponurego milczenia Jazona.

Jenny pomachała czarnej kobiecie. Kiedy chłopiec wyskoczył na drogę, natychmiast zatrzymała konia. Spokojnie siedząc z lejcami w dłoniach, uśmiechnęła się do kobiety.

Ta odpowiedziała jej uśmiechem. Brakujące zęby czyniły ją starszą, niż była w rzeczywistości.

Jenny wskazała na siebie i wymówiła swoje imię, potem pokazała ręką na aborygenkę.

Ta uśmiechnęła się znowu i powiedziała:

— Ringa.

Podczas każdej podróży Jenny rozglądała się za buszmenką, a na jej widok zawsze uśmiechała się i machała dłonią.

Musi być bardzo samotna, myślała Jenny, żyjąc tak w szałasie i mając tylko syna do towarzystwa.

Moamba wędrowała po zboczu zbierając pożywienie. Na wyższych terenach trawa żółkła od nagłego upału, który przyszedł na wiosnę. Muchy zjawiły się dużo wcześniej, jeszcze przed nadejściem lata.

Unosiły się całymi chmurami i siadały na rozgrzanych miejscach, tam gdzie i szarańcza zbierała się w hałaśliwych rojach.

Spojrzała w niebo, wypatrując oznak deszczu, który mógł sprowadzić wczesny upał. Kiedy zobaczyła Benonga na krawędzi gór, w miejscu gdzie jej brat siadywał przy stosie porzebowym, uciekła do doliny i ukryła się w krzakach, skąd przyglądała się staremu członkowi plemienia. Jej matka była jego kobietą i młodzi mężczyźni z jej plemienia nazywali go jej ojcem, mężczyzną jej matki. Przyglądała mu się.

Kiedy zobaczyła Benonga, poczuła coś w rodzaju strachu. Przypomniała sobie stare tabu nie pozwalające kobietom przebywać w dolinie i znowu czuła usta białej dziewczynki ssące jej własną pierś.

Teraz gdy Benong przybliżał się do krzaków, w których ukryła się, usłyszała jego śpiew: „Minabee, Minabee”. Starzec kierował się wprost do jej kryjówki. Teraz już czuła prawdziwy strach. Siedziała skulona, aż zachód słońca i głód wezwały ją do szałas i ogniska.

Na szyi, jak ozdobę nosiła wypolerowany wąski pasek drewna zawieszony na wąsie winorośli splecionym z jej włosiem. Każdego roku, kiedy zmieniała się pora roku z zimnej na ciepłą, zdejmowała ozdobę i starannie wycinała na drewnie kolejny karb na obu stronach. Jeden karb dla płomiennego ducha Ruma, jeden dla Tallawang i jej ducha różowego górskiego kwiatu.

Tego roku zrobiła kolejne nacięcie, dalej nie pozostało już wiele miejsca na drewnie.

Kiedy skończyli wieczorny posiłek i ognisko oświetlało już tylko wejście do szałas, nadchodził czas opowieści. Moamba pokazała Rumowi nacięcia, które znaczyły na jego totemie każdy rok życia. Kiedy karby dojdą do dolnej krawędzi drewna, po trzynastu nacięciach, będzie to oznaczało, że chłopiec musi ją opuścić i dołączyć do mężczyzn ze szczepu Wolgol. Tak mu powiedziała.

Rum wziął kawałek drewna i trzymając go przy ognisku, patrzył na swój totem i karby, a także na miejsce, którego tak mało pozostało pod spodem. Potem odwrócił drewno i spojrzał na nacięcia, które wyczuł po drugiej stronie.

— Tallawang — powiedział, przesuując palcem po naciętym totemie.

Ogień przygasał. Wieczorne rozmowy przeciągnęły się, teraz zrobiło się już za późno na kolejne opowiadanie. Tallawang była jego białą mleczną siostrą, dawno temu, kiedy oboje byli jeszcze bardzo malutcy, tak opowiedziała mu Moamba. Jej opowieść na tym się kończyła, i to go cieszyło.

Nie chciał wysłuchiwać kolejny raz opowieści o Tallawang ani nawet tych o Tominglee i Benongu. Pragnął myśleć o przyszłości, kiedy będzie słuchał opowieści wojowników.

Tej nocy, gdy Moamba spała, owinięta w kangurzą skórę, Rum zbliżył się do niej bezszelstnie z nożem w ręku. Starannie, nie ruszając wiązadła na jej karku, sięgnął po kawałek drewna i zrobił na nim trzy dodatkowe nacięcia po jednej stronie. Potem wrócił na własne posłanie i leżał tam, śniąc o dniu, kiedy Moamba zrobi kolejny karb i odkrywszy, iż nie ma już wolnego miejsca, odeśle go, by stał się wojownikiem swego plemienia.

Pewnego dnia na początku października sześćdziesiątego ósmego, Jenny siedząc przy kolejnym milczącym posiłku z Jazonem, odsunęła nagle od siebie talerz.

— Przygotowałam coś, co, jak myślę, ucieszy cię — powiedziała mu. — Mam w sklepie cały stos książek. Stworzę taką bibliotekę, o jakich czytałam.

Jazon powoli podniósł głowę i spojrział na nią.

— Połowa mieszkańców tej doliny nie umie ani czytać, ani pisać, a ci, którzy potrafią, i tak nie będą czytać książek — powiedział spokojnie.

— Mogą się nauczyć, jeśli tylko stworzy się im okazję.

— Diabeł korzysta z okazji — powiedział Jazon, używając tonu zarezerwowanego dla cytatów z ojcowskich książek. — William Congreve — dodał. — Albo cytując czy raczej parafrazując lorda Byrona: „Człowiek powinien korzystać z każdej okazji, na jaką natrafi, ale w sklepie”.

Jenny nie była osobą, którą łatwo odwieść od tematu.

— Mam zamiar zbudować rotundę albo pawilon w parku nad rzeką — powiedziała. — Słyszałam o mężczyźnie z kukielkami, który przyjechał do Cooma Village. Poproszę go, żeby dawał płatne przedstawienia dla dzieci z doliny w każdy sobotni wieczór przez całe lato. Zbyt mało tutaj śmiechu.

— Śmiechu nie można kupić.

— Nie rozumiem dlaczego. A w niedzielne popołudnia mógłby w rotundzie grać zespół. Czytałam, że tak się dzieje w innych miasteczkach. Sam czytałeś na tyle dużo, że chyba dowiedziałeś się czegoś o przedstawieniach teatralnych, koncertach i wszystkim tym, co cię ciągnie do innych miejsc. Po cóż rozmawiać o życiu, które się toczy gdzie indziej, lepiej stworzyć takie miejsce tutaj, w Minaby Flat. Zajmij się tym, Jazonie. Kto jak nie ty ciągle mówi o braku kultury w naszej dolinie.

Jazon roześmiał się skrzekliwym śmiechem, który zazgrzytał w uszach Jenny i wywołał jeszcze większe pragnienie usłyszenia prawdziwego śmiechu.

— Potrzeba czegoś więcej niż tylko harmonii George'a Farleya, tamburynu jego żony i skrzekliwego głosu Minnie Davis, by można było mówić tutaj o kulturze.

— W takim razie czego potrzeba? — dopytywała się Jenny.

— Na początek innej klasy ludzi. I to zacznę organizować — dodał.

W jego głosie pojawiło się wahanie, a na twarzy rumieniec.

— Przynajmniej, jeśli chodzi o moje własne życie. Czekałem na odpowiednią chwilę, żeby ci o tym powiedzieć. Zamierzam ożenić się z panną Gwendoline Middleton z Queanbeyan.

Jenny wpatrywała się osłupiała w syna.

— Mówisz o poślubieniu dziewczyny, której ja nie widziałam na oczy. Nigdy wcześniej nie wymieniałeś nawet jej imienia.

Jazon wbił wzrok w blat stołu.

— Uważałem, że będzie lepiej, jak najpierw ona i ja się dogadamy, zanim o tym wspomnę. A potem chyba uznałem, że jeszcze za wcześnie o tym mówić. — Podniósł głowę. Jenny zdziwił błagalny wyraz jego oczu. — Nie będę przecież panem własnego życia do chwili, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat.

— Ależ to nie ma nic wspólnego z twoim wiekiem — odparła Jenny, próbując zebrać myśli i coś z tego wszystkiego zrozumieć. — To chodzi o... przynależność. O to, że jest się częścią rodziny. — Szalone myśli przebiegały po jej głowie. — I częścią tej społeczności. Nie przywiozłeś jej nawet, żeby nas odwiedziła!

Jazon odwrócił wzrok.

— Gdybym zdał wtedy egzaminy na uniwersytet, w wieku dwudziestu jeden lat podchodziłbym do egzaminów końcowych. Byłbym gotowy rozpocząć zupełnie inne życie — i nie w tej dolinie — cokolwiek miałyby mi ono przynieść. Teraz już tak nie będzie i nie ma co się nad tą sprawą dłużej rozwodzić. Nie mogę znieść myśli o tym. Muszę zostawić to poza sobą. Małżeństwo będzie początkiem nowego życia, ponieważ mam nadzieję, że urodzi mi się syn, któremu powie się tam, gdzie ja odniosłem porażkę. Który dorośnie i pójdzie na uniwersytet i stanie się tym, kim ja chciałem być. — Zerknął na matkę, na jego twarzy malował się gorzki wyraz. — Powinnaś być szczęśliwa. Małżeństwo przywiąże mnie do tej doliny.

Jenny westchnęła głęboko, czując, jak wielki ciężar zsuwa się jej z piersi. Co za ulga. Uśmiechnęła się, okazując zadowolenie.

— Chciałbym ożenić się wkrótce, w grudniu, najpóźniej w styczniu — ciągnął Jazon. — Ale ponieważ będę jeszcze niepełnoletni, potrzebna mi jest twoja zgoda.

— Ależ oczywiście, że się zgadzam — Jenny wykrzyknęła szybko, za szybko. — Będę bardzo szczęśliwa, kiedy tu osiądziesz z własną rodziną, powiększającą się i zaludniającą ten dom. To piękne, porządne domostwo. Możesz się czuć dumny, sprowadzając do niego swoją młodą żonę.

Jazon gwałtownie odwrócił głowę, ale Jenny zdążyła zauważyć błysk łzy w oku i jeszcze coś... coś, czego nie potrafiła nazwać.

W czasie kolejnych dni i nocy to coś nawiedzało Jenny. Tej nocy, kiedy stary rok się kończył, a nowy zaczynał, obudziła się ze słowem na ustach. „Pokonany” szepnęła w ciemność pustego pokoju. Jazon miał spojrzenie człowieka pokonanego. Ale zasnęła znowu, zanim potrafiła to zrozumieć.

Jenny siedziała w salonie swojej córki Jody, trzymając w rękach robótkę. Oparła głowę o okryty ozdobną serwetą zagłówek fotela i przymknęła oczy, odgradzając się od światła i dźwięków.

— Czy słyszałaś, co ja mówiłam, mamó? — upominała się o jej uwagę Jody.

Jenny otworzyła oczy i spojrzała na córkę. Zauważyła wyraźne linie biegnące od jej zaciśniętych w wąską linię ust.

— Mówiłaś o Jazonie — przytaknęła.

— On nienawidzi tej doliny. Zawsze jej nienawidził. Chyba miał nadzieję, że nie zgodzisz się na jego małżeństwo, szczególnie z dziewczyną dwa lata starszą od niego. Może nawet liczył, że go gdzieś odeślesz, by zapobiec temu związkowi. — Jody roześmiała się.

— Musiał wyczytać coś takiego w jednej ze swoich książek. Henry twierdzi, że Jazon w ogóle nie ma własnych pomysłów, szczególnie gdy chodzi o prowadzenie gospodarstwa.

Kiedy ma coś nieprzyjemnego do powiedzenia, pomyślała Jenny, słowa płyną szybko i chętnie. Zauważyła też, że zanikała wówczas wypracowana przez Jody wymowa Violet McGovern.

Jody zamilkła nagle, jakby czytając w myślach matki. Kiedy odezwała się znowu, mówiła już tak jak prawdziwa australijska, kolonialna dama.

— Prawdę mówiąc, myślę, że Jazon tylko skorzysta na tym, jeśli ożeni się z damą — powiedziała. — Muszę przyznać, że oczekuję z przyjemnością przybycia innej damy do tej doliny.

Zawsze stara się być damą, pomyślała Jenny, nadal przyglądając się córce. Ale ona przynajmniej próbuje.

Ta myśl odbiła się w jej następnych słowach.

— Gdyby Jazon naprawdę chciał pójść na uniwersytet w Sydney, zdawałby jeszcze raz. Próbowalby tak długo, aż by mu się udało. Jeśli zamiast tego chce się ożenić, dlaczegoż miałabym mu stawać na drodze?

— No cóż, dla ciebie nie będzie łatwe, kiedy kto inny zajmie miejsce pani domu.

Jenny uśmiechnęła się.

— Jody, ja nigdy nie byłam tą, która prowadziła dom, sama to dobrze wiesz. Co do Jazona także się mylisz. Jeśli ludzie czegoś pragną naprawdę mocno, walczą o to, właśnie tak jak ja to robię.

Ale kiedy nadszedł styczeń sześćdziesiątego dziewiątego, młody człowiek stojący u ołtarza miał taki wyraz goryczy na twarzy, jakiego nie powinien mieć ktoś czekający na oblubienicę.

— Powinnam dać Jazonowi nowe łóżko w ślubnym prezencie — pomyślała Jenny, którą obudziły dźwięki sprężyn łóżka w pokoju syna i Gwendoline.

Jenny wpatrywała się w ciemną pustkę swego pokoju. Potem wiatr przegonił chmury i ukazał się księżyc wiszący nad górami.

Uśmiechnęła się. Jej sypialnia już nie wyglądała samotnie. Światło księżyca padło na pocztówki ze związłymi wiadomościami od Mike'a.

W sąsiedniej sypialni sprężyny wydały ostatni jęk.

— Jest podobny do swego ojca — powiedziała na głos Jenny, zwracając się do Mike'a.
— On naprawdę pragnie syna.

Gwendoline stała się blada i nerwowa. Jak przestraszone zwierzątko. I bez przerwy się modli, pomyślała Jenny, widząc co chwilę żonę Jazona na kolanach, i to bez szczotek i ścierek, które przy takich okazjach trzymała w rękach Jody.

Jakoś w lipcu sześćdziesiątego dziewiątego nikomu nie trzeba było oznajmiać, że Gwendoline jest w ciąży. Było to aż nadto wyraźne. Jenny obliczyła, że dziecko powinno przyjść na świat na początku grudnia. Ale mijały dni, a potem tygodnie i oczekiwanie zmieniło się w niepokój, gdy delikatne rysy dziewczyny stały się nabrzmiałe, a twarz przybrała barwę popiołu.

Osiemnastego grudnia Jenny wysłała Jazona do Cooma po lekarza.

— Zmusz go, żeby przyjechał — powiedziała. — Nie przyjmuj do wiadomości odmowy.

Była to ostatnia sobota targowa przed Bożym Narodzeniem i w dolinie nie została żadna kobieta, która mogłaby pomóc przy porodzie. W gospodarstwie Travisów była tylko starsza dziewczyna Spigottów, która pracowała na przychodne, a tego dnia obraziła się ciężko na cały świat, ponieważ nie mogła uczestniczyć w uciechach w Cooma Village.

Jazon zajechał do Cooma i stanął przed doktorem, którego mały domek służył jednocześnie za miejsce do przyjmowania chorych. Poczekalnia zatłoczona była pacjentami z drobnymi dolegliwościami, typowymi w dniu targowym.

— Moja żona jest chora — powiedział Jazon, jak zwykle oszczędny w słowach. — Dziecko powinno było urodzić się już prawie trzy tygodnie temu.

— To nic nie znaczy — odparł niecierpliwie doktor. — Prawdopodobnie pomyłka w liczeniu. Dziecko może urodzić się wcześniej lub później, niż oczekiwano. Jest pan pewien daty zapłodnienia? I czasu, gdy wystąpiła ostatnia miesiączka?

Jazon przez kilka minut patrzył na swe stopy w milczeniu, twarz miał czerwoną, język jak zasznurowany. Ale nie wyszedł. Zdeterminowany spróbował znowu. — Ona jest bardzo chora. Moja matka twierdzi, że to zatrucie krwi.

— Toksemia? Ma konwulsje, czy cokolwiek takiego? — Jazon potrząsnął przecząco głową. Lekarz wahał się przez chwilę, ale wreszcie wzruszył ramionami. — Przy każdym porodzie stare kobiety opowiadają różne bajdy. Tak jakbyśmy jeszcze żyli w ciemnych wiekach. Nadal na parapet kładzie się koguta, a kury przenosi o milę od domu, żeby urodził się chłopiec. — Ale wyraźnie nie był pewny swego. Zbyt dobrze znał Jenny Travis, by powątpiewać w jej słowa. — Mówisz, że trzy tygodnie? — spojrzał na Jazona, a potem na tłoczących się w poczekalni pacjentów. — Jeśli przeciągnie się do czterech, przyjedź po mnie.

Kiedy Jazon zjawił się w domu, Gwendoline od siedmiu godzin leżała w połoгу. Jej poród trwał przez całą noc i następny dzień.

Była tak słaba, że nie miała już siły krzyczeć z bólu, gdy wreszcie pokazały się z jej ciała nóżki dziecka.

Dziewczyna Spigottów, służąca do wszystkiego, spojrzała na nogę i zachichotała nerwowo.

— Wygląda teraz jak mężczyzna. Z tą męską częścią. A na końcu paluszki.

— Zamknij swoją cholerną gębę — krzyknęła Jenny. — Rób to, co do ciebie należy. Przynies ręczniki, i to dużo. To jest poród kleszczowy, bardzo będzie porozrywana.

Gwendoline odwróciła głowę, spojrzała zamglonym wzrokiem na Jenny, potem nagle jej spojrzenie stało się przytomne.

— Czy ja umrę?

— Nie pozwolę ci umrzeć! — odpowiedziała Jenny, walcząc ze łzami gniewu. — Jesteś piękną dziewczyną i urodzisz piękne dziecko. Będziesz je kochać i opiekować się nim. Nie dam ci umrzeć. Nie dam.

Ale w tej chwili zobaczyła drugą nogę, przedzierającą się przez łożysko.

— Jezu drogi — łkała Jenny. — Jeśli to tak dalej pójdzie, oboje porozrywają się na strzępy. — I zanurzyła głęboko rękę w ciało Gwendoline, ciągnąc za nogi w dół. Popłynęła czerwoną falą krew.

Jenny wepchnęła obie ręce, złapała za ramiona dziecka i wyciągnęła je — czerwony strumyczek płynął z jego ust, z małego noska, mieszając się z krwią matki.

Jenny wyssała krew z ust dziecka, a potem pełną piersią wepchnęła w nie powietrze, aż wydało pierwszy krzyk i wiedziała, że będzie żyło.

Wtedy odwróciła się do Gwendoline, lecz dziewczynie nic już nie mogło pomóc.

Leżała uciszona, ze spokojną, poszarzałą twarzą. Ale kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał silnie:

— Czy z nim wszystko w porządku?

Jenny spojrzała na dziecko, pokryte wciąż jeszcze krwią i śluzem. Zobaczyła, że to chłopiec.

— Masz ślicznego syna. — Spoglądała na umierającą kobietę, słysząc echo swych pustych obietnic. Doszedł ją własny, błagalny głos.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, kochanie. Daj mi szansę, to ci pomogę. — Złapała za ręczniki, by zatrzymać wypływ zatrutej krwi.

— Jazonie... — wyszeptała Gwendoline.

— Jazon! — krzyknęła Jenny. — Jazonie, jesteś tutaj potrzebny.

Minął ją, poruszając się z trudem, i ujął rękę żony.

— Kazałeś mi grzeszyć wbrew mojej woli — szeptała Gwendoline, patrząc na niego. — Powiedziałeś, że to jest mój obowiązek. A jesteś o tyle silniejszy ode mnie.

— O Boże! Nie mów takich rzeczy!

Dziewczyna w łóżku spoglądała na niego pytającymi oczami.

— Przysięgałam, że będę ci posłuszna. Ale dlaczego... — zaczęła, a potem tylko patrzyła na niego.

— Jazonie — powiedziała wreszcie Jenny, kładąc rękę na ramieniu syna. — Zamknij jej oczy.

Jenny z dzieckiem na ręku chodziła od pokoju do pokoju. Wreszcie zatrzymała się przed nierówną kamienną ścianą, którą zbudował dla niej Bimber. Gałązki drzewa gumowego usychały, woda w misce zrobiła się zielona i oślizgła.

Muszę je wyrzucić, pomyślała. Nie ma nic gorszego niż zapach wyschniętych liści w zbutwiałej wodzie.

Zmarszczyła czoło, gdyż właśnie coś sobie przypominała. Życie pełne było powtórzeń.

Przeszła na werandę okrążającą dom. Dziecko, które trzymała w ramionach, poruszyło się, małe usta szukały piersi. Poglaskała pokrytą puszką głowę, uśmiechnęła się i dała mu palec do ssania.

Ta mała istotka, którą trzymała w ramionach, mogła być Jazonem, pomyślała, a zamożne domostwo tylko chatą na wschodnim stoku. Wszystko dopiero by się zaczynało!

— Chciałem mieć syna — powiedział Jazon kilka dni później. — Jestem odpowiedzialny za tę śmierć. Ona miała rację. Czasami jest to grzech. Widocznie grzeszyłem, jeśli stało się coś takiego.

Jenny szukała odpowiednich słów.

— Niektóre kobiety są tak wychowane, że wstydzą się swej kobiecości i swego człowieczeństwa. Zamiast tego mają być damami. Być może właśnie to próbowała ci powiedzieć. Umieranie to także część życia kobiety. Musisz nauczyć się to rozumieć i akceptować.

Zdawało się, że Jazon nie słyszy, nie słucha, ale w jego wzroku nie było już zagubienia, tylko gniew.

— Zastrzelę tego lekarza — przerwał po jakimś czasie ciężką, wiszącą ciszę. Potem, po raz pierwszy, wziął dziecko w ramiona.

Gniew jest zdrowszy, pomyślała Jenny, przyglądając się, jak przytula do siebie synka. Ale jednak postanowiła sama pojechać następnego dnia do Cooma na czwartkowy jarmark. Lepiej, by Jazon przez jakiś czas się tam nie pojawiał.

— Wrócę dopiero w piątek, więc powiedziałam dziewczynie Spigottów, żeby przychodziła codziennie, a jeśli będzie trzeba, niech nawet zostanie na noc — zwróciła się do Jazona. — Przynajmniej jej matka nauczyła ją opiekować się małymi dziećmi. Tak czy siak, jakoś przez to przebrniemy.

Jenny powoziła swoją dwukółką bez pośpiechu, zadowolona, że podróż daje jej możliwość wytchnienia. Koło szafasu czarnej kobiety ściągnęła wodze i spojrzała na samotną busz-

menkę siedzącą przy ognisku. Dwie milczące kobiety, nie znające wspólnych słów, którymi mogłyby się porozumieć, i nie potrzebujące ich, pomyślała Jenny. Znajdujące ulgę we własnym, cichym towarzystwie.

Kiedy Jenny wracała do domu następnego dnia, zobaczyła dwukołowy wóz ciągnięty przez konia, widoczny za zakrętem drogi — szare coś pojawiające się i znikające pomiędzy drzewami, jak niechętny duch wracający na dawne włości.

Wóz jechał bardzo wolno, zatrzymywał się co kilka jardów, jakby powożąca nim kobieta była zbyt zawstydzona lub nerwowa, tak samo jak stara szkapa, którą niemrawo poganiała.

Ta zmęczona kobieta nie jest przecież Jen, nie może być, pomyślała Jenny. Widziała ją już wcześniej, około sześćdziesiątego drugiego, kobieta powoziła ten sam stary wóz ciągnięty przez tę samą starą szkapę. Jenny widziała ją i odwróciła się od niej. Ale teraz, kiedy kobieta podjeżdżała bliżej, Jenny wydało się, że patrzy na samą siebie, jaką by mogła być, gdyby straciła swą energię, albo że patrzy na Millie Garnett powracającą z portu, po pochówku.

Dłonie Jenny trzymające wodze opadły, konie ruszyły znaną sobie drogą i nim wóz kobiety zrównał się z nimi, skręciły w drogę prowadzącą do doliny.

Jenny odwróciła się i zobaczyła, że wóz kieruje się w stronę Cooma. Starego konia ciągnął za uzdę mniej więcej dziewięcioletni chłopiec.

Wracając do domu, Jenny porządkowała swoje myśli.

Myślała o starych skórzanych jukach konia Jonathana, które znalazła w zbudowanej przez niego stajni. Skóra została wyczyszczona tak, że lśniła jak złoto. Jako prezent urodzinowy dla swego wnuka Nathana wrzuciła do każdego juku po jasnej, błyszczącej koronie.

Kiedy chłopiec skończy rok, sam będzie świadkiem, jak jego babka wrzuca do każdego juku po dwie korony, a na drugie urodziny po cztery. Od tej chwili nauczy go wrzucać tam pieniądze samodzielnie, na każde urodziny dwa razy tyle co w poprzednim roku. To będzie lekcja robienia pieniędzy. I oszczędzania.

Trzymała wodze w jednej ręce, pozwalając koniom iść swoim krokiem. Wyjęła papier i ołówek z torebki i zaczęła liczyć. Zanim konie pokonały długi podjazd, już się uśmiechała.

Jeśli każdego roku rosnący fundusz będzie starannie inwestowany, by się podwoić przed kolejnymi urodzinami, w dniu gdy jej wnuk skończy dwadzieścia jeden lat, w jukach powinno być 2097152 koron. Prawie 525 tysięcy funtów. I to wszystko z jednej błyszczącej monety!

Te dziwaczne obliczenia sprawiły jej przyjemność.

Ale lśniący juk, w której leżała pierwsza moneta dla Nathana, i wózek ciągnięty przez nieznanego chłopca mieszały jej się w myślach, jakby oba te fakty były ze sobą związane.

— Jest jeszcze wiele spraw, o których nie pozwolę sobie myśleć — powiedziała do siebie, powoli kierując się w stronę doliny.

Przed sobą zobaczyła, jakby wyczekującą na nią, czarną kobietę.

Moamba widziała, jak jej syn Rum opuszcza szałas, a zarazem i ją.

Postępował zgodnie z prawami szczepu ustalonymi jeszcze w Czasie Tworzenia. Był Wolgolem, nie Ngarigo, więc nie wdrapał się na szczyt, by pobierać nauki u Benonga. Odwrócił się i ruszył w inną stronę, na niziny, do tych plemion, które mieszkają w pobliżu osiedli białego człowieka.

Pozostawiona sama w szałasie, przypominała sobie głosy tych, z którymi kiedyś mieszkała, Ngarigi i Wolgol, głosy towarzyszące dniom poświęconym na pracę i zbieranie pożywienia, nocom, podczas których opowiadano historie, chwilom rytuałów i ceremonii. Teraz dostrzymywały jej towarzystwa tylko głosy ptaków, owadów i zwierząt, szepty duchów pomiędzy skałami i drzewami.

Kiedy usłyszała dźwięk nadjeżdżającej dwukółki białej kobiety, przykucnęła koło wypalonego ogniska przed szałasem. W rękach trzymała torby na pożywienie i czekała. Tak jak zawsze, kiedy biała kobieta zatrzymywała konia i uśmiechała się na powitanie, Moamba odpowiadała uśmiechem, po czym wskazywała na siebie i mówiła „Ringa”. Było to słowo-sygnal, którego nauczył ją biały człowiek.

Biała kobieta odjechała powoli, jakby świadoma tego, że buszmenka podąża za jej wozem.

Mijając miejsce spoczynku Minabee, Moamba nie zatrzymała się tak, jak robiły to kobiety ze szczepu Ngarigo. Starożytne ostrzeżenie wyryte na pniu drzewa koło grobu skryło się pomiędzy gałęziami, a może za młodymi rosnącymi wokół drzewkami. Moamba rzuciła raz lękliwie okiem na kopiec, a potem podążyła za dwukółką do doliny Ngaringi.

Przez noc i następny dzień kryła się w pobliżu domostwa Jenny. Z gilgooma, domostwa białego człowieka, słyszała kwilenie małego dziecka i ten dźwięk ją uspokajał.

Biała kobieta często wychodziła na próg i spoglądała w stronę miejsca, gdzie Moamba się chowała; wydawało się, że ją widzi. Drugiego dnia spojrzała w niebo, jakby rozmawiała z Uloola, a potem powiedziała:

— Dzisiaj jest Boże Narodzenie, Gwiazdka.

Ale jej słowa nie znaczyły nic, były tylko dźwiękami. Za to kiedy w nocy spadł potężny deszcz, wyszła na dwór i zawołała ją:

— Ringa.

Moamba wyszła z ukrycia i podążyła za Jenny do kuchni wewnątrz domu. W gilgooma biała kobieta stała się moit-mum, jej przyjaciółką.

Moamba wyrzeźbiła nowy kawałek drewna i zawiesiła go na splocie pnącza i włosów na szyi jako totem dla małego dziecka ze szczepu zamieszkującego dolinę.

Na małego chłopczyka wołali Nathan. Dźwięk ten nie miał dla niej żadnego znaczenia, więc wyryła na totemie imię Bogong — od ćmy, ponieważ przyszedł na świat w miesiącu, kiedy one nadlatywały.

Sześć dni zajęło jej staranne wycinanie i malowanie kawałka drewna. A kiedy już powiesiła go sobie na szyi, w dolinie rozległ się przeraźliwy okrzyk, jak te, które rozlegały się w Czasie Tworzenia. Słyszała o nich opowieści w gawędach szczepu. Odgłosy pękania i wdzierania się lodu w dolinę Ngaringi.

Moamba wydała jeden długi krzyk i uciekła z gilgooma.

Tysiąc osiemset siedemdziesiąty rok zjawił się wraz z grzmotami i błyskawicami, z wichurami i najgorszym gradobiciem, jakie przeżyła dolina przez trzydzieści siedem lat zamieszkiwania jej przez białych. Długie kawałki lodu rozbijały się na dachach i oknach, łamały zagrody, siekły zasiewy i wprawiały w popłoch zwierzęta.

— Nie sądzę, by 1870 był łatwym rokiem — mruzczała do siebie Jenny. Siłowała się z okiennicami i myślała o dwudziestych pierwszych urodzinach Jazona, od których dzieliło ich już tylko sześć miesięcy.

— To jest fenomen! — oznajmiła Violet McGovern, kiedy Jenny przysłała do George'a McGoverna z długą listą produktów, w które sklep powinien zostać zaopatrzony, żeby niczego nie zabrakło mieszkańcom doliny.

— Na wszystkim można zarobić — powiedziała mu Jenny. — I nie zapomnij wziąć dodatkowo cynkowanej blachy na dachy. Po tych sztormach będzie na nią zapotrzebowanie, a wtedy ceny pójną w górę.

— Ostrzeżenie przed nieszczęściem — upierała się Violet. — A te zazwyczaj chodzą parami. Nawet najsilniejszy mężczyzna nie wygra w walce z naturą.

Jenny spojrzała na nią spod oka.

— Mężczyzna może nie, ale ja tak.

W miesiąc później, jakby w słowach Violet kryła się przepowiednia, bydło, które przy-
płynęło do Kolonii na targi w Melbourne, zostało zawrócone już przy wejściu do portu. Bano
się choroby pysków i racic, która przenosiła się w stronę górskich okolic.

W dolinie Minaby Mitchellowie wyprzedali to, co pozostało im z bydła, i dokupili owiec.
Colebrookowie poszli za ich przykładem.

Targana gniewem Jenny kupiła sprzedawane przez nich zwierzęta i skrzyżowała swoje
bydło z nową odmianą shorthornów. Częściej teraz zjawiała się w Cooma Village i w fermach
położonych wzdłuż drogi, kupując każdego byka-przewodnika stada, jakiego mogła dostać. Po-
nieważ cena na bydło spadła, jej stado stawało się tak liczne, że musiała wydzierżawić jeszcze
dwa pastwiska na nizinach oprócz tych, które już wcześniej posiadała.

Tuż po chińskim Nowym Roku do doliny powrócił Chang Lee, przywożąc zakupioną na-
rzeczoną.

Jenny patrzyła na delikatną dziewczynę. Jeszcze raz oczami wyobraźni ujrzała pokój z
lustrami, starą Chinę siedzącą na stołku i piękną młodą Chinę w błękitnym jedwabnym ki-
monie, opierającą dłoń gestem właścicielki na ramieniu Mike'a Donohue.

— Czy pochodzisz z Gospody pod Smokiem w Tallaqueon? — zapytała Jenny.

Chang Lee spojrzał na nią zaszokowany.

— Chińczycy nie kupują żon w Gospodzie pod Smokiem! Tam nie ma żon do nabycia!
Kupujemy je tylko od porządnych chińskich rodzin, które mają dużo córek na sprzedaż.

Drobniutka Chinka uśmiechała się do Jenny nieśmiało, ze spuszczonej skromnie
oczyma.

— Ona jeszcze nie mówi po angielsku — powiedział Chang Lee. — Przywiozłem ją tu-
taj, żeby ci ją pokazać i uzyskać pozwolenie na ślub. Jesteś głową rodziny. Jeśli ona ci się nie
podoba, odeślę ją z powrotem do jej rodziny.

Chinka spojrzała na Jenny, która odpowiedziała jej uśmiechem.

— Jeśli ona ma być twoją żoną, to też należy do naszej rodziny — powiedziała Jenny.

Chang Lee rozpromienił się.

— Urodzimy ci wielu wnuków — obiecał.

— W takim razie najlepiej będzie, jak ci zbudują nowy dom — stwierdziła. Przypomina-
jąc sobie o nadchodzącym czerwcu, dodała: — Na ziemi Garnett.

Tydzień po rozpoczęciu budowy w domu Travisów pojawił się Wilfred Davis, właściciel
farmy kurzej położonej na południowym krańcu doliny.

— Przybyłem tu z Lambing Flat, bo chciałem uciec od tych Chińczyków — powiedział drżącym ze zdenerwowania głosem, strzelając oczami na boki. — Co innego, jak im się pozwala pracować czy gotować. Choć i tak to wystarczające zło. Ale pozwolić im mieszkać w ich własnym domu, jak porządnym sąsiadom... — głos mu zamarł pod pałającym spojrzeniem Jenny.

— Musisz zastanowić się nad powrotem do Lambing Flat, gdzie większość mieszkających i pracujących tam Chińczyków została wymordowana, a reszta uciekła jeszcze w sześćdziesiątym pierwszym, to znaczy wtedy, gdy osiadałeś w dolinie. Jeśli chcesz sprzedać swój dom, przyjdź porozmawiać ze mną, zastanowię się, czy chcę go kupić. Chociaż zaczynam myśleć, że farma kurza nie jest zbyt wiele warta.

Dzień po skończeniu swych dwudziestych pierwszych urodzin, Jazon osiodłał konia i przedarł się przez śnieg na oczyszczoną drogę, która zimą prowadziła z górskich osiedli. Pojechał na niziny, gdzie stada Travisów wypasały się na wydzierżawionych pastwiskach.

W ciągu tygodnia sprzedał bydło za cenę, która nie odstraszała nabywców, mających nadzieję na doskonały zarobek, odsprzedając bydło w rzeźniach Sydney, gdzie zapasy mięsa już się kończyły. Za zarobione pieniądze kupił owce i wynajął wędrownego pastucha, który miał za zadanie się nimi zająć. Po powrocie do doliny czekał jeszcze dwa dni, zanim odważył się powiedzieć o tym Jenny. Przygotowany był na zdecydowany sprzeciw. Był zaskoczony, że matka wysłuchała go spokojnie, po czym usiadła za biurkiem.

Jenny policzyła ilość bydła, jego wagę i zarobek, jaki sprzedawcy mięsa osiągnęli na wygłodniałym rynku. Pokazała cyfry Jazonowi.

— Za jakieś trzy miesiące ta suma by się podwoiła. A ty ile dostałeś za bydło?

Twarz Jazona pobleadła.

— Zarobiłem wystarczająco dużo — powiedział, unikając jej wzroku. Widziała po wyrazie jego twarzy, że nie zarobił nawet jednej dziesiątej tego, co mógł. — Kupiłem owce, z których zysk będzie dwa razy większy.

— Poczekamy, zobaczymy — powiedziała Jenny, hamując gniew.

Nim nadeszła wiosna, Jazon wrócił na niziny i został w Cooma, w pobliżu swych pastwisk, póki nie urodziły się młode jagnięta i zakończył się czas strzyżenia. Wtedy wrócił do doliny, prowadząc stado, posiadając wiedzę o cenach wełny zapowiadających przyszłe zyski.

— Owce — powiedziała Jenny z pogardą. Ona znała się na bydle i uważała, że przybycie owiec jest obrażą dla jej ziemi. — Ostrzyżone mają żaloszny wygląd, a przed strzyżeniem przypominają pompony. Trudno je traktować jak porządne zwierzęta.

Ale obserwując kamienną twarz Jazona nie zadawała żadnych pytań.

— Gdy się wraca myślą wstecz, lata sześćdziesiąte wydają się ciszą przed burzą — powiedziała Violet do swego męża George'a. — Choć trzeba przyznać, że dzień Nowego Roku przyniósł nam ostrzeżenie. Już nazywają 1870 rokiem Trzydziestu Tysięcy Ukłuć. Od czasu, kiedy biały człowiek przybył na ten kontynent, nigdy nie spadały takie igły lodowe. Chociaż niektórzy twierdzą, że w opowieściach czarnych pojawia się historia o lodzie, który spadał na tę dolinę. Czarni mówią również, że przeszłość wraca, by rzucić na nas przekleństwo. Oczywiście ja tam nie zwracam uwagi na ich gadki — dodała szybko. — Ale to był fenomen. Bardzo rzadki fenomen.

— Jedynym nieszczęściem, jakie spadło na tę dolinę, są błędne decyzje Jazona Trvisa. I wątpię, by przekleństwo to miało dotknąć nas osobiście. — George uśmiechnął się, jakby coś mu sprawiło przyjemność. — Mam przecucie, że jeszcze z tego skorzystamy. I już najwyższy czas po dwunastu latach pracy.

— Zaoszczędziliśmy niemało. I trzymamy to bezpiecznie, nie ryzykując z bankami — odpowiedziała Violet. Ale przyjrzała się uważnie mężowi, zdziwiona jego wyraźnym zadowoleniem. — Nie słyszałam, żebyś kiedykolwiek przedtem mówił o przecuciach.

— Ponieważ nigdy wcześniej ich nie miałem. Ale ostatnio miewam. Za każdym razem, kiedy przeglądam księgi rachunkowe sklepu. Jazon Travis wie mniej o prowadzeniu interesu niż o zarządzaniu farmą owczą, a z tego co słyszałem, na tym się niewiele zna. Niedługo wpadnie w kłopoty, a kiedy to się stanie, ja będę gotowy. Gdy tylko pojawi się szansa złapania czegoś, na czym da się zbudować przyszłość, ja będę gotowy.

— Pete i Charlie będą musieli odejść — oznajmił Jazon Jenny. — I im wcześniej się o tym dowiedzą, tym lepiej.

— O czym ty mówisz?

— Spadła cena na wełnę. Ludzie wszędzie tracą pracę.

— Ale nie tutaj.

— Pete i Charlie muszą odejść — Jazon nie patrzył na matkę. — Można było przewidzieć, że wolarze wreszcie stracą w tej dolinie pracę.

— Nikt inny nie zwalnia ludzi.

— Gdzieś musi się to zacząć.

— No cóż, nie tutaj! I na pewno nie od Pete'a i Charliego. Pracowali dla mnie przez siedemnaście lat. Nie odwraca się tak po prostu od ludzi, którzy zawsze byli lojalni i pracowali dla ciebie taki szmat czasu.

Później tego samego dnia Pete na widok Jenny idącej w jego stronę uklonił się bez uśmiechu.

— Zbiorę tylko swoje rzeczy i przyjdę się pożegnać — powiedział krótko. — To nie zabierze dużo czasu. Nie naskładaliśmy za wiele przez te wszystkie lata.

— Co ci powiedział Jazon? — dopytywała się Jenny, choć już wiedziała i czuła, jak wzbiera w niej gniew.

— Dał nam wymówienie — tym razem odezwał się Charlie. Spojrzał na Pete'a. — Papierek na odchodne. I tyle on jest wart. Musimy odejść, nawet konie, na których jeździliśmy, nie należą do nas, tylko do Travisów.

— Nie zwracajcie uwagi na Jazona — powiedziała Jenny. — Nie ma żadnego powodu, byście odchodzili.

— Nie — Pete potrząsnął głową. — Nie zostaniemy tutaj. Nawet gdyby wrócił i poprosił nas o to. Nikt nie musi mnie wypraszać dwa razy.

— Obaj macie gorące głowy — Jenny szukała odpowiednich słów, wiedząc, że dwóch spokojniejszych ludzi trzeba by szukać ze świecą.

— Prawdopodobnie odeszliście, zanim usłyszeliście dokładnie, co miał wam do powiedzenia. Przecież nie sądzicie chyba, że tak byśmy wam odpłacili po siedemnastu latach dobrej pracy.

— Tak to zrozumieliśmy — powiedział mniej już pewnie Charlie.

— I zdarzyło się jeszcze coś dziwniejszego. Tłumaczył, że uderzył w panią spadek ceny wełny.

— Chodziło mu pewnie o to, że uderzył w innych — improwizowała Jenny, opierając na tym, co słyszała, i na pomyśle, który zaczynał już kiełkować w jej głowie. — Uderzył w Daviesów, tych, którzy mieszkają na końcu doliny, kiedy zdecydowali, że wolą owce niż drób. Teraz mają zamiar wszystko sprzedać.

Pete i Charlie spojrzeli jeden na drugiego, a potem na swe stopy.

— To dobra farma — powiedziała Jenny. — Gdybyście we dwóch ciężko na niej pracowali, z zapalem, który Davies dawno stracił, moglibyście z niej coś wyciągnąć.

Mężczyźni podnieśli wzrok i spojrzeli po sobie. Charlie roześmiał się krótko.

— Davies może być chętny, żeby sprzedać, ale nie odda za darmo. A tylko tyle moglibyśmy w stanie mu zaproponować.

— Dostanie dobrą cenę — zapewniła go Jenny i dodała — z czasem.

— Mówi nam pani, że kupuje tę farmę, a Jazon chce, byśmy tam poszli pracować? — zapytał Charlie. Potrząsnął głową. — Nam mówił co innego. I wcale nie odeszliśmy, zanim nie skończył. Staliśmy jak wryci i słyszeliśmy wszystko co do słowa. I wcale go źle nie zrozumieliśmy. O niczym takim nawet nie wspomniał. Po prostu dał nam zwolnienie. Ot tak. Nie myślę się. Nawet się nie zająknął o tym, o czym pani mówi.

— Bo i nie miał wam mówić. To jest niespodzianka dla was obu ode mnie — powiedziała szorstko. — To dla mnie pracowaliście przez te wszystkie lata i do mnie należy odplacić się wam porządnie. Już najwyższy czas, byście mieli własne gospodarstwo. Gdybyście nie byli zadowoleni z pracy u nas, pewnie już dawno temu znaleźlibyście sobie własne miejsce. Teraz je macie. Po prostu chciałam powiedzieć najpierw wam o tym, zanim porozmawiam z Daviesami. No i co na to powiecie? Chciałabym wiedzieć.

Pete był bystrzejszy z dwóch braci. Szybko oszacował propozycję.

— Farma nie będzie nasza, póki nie będziemy mogli w jakiś sposób za nią zapłacić. Przez te wszystkie lata dostawaliśmy wynagrodzenie. Nic więcej nam się nie należy.

— Należy wam się, i to dużo — powiedziała cicho Jenny, ale jej nawyk robienia interesów przeważał sentymentalny nastrój. — Daję wam szansę, to wszystko. Ja zapłacę za farmę Daviesów — za ziemię, gospodarstwo, zwierzęta i wszystko — a wy możecie mi to spłacić, każdego roku po trochu, z waszych zarobków.

— Plus procent — powiedział Pete. — W ten sposób interes jest porządnie załatwiony.

— Oczywiście — odparła Jenny nagle zadowolona z siebie i z nich. Skinęła głową i uśmiechnęła się. — Plus procent. W ten sposób wszystkim nam się to opłaca. — To cholernie dobry pomysł, pomyślała, bo niewielu znajdzie się ludzi tak ciężko i dobrze pracujących jak Pete i Charlie. Naprawianie skutków głupoty Jazona mogło się zamienić w korzystne posunięcie. — Ale na koniec należy wam się jednak prezent. Możecie wziąć ze sobą wasze konie. I tak wątpię, czy kiedykolwiek posłuchałyby innego właściciela.

— Jazon może nie zgodzić się z panią — powiedział Pete. — A on jest teraz właścicielem ziemi.

Charlie przytaknął z wyraźnym wyrazem zawodu na twarzy.

— Lepiej, jak zapytamy jego — powiedział niepewnie. — Niech on odpowie.

Jenny roześmiała się, patrząc im prosto w oczy.

— Pamiętam coś z jednej z tych książek, które Jazon bez przerwy czyta. Coś o dawaniu konia w podarunku. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Pytałam Jazona, co to znaczy. Odpowiedział, że nie powinno się kwestionować podarunku. Oto jest wasza odpowiedź. Wprost od konia.

Kiedy powiedziała Jazonowi, co zrobiła, gorycz zamknęła mu usta. Jenny miała talent do interesów, którego jemu brakowało, i wiedział o tym. Jątrzyło go to zbyt mocno, więc nie umiał z nią rozmawiać na temat problemów, którym musiał stawić czoło. Nie udało mu się zainteresować kompanii browarniczej kupnem hotelu. Teraz rozglądał się za innym rozwiązaniem. Wkrótce je znalazł.

Trzy dni później Jenny ujrzała, jak nazwisko Travisów znika ze sklepu zastąpione całkiem nowym.

Patrzyła na szyld, próbując zrozumieć, dlaczego nie czuje gniewu.

Wracając do domu, zauważyła Ringę przemykającą za linią drzew. Potem ujrzała Jody w wyraźnej już, siedmiomiesięcznej ciąży. Zauważyła, że córka ma na głowie kapelusz z piórami i suknię z pelerynką. Stała w ogrodzie, rozmawiając z Jazonem.

— To dziwne zobaczyć nazwisko McGovern na naszym sklepie — powiedziała Jody.

— Najwyższy czas — odparła gładko Jenny. — Doszłam do wniosku, że podoba mi się ten pomysł. Ludzie powinni być właścicielami tego, w co wkładają ciężką pracę rąk i umysłu. — Spokojnie i chłodno spojrzała na Jazona. — A muszą wkładać ciężką pracę rąk i umysłu w to, co posiadają! Bo inaczej to tracą.

Jazon dostrzegł, że Jenny patrzy na niego, jakby był kimś obcym. Patrzyła przez niego, poza niego, w stronę starej chaty. Podążył za jej wzrokiem, ale nic nie zauważył. Kiedy spojrzał na nią znowu, uśmiechała się.

Dalej na drodze Jenny ujrzała chowającą się za drzewo i spoglądającą na nich czarną kobietę.

Strach zagnał Moambę z powrotem do jej szałas. Ale kiedy słońce zaświeciło znowu, wróciła przyglądać się życiu w dolinie. Dolina wyglądała tak samo jak zawsze. Lód był przeszłością. Jednak lęk w buszmencie pozostał.

Przez całą długą zimę chowała się w szałasie, nawet wtedy gdy moit-mum przejeżdżała i zatrzymywała się, by zawołać na nią.

Tęskniła za moit-mum i małym Bogong, a jej przerażenie stopniowo zanikało jak topniejący lód. Aż pewnego dnia poczuła śmiałość i wdrapała się aż do chaty, a potem kryła się na długo za wysokim kamieniem, przesuając palcami po wyciętych w nim literach i słowach znajdujących się pod mchem. Po jakimś czasie za zasłoną drzew zaczęła się przemykać w dół doliny.

Zatrzymała się, kiedy zobaczyła przed gilgooma białego mężczyznę, który rozmawiał z kobietą mającą ptaka na głowie.

Dostrzegła, że w brzuchu białej kobiety rosło dziecko ukryte pod warstwami ubrania. Gdyby nie widziała, jak się rodzi białe dziecko, mogłaby pomyśleć, że wychodzi ono z brzucha już okryte, jak drugą skórą, warstwami ubrania, które zmienia potem niby wąż skórę. Ale ona widziała, jak to się dzieje, a potem wykarmiła to dziecko i patrzyła, jak ono rośnie. Wszystkie dzieci są takie same. Różnią się tylko kolorem.

Ukryła się przed wzrokiem kobiety z ptakiem, a potem wdrapała do kopca, gdzie mogła oczekiwać na moit-mum.

Nagle poczuła ostre i bolesne ukłucie w kostkę. Zobaczyła, że stoi na mrowisku. Mrówki wybiegały ze swego kopca, zbierały się wokół jej stóp, wdrapywały na nogi.

Była przerażona. Bała się tej doliny i mrówek, i rozdętego brzucha kobiety. Zaczęła biec, krzycząc tak głośno jak Minabee. Ten krzyk nadal w niej rozbrzmiewał, kiedy leżała skulona w ciemnym kącie starej chaty, wysoko na wschodnim stoku.

Z nastaniem nocy na wysokie zbocze wspięło się trzech mężczyzn. Przewracali się i wstawali, śmiali i wykrzykiwali jeden na drugiego. Rozmawiali w swoim języku, ale po piwie brzmiał on bełkotliwie. Dym, który wypłoszył ze szczelin ćmy bogong, był dymem z ich papierosów.

Ponieważ kilka ciem wyleciało i opadło ku ziemi, mężczyźni złapali je i zaczęli rozmawiać o rozpaleniu ogniska. Ale na tym skończyła się ich odwaga. Przez chwilę nic się nie działo. Umilkli i spoglądali po sobie ponuro. Czuli we krwi ogień i nie potrafili się go pozbyć. Zaczęli się kłócić, a nawet szarpać ze sobą, ale w taki sposób, w jaki biją się biali ludzie, bez celu.

Było już ciemno, gdy dotarli do drogi biegnącej ponad chatą i najprawdopodobniej by ją ominęli i przeszli dalej, gdyby nie to, że usłyszeli jęki kobiety. Jeszcze i wtedy mieli zamiar ominąć chatę, gdyż sądzili, że to musi być biała kobieta. Nie byli na tyle pijani, by się narażać na powieszenie. Ale podeszli bliżej i zrozumieli, że to jedna z nich, czarna buszmenka. W jej jękach dał się słyszeć śpiew Ngarigo. A oni byli Wolgołami.

Ich bijatyka była początkowo tylko odtwarzaniem ceremoniału, znacznie mniej krwawa niż pierwotny obyczaj. Mężczyźni nie mieli już przy sobie broni. Czując coraz większe podniecenie, zerwali z siebie ubranie białego człowieka, które ich powstrzymywało, kiedy kiwali się i krążyli w tańcu wokół wielkiego kamienia, coraz szybciej i szybciej. Ich ruchy stawały się z każdą chwilą coraz gwałtowniejsze, a wykrzykiwaną pieśń często przerywał śmiech. Taniec i ceremoniał bitwy należał do starożytnych czasów i naśmiewanie się z własnego dziedzictwa przstraszyło ich, ale jednocześnie świadomość bluźnierstwa podniecała coraz bardziej. Po jakimś czasie strach i podniecenie stały się jednym uczuciem, zaostrzając i pobudzając ich zmysły.

Zdarzało im się widzieć, jak postępują z kobietami biali mężczyźni. Trzech białych mężczyzn na jednej czarnej kobiecie nie było czymś niezwykłym. A czasami mogła to być nawet biała kobieta.

Biali mężczyźni używali kobiecego ciała w sposób, w jaki czarna mężczyzna nigdy by się nie ośmielił, w nowy sposób, który ich niepokoił, a jednocześnie wydawał się wyzwaniem.

Widzieli kiedyś, jak trzech białych mężczyzn rzucił kobietę na ziemię, zdjęli z siebie ubrania i paradowali niby koguty, z zadowoleniem demonstrując swoją męskość. A potem mężczyzna o największym przednim ogonie brał tę kobietę, tak jak miał ochotę. Drugi dołączył się do niego, biorąc ją od tyłu. A trzeci usiadł jej na głowie, wdarł się pomiędzy zęby i użył jej ust.

Przyglądając się wtedy tej scenie, czuli strach, ale też dziwne podniecenie. A teraz czuli już tylko podniecenie i w tańcu paradowali jak biali mężczyźni, z dumą prezentując swe sterzące ogony.

Nasłuchując hałasów bitewnych Moamba wiedziała, że pomiędzy skałami i drzewami doliny snują się złe duchy, które chcą się wedrzeć do jej ciała. Chociaż była noc, dochodził ją krzyk kruka i dziki śmiech zimorodka, kookaburra. Wkrótce diabły przyjdą do niej. Takie diabły, o jakich opowiadała starszyzna i przed którymi ostrzegały znaki kurdatchi malowane na skałach. Diabły o białych twarzach zamieszkujące bezcielesne szkielety dawno umarłych. Gniewne duchy trzepotały się pomiędzy kośćmi jak w klatce. Poczekają, aż ona uśnie, a potem wedrą się w nią, ukryją się w jej ciele, aż pewnego dnia wyjdą na świat w postaci małych dzieci, a jedynym znakiem, że są to dzieci diabelskie, będą ich białe twarze. Wtedy przyjdą mrówki, żeby wyjść z niej diabły. Już teraz jej spróbowaly.

Uderzała się mocno pięściami w piersi, żeby nie zasnąć, ale czuła, że sen przychodzi na nią jak czarna chmura. Szarpała się za włosy, orała palcami po twarzy, a potem próbowała sa-

ma siebie udusić, by zabić się, zanim uśnie i pozwoli wdrzeć się w swoje ciało diabłom, tak jak się to stało z Minabee. Zaczęła krzyczeć tak głośno, że w pierwszej chwili nie usłyszała mężczyzn przed chatą, którzy przynaglali jeden drugiego.

Kiedy opadli ją, krzyk kobiety był głośniejszy niż wołanie kruka, ale nagle coś wypełniło jej usta, wypychając jej wrzaski do gardła.

Leżała uciszona, przestała już walczyć, tylko nasłuchiwała.

To nie diabły wdzierały się w jej ciało z przodu i z tyłu, ponieważ miały ciała. Nie były też ciche i pozbawione języków jak demony. Wykrzykiwali do siebie w języku wolgol. Jeden wołał coś gniewnie, ponieważ nie mógł znaleźć miejsca, przez które mógłby się wdrzeć w jej ciało.

Ten głos należał do właściciela dłoni, która wepchnęła się w jej usta i przesuwająca teraz między zębami. Głos skarżył się, że złamane zęby są zakazane, bo czyż łamanie zębów nie było częścią świętej ceremonii inicjacji mężczyzn szczepu? I co się stanie, jeśli święty ceremoniał zostanie odprawiony na kobiecie? Potem głos przeszedł w jęk, ponieważ ręka znalazła ząb miękki, wygniły i niegroźny. I wtedy zamiast ręki pojawił się wąż, a wąż był częścią mężczyzny, nie diabła.

Moamba przeżyła dwadzieścia siedem wiosen i zim. Była starą kobietą. Ale chata była ciemna, a mężczyźni pijani i tak zajęci, że ich ręce nie odkryły tego, co zakrywała ciemność.

Powoli strach ją opuścił i jego miejsce zajęło uczucie przyjemności, jak wielka fala morską wdzierająca się na brzeg.

Ciała na jej ciele i w jej ciele były młode, zupełnie inne niż wyschnięte i pomarszczone ciało starego Tominglee, jedyne ciało, które kiedykolwiek poznała.

Leżała rozluźniona, uśmiechając się w ciemności. Kiedy mężczyźni odsunęli się od niej, usiadła i powiedziała cichym głosem w języku wolgol, że posiadli babkę ze swego własnego szczepu.

Wtedy wyczuła ich strach. Strach, że złamali tabu, co pociągnie za sobą niewyobrażalną karę. Ich strach był potężną siłą. Zabrał jej lęk, uwolnił ją od niego. Uśmiechnęła się znowu widząc, jak uciekają jeden przez drugiego, przedzierając się przez drzwi. Wiedziała, że kryją twarze w dłoniach, by nie zostali rozpoznani i ukarani. Gdy wydostali się na zewnątrz, puścili się biegiem, byle jak najszybciej uciec od chaty i od Moamby, która obejmowała samą siebie.

Siedziała tak jeszcze długo w noc, kołysała się do przodu i w tył, cicho mamrocząc starą pieśń Ngarigo. Pieśń, która przywiodła do niej silnych, młodych mężczyzn, by zamknęli drogę do jej ciała złym duchom.

Jenny czuła, że jej długo hamowana złość szuka ujścia.

Mężczyzna, na którego krzyczała, był Jonathanem. Żywy i młodszy od tego, którego została żoną, choć głos był ten sam — bezduszny, równie pozbawiony życia jak ciało, do którego należał.

— Będę musiał sprzedać trochę ziemi — powtórzył Jazon i zbladł, słysząc jej obelgi. — Pierwszy zbiór wełny był nie najlepszy, a przy niskich cenach nie pozostaje mi nic innego.

— Colebrookowie i Mitchellowie jakoś zupełnie nieźle sobie radzą! Nawet Henry Mitchell z żoną, a teraz na dodatek z dwójką dzieci, od kiedy Jody powiła Fredę. Jeśli taki pustogłowy Henry potrafi porządnie poprowadzić gospodarstwo, dlaczego ty nie umiesz?

— Staram się jak mogę.

Jenny ugryzła się w język, starając się pohamować gniew. Jazon był głupcem i nie potrafił ani prowadzić gospodarstwa, ani obracać pieniędzmi. Nie miał talentu do interesów. Wystarczająco często zaglądała w czasie minionych miesięcy do jego ksiąg. Jest taki sam jak jego ojciec, pomyślała, starając się uspokoić.

— Oczywiście — powiedziała wreszcie, słysząc niepewność we własnym głosie. — Jeśli musisz sprzedać, to musisz. Ale nie ma potrzeby sprzedawać pastwisk. Sprzedaj gospodarstwo i ziemię, na której ono stoi.

— Tego nie mogę zrobić — powiedział Jazon, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że możesz. Możesz sprzedać je mnie.

— Nie przyjmę twojej pomocy — odparł Jazon, a twarz mu spurpurowiała. — Nie przyjmę żadnych pieniędzy od kobiety. Nawet od własnej matki.

Jenny uśmiechnęła się z tolerancją, której nie czuła.

— Nie musisz przyjmować pieniędzy ode mnie, Jazonie. Kupię ziemię za pieniądze twojego ojca. Zostawił mi trochę na wypadek, gdybyś kiedyś chciał mi sprzedać dom i ziemię. Zrobisz mi przysługę.

Kłamstwa nie powinny być lepsze od prawdy, pomyślała Jenny. Ale czasami są! Szczególnie, gdy ma się do czynienia z dżentelmenem, który woli kłamstwa pozwalające ochronić jego honor.

Jazon już nie miał zastrzeżeń i przyjął propozycję. Robił przecież jej przysługę.

Gospodarstwo i ziemia znowu do niej wróciły.

A to tylko początek, obiecała sama sobie. Wszystko, co miało dla niej wartość, oddała Jazonowi, a teraz odkupi z powrotem, jeśli będzie trzeba. Dla Nathana!

Któregoś dnia, późną jesienią siedemdziesiątego pierwszego roku, Jenny pracowała długo wieczorem przy biurku w sypialni. Zamknęła zmęczone oczy, a potem objęła ramionami dziennik, książkę rachunkową i inne papiery i po prostu siedziała tak, przyglądając się oprawionym pocztówkom, wiszącym na ścianie.

Nagle, zanim zdążyła przygotować się i wymyślić jakąś obronę, zaatakowała ją samotność i tęsknota za Mike'em, która z roku na rok stawała się coraz silniejsza.

— Niech Bóg porwie wszystkich Irlandczyków! — mruknęła.

Oparła się o krzesło, wracając myślą do papierów na biurku.

— Niech Bóg porwie wszystkich mężczyzn! — powiedziała, przeglądając dokumenty.

Usłyszała głośne westchnienie i zobaczyła w drzwiach Jazona. Jego twarz była biała, plamy opalenizny odcinały się jak łaty.

— Przyszedłem powiedzieć ci coś, co powinnaś wiedzieć — oświadczył. — Muszę sprzedać pastwiska. Pośrednik w handlu nieruchomościami z Cooma załatwi sprzedaż.

— Sprzedaj, jeśli to konieczne! Skoro musisz sprzedać jeszcze więcej ziemi, zrób to.

— Nie dostanę najlepszej ceny — przyznał niechętnie Jazon. — Człowiek, który się tym zajmuje, powiedział, że gdy ziemia nie przynosi dochodów, traci na wartości. Czy coś takiego. Powtórzył mi słowa kupca.

— To nie ziemia nie przynosi dochodów — Jenny nie patrzyła na syna, czuła dla niego litość. Był kwadratowym kołkiem w okrągłej dziurze we wszystkim, do czego się zabrał. — Znam tego pośrednika — powiedziała, starannie dobierając słowa. — Myślę, że ja mogę odzyskać z powrotem tę ziemię jako prezent dla Nathana. Tylko jeszcze bardziej postaraj się, żeby ziemia zaczęła na ciebie pracować. Potrafisz, jeśli spróbujesz.

Uśmiechnął się, jakby w podziękowaniu.

— Spróbuję. Dla Nathana.

Kiedy spojrzał na nią znowu, wyglądał jak złapany w potrzask. Spróbował się zaśmiać, ale wydał jakiś dziwnie stłumiony dźwięk.

— Mój mały strażnik więzienia — powiedział.

Wyszedł, a Jenny dalej siedziała przy biurku. Nie była w stanie zabrać się do pracy. Dokumenty potwierdzające odkupienie ziemi wysunęły się spod innych kartek. Kiedy usłyszała,

że ktoś podchodzi do drzwi, pomyślała, że to wrócił Jazon. Odwróciła się, czuła potrzebę powiedzenia mu, usprawiedliwienia się.

— Kocham tę dolinę — wyznała. — To było pierwsze, co nauczyłam się kochać w całym moim życiu. Miałam tylko jedenaście i pół roku, kiedy twój ojciec mnie tutaj przywiózł...

Ale wtedy usłyszała odgłos bosych stóp i poczuła gorący, intensywny zapach Ringi. Podniosła oczy i zobaczyła czarną kobietę, która stała z małą dziewczynką w ramionach.

— Tallawang — powiedziała Moamba i podała jej dziecko, którego skóra miała jeszcze barwę płątka kwiatu. — Tallawang.

17.

W Anglii wiosną siedemdziesiątego pierwszego zaczynały już otwierać się żonkile. Krokusy były w pełnym rozkwicie. Mike spacerował po ogrodowych ścieżkach wokół dworu Berkshire, słuchając dźwięków dochodzących z pokoju muzycznego, gdzie ćwiczyła Jennifer, śpiewając dziadkowi Willowi skoczną irlandzką piosenkę.

Doszedł do podjazdu i przyjrzał się gęstwinie roślin, które hodował starszy pan. Dawne pędy stały się już młodymi drzewami. Urosły, podobnie jak Jennifer, która tego marcowego dnia skończyła dokładnie jedenaście i pół roku. Właśnie w tym samym wieku była Jenny, kiedy przyjechała do opuszczonej doliny z Travisem Jonathanem, do chaty z jedną izbą, która miała pozostać jedynym domem stworzonym przez męża dla niej i dla ich dzieci.

Przysłuchując się Jennifer i myśląc o Jenny, wepchnął ręce głęboko w kieszenie myśliwskiej kurtki, czując pod palcami dokumenty. Miał już je od kilku miesięcy, od końca 1870 roku, kiedy to prawnik z wyrazem tryumfu na twarzy położył je przed nim na biurku.

Adwokat znacznie utył od czasu ich ostatniego spotkania — był grubasem o bystrym umyśle i równie bystrych oczach.

— No, zapyta mnie pan wreszcie, z czym przychodzę? — nie wytrzymał kładąc dokumenty.

— Nie. Jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, sam mi pan to powie.

Tłuścioch był wyraźnie w żartobliwym nastroju, więc Mike uśmiechnął się tylko i czekał.

— Jest pan niesłychanie cierpliwym mężczyzną, panie Donohue. Nigdy nie spotkałem człowieka odznaczającego się taką cierpliwością.

— Byłem łowcą dzikich żrebaków. Nadal nim jestem. Wątpię, by w Londynie znalazło się wielu przedstawicieli mojej profesji, z którymi miał się pan szansę spotkać.

— Tam, gdzie mnie wysłał pan na polowanie, nie było wiele żrebaków. Mężczyźni wysoko postawieni nie dają się łatwo podejść ani złapać.

— To zawsze zależy od ofiary i od myśliwego. Wydaje mi się, że wybrałem dobrego myśliwego.

— O tak. Nie zaprzeczę. Fałszywej skromności nie uważam za cnotę.

Adwokat odsunął do tyłu fotel, jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Nawet klasnął w dłonie z ukontentowania.

— Można by powiedzieć, że kazałem mu przebiec między dwoma rzędami żołnierzy z różgami. Nawet przez chwilę myślałem, że mu się uda. Jednak mimo honoru i wymagań stanu szlacheckiego padł przed metą. — Wydał wargi. — Właściwie dlatego właśnie padł. Ale zacznijmy od początku.

Usadowił się wygodnie w fotelu i mówił dalej:

— Gdy upewniłem się, że mam aż nadto dokumentów, całkowicie sprawdzonych, napisałem do niego z prośbą o spotkanie. Czekałem miesiąc, zanim otrzymałem krótką odpowiedź, a potem kolejny, nim udzielił mi dziesięciu minut swego cennego czasu. Wysłuchał mnie w milczeniu, zerknął na kopie dokumentów, które mu wręczyłem, po czym sięgnął w stronę dzwonnika, chcąc wezwać służbę i wyrzucić mnie z domu. Co za arogancja! Powstrzymałem go dwoma słowami. „Dzięki Bogu”, powiedziałem. Wtedy zamarł i spojrzał na mnie, a ja się uśmiechałem. „Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie — dodałem — będę mógł się cieszyć dniami, tygodniami i miesiącami na procesie w sądzie”.

Podszedł do biurka i sięgnął po rzucone tam dokumenty. Przejrzał je znowu i powtórnie rzucił na blat. „Oskarżenie, jakie wysuwa pan wobec mnie i rzuca honorowi mojej rodziny, nie ma potwierdzenia w faktach — powiedział. — Gdyby świadectwo o miejscu pobytu Trivisa Jonathana było dostępne, mój prawnik by je znalazł i ostrzegł mnie”.

Roześmiałem mu się w twarz! „Ma pan dowód w ręku — wskazałem mu. — Wielu ludzi zostało powieszonych z błahszego powodu niż pokładanie nadziei w złym prawniku”. Zamilkłem, dając mu chwilę na przeczytanie manifestu statku. Kiedy odłożył dokument, odezwałem się znowu. Czekałem od lat, by powiedzieć mu te słowa. Znałem je na pamięć.

— „Honor rodziny — przypomniałem mu — to bardzo delikatna materia. Może zostać nieodwracalnie zniszczony jednym napomknieniem, szeptem, wieloznaczną ciszą”.

Mike przyglądał się prawnikowi, który oblizwał wargi, jakby wyschłe od żaru jego retoryki. Kiedy odezwał się znowu, głos zabrzmiał nisko i jedwabście.

— „Może pan wygrać tę sprawę w sądzie — powiedziałem mu bardzo poważnie i z całym przekonaniem. — Właściwie, jeśli się sprawę odda w ręce odpowiedniego prawnika, jest to prawie pewne — mówiłem — choć gdy chodzi o pańskiego, to wyraźnie nie wybrał pan najlepiej. Ale jak sądzę, zna pan moją reputację. Już ja się postaram, by sprawa ciągnęła się bardzo, bardzo długo. Będzie pan brnął do swego zwycięstwa przez zwały błota, które na pana zrzucę. Skoro taki jest pański wybór, niech tak się stanie. Wtedy mądrze będzie władać posiadłością wiejską Langley, ponieważ zarówno pan, jak i pańska rodzina będzie potrzebowała rozległego majątku, żeby się ukryć!”

Prawnik spojrzał na Mike'a, jego twarz wyrażała samą łagodność.

— Nic nie powiedział. Kompletnie nic. Nie czytając nawet podpisał i złożył swoją pieczęć na dokumentach przepisujących Langley na nowego właściciela. W milczeniu! Chciał po prostu mi je wręczyć i wyjść z pokoju, ale go zatrzymałem. „Oto pieniądze — powiedziałem mu. — Uzna je pan za aż nadto odpowiednie. Suma przekracza wartość majątku”. Wtedy się odezwał. — „Nie wezmę pieniędzy za tę transakcję!” Uśmiechnąłem się tak jak w sądzie, kiedy zapędzam człowieka w pułapkę, którą sam na siebie zastawił. Powiedziałem mu, że musi przyjąć pieniądze i podpisać, że je otrzymał. Takie były pańskie instrukcje.

Mike milczał, jakby nie miał nic do powiedzenia.

Prawnik przyglądał mu się z wydętymi wargami, oceniając wzrokiem klienta. Potem obszedł biurko i rozwinął zawiązany wstążką foliał z dokumentem przenoszącym prawa do Langley jako zapłatę za długi.

— Nigdy nie zapomnę tego, co malowało się na twarzy Langleya — mówił dalej prawnik. — Brał pańskie pieniądze, jakby były rozżarzonymi węglami. Podpisał i podstemplował dokument wiedząc, że zaciąga dług, który nigdy nie będzie umorzony. — Przesunął dokumenty na biurku, nadal wpatrzony w Mike'a. — To, co zobaczyłem na jego twarzy, niewiele się różniło od tego, co widzę teraz na pańskiej!

Papiery leżały wciąż przed Mike'em. Adwokat spojrzał na nie i uśmiechnął się krzywo. Potem odchylił fotel do tyłu, opierając się wygodnie, i zadowolony z siebie spoglądał w stronę półek z książkami.

Następnie skupił wzrok na przylegającej do pokoju niszy, gdzie wisiał portret młodego mężczyzny w mundurze wojskowym.

— Byłoby mi go żal, gdyby nie to, że miałem własne powody do radości, o czym on wiedział — odezwał się po długiej ciszy. — Wtedy mnie zapytał, czy działałem w moim własnym imieniu, a tylko powołałem się na jakiegoś nie nazwanego klienta, by sprawa wyglądała bardziej profesjonalnie. „O, nie, na litość boską — powiedziałem mu. — Naprawdę reprezentuję klienta”. Widziałem, że mi uwierzył. A tak bardzo nie chciał. — Prawnik przeniósł wzrok z ksiąg, w których kryło się tyle sekretów ludzkich, z powrotem na Mike'a i uśmiechnął się. — Kiedy chce się pan odsłonić przed tym człowiekiem i ujawnić temu biedakowi, że właścicielem jego domu jest mieszkaniec Kolonii, który może wyeksmitować go w każdej chwili?

— Jeszcze nie teraz.

Adwokat śmiał się tak, że cały jego brzuch dygotał.

— Mój Boże! Będzie spoglądał na każdego i zastanawiał się, w czyich rękach leży jego reputacja. Zemsta należy do mnie, powiedział Pan. Musiał być Irlandczykiem. — I znowu się roześmiał. — Więc to było częścią pańskiego planu! — nie zapytał, tylko stwierdził.

— Nie. Ja nie planuję koszmarów innych ludzi.

— Naprawdę? Zrobił pan co nieco, by obudzić Trauntona Jonathana z jego pełnych zadowolenia snów o sobie. — Prawnik niezdarnie pochylił się do przodu. Przeszkadzał mu jego wielki brzuch. — Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że on kompletnie się skompromitował. Wierzę, że był nieświadomy nieudolności swego prawnika w sprawie odszukania dostępnych pisemnych dowodów, ale jego podpis i pieczęć na dokumencie przekazania prawa własności mogą być traktowane jako potwierdzenie zasadności każdego żądania w stosunku do tytułu i wszystkich innych posiadłości, należących do Trávisa Jonathana. Nie może się bronić wymuszeniem, chyba że przyznałby się do winy, polegającej przynajmniej na niesprawdzeniu skuteczności wynajętego adwokata. Jeśli chce pan, aby poprowadzić tę sprawę dalej...

— Otrzymał propozycję, przyjął ją i to mi wystarczy. Nie pragnę nic więcej poza tym, co otrzymałem. — Mike mówiąc to prawnikowi, poczuł, jak bardzo go nie lubi. Pragnął wyjść, po dokumenty sięgnął prawie opornie. — Ale chciałbym nadal opłacać pańskie usługi, jeśli się pan zgodzi.

— Wydaje mi się, że zgłosiłem gotowość dalszej pracy dla pana, nawet bez zaliczki. Ciekawość to pierwszy krok do piekła, ale ja chciałbym być razem z panem, kiedy ogłosi pan Langley rezydencją wdowy po Jonathanie. I swoją własną. Czy nie do tego pan zmierzał?

Mike usłyszał szorstki śmiech i dopiero po chwili zrozumiał, że to on sam się roześmiał. Przyjeźdź, Jenny, i zamieszkać ze mną w domu swego zmarłego męża.

— Nie, nie to było moim celem — odparł czując, że już dłużej nie jest w stanie pohamować gwałtownej niechęci do siedzącego po drugiej stronie biurka mężczyzny. — Tam, skąd pochodzę, mężczyzna nie prosi drugiego o wykonanie za niego brudnej roboty. Może powinienem był o tym pamiętać.

— To musi być trudny kraj dla angielskich dżentelmenów. I równie trudny dla prawników. — Grubas oparł palce na brzuchu. — Pan ani mi nie ufa, ani mnie nie lubi. Dlaczego? Ponieważ pomogłem panu w czymś, co uważa pan za brudną robotę?

— Niezupełnie. Nie ufam nikomu, komu sprawia przyjemność niszczenie innego człowieka. Nie chcę też zatrudniać nikogo, kto będzie się odgrywał z powodu własnych uraz.

— Nasz obopólny interes działał na pańską korzyść. Pozwolił mi pan odplacić Trauntonowi Jonathanowi za to, co zrobił mojemu bratu trzydzieści lat temu. Mój brat zarabiał na życie łotrostwami. Nazwałby go pan zapewne szubrawcem. Trzymam jego portret pomiędzy aktami tych nielicznych spraw, których nie udało mi się wygrać. To moje pole niesławy. — Maska zsunęła się z twarzy adwokata, kiedy to mówił. — Traunton Jonathan przyłapał go na oszukiwaniu w kartach. Nie ujawnił tego. Po prostu dał mu ultimatum: zostanie ordynansem jego kuzyna, albo sprawa się wyda. Ta gra w karty kosztowała mojego brata życie, kiedy służył u Jonathana w Afganistanie. Był wtedy zaledwie chłopcem.

Prawnik przybrał znowu uśmiechniętą maskę, zanim się ponownie odezwał.

— A co ma również znaczenie, ja musiałem żyć dalej ze świadomością tej całej brudnej afery. Tak więc, panie Donohue, rzeczywiście wielką satysfakcję sprawiło mi odplacenie Trauntonowi Jonathanowi tą samą monetą, której on używał. — Uśmiechnął się znowu. — Jakie były pańskie powody?

— Ja również miałem swój cel, ale nie taki, o jakim pan myślał. Kobieta, którą znam, nie zamieszkałaby w Langley. A ja również nie chciałbym tego. Kupiłem Langley, żeby stał się w przyszłości domem kolejnego pokolenia spadkobierców Trávisa Jonathana i ich dzieci. Prawowitych właścicieli tego miejsca. A co do wcześniejszego pańskiego pytania, to zamierzam wejść w posiadanie Langley w imieniu spadkobierców z nadchodzącą wiosną. Dokładnie dwudziestego trzeciego marca.

Prawnik wprost się rozpromienił.

— To mądrze z pańskiej strony, że pokonał pan antypatię do mnie i korzysta nadal z moich usług, panie Donohue. Tego dnia będzie pan potrzebował prawnika u swego boku.

Zamilkł na chwilę, spoglądając w stronę portretu ukrytego w alkwie.

— Wiosna nie jest tą porą roku, której zazwyczaj wyglądam z utęsknieniem, panie Donohue. W każdym razie nie przez ostatnie trzydzieści lat. Zbyt dużo jest wtedy żonkili i krokusów i młodych chłopców odchodzących na wojnę. Ale w siedemdziesiątym pierwszym będę czekał na wiosnę.

W tej chwili Mike zdecydował, że nie chce konfrontacji z Trauntonem Jonathanem w posiadłości Langley. Nie miał ochoty udawać się tam z prawnikiem u boku, który z nadmierną radością oczekuje tego momentu. Zamiast tego zmusi Trauntona Jonathana, by przybył do niego, a wtedy obecność adwokata nie będzie potrzebna.

Wiosenna aukcja koni wypadła akurat w odpowiednim czasie — na dwa tygodnie przed datą, którą sobie wyznaczył. Stajenny z Langley zjawił się na niej i wyraźnie podekscytowany przystąpił do licytacji. Mike przebijał propozycje stajennego za każdym razem, kiedy tamten podniósł rękę, i tak podnosił cenę, że stawała się dla tamtego nie do przyjęcia. Ponieważ Langley chciał zdobyć te kobyły, Mike'owi żadna cena nie wydawała się zbyt wysoka.

— Jego lordowska mość pragnie, i to bardzo, kupić choć jedną z tych klaczy — powiedział stajenny, podchodząc do Mike'a pełen nadziei, że coś zdoła osiągnąć.

— W takim razie musimy go zawieść — odparł Mike. — Jeśli gotów jest przyjechać osobiście do moich stajni w Berkshire, mogę z nim przedyskutować tę sprawę. Możesz mu powiedzieć, że odpowiadałby mi dwudziesty trzeci marca. Nie wcześniej.

Wręczył stajennemu kartkę z adresem i datą.

Następnie prosto z aukcji pojechał do kancelarii adwokata.

— Od pierwszych tchnień wiosny czekam tu na pana — powiedział prawnik. — I odkryłem, że oczekiwanie jest najcięższym zadaniem, jakie można narzucić człowiekowi.

— Tak — odpowiedział Mike. — Ma pan co do tego całkowitą rację. Zwłaszcza że na końcu zawsze może nas oczekiwać zawód.

Obawiam się, że to właśnie panu przynoszę. Rozczarowanie.

— Rezygnuje pan ze swoich planów?

— O, nie. Nie rezygnuję. Lecz zmuszam Trauntona Jonathana, by przyszedł do mnie, i mam zamiar spotkać się z nim sam.

— Rozumiem — twarz prawnika pociemniała. — Naprawdę musi mnie pan bardzo nie lubić, jeśli nie chce dzielić ze mną tej chwili zwycięstwa, którą ja, ja sam, panu umożliwiłem. — Jego twarz stwardniała. — Nawet kosztem honoru rodziny odmówiłby sprzedania Langley, gdybym nie przekonał go, że oddaje posiadłość w ręce człowieka należącego do jego klasy. To

było pierwszą rzeczą, o której go przekonałem, a nie ostatnią, jak sugerowałem w złożonym panu raporcie. Pierwszą. Gdybym go o tym nie zapewnił, zresztą niezgodnie z prawdą, Langley nie należałoby do pana.

— Ci, którzy zamieszkają w Langley, są mu równi pozycją — odparł gniewnie Mike. — I mają więcej dumy w jednym palcu niż człowiek, który zwie się Langleyem. Każdy mężczyzna posiadający choć odrobinę dumy, spakowałby się i opuścił posiadłość, która przestała być jego własnością. A jednak on nadal tam pozostaje. Dlaczego?

— Czekają na nowego właściciela, by przybył i przejął odpowiedzialność, która jest nieodłączną częścią posiadania. Ale oczywiście, jako Irlandczyk, pan nigdy tego nie zrozumie. Majątek taki jak Langley nie prowadzi się sam, a jego właściciel jest odpowiedzialny za wielu ludzi, których tam zatrudnia. W tym przypadku ludzi, dla których Langley było domem od wielu pokoleń. — Prawnik odwrócił gwałtownie głowę, spoglądając w stronę półek. — Nigdy nie dowiedziałem się, kto i kiedy go zabił.

Mike milczał, układając myśli, które były dla niego zupełnie nowe. Nowe i niemiłe.

— Przynajmniej mam prawo do odpowiedzi na jedno pytanie, które nie daje mi spokoju — powiedział prawnik. — Dlaczego wybrał pan dwudziesty trzeci marca jako datę objęcia w posiadanie Langley? Czy ma ona jakieś specjalne znaczenie?

— Moja córka skończy tego dnia jedenaście i pół roku.

Prawnik roześmiał się.

— Myślałem, że być może data jest ważniejsza! A teraz pan mi mówi, że chodzi tylko o drobną próżność. I to nawet nie taką, która by się liczyła w sprawie dziedziczenia tytułu.

— Moja córka Jennifer jest wnuczką Trávisa Jonathana.

— A więc dziedziczka, a nie dziedzic — twarz grubasa przybrała znowu profesjonalny wygląd. — Nigdy dotąd nie padło słowo „dziedziczka”.

— Na angielskim tronie też siedzi kobieta. Czy jej dziedzictwo jest mniej warte?

— Jeśli mówi pan o królowej Wiktorii, to była ona bardzo zajęta produkowaniem dziewięciorga dzieci, a ostatnie lata spędza na opłakiwaniu męża.

— Kobieta może dorównać mężczyźnie. Dowiedziono mi tego wystarczająco wiele razy — odparł Mike. — A mówię tu o dziewczynie, która ulepiona jest z tej samej gliny, co kobieta, która to udowodniła.

— Chciałbym któregoś dnia spotkać tę damę. Może wtedy nauczę się rozumieć pana trochę lepiej. — Prawnik machnął ręką. — W czasie, którego będziemy mieli sporo, pańska córka

bowiem jest dzieckiem i miną całe lata, zanim osiągnie dojrzałość. Dziecko, i na dodatek dziewczynka! Jeśli pan za bardzo przyśpieszy sprawę i podejmie ją przed wydaniem dziewczynki za mąż, i to za odpowiedniego kandydata, możemy stanąć w sądzie. Ja z przyjemnością wezmę udział w tej sprawie, ale o panu się chyba nie da tego powiedzieć. Matka Anglia może sobie mieć u steru kobietę, ale w sądach jeszcze żadna nie zasiada!

Prawnik uśmiechnął się w zamyśleniu.

— Proszę dobrze zrozumieć to, co panu teraz powiem, panie Donohue. Oszukał mnie pan, namawiając do przyjęcia tej sprawy, tak samo jak ja oszukałem Traunta Jonathana. Ponieważ on został oszukany, co zaraz panu wyjaśnię. Mówił pan zawsze o dziedzicu, nigdy o dziedzicze. A kiedy dzisiaj wszedł pan przez te drzwi, faktycznie zwolnił mnie pan z przyszłych obowiązków pańskiego adwokata. Z tych dwóch powodów powinienem teraz zastanowić się, czy nie zaoferować swoich usług Trantonowi Jonathanowi, wicehrabiemu Langley. Jako zadośćuczynienie, powiedzmy, za nieświadome wprowadzenie w błąd, który spowodował, że wicehrabia uwierzył w istnienie kogoś, kto ma prawo zgłosić roszczenia do tytułu i posiadłości. Co, jak teraz odkryłem, nie było prawdą. Jeśli Travis Jonathan nie pozostawił męskiego potomka, to jego bratanek stał się prawowitym sukcesorem. A w związku ze śmiercią bratanka w Afganistanie, syn dalszego kuzyna, Tranton Jonathan również stał się prawowitym dziedzicem. Niezdolność wyśledzenia miejsca pobytu Travisa Jonathana przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Tak przedstawię tę sprawę i wygram ją w sądzie.

— Jest pan człowiekiem bez skrupułów — powiedział Mike cicho.

Prawnik machnął niecierpliwie ręką.

— Pozostawiam problem skrupułów lub ich braku moim klientom. Ja zajmuję się praworządnością, nie moralnością.

— W takim razie przypomnę panu, że po przyjęciu ode mnie zaliczki jest pan w obliczu prawa ciągle jeszcze moim adwokatem. Mogę już dłużej nie potrzebować pańskich usług, ale jeszcze pana nie zwolniłem. I niezależnie od dziedziców i tytułów, jestem teraz legalnym właścicielem Langley i mam zamiar wejść w posiadanie tego majątku.

— W takim razie proszę mi pozwolić, jako swemu adwokatowi, powiedzieć sobie, że wywłaszczenie może nastąpić wkrótce potem. Prawdę mówiąc, im szybciej obejmie pan Langley, tym prędzej. W sądzie może zostać dowiedzione, że wicehrabia zarzucił sprawowanie opieki nad majątkiem niezwłocznie po zgłoszeniu się człowieka, który na podstawie fałszywych przesłanek pozwolił mu uwierzyć, że jest prawowitym dziedzicem tytułu i posiadłości.

Trzeba pamiętać o tym, że postępując zgodnie z pańskimi instrukcjami, nie wymieniałem nazwiska mojego klienta czy sukcesora Langley na przedstawionych mu dokumentach.

Prawnik roześmiał się, jego gruby brzuch aż trząsał się z uciechy. Kiedy mówił dalej, w jego głosie wciąż słychać było rozbawienie.

— Nie tylko zostanie panu zabrane Langley, ale otrzyma pan jeszcze w nagrodę celę w więzieniu Jej Królewskiej Mości, oskarżony o różne oszustwa. Więzienia Jej Królewskiej Mości nie należą do najprzyjemniejszych miejsc. — Prawnik zamilkł na chwilę, oczy zwięziły mu się w szparki. — Ale być może już pan o tym wie. Irlandczyk, który mieszkał w Kolonii... Ponieważ nadal jestem pańskim adwokatem, radzę panu, by wykorzystał czas na swoją korzyść. Inaczej wypadki mogłyby się potoczyć w kierunku od zamierzonego przez pana.

Ponieważ Mike milczał, prawnik wzruszył ramionami.

— Oczywiście ja tylko przedstawiam jeden możliwy scenariusz na wypadek, gdyby sam osobiście chciał pan wejść w posiadanie majątku. Ponieważ pozostaję pańskim adwokatem, zalecam panu, by zdobył się na cierpliwość. Panie łowco dzikich koni! Czas i cierpliwość to pańscy sprzymierzeńcy. Kiedy pańska córka i dziedziczka osiągnie wiek odpowiedni do małżeństwa, niech wyjdzie za człowieka, który da sobie radę z gospodarzeniem na takich włościach. Do tego czasu miną całe lata od momentu sprzedania Langley przez Trauntona Jonathana. Jego pozycja stanie się znacznie słabsza.

Prawnik znowu się uśmiechał.

— Mnie wystarczająco cieszyć będzie, że Traunton Jonathan przez te wszystkie lata będzie pocić się ze strachu. — Nagle klasnął w dłonie i zachichotał. Kiedy wreszcie uspokoił się, westchnął. — W tej chwili właśnie zrozumiałem, że nie może być słodszej zemsty niż to, co pan dał mi dzisiaj. Ponieważ tylko ja będę wiedział, że znalazł się w piekle po zawarciu transakcji, na którą musiał się zgodzić.

* * *

Wreszcie nadszedł ten długo oczekiwany dzień, dwudziesty trzeci dzień marca. Mike oczekując na Trauntona Jonathana spacerował po ogrodzie pałacu w Berkshire i przysłuchiwał się dźwiękom pianina, na którym grała Jennifer w pokoju muzycznym. Przyglądał się krokom i młodym drzewkom, wspominając ostrzeżenia prawnika.

Kiedy dzień mijał, a Langley się nie zjawiał, Mike poczuł ulgę. A także zmęczenie wynikające ze zbyt długiego oczekiwania — a musiał się zdobyć na jeszcze wiele cierpliwości, jeśli miał się zastosować do rady prawnika i tego, co podpowiadał mu własny zdrowy rozsądek.

Minęło sześć miesięcy, z których każdy wydawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Mike myślał o Jenny, wyobrażając sobie, że osiągnęła swój cel już w czerwcu siedemdziesiątego roku. A on jeszcze musiał czekać całe lata na spełnienie swoich zamierzeń. I nie było odwrotu. Wychowywał Jennifer na wielką damę i tylko Langley uznawał za godną jej posiadłość.

— „Raz, tylko raz podczas tych miesięcy” — zaczął pisać list do Jenny, namawiając ją, aby do niego przyjechała. „Teraz, kiedy już Jazon ukończył dwadzieścia jeden lat” — napisał, a potem zmiął papier i wyrzucił. Jeszcze za wcześnie, powiedział sobie, starał się odsunąć świadomość lęku, jaki czuł, pisząc te kilka słów i myśląc o tych, które chciał napisać.

Na dzień przed dwunastymi urodzinami Jennifer, niecierpliwość wreszcie zwyciężyła. Zdecydował, że uda się do Langley, ryzykując sprawą sądową. Jakby ta decyzja była języczkiem u wagi, tego samego dnia otrzymał krótki liścik od Trauntona Jonathana:

„Donohue, odwiedzę Cię i Twoje stajnie o dziesiątej rano w poniedziałek, drugiego października. Langley”.

Mike stał w palarni i zaciskał głęboko ukrytą w kieszeni dłoń. Trzymał w niej pakiet dokumentów i słuchał mężczyzny, który stał przed nim.

Przez okno widać było ogród w kolorach jesieni.

— Celowo przepłaciłeś te kobyły, przebijając ceny mojego stajennego podczas wiosennej aukcji. Dlaczego, Donohue? Aby zmusić mnie do tej wizyty?

Mike odwrócił się od okna i popatrzył na Trauntona Jonathana.

— Ja handluję końmi. Tutaj są moje stajnie. Każdy, kto chce kupić ode mnie konie, musi tu przyjechać. Bo właśnie w tym miejscu robię interesy. Jeśli to ci się nie podoba, możesz sobie znaleźć innego sprzedawcę.

— Zrozum pewną rzecz, Donohue. Jestem tutaj, ponieważ chcę mieć jedną z tych klaczy i nikt mi nie będzie mieszać szyków. Wysłałem już syna do stajni, żeby wybrał tę, która mu się najbardziej podoba.

Mike milczał. Usłyszał kroki, ktoś nadchodził. Przez chwilę panowała cisza, zobaczył Jennifer zaglądającą do palarni. Po chwili usłyszał jej kroki na schodach prowadzących na piętro.

Traunton Jonathan nadal mówił coś gniewnym tonem, ale Mike już go dłużej nie słuchał. Krótkie spojrzenie na córkę przypomniało mu ostrzeżenia prawnika. Jeszcze dziecko, i na dodatek dziewczyna! Mógł zaryzykować i być może przegrać, ale też mógł zdobyć się na cierpliwość i poczekać na odpowiednią chwilę. Zaszedł za daleko, by zawrócić — i by ryzykować.

Pakiet dokumentów w kieszeni ciążył mu coraz bardziej.

Traunton Jonathan zerwał się niecierpliwie z fotela.

— Już czas, byśmy poszli do stajni, do mojego syna, Donohue. Jako handlarz koni musisz po prostu podać cenę. A jak już wcześniej powiedziałem, przyjmę ją niezależnie od wysokości.

Jennifer wdrapała się na boczną wieżę starego dworu i wyszła na krużganek, z którego mogła sięgnąć wzrokiem ponad ogrodami aż po stajnie, gdzie ojciec przyjmował gości. Kiedy przechodziła koło palarni, słyszała głos przybyłego.

— Zdecydowałem się kupić jedną z tych klaczy, Donohue, i niech mnie diabli, jeśli jej nie dostanę, niezależnie od ceny. Mój syn lubi ogniste zwierzęta, a ja obiecałem mu, że dostanie takiego konia na siedemnaste urodziny.

Zerkając przez otwór strzelniczy w murze obronnym, Jennifer widziała syna gościa, który opierał się o belkę zagrody Dzikiej Damy.

Nie czekała, by zobaczyć więcej. Zbiegła na dół i wpadła prosto do salonu, gdzie pani Fogarty zajmowała się książkami rachunkowymi, pisanie listów i układaniem menu. Przez otwarte drzwi do ogrodu widać było stajnie jak na dłoni.

— I gdzież to młoda dama tak się śpieszy?

— Powiem ci, kiedy wrócę, Fogey.

Dwie klacze były już przygotowane do jazdy, stajenny wracał do stajni, gdzie jej ojciec rozmawiał z gośćmi. Dopiero gdy obeszła konia, zobaczyła chłopca opierającego się o popręg. Gładził chrapy Dzikiej Damy i coś do niej szeptał. Najwyraźniej starał się zdobyć jej zaufanie.

Jennifer gnana wściekłością dopadła chłopca, odepchnęła go i zaczęła okładać pięściami. W jednej chwili jej noga obuta w zwyczajny pantofel znalazła się w strzemieniu, a ręce złapały wodze. Gdy znalazła się w siodle, popędziła przed siebie.

— Ona należy do mnie. Nie będziesz jej miał — krzyknęła do tyłu, galopując przez parkur. Przesadziła żywoplot i ruszyła w pole, trzymając się konia kolanami. Za długie strzemiona fruwały po bokach.

Wokół niej roztaczały się pola i lasy malowane kolorami jesieni, ziemię pokrywały złote i czerwone liście, zagłuszające stuk kopyt. Po chwili usłyszała drugiego konia galopującego w jej stronę i zwolniła biegu.

Ojciec, pomyślała. Tylko on potrafi jechać tak lekko i tak pewnie. Ściągnęła wodze i pozwoliła jeźdźcowi zrównać się ze sobą. Był to chłopak.

Na widok jego roześmianej twarzy stłumiła złość, czuła, jak rumieniec zabarwia jej policzki.

— To była niezła gonitwa — powiedział. — wygrałaś. Nigdy wcześniej nikt mnie nie pobił, a już na pewno nie dziewczyna.

— Miałam fory — powiedziała Jennifer, spoglądając na niego niepewnie. Oczekiwała, że chłopiec znowu się roześmieje. — Byłeś w gorszej sytuacji.

— Ty również — powiedział, spoglądając na wiszące strzemiona i ubranie, na długie białe pantaloney wylaniające się spod falującej spódnicy. Szybko odwrócił wzrok, wpatrywał się w drzewa, w liście na ziemi, byle tylko nie patrzeć na dziewczynę, która teraz naciągała spódnicę. Usiłowała zakryć pantaloney, ale kiedy naciągała spódnicę z jednej strony, odsłaniały się jeszcze bardziej z drugiej. Chłopak próbował powstrzymać śmiech.

Jennifer przyglądała mu się uważnie.

— Żebyś tylko nie odważył się ze mnie śmiać.

— Mam nadzieję, że ojciec nie poczuje się zawiedziony, kiedy mu powiem, że wolę tę kobyłę, na której teraz jechałem — powiedział chłopak. — Mogę mu powiedzieć, że Dzika Dama moim zdaniem ma zezę — dodał i parsknął śmiechem, którego nie potrafił już dłużej pohamować.

— Nic takiego nie powiesz — oburzyła się Jennifer. — Mój ojciec nie trzymałby zezowatego konia w swojej stajni.

— W takim razie po prostu mu powiem, że ta klacz bardziej mi się podoba.

— To bardzo dobry koń o znakomitym rodowodzie — zapewniła go Jennifer. — Ale nie jest tak dobra jak Dzika Dama. — Przez chwilę siedziała w milczeniu, gładząc swego wierzchowca. — Nie chcę, by ktokolwiek myślał, że istnieje lepsza klacz od Dzikiej Damy, ale także nie chcę jej stracić.

— Nie stracisz. Wygrałaś ją w wyścigu. A ja wygrałem tę. Czy ona ma imię?

— Tak, nazywa się Dumna Dama.

— W takim razie bez wątplenia ja tę powinienem wybrać! Będzie mi zawsze przypominała o tobie.

— Dżentelmen nie powinien tak mówić.

— Tylko nie mów mojemu ojcu, że nie jestem dżentelmenem. On wciąż jeszcze ma nadzieję, że stanę się nim z wiekiem.

— Ja z całą pewnością będę damą — stwierdziła Jennifer z godnością. — Dziadek Will zawsze powtarza, że jest dla mnie jeszcze nadzieja, ponieważ dopiero skończyłam dwanaście lat. Mam czas. Słyszałam, jak mówił to do taty.

— Nie zmieniaj się za bardzo — poprosił chłopiec.

— Jak się nazywasz? — zapytała Jennifer.

— Trevor Jonathan — uśmiechnął się. — A jak ty się nazywasz, Dzika Damo?

— Jennifer Donohue. — Uśmiechnęła się, gdyż coś sobie przypomniała. — Mój ojciec nazywał mnie Dzikim Różowym Kwiatusem. Albo Tallawang. Powiedział mi, że to właśnie znaczy dziki różowy kwiat. Ale nie powtórz mu tego. On już teraz nie lubi tego imienia.

Stojąc w drzwiach siodlarni, Mike przyglądał się Jennifer jadącej obok chłopca przez pola w stronę domu.

Traunton Jonathan coś mówił, ale uwaga Mike'a skupiona była na jeźdźcach. Nagle, kiedy już zsiadli z koni i skierowali się w jego stronę, ujrzał Jen i Chrisa Colebrooka idących przez dolinę, dawno temu, latem pięćdziesiątego czwartego.

Głos Trauntona Jonathana wdarł się w jego myśli.

— Nie traciłbym tyle czasu dla jakiegoś tam handlarza końmi, gdybym nie obiecał tego mojemu synowi.

Mike wepchnął rękę w kieszeń kurtki myśliwskiej, by poczuć pod palcami dokumenty.

— Widzę, że mój syn dokonał już wyboru, więc wypisz rachunek, Donohue, a ja ci zapłacę. Wyraźnie jesteś w potrzebie, skoro musisz wykorzystywać córkę do pomocy w stajni.

Przytyk zabolął. Ale słowa prawnika zbyt świeżo dźwięczały jeszcze w uszach Mike'a. Wepchnął dokumenty głębiej w kieszeń, zacisnął dłoń w pięść i walnął nią w szczękę Trauntona Jonathana.

Mężczyzna upadł, wznosząc tuman kurzu.

— Szkoda, że nie jesteśmy już w stajni — powiedział Mike.

— Gryzłbyś wtedy końskie gówno. Nigdy nie odzywaj się do mnie w ten sposób, Langley, bo znajdziesz się po szyję w swoim własnym nawozie.

Czuł w głębi kieszeni dokumenty, które czekały na swój czas. Ale ta chwila należała do niego, potracił nogą mężczyznę ciągle leżącego na ziemi.

— Wstawaj, ty dupku! Jeśli chcesz walczyć, walcz jak mężczyzna, nie leż tak przygnieciony ciężarem swego rodowodu. Wstawaj, głupcze. Twój syn się zbliża. Nie chcę, by jakikol-

wiek chłopiec dowiedział się, że jego ojciec jest głupim, aroganckim skurczybykiem. — Przyglądał się, jak Langley stara się podnieść i odzyskać godność.

— Jeśli potrzebujesz pomocnej ręki, podam ci ją. Nasze dzieci są już prawie tutaj. Nie powinni zobaczyć nas w tej sytuacji.

Wciąż dźwięczał mu w uszach głos prawnika. „Oczywiście, gdyby to był dziedzic. Gdyby dziewczynka miała brata...” A potem głos Jen, która w styczniu sześćdziesiątego roku powiedziała mu: „Poinformuj moją matkę, że zostanie babcią. To będzie dla niej urodzinowy prezent”.

Gdzieś poza tymi głosami pojawił się nikły cień syna Trávisa Jonathana, Jazona, ale tak jakby on już nie miał żadnego znaczenia.

Czas ucieka skacząc na jednej nodze, pomyślała Jenny. Dzień zawsze był dla niej za krótki, a i noc miała za mało godzin.

W Minaby Flat nadchodząca Gwiazdka siedemdziesiątego trzeciego zbiegała się z czwartymi urodzinami Nathana.

Jenny odliczyła sześćdziesiąt koron, które włożyła do juków. Był to rytuał podobny do wycinania przez Ringę karbów na drewnianym totemie. Ringa miała karby — ona pieniądze.

Nathan przyjmował każdą monetę, posłusznie zaciskając ją w garści przed wrzuceniem do juków.

— Poczuj je, naucz się je trzymać — powiedziała mu Jenny. — Nie pozwolę, by mój wnuk dorastał nie wiedząc, co to znaczy trzymać pieniądze w garści.

Jej własne słowa prześladowały ją, nie potrafiła odpędzić od siebie myśli o chłopcu, ciągnącym konia i wóz, którego widziała za ścianą drzew i mgły — i odrzuciła!

Zaniosła juki do stajni Jonathana. Jeden worek dla Nathana. Drugi dla odrzuconego chłopca.

— Jedna korona na urodziny w sześćdziesiątym roku, podwojona w każdym następnym — liczyła. — Za trzynaście lat osiem tysięcy sto dziewięćdziesiąt dwie korony. To czyni dwa tysiące czterdzieści osiem funtów. Powinnam je jeszcze podwoić za zaniedbanie i ulżyć mojemu sumieniu — szeptała, zapinając mocno worek, jakby ciężar, który się w nim znalazł, spadł jej z serca.

Gdy następnym razem odwiedziła Cooma, poszła prosto do stajni, które omijała przez ostatnie sześć miesięcy, to znaczy od dnia, kiedy dowiedziała się, że syn Jen znalazł tutaj pracę

— Masz, chcę żebyś to przechował — zwróciła się do Dave'a, który wyciągnął worek z pieniędzmi z jej dwukółki. — Powiedziano mi, że chłopak stajenny pracujący u ciebie jest synem poszukiwacza złota, który na jakiś czas zatrzymał się w naszej dolinie w latach pięćdziesiątych. Nazywał się Bill Soames. Ponieważ był mieszkańcem doliny, to jest fundusz powierniczy dla jego syna. Nie dla ojca, ani jedna korona! Dla syna!

— Chłopiec nazywa się Ed, to skrót od Edwarda — powiedział Dave cicho, nie patrząc na nią. — Gdybyś przyjechała jakieś trzy miesiące wcześniej, mogłabyś dać mu je sama. Odjechał z powrotem do Kiandry, co nie wróży mu nic dobrego. Wziął przykład ze swego ojca i goni za złotem. Bill Soames uczy go najprostszych sposobów, jak wyciągać je z cudzych kieszeni.

Dave lubi chłopca, pomyślała Jenny, i chciała mu za to podziękować, ale żadne słowo nie wydawało się odpowiednie.

— Jest synem swego ojca — powiedziała pośpiesznie. — Były pogłoski, że złapano go na myszkowaniu po kieszeniach. I słyszałam, że opuścił Cooma. Dlatego tutaj jestem. Gdyby kiedykolwiek wrócił do ciebie, do pracy, Dave, miej na niego oko. Jeśli nie będziesz mógł go trzymać z daleka od kłopotów, przynajmniej zadbaj, by był najedzony.

Dave skinął głową.

— Lepiej, żebym to ja miał na niego oko niż jego ojciec. Jeśli kiedykolwiek tu wróci i potrafi uczyć się na błędach. — Na chwilę podniósł wzrok. — Ostrzeżono go, żeby się trzymał z dala od Cooma przez najbliższych parę lat. Do czasu gdy wyprostuje swoje ścieżki. — Znowu spuścił wzrok na ziemię. — Może zjawi się w przyszłym roku. Ale nie mogę nic obiecać, gdyby zszedł na złą drogę. Jeśli nadal będzie kieszonkowcem, mogą przyłapać go i skazać. Mike nie lubi, jak tacy tu się kręcą.

— Czy Jennifer wie, że jej ojciec był skazańcem? — zapytał William Mike'a obojętnym tonem, jakby prowadził lekką konwersację przy poobiedniej szklaneczce porto. Był początek lipca siedemdziesiątego piątego.

— Nie, podobnie jak nie wie, że jej dziadziś Will jest starym pijaczną.

William roześmiał się.

— Moja szklaneczka do porto już jest pełna. Herbaty, jak zwykle. Nie piję alkoholu, ale nadal lubię poczuć kształt kieliszka w dłoni po posiłku i w czasie odprężającej pogawędki z przyjacielem.

— Czyli w takiej chwili jak teraz?

— Możliwe. Był czas, kiedy planowałem wydanie kolacji, na którą zaprosiłbym wszystkich przedstawicieli wysoko postawionych rodzin. No i oczywiście ciebie. A potem w procesie eliminacji, zadając sprytne pytania, odkryłbym, która z nich jest twoim celem.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Zająłem się innymi sprawami. Głównie Jennifer. Przyglądałem się, jak rośnie. Jak się uczy. Jak zaczyna rozkwitać. W porównaniu z tym wymyślne kolacje wydają się bezcelowe i nużące. — Obracał szklaneczkę z herbatą w dłoniach, aż zaśniło na niej światło. — Poza tym zdałem sobie sprawę, że nie potrzeba takiej intrygi. Wystarczy, jak będę obserwował twoich wysoko urodzonych miłośników koni, których zwabiłeś do swych wspaniałych stajni.

— Możesz popełnić pomyłkę.

— Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Ale głównym tematem naszej dzisiejszej rozmowy będą stajnie, a nie ich goście.

— Nie podobają ci się moje stajnie?

— Wprost przeciwnie. Większość koni, które posiadasz, ma lepszy rodowód niż ja sam. Czysta linia krwi zwierząt była staranniej chroniona niż ludzi. Ale wracając do twoich stajni. Konie mogą oddać ci wielką przysługę jako rodzaj dyplomatów, jeśli umieści się je w odpowiednich kwaterach.

— Większość jest zbyt swawolna jak na służbę w dyplomacji.

— Za to nadają się doskonale do służby wojskowej. Słuchaj mnie uważnie, Michaelu. Spisy, nawet dotyczące przestępców, łatwo gina, co bez wątpienia sam odkryłeś podczas swych licznych szperań po biurach, które je prowadzą. Ale zmazać dane całkowicie najłatwiej jest, zawierając ugodę. Jest to procedura przyswojona przez dżentelmenów i działa na bardzo podobnej zasadzie jak u niższych klas, które, jeśli się nie mylę, mówią o niej „zrób mi dobrze, to i ja tobie dobrze zrobię”.

— Twoja herbata musi być bardzo mocna, Willu.

— A ty grasz o bardzo wysoką stawkę, Michaelu, gdyż jesteś w spisach kryminalistów od dnia, kiedy skończyłeś piętnaście lat. Muszę też dodać, że nie zmieniłeś się w czasie ostatnich lat. Wykazałeś dużo mniejszą wstrzemięźliwość w przygotowywaniu irlandzkiego powstania niż ja w sprawie picia. Pewien jednak jestem, że dla Jennifer dałbyś się zreformować.

— Do czego zmierzasz, Willu?

— Wdaj się w ugodę z pewnym moim znajomym, który jest — tak się akurat składa — wojskowym wysokiej rangi. Podaruj brytyjskiej armii pięćdziesiąt koni jako dowód lojalności dla Korony, w zamian za całkowite zniszczenie twoich akt jako irlandzkiego buntownika.

— I pięćdziesięciu Anglików najedzie na tych koniach na moją ziemię? Nie, dziękuję za propozycję.

— Podczas jednej z twoich częstych nieobecności pozwoliłem sobie zaprosić mojego znajomego, by obejrzał twoje konie. Służy on na północno-zachodnich rubieżach Korony. Indie leżą daleko od Irlandii, Michaelu. — William odstawił szklaneczkę i odsunął ją. — A Jennifer dorośnie już bardzo szybko. Teraz, kiedy królowa ma zamiar udzielać się w świecie, trzeba będzie zastanowić się nad prezentacją Jennifer na dworze. Jeśli ma brać udział w londyńskim sezonie i dalej posuwać się drogą, jaką dla niej zaplanowałeś.

Ponieważ Mike milczał, starzec sięgnął znowu po szklaneczkę do portu, w której była herbata.

— Życie składa się z kompromisów, Michaelu. Nie zapominaj, że uratowałeś mnie właśnie po to, żebym służył interesom twoim i Jennifer. Przyjdzie czas, kiedy ja również zgodzę się na kompromis dla tego dziecka. Nie bez kozery mówiłem o czystej linii krwi. Sądzę, że będę musiał pójść na kompromis w interesie nas obu. I zrobię to. Twój czas przyszedł po prostu trochę wcześniej. Pięćdziesiąt koni dla brytyjskiej armii stacjonującej w Indiach to niewielkie ustępstwo.

— Jestem Irlandczykiem.

— I to jest właśnie przeszkoda, przez którą musi przeskoczyć Jennifer. Jakakolwiek inna krew w niej płynie, jest też częściowo Irlandką. I urodziła się w Kolonii. Podczas londyńskiego sezonu niewiele pokaże się Irlandek, a jeszcze mniej, jeśli w ogóle, Irlandek urodzonych w Koloniach. Są one tam źle widziane od zamachu irlandzkiego buntownika Jamesa O'Farrella na księcia Edynburga w waszym porcie, w Sydney, w sześćdziesiątym ósmym. Jennifer nie będzie musiała pokonywać tej przeszkody ani innych przez ciebie wzniesionych, chyba że powodowany głupią dumą nie zgodzisz się na kompromis.

— Bumerang! — mruknął Mike i roześmiał się. — Czy mogę być pewien, że moje konie trafią do Indii, a nie do Irlandii?

— Sam je tam wyślij.

— Był taki czas, kiedy przysięgałem, że Anglia będzie mi służyć — powiedział Mike. Wpatrywał się przez na wpół odsunięte zasłony w noc i widział przeszłość. Pamiętał przysięgę,

jaką złożył przy grotach Yarrangobilli; pamiętał nocną jazdę dyliżansem firmy Cobb & Co. z Sydney do Melbourne, a potem dalszą drogę do Anglii. Mówił sobie wtedy, że czasem człowiek musi zmienić swe plany i nieraz nawet odnosi z tego korzyści. — Zmieniałem swe plany podczas kilku ostatnich lat więcej niż raz — powiedział. — Ale nigdy nie myślałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy zacznę służyć Anglikom.

— Mój przyjaciel powiedział mi, że pośród najwyższych oficerów służących na północno-zachodnich rubieżach są Irlandczycy.

Mike roześmiał się znowu.

— Jeśli myślałeś, że zachowałeś swą najlepszą kartę dla ostatniej lewy, myliłeś się. Poświęciłbym wszystko, co posiadam i co dla mnie drogie, dla Jennifer, i ty to wiesz. Jest tylko jedna osoba na tej bożej ziemi, którą mocniej kocham.

— Nie wątpię. Dlatego właśnie zaaranżowałem twoje spotkanie z moim indyjskim przyjacielem w sobotę po wojskowej paradzie połączonej z capstrzykiem. Ta uroczystość może spodobać się Jennifer. Może również zatrzeć wspomnienie nie najprzyjemniejszego pierwszego twojego spotkania z armią brytyjską.

— Ty stary lisie.

18.

Trzeciego lipca 1875 roku Jenny zapisała w swoim dzienniku: „Dzisiaj nic się nie wydarzyło”.

Ponad dwa tysiące mil na północ, w Kolonii Queensland, Jen przyglądała się, jak jej mąż Bill i jego nowy wspólnik Paddy rozbijają obóz na kolejnych złotych polach. Przyszłość zaczyna nabierać jasnych barw, pomyślała. Nigdy nie pozwalała sobie wracać myślą w przeszłość.

Godzinę później, kawał drogi na południe, w Cooma, jej syn Ed został zaaresztowany za kradzież. Stało się to o szóstej po południu.

W Anglii była ósma rano tego samego dnia. Nie znana jej córka Jennifer została obudzona przez panią Fogarty, która przypomniała młodej damie, że musi się pośpieszyć, jeśli ma zdążyć ubrać się na czas. Ojciec i dziadek Will jedzą już śniadanie, dodała, a chłopcy stajenni przygotowali powóz, który miał ich zawieźć do Aldershot w Hampshire.

Porucznik Trevor Jonathan opuścił towarzystwo kolegów oficerów, gdy tylko parada się skończyła i dano im wolny czas. Podszedł do czteroosobowej grupy stojącej w cieniu dużego namiotu. Ukłonił się i zaszalutował. Starszy rangą oficer armii stacjonującej w Indiach oddał mu salut, Mike skłonił się lekko, William Hart uśmiechnął, a Jennifer zaczerwieniła.

— Wydaje mi się, że spotkałeś już porucznika Jonathana, Michaelu. Jennifer, czy mogę przedstawić ci porucznika Trevora Jonathana? Trevor, mam przyjemność przedstawić ci pani Donohue, którą być może spotkałeś już wcześniej.

— Pamiętam, że poznaliśmy się kilka lat temu — powiedziała Jennifer. — Jak się pan miewa, poruczniku Jonathan? I jak miewa się Dumna Dama?

— Nadal jest bardzo dumna i nie bez powodu — odparł Trevor Jonathan, uśmiechając się szeroko. Odwrócił się do Mike'a. — Czy mógłbym eskortować pannę Donohue na capstrzyk, sir?

— Znakomity pomysł — wtrącił się William, zanim Mike zdążył cokolwiek powiedzieć.

— Co to właściwie jest capstrzyk? I niech się pan nie śmieje z mojej niewiedzy — powiedziała Jennifer, wspominając, jak chichotał na jej widok cztery lata wcześniej.

— To sygnał wygrywany na trąbce lub rogu myśliwskim co wieczór o dziewiątej trzydzieści. Ale dzisiejsza uroczystość w garnizonie Aldershot będzie wyglądać zupełnie inaczej. Zobaczy pani występ zespołu pułkowego. — Ton jego głosu jakby się zmienił. — Mamy nadzieję, że pewnego dnia będzie to oznaczało coś więcej. Zespół będzie mógł oczywiście nadal

grać, ale przy tym chcielibyśmy zrobić paradę koni, pokaz musztry... Ale na to trzeba jeszcze długo czekać. A poza tym nigdy się z pani nie śmiałem. Z panią, ale nie z pani. Zbyt łatwo się śmieję, ojciec często podkreśla, że to jedna z moich poważniejszych wad.

— Mimo wszystko wyrósł pan na dżentelmena, a to powinno go cieszyć.

— Ma pani bardzo dobrą pamięć — powiedział Trevor Jonathan.

Jennifer poczerwieniała znowu.

— Często myślałam o Dumnej Damie.

— Ja również nigdy nie zapomniałem Dzikiej Damy.

W niecałe dwanaście tygodni później, na dzień przed szesnastymi urodzinami Jennifer, Trevor Jonathan pojawił się w pałacu Berkshire prosząc, by przyjął go pan Donohue w sprawie szczególnego znaczenia.

Kiedy Mike wkroczył do palarni, młody człowiek spacerował po niej nerwowo. Na widok Mike'a stanął na baczność.

— Wiem, że moje słowa są przedwczesne, sir. Ukończę dwadzieścia jeden lat dopiero w przyszłym miesiącu, a do tego czasu mój pułk może zostać odesłany, tak że nie będę mógł brać udziału w londyńskim sezonie.

— Wielcy święci Irlandii! O czym pan w ogóle mówi? Powiedziano mi, że chce się pan ze mną spotkać w sprawie wielkiej wagi.

— Tak jest, sir. Chodzi o Jennifer, sir.

Twarz Mike'a pobladła.

— Mój Boże. Co z nią?

— Od chwili naszego ponownego spotkania pisujemy do siebie, sir. W ostatnim liście powiadomiła mnie, że po jej szesnastych urodzinach, które wypadają pojutrze, zostanie zaprezentowana na dworze i weźmie udział w londyńskim sezonie. A mnie może tutaj nie być, sir. — Młody człowiek starał się mówić spokojnie. — Zupełnie inaczej sobie to zaplanowałem. Przyjechałem tutaj, by poprosić pana o rękę pańskiej córki. Mam nadzieję, że pozwoli nam pan się zaręczyć, zanim ukończę dwadzieścia jeden lat.

Mike wpatrywał się w młodego mężczyznę.

— Ona miałaby wyjść za pana za męża? — słysząc własny głos, zastanawiał się, na które słowo położył większy nacisk.

— No cóż, tak, sir. Za mnie. — Trevor Jonathan wyprostował się. — Nie chcę jej stracić, sir, a sam pan wie, jaki jest karnawał londyński.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to wcale nie wiem. Lepiej niech mi pan opowie.

— Młodzi ludzie nazywają go targiem narzeczonych. Nie chcę stracić Jennifer. A od debutantek oczekuje się, że zaręczą się przed końcem karnawału.

— Napije się pan? — zapytał Mike. — Drink dobrze by mi zrobił, a jak sędzę, panu również.

— Dziękuję, sir.

— I proszę usiąść. Kiedy na pana patrzę, staję się równie zdenerwowany jak pan.

— Dziękuję, sir.

— Proszę mi nie dziękować. Poza drinkiem nic jeszcze panu nie oferowałem. — Wręczył młodemu człowiekowi kieliszek brandy, pokazał mu krzesło i sam też usiadł. — Ona jutro kończy dopiero szesnaście lat. Jest za młoda, by wychodzić za męż. Za kogokolwiek.

— Oczywiście, sir. Długi okres narzeczeństwa jest jak najbardziej właściwy.

Mike roześmiał się.

— Chce pan jej założyć cugle, prawda? A czy Jennifer wiedziała, że zamierza pan do mnie przyjść z tą propozycją?

— No cóż, sir, tak. Wiedziała, że mam zamiar wkrótce pana o to poprosić. Nie wiedziała, że odbędzie się to dzisiaj. Ponieważ nie planowałem tego. Po prostu przyjechałem, gdy tylko dowiedziałem się, że mój pluton i jeszcze drugi z mojej kompanii mogą wkrótce otrzymać rozkaz wymarszu.

— Muszę mieć czas, żeby się nad tym zastanowić, Jonathanie — Mike spojrzał na młodego człowieka. — Chyba lepiej będzie, jak zacznę się przyzwyczajać nazywać cię Trevorem.

— Tak, sir. Oczywiście. Ile czasu, sir? Obawiam się, że wkrótce wyruszamy.

— Jeśli reszta brytyjskiej armii jest równie prędką jak ty, to nie potrzebuje chyba wcale koni.

— Sędzę, że rozumie pan moją niecierpliwość, sir.

— O, tak. Niewątpliwie. — Mike na chwilę odpłynął gdzieś myślami, potem spojrzał ostro na chłopaka. — Czy rozmawiałeś na ten temat ze swoim ojcem?

— Tak, sir. Rozmawiałem z nim wkrótce po moim powtórnyim spotkaniu z Jennifer. I rozmawiałem z nim raz jeszcze przed przyjazdem tutaj. — Trevor Jonathan zawahał się. — Wydaje mi się, że on ma podobne odczucia jak pan, że oboje jesteśmy za młodzi. Ale oczywiście wie również, że w przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia jeden lat. Naturalnie nawet

kiedy będę pełnoletni, nie zamierzam odrzucać rad ojca. Mam obowiązki w stosunku do niego i do rodziny.

A niech to, lubię tego chłopca — pomyślał Mike, czując pod palcami dokumenty, które trzymał jak zawsze w kieszeni kurtki myśliwskiej.

— Być może twój ojciec również potrzebuje czasu, żeby się nad tym zastanowić. Ma jeszcze miesiąc, nim dojdiesz do pełnoletności.

Młody człowiek wyraźnie szukał odpowiednich słów.

— Dla mnie obowiązki są bardzo ważne, sir. To część kodeksu honorowego. Obowiązek w stosunku do mojego pułku, do mojej rodziny. A moja rodzina nie jest taka zwyczajna. To oznacza poważniejsze obowiązki. W takich rodzinach często aranżuje się małżeństwa dla synów i córek. Jednakże ja wiem, że nie ożenię się z żadną inną, tylko z Jennifer. To nie ma nic wspólnego z wiekiem. Myślę, że można by to nazwać instynktem, sir. Poza nią żadna inna się nie liczy. Jest to dla mnie równie oczywiste jak fakt, że nazywam się Jonathan.

— Tak się niekiedy zdarza, jeśli mężczyzna spotyka odpowiednią kobietę.

Młody porucznik siedział w milczeniu. Wydawał się uspokojony, chociaż wciąż napięty.

Mike spoglądał na niego i myślał o Langley. Przy wszystkich intrygach mających zapewnić Jennifer dom, tego rozwiązania nigdy nie brał pod uwagę.

— Moje uczucia nie są tutaj ważne. Ani twego ojca, ani twojej rodziny. Ważne jest to, co czujecie ty i Jennifer — powiedział wreszcie. — Jeśli już wcześniej ją o to prosiłeś, a najwyraźniej tak jest, to decyzja należy do was dwojga.

Trevor Jonathan skoczył na równe nogi.

— Z jednym zastrzeżeniem — zdążył wykrzyknąć Mike. — Co najmniej rok narzeczeństwa.

Gdy chłopak wybiegł poszukać Jennifer, pokój wydawał się nadal pełen jego niecierpliwości. Mike czuł ją w samym sobie. A wraz z nią nowy rodzaj samotności, jakby wszystkie te lata czekania na Jenny skumulowały się w tym momencie.

Podczas lat rozłąki kilkanaście razy zasiadał, by pisać do niej list, ale żadnego nie skończył i nie wysłał. Zdobył się tylko na kartki z kilkoma słowami na odwrocie. Nigdy nie napisał jej tego wszystkiego, co pragnął jej powiedzieć. Zbyt wiele spraw musiałby przemilczeć. I nadal tak było. Mógł je tylko powiedzieć, gdyby Jenny stała z nim twarzą w twarz.

Ale teraz nadszedł czas na list, po prostu jako ujście pragnienia jej bliskości. Poza tym teraz już istniały słowa, które mógł jej napisać. Sięgał po papier, kiedy Jennifer wpadła do pokoju.

— Och, tato, zawsze mi mówiłeś, że mam się niczego nie bać, ale prawie obawiałam się, że powiesz nie, a przynajmniej jeszcze nie.

— Czy kiedykolwiek odmówiłem ci czegoś, koteczku?

— Muszę napisać do ojca O'Reilly'ego i powiedzieć mu, że miał rację.

— W jakiej sprawie?

— Pisałam mu wszystko o Trevorze. Obiecałam, że zrobię to, kiedy pojawi się właściwy mężczyzna. Odpisał, że ktoś o tak mile brzmiącym imieniu jak Trevor na pewno otrzyma twoje błogosławieństwo.

— Tak napisał?

Mike uznał, że list do Jenny może wysłać z Londynu, i odłożył papier, uśmiechając się do stojącej przed nim dziewczyny.

„Najdroższa Jenny... Tyle lat czekałem, by napisać ten list. Lata planów i nadziei, oczekiwania na wypełnienie zadań, które oboje postawiliśmy przed sobą. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy...”

— Panie Donohue.

Mike odwrócił się w stronę odźwiernego, który odnalazł go w bawialni Boodle.

— Przepraszam, że przeszkadzam, sir. Jakiś irlandzki dżentelmen, pan O'Donovan, chce z panem rozmawiać.

— Powiedziałeś O'Donovan?

— Tak, proszę pana. Myślę, że to irlandzki dżentelmen z Ameryki, sir.

Mike spojrział na dopiero co rozpoczęty list.

— Powiedz, że już do niego idę.

Powoli porwał papier listowy na wąskie paski i wrzucił je do kosza. Przypomniawszy sobie poranek, kiedy stojąc na łodzi w zatoce Galway patrzył w twarz irlandzkiego Amerykanina. Jak się nazywasz, zapytał go wtedy. O'Donovan.

Nawet po ośmiu latach rozpoznał tego mężczyznę, kiedy ten wkroczył do poczekalni.

— Nie było cię łatwo znaleźć, Donohue, więc mam nadzieję, że warto było tracić na to czas.

Mike przytaknął, oczekując na przypomnienie, że nie ma bezpiecznego miejsca dla Irlandczyka, który złożył przysięgę Fenian i potraktował ją zbyt lekko — nawet jeśli składał ją, mając mocno w czubie.

— Masz przyjaciela, który nazywa się Patrick O'Reilly? — zapytał O'Donovan.

— Niejednemu psu Burek — Mike zastosował unik, zaskoczony pytaniem.

— Ten jest księdzem.

— Znałem Pata O'Reilly'ego, kiedy byłem chłopcem. Jeśli to jeden i ten sam, co u niego słychać?

— Pewnie niewiele więcej, niż sam wiesz. Rozmawiałem ze starym opatem, który twierdzi, że korespondowałeś z ojcem O'Reilly'm i dlatego być może potrafisz mi pomóc. — Amerykanin uśmiechnął się. — Starego opata zawodzi pamięć. Nie umiał powiedzieć mi nic więcej na twój temat i bardzo niewiele o ojcu O'Reilly'm.

— Pata O'Reilly'ego nie było w klasztorze?

— Stary opat powiedział, że wiele podróżuje.

— Dlaczego ja miałbym powiedzieć ci więcej niż opat?

— Nie musisz mi nic mówić. Chcę tylko, byś przekazał wiadomość ojcu O'Reilly'emu.

Mieszka w domu Bractwa w Belfaście.

— To dziwne miejsce jak dla księdza.

— Nawet członkowie Bractwa potrzebują księdza. Może nawet bardziej niż inni.

— Czy ty jesteś członkiem Bractwa?

— Kilka lat temu zostałem członkiem amerykańskiego Clan na Gael. — O'Donovan uśmiechnął się. — Czasy się zmieniają i nawet niektórzy Irlandczycy zmieniają się wraz z nimi. Może Amerykanom przychodzi to łatwiej. Musimy się szybciej dostosowywać. Nauczyliśmy się akceptować zmiany... i zapoczątkowywać je. — Uśmiech nie zniknął mu z twarzy. — Ta zasada dotyczy wszystkich kolonialistów. Z twarzy Mike'a nie dało się nic odczytać.

— Jaką wiadomość miałbym przekazać w Belfaście? I dlaczego? Czy dzieje się coś, o czym Irlandczyk z Kolonii mieszkający w Anglii nie ma pojęcia? Może powinieneś mi powiedzieć nieco więcej o irlandzko-amerykańskiej działalności, która przywiodła cię tu w poszukiwaniu Pata O'Reilly'ego i mnie.

— Jak daleko w przeszłość chcesz się cofnąć? Może do sześćdziesiątego siódmego? — O'Donovan był ciągle uśmiechnięty. — Niewielu Irlandczyków mieszkających w Anglii nie wie o upadku powstania i aresztowaniach Fenian w sześćdziesiątym siódmym. Ale o bardziej znaczących wydarzeniach, które nastąpiły w tym samym roku po drugiej stronie Atlantyku? — Potrząsnął głową. — Nawet amerykańscy Irlandczycy nie zrozumieli dobrze sytuacji, lecz oni przyglądali się jej tylko z jednej strony. Wątpię, czy kiedykolwiek zrozumieją, co się stało. Może lepiej spuścić na to zasłonę milczenia, ale to nie jest odpowiedź na twoje pytanie. Przez całe lata amerykańscy Irlandczycy byli rekrutowani i szkoleni jako siły zbrojne przeciwko Anglikom. Jednak ludzie, którzy ich wybierali i szkolili, nie byli irlandzkimi Amerykanami, choć się za nich podawali. I nie trenowali ich w celu wykorzystania dla irlandzkiej Sprawy. Byli to oficerowie amerykańscy, którzy mieli własne zamiary: stworzenie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Walki toczyły się najpierw na Południu, a potem na Północy, gdzie Anglicy mieli swoje niezależne Kolonie. Przyłączenie ich do macierzy stało się pierwszym celem amerykańskich Fenian.

O'Donovan zamilkł. Coś zmieniło się w jego twarzy. Kiedy odezwał się znowu, w jego głosie słychać było celtycki zaśpiew.

— Z amerykańską zorganizowaną armią za plecami i pobudzani pragnieniem walki z odwiecznym wrogiem, ci irlandzcy Amerykanie stali się znakomitą armią. Po raz pierwszy zostali wyszkoleni tak, że mogli działać jako regularna jednostka wojskowa. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej i nigdy już pewnie nie zdarzy. Ale był to widok, który można na zawsze zachować w sercu.

Mike przysłuchiwał się Amerykaninowi w milczeniu, powstrzymując się od wszelkiego komentarza.

— Oczywiście Fenianie byli tajną armią — mówił dalej O'Donovan. — A przynajmniej na tyle sekretną, na ile może być armia Irlandczyków. Rozgrzewana nienawiścią broń wymierzona przez Amerykanów w Anglików. Ale podczas gdy armia Fenian była sekretna, jankeskie armie z Północy działały jawnie. Po wygraniu wojny domowej Jankesi stali się dla Brytyjczyków oczywistym zagrożeniem. — Urwał zamyślony. — Jak sami zbyt dobrze wiemy, Anglicy nie odwracają się plecami w czasie bitwy. Z radością szukają okazji do wykrawawienia swych oddziałów. Wydaje mi się nawet, że wypatrywali z radością okazji do walki z Amerykanami. Jeśli tak, to bardzo prawdopodobne jest, że taką konfrontację powstrzymały amerykańskie kobiety, dzieci oraz rodziny farmerskie szukające nowych terenów. Wciąż zwiększająca się liczba

amerykańskich osadników przemieszczała się na północ z okolic Minnesoty i ich obecność groziła aneksją tych ziem przez Stany Zjednoczone. Może się mylę, ale wydaje mi się, że właśnie to popchnęło Anglików do szybkiego działania — i to raczej politycznego niż zbrojnego. Jak zapewne wiesz, na początku 1867 roku w Westminsterze przeszedł akt w sprawie brytyjskiego dominium w Ameryce Północnej i w lipcu tego samego roku powstała Kanada.

O'Donovan patrzył pytająco na Mike'a, który jednak nadal zachowywał milczenie.

— Prosiłeś, bym ci opowiedział o działalności irlandzko-amerykańskiej, która mnie tutaj przywiodła — rzekł amerykański Irlandczyk, uśmiechając się szeroko. — Na razie omówiłem podstawowe sprawy. Ale zaraz dojdę do sedna. Chociaż Fenianom zabrakło trochę czasu zrozumienie nowej sytuacji, odkryli, że przyszedł ich koniec w Ameryce, kiedy w sześćdziesiątym siódmym amerykańscy wojskowi stwierdzili, iż ich usługi nie są już dłużej potrzebne. Liczba Fenian zmniejszyła się do kilkuset mężczyzn z generałem na czele. W 1870 roku niedobitki w sile dwustu Fenian prowadzonych przez generała O'Neill'a wymaszerowały z Vermont i przekroczyły granicę kanadyjską, mając ciągle nadzieję na walkę z Anglikami. A może po prostu chcieli przeżyć swój długo oczekiwany dzień chwały. Wojsko kanadyjskie zostało ostrzeżone i czekało. — Potrząsnął głową. — Podobnie jak to było z Anglikami w sześćdziesiątym piątym. Tak czy siak amerykańsko-irlandzkich Fenian odepchnięto z powrotem na teren Stanów Zjednoczonych, gdzie zostali wzięci do niewoli przez oddziały pod dowództwem generała Meade.

— A co z Clan na Gael? — zapytał Mike. O'Donovan znowu potrząsnął głową.

— Niektórzy z przywódców Clan na Gael byli świadomi podstępu Amerykanów z sześćdziesiątego pierwszego, ale również ich celom służyło wyszkolenie armii Fenian, gdyż mogli w ten sposób dowieść, jak ważna jest akcja militarna w walce o Irlandię. I to wreszcie doprowadza mnie tą okrężną drogą do celu. Clan na Gael podzielił się na dwie frakcje, polityczną i wojskową, gdzie ta pierwsza nastawia się raczej na działania zakulisowe niż insurekcję.

O'Donovan zawahał się, patrząc badawczo na Mike'a.

— Frakcja wojskowa obejmuje resztkę wytrenowanych Fenian i nowych poborowych, których obecnie szkoli. Może również pierwszych wyszkolonych ochotników irlandzkich. I bardziej niebezpieczne elementy. Spomiędzy wojskowych wyłaniają się teraz grupy terrorystyczne. — Znowu zamilkł na chwilę. — Mam powody wierzyć, że ty skłaniasz się ku rozwiązaniom politycznym. Twój przyjaciel Patrick O'Reilly jest teraz w grupie wojskowej. I niezależnie czy zdaje sobie sprawę z tego, czy nie, ludzie, których popiera obecnie, są terrorystami. Sądzymy, że do samego O'Reilly'ego można jeszcze dotrzeć.

— Czy właśnie tę wiadomość mam mu zawieźć do Belfastu? O'Donovan przyjrzał się jeszcze raz Mike'owi, zanim odpowiedział:

— Zasady działania frakcji politycznej nie będą satysfakcjonowały wojskowych, którzy są antyparlamentarni. Każdy, kto ma związki z politykami, będzie tam traktowany jak wróg. Sam sobie najlepiej z tego zdajesz sprawę. Wojskowi planują zamieszki w Belfaście, a to nie leży w obecnym interesie Irlandii. Jakiegokolwiek wybierzesz słowa, to jest właśnie ta wiadomość. A ty zostałeś wybrany do jej przekazania, ponieważ oni mogą posłuchać Patricka O'Reilly'ego, a on może wysłuchać ciebie. Tak jak powiedziałem, znalezienie twojej osoby zabrało nam trochę czasu. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie jest już za późno.

— Zawiozę wiadomość — zgodził się Mike. — I jeszcze jedną ode mnie. Powiem Patowi O'Reilly'emu, by wracał do swego klasztoru, zanim da się zabić.

— Jeśli obchodzi cię jego bezpieczeństwo, nie zapominaj, że sam się narażasz, wybierając się do Belfastu.

— Dla mnie ryzyko to nie nowina — powiedział Mike. — Podobnie jak zasadzki.

— Jeśli wpadniesz w pułapkę, to wiedz, że nie ja ją zastawiłem. Ani ludzie, których reprezentuję.

Amerikanin rozejrzał się po recepcji klubu Boodle. Uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Wątpię, byś w tym miejscu nosił marynarską czapkę — powiedział. — To dziwne miejsce dla Irlandczyka, cokolwiek by miał na sobie.

— Dobrze służy moim celom — powiedział Mike, uśmiechając się wreszcie. — I przypuszczam, że chcesz mi powiedzieć, czemu służy twoim.

— Można powiedzieć, że odrobina inicjatywy nie zaszkodzi w tej awanturze. Co przypomina mi o pewnej sprawie. Mam również własną wiadomość dla posłańca jadącego do Belfastu. Kilka lat temu był sobie pewien Irlandczyk, czasowy członek Bractwa, który przewiózł do Irlandii całkiem sporo amerykańskiego złota od Clan na Gael. Ów człowiek nie dzieląc się z Bractwem, przekazał je ludziom celującym do Westminsteru. Ostatnio nie słyszałem, by ktoś wymieniał jego nazwisko. Ponieważ czasy się zmieniły, jeden czy dwóch ze starszych dowódców Clan na Gael chciałby podziękować za tę inicjatywę. — Uśmiechnął się znowu. — Myślałem, że to cię może zainteresować.

— Interesuje — powiedział Mike. — Jest to Irlandczyk, któremu brakowało ojczyzny, a skazany był na życie na obczyźnie.

— W oczach niektórych z Bractwa nadal jest wygnańcem, tyle tylko, że znając jego twarz, nie znają nazwiska. Ale jeden ksiądz zna i jedno, i drugie. Patrick O'Reilly jest dzisiaj bardziej członkiem Bractwa niż kościoła. Lepiej, żebyś o tym pamiętał.

— Przyjaźń ma głębokie korzenie — powiedział Mike.

— I czasami krótką pamięć. Nie licz za bardzo na nią. Ale wierzymy, że ci się uda. Jesteś naszą nadzieją. Lecz dużo ryzykujesz, jeśli liczysz na więzy starej przyjaźni.

Mike uśmiechnął się.

— Na cóż więcej mogę liczyć?

O'Donovan spoglądał zamyślony.

— Być może na pewne nazwisko. Wątpię, byś ty je znał, ale oni mogą. A jeśli znajdziesz się w trudnej sytuacji, posłuż ci za most. Będzie drogą wyjścia. Nazwisko Johna Devoya. To człowiek, który wysuwa się na czoło w Clan na Gael. Niestety. On optuje za połączeniem akcji politycznej i rewolucyjnej.

— Czasy musiały się zmienić, jeśli da się zdobyć przychylność Bractwa, wymieniając nazwisko.

— Najlepiej ci może posłużyć nazwa, którą on wymyślił. Według Johna Devoya Bractwo staje się Irlandzką Armią Republikańską. W skrócie IRA.

Mike najpierw udał się do Berkshire. Świadomość, że wraca do Irlandii, dodawała mu skrzydeł.

— Muszę na trochę wyjechać — powiedział do Jennifer, unikając uważnego wzroku Williama.

Córka, choć przyzwyczajona do jego nieobecności, wybuchnęła niespodziewanym płaczem.

— Trevor też napisał, że wyjeżdża. Wysyłają go do Belfastu.

— Kiedy? — Głos Mike'a zabrzmiał ostro nawet w jego własnych uszach.

— List przyszedł wczoraj — powiedział niedbale William. Roześmiał się lekko. — Wysyłają ich na biwak. To takie wyrażenie wojskowe określające wycieczkę, podczas której młodzi żołnierze mogą przespać się pod gwiazdami, śniąc o ładnych dziewczętach wyczekujących ich powrotu.

Mike spojrział ponad Jennifer prosto w pytające oczy starca. Zdał sobie sprawę, że już nie traktuje go jak wroga.

— Uważaj na nią — powiedział.

Belfast zmienił się, pomyślał Mike. Nie był tym odległym miasteczkiem, na które patrzył z wyżyn klasztoru. Teraz widział je oczami Pata O'Reilly'ego, który już wtedy przewidział przyszłość. To było wiktoriańskie miasto w Irlandii, starożytna celtyckość zniknęła pod naporem angielskiej rewolucji przemysłowej.

Dom stał pośrodku spadzistej, wyludnionej uliczki — Mike'owi wydała się nienaturalnie opustoszała.

Pierwsze ostrzeżenie przyszło w postaci znanego głosu: głosu Pata O'Reilly'ego.

— Uciekać! To pułapka.

Przez krótki moment Mike myślał, że ksiądz woła do niego. Potem zobaczył ruch zasłony na piętrze domu, do którego się kierował. Rozbłysło światło, jasna smuga dotknęła chodnika po drugiej stronie ulicy, ukazując stojących tam pod bronią angielskich żołnierzy.

Przez otwory w dachu mężczyźni w milczeniu wyczołgali się na zewnątrz. Oni również byli uzbrojeni.

Mike usłyszał głos angielskiego oficera, który wykrzykiwał rozkazy. A potem jeszcze jeden głos. Tym razem znajomy. Głos Trevora Jonathana.

Mike widział mężczyzn na dachu, pochowanych za kominami, mierzących z karabinów w dół.

Zobaczył Pata O'Reilly'ego, który wybiegł na ulicę, krzycząc do angielskich żołnierzy:

— Nie strzelajcie! Nie zabijajcie! Dość rozlewu krwi!

Mike czuł, jak nogi go niosą biegiem. Słyszał swój własny głos:

— Uważaj, Jonathanie! Są na dachach.

Był taki moment, ułamek chwili, gdy Pat O'Reilly spojrzał na niego. Obejrzał się, ponieważ rozpoznał jego głos.

Mike'owi wydawało się, że biegną ku sobie przez wszystkie lata przyjaźni.

Trevor Jonathan rozkazał swoim ludziom ukryć się w podcieniach, a sam pozostał na miejscu, osłaniając ich.

Słyszając hałasy dobiegające z dołu, mężczyźni na dachu zaczęli się rozpraszać, ale jeden przyczajony za kominem wycelował i zaczął strzelać.

Trevor Jonathan upadł i w tej samej chwili pojawił się Pat O'Reilly zasłaniając go własnym ciałem. Kiedy dobiegł do nich Mike, ksiądz uśmiechnął się.

— Mam pod sobą żywe ciało, ale o mały włos stałoby się martwe tak, jak niebawem będzie moje. Kiedy usłyszałem nazwisko, które wykrzyczałeś, domyśliłem się reszty. Powiedz

naszej Jennifer, że dostała go ode mnie w prezencie, a muszę przyznać, że jak na Irlandczyka jest to dziwny prezent.

Mężczyźni na dachu poznikali. Angielski żołnierz wołał o pomoc lekarską dla oficera i księdza, który go ochronił.

— Posłuchaj ich tylko — mruknął Pat O'Reilly. — Już nigdy nie będę mógł podnieść głowy w Irlandii.

— Nic nie mów, Pat.

— To nie moje organy mowy są uszkodzone, tylko zupełnie inne, a mam parę rzeczy do powiedzenia.

Pielęgniarze położyli Trevora na nosze, delikatnie przesuając księdza na bok.

— Czy Jonathan jest poważnie zraniony? — pytał niespokojnie Mike, zerkając na nieprzytomnego młodego oficera.

— Ma tylko postrzeloną rękę i lekko obtartą głowę — powiedział sanitariusz, spoglądając ciekawie na Mike'a. Ukłąkł koło Pata O'Reilly'ego i sprawdzał jego obrażenia.

— Najpierw musimy się zająć księdzem.

— Nie pozwól im mnie stąd zabrać, Mike.

Jego przyjaciel odwrócił się w stronę ciemnego domu i zawołał.

— Niech ktoś przyniesie koce i zawoła doktora do księdza. Szybko!

Plama jasnego światła rozerwała ciemność, rzucając przed siebie smugę, gdy ktoś otworzył drzwi. Pojawiła się kobieta z kocami.

— Wysłałam chłopaka, żeby przyprowadził lekarza — szepnęła, przykrywając Pata O'Reilly'ego kocem i wkładając mu poduszkę pod głowę. Wskazała na nosze. — Możemy położyć ojca na tym i przenieść go do domu.

— Musimy przeszukać wszystkie domy — powiedział młody sierżant, który przejął dowodzenie.

— Przeszukujcie i bądźcie potępieni — powiedział gniewnie Mike.

— Tylko zostawcie jednego z ludzi, żeby pomógł mi przenieść księdza.

Podszedł młody sanitariusz, nie zważając na sierżanta i nie czekając na jego rozkaz. Kiedy znaleźli się już w domu, ułożył księdza na łóżku, oczyścił i przemył rany, po czym zwrócił się do Mike'a.

— Nic więcej nie mogę zrobić. Jeśli przyjdzie lekarz...

— Nie przyjdzie, póki są tu Anglicy — odezwała się kobieta.

Angielski sanitariusz skinął głową.

— W takim razie lepiej, żebym sobie poszedł. — Rozejrzał się wokoło, spotkał wyzywającą spojrzenie kobiety i wtedy spuścił wzrok.

— Już idę.

— Dziękuję za pomoc — powiedział Mike — zajmij się waszym oficerem.

Sanitariusz przez chwilę przyglądał się twarzy Mike'a, jakby chcąc ją zapamiętać, potem skinął głową i wyszedł.

— Nie pozwól mi usnąć, Mike — powiedział Pat słabym głosem. — Mogę się nigdy nie obudzić.

— Zachowaj siłę, Pat. Nie próbuj mówić. Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu.

— Zbyt mało! — zraniony mężczyzna podciągnął się na poduszkach. — Kiedy byłem księdzem, skarżyłem się na gadatliwość umierających Irlandczyków, którzy nie pozostawiali chwili ciszy na udzielenie im ostatniego sakramentu. Ale teraz, gdy stałem się jednym z nich, rozumiem to. Tyle jest rzeczy, które człowiek chce powiedzieć, kiedy kończy mu się jego czas.

— Kobieta kazała chłopcu przyprowadzić z lekarzem także księdza — powiedział mu Mike — tak że nie martw się o ostatnie namaszczenie.

Pat roześmiał się, a potem odkaszlnął.

— Powinni mi przeczytać ustawę o buntownikach, a nie modlitwy ostatniego namaszczenia. Wystarczająco wielu ludzi namaściłem w swoim czasie, by dość oleju spłynęło na mnie, ale nigdy nie słuchałem ostrzeżeń o grożącym niebezpieczeństwie. Ponieważ chciałem ci dorównać.

— Ojciec Flanagan powtarzał, że mam na ciebie zły wpływ. Jeszcze gdy byliśmy chłopcami w Connemarze. Nie mylił się, prawda?

— Żaden ksiądz nigdy nie mówił tak mądrze. Kiedyś powiedział do mnie tak: „Pat, mój chłopcze, nie wiem, który z was skończy jako ksiądz, a który jako buntownik, ale przeczuwam, że obaj z Michaeliem macie wiele wspólnego”. I nie mylił się, Mike. W tobie jest wiele z księdza, niezależnie, czy potrafisz się do tego przyznać, czy nie. A we mnie jest dużo z buntownika, niech Bóg mi wybaczy. — Odkaszlnął jeszcze raz, na jego wargach pojawiły się pęcherzyki śliny zabarwione krwią. — Chciałem i ja tego popróbować, Mike. Irlandczyk nie może umrzeć, dopóki nie spróbuje postawić na swoim.

Mike podniósł się i wyszedł na korytarz.

— Gdzie jest ten lekarz?

W drzwiach kuchni pojawiła się kobieta.

— Nie przyjdzie, bo na mieście są ciągle Anglicy. To stary człowiek, i siedział kiedyś w ich więzieniu. — Przygasila światło lampy i wyjrzała przez okno na zewnątrz. — Żołnierze odchodzą. Wkrótce tu będzie.

Mike wrócił do niewielkiej sypialni. Oczy księdza były zamknięte. Teraz z wysiłkiem je otworzył.

— Nie powinieneś był mnie opuszczać, Mike. O mało nie zasnąłem. Jeszcze chwila i już bym odszedł na zawsze, a mam ci tak dużo do powiedzenia.

— Nagadałeś wystarczająco wiele, Pat. Między nami nie potrzeba słów.

— Jest jednak coś, co powinieneś wiedzieć. Myślę, że to ważne. Coś, co wydarzyło się dawno temu. — Przez chwilę wyglądał, jakby usypiał, lecz zaraz otworzył oczy. — Pamiętam to tak, jakby się wydarzyło wczoraj. Kiedy byliśmy chłopcami i ciebie zabrali. Ojciec Flanagan mógł poręczyć tylko za jednego z nas, poręczył za mnie, nie za ciebie. I ciebie zabrali. Zawieźli cię do Kolonii. Zamiast mnie.

— To nieważne, Pat.

— Dla ojca Flanaganego było ważne. Zanim umarł, kazał mi przyrzec, że cię odnajdę i powiem, czemu poręczył tylko za mnie. Zapomniałem to zrobić. Nie powinno się zapominać o obietnicach.

— Idzie lekarz — do pokoju weszła kobieta. Spojrzała na leżącego mężczyznę. — Chłopiec wezwał tylko lekarza. Ja sama pójdę po księdza.

— Mike, czy mnie słuchasz?

— Tak, Pat.

— Ojciec Flanagan powiedział, że byłeś silniejszy ode mnie. Uważał, że mnie bardziej niż tobie potrzebna będzie dyscyplina kościelna. Że ty sam pewnego dnia nauczysz się dyscypliny. I dlatego właśnie poręczył za mnie, a nie za ciebie. Sądził, że ty nie byłeś tak pełen nienawiści jak ja. Tylko pełen gniewu. — Głos księdza stał się prawie niesłyszalny. — Wściekłość pochodzi od życia, a zemsta jest śmiercią i potępieniem, ostrzegął mnie. — Pat zamknął oczy, potem nagle otworzył je szeroko. Jego wzrok był pełen lęku. — Moim przeznaczeniem jest piekło, Mike. A ja chciałbym zobaczyć znowu ojca Flanaganego i powiedzieć mu, że miał rację.

— Przez jakiś czas jeszcze nie będziesz rozmawiał z ojcem Flanaganem. Ani z diabłem. Teraz nie śpij, Pat, Przyszedł lekarz i uratuje cię, choćbym miał osobiście cię wyciągać z piekła.

— Tym razem skończysz w piekle. — Strażnik aresztu w Cooma zwrócił się do chłopca z uśmiechem wyraźnego zadowolenia. — Już drugi raz wpadasz w kłopoty. Pierwszy raz zapis był tylko w księdze. Drugim razem Lucyfer ci nie przepuści. Tak to działa.

Strażnik był gadatliwym mężczyzną. A ponieważ nie miał z kim rozmawiać, mówił do ponurego chłopca, siedzącego za kratami w kamiennej celi.

— Byłem poszukiwaczem złota w Kalifornii w czterdziestym dziewiątym — mówił dalej strażnik przyjaźnie. — Za złotem dotarłem aż tutaj. Czasami żałuję, że nie zostałem w Kalifornii.

Chłopiec nic nie mówił. Przyglądał się znakom na ścianie, jakie wycięli jego poprzednicy, którzy oczekiwali tu na odesłanie do więzień.

— Przyjechałem tam z Kornwalii — mówił strażnik. — Kiedyś były tam kopalnie cyny. Niewiele co zostało. Angielscy górnicy tracili robotę. Wielu z nas zabrało się do Kalifornii. Wydawało się to wtedy złotą okazją. — Roześmiał się z własnego żartu. — Tutaj też wszystko wydawało się złotą okazją. Ale człowiek albo ma to pisane, albo nie. Przynajmniej ja tak na to patrzę. Tylko tak można to widzieć. Tak samo ci, którzy wylądowali w tej celi, mieli to pisane. Ty miałeś to zapisane w dniu, kiedy się urodziłeś.

Chłopak nadal spoglądał na niego bez słowa. Strażnik podrapał się w ucho, potem wsadził palec głębiej i wyciągnął trochę wosku. Obejrzał uważnie, a wreszcie wytarł palec o spodnie.

— Musiałeś mieć w sobie krew skazańca. Krew z kolonii karnej. To zawsze widać. Wystarczy, że spojrzę na człowieka, i zaraz to wiem. Ma takie spojrzenie. Czy to mężczyzna, czy chłopiec. Głęboko w oczach czai się to spojrzenie.

Wsadził paluch w prawą dziurkę nosa, obrócił i przyjrzał się temu, co wyciągnął.

— Anglia musiała znaleźć miejsce, bo chciała pozbyć się swoich skazańców. Więc wysłała ich tutaj. Prawdopodobnie wcale nie miała zamiaru zawracać sobie tym krajem dalej głowy. Zostawiłaby go czarnym. Nikt inny go nie chciał. My Anglicy także nie, do czasu kiedy musieliśmy znaleźć miejsce dla skazańców. Tak mi mówił pewien nauczyciel, którego spotkałem na złotych polach w Kalifornii. Niewiele wiedziałem wcześniej, zanim tam pojechałem. Podróże kształcą.

Strażnik odciął kawałek tytoniu ze zwitki i zaczął go żuć. Mała strużka soku tytoniowego spłynęła z kącika jego ust na brodę. Wytarł ją wierzchem dłoni.

— Zawsze poznam starego zesłańca po sposobie, w jaki mówi — powiedział. — Skazańców z kolonii karnych i tych, którzy trafiają do więzienia, tak jak ty. Mówią z zamkniętymi ustami. Uczą się tego rozmawiając między sobą tak, żeby strażnik nie zauważył. Po jakimś czasie już inaczej nie potrafią. Zawsze po tym poznam potomka skazańców, choćby nie wiem ilu jego przodków już tutaj mieszkało. Czy siedzieli, czy nie, wszyscy mówią w ten sposób. To tak jak z londyńską gwarą, przechodzi z pokolenia na pokolenie.

— Ja tak nie mówię — odezwał się po raz pierwszy chłopiec.

— Tak czy siak, masz w sobie krew skazańców — odpowiedział strażnik. — Potrafię to wyczuć i nigdy się nie mylę. A teraz kiedy trafiłeś za kratki, już pójdziesz dalej tą drogą. Nie ma dwóch zdań.

— Niby od kogo mam się tej drogi nauczyć? Może od ciebie? Jesteśmy tu tylko my dwaj. Czy wysłuchiwanie ciebie jest częścią kary?

Strażnik splunął w róg celi.

— Ty mały skurwielu — powiedział nadal przyjaznym tonem. — Następnym razem wycełuję gdzie indziej i dostaniesz tym między oczy.

Przez chwilę przyglądał się chłopcu.

— Masz szczęście, że ja ci się trafiłem. Gdyby zabrali cię do tego dużego więzienia w Berrimie, poczułbyś, co to znaczy siedzieć. Mnóstwo towarzystwa, na które wcale byś nie miał ochoty. I żadnych tam miękkich, łagodnych strażników takich jak ja. Dużo się jeszcze musisz nauczyć. Rozmowy będą twoim najmniejszym zmartwieniem. — Nadal spoglądał na chłopca i wzrok mu nieco złagodniał. — Ty biedny, głupi skurczybyku.

Strażnik wstał i nie śpiesząc się podszedł do drzwi.

— Hej, ty tam, Gur — zawołał do czarnego chłopaka, który przykucnął koło wejścia. — Ten gość jest bardzo głodny. Skocz no na jednej nodze po wyżerkę.

Czarny chłopak wstał i powłócząc nogą ruszył w stronę pubu, po jedzenie dla strażnika i więźnia.

Wrócił i znowu przykucnął koło celi, czekając na puste puszki i menażki.

Strażnik wsunął ronderek i kubek pod metalową kratą oddzielającą celę.

— Masz tu żarcie i za nie też bądź wdzięczny.

Ed Soames pochylił się, sięgnął po naczynie i zaczął jeść bez słowa. Strażnik usiadł do niego plecami i zwrócił się do czarnego chłopaka.

— Ty jesteś dobry chłopak, Gur. Naprawdę dobry chłopak.

Rum spojrział na niego i uśmiechnął się.

— Znałeś tego gościa, co siedzi za kratami? — zapytał strażnik niewyraźnie, z ustami pełnymi mięsa.

Rum spojrział na Eda, potem na strażnika, i wreszcie spuścił wzrok.

— Na pewno go znasz — powiedział strażnik. — Kręciłeś się koło stajni, kiedy on tam pracował. Widziałem cię. — Odkasznął. — Jak długo kręcisz się po Cooma?

Czarny chłopak przyłożył rękę do piersi, a potem powoli ją podnosił.

— Od czasu jak byłeś małym szczeniakiem, co? — Strażnik odwrócił się do Eda. — Są tacy sami jak Indianie. Spotkałem w życiu paru Indian, kiedy jechałem na północ z Kalifornii. — Wskazał głową na Ruma. — Nawet tych, co nie mówią, łatwo zrozumieć, jak się już pozna ich język znaków.

Ed uśmiechnął się, spoglądając na Ruma.

— Muszę powiedzieć, że tak podobasz mi się znacznie lepiej — Strażnik zauważył uśmiech Eda. — Chociaż domyślam się, dlaczego się uśmiechasz. Myślisz, że ja nie wiem, że Gur rozumie angielski. Oczywiście, że rozumie, skoro mieszka pośród białych ludzi. Nie muszę wcale używać prostych słów, by mnie zrozumiał. Ale robię tak i wiesz dlaczego? Ponieważ dzięki temu on rozumie coś jeszcze. Rozumie, że jest czarny, a ja biały, i na tym polega cała różnica. Tak samo jak jest różnica między mną a tobą, ponieważ ja jestem wolny, a ty siedzisz. Przypuszczam, że dlatego ty i on jesteście, jak to nazywają Indianie, braćmi krwi. Podoba ci się to? Przyjemnie ci być w braterstwie z czarnym człowiekiem?

— Nie sprawia mi przykrości — odparł Ed. — Powiedział mi kiedyś, że miał białą mleczną siostrę. Jego matka trzymała przy jednej piersi jego, a dziewczynkę przy drugiej. Kimkolwiek ona jest, na pewno istnieje między nimi jakaś więź. Tak czy siak, wolałbym jego niż ciebie za brata.

— Powiem ci coś teraz — uśmiech zniknął z twarzy strażnika. — Myślisz sobie, że od siedzisz swój wyrok spokojnie i wygodnie tutaj, tak jak ci, którzy wryli na ścianach te znaki, którym się przyglądasz. Ale dwudziestego dziewiątego następnego miesiąca, w ostatni piątek października, przyjadą tu po ciebie. Zabiorą cię do Berrimy, które jest piekłem. Będziesz żałował, żeś się w ogóle urodził. Nigdy nie zapomnisz tego dnia. Ani żadnego z następnych.

— Tak czy siak nie zapomnę tego dnia — powiedział Ed zdobywając się na uśmiech. — Skończę wtedy piętnaście lat.

Jenny odszukała swój buszmeński kapelusz, jak zwykle kiedy nadchodziła wiosna. Włożyła go na głowę i wybrała się wzdłuż rzeki pomiędzy topolami, które utworzyły aleję między brzegiem a stokiem.

Z notesem i ołówkiem w ręce przeszła przez most do parku nad rzeką, gdzie mogła usiąść w otwartym z jednej strony pawilonie i rozejrzeć się po całej okolicy z centralnego punktu doliny.

Kiedy weszła na teren parku, przystanąła na moment i obejrzała się w stronę gospodarstwa Colebrooków, powyżej którego odnowiona kapliczka stała dokładnie w tym miejscu co zawsze.

Czytała gdzieś, że miasto nigdy nie stanie się miastem, póki nie ma kościoła. Ale większość mieszkańców doliny była protestantami, a pierwsza przybyła tutaj Mary Colebrook wyznania rzymsko-katolickiego. Minaby Flat stanie się miastem, nie posiadając kościoła, zdecydowała Jenny, kierując się irlandzką logiką. Skreśliła kościół ze swoich planów.

Zamierzała natomiast postawić inne budynki. Kupiła ziemię na południowym skraju doliny. Było tam wystarczająco dużo miejsca na szpital: jedna główna sala, na wzór oddziałów, jakie zakładała siostra Nightingale, o której Jenny czytała. Obok będzie mieszkanie dla pielęgniarki. Jeśli tylko kobieta otrzyma taką szansę, może służyć dolinie równie dobrze jak jakikolwiek mężczyzna, zwączy się lekarzem. Będzie też potrzebna na tyle duża poczekalnia, by ojcowie mogli spacerować po niej, czekając na urodzenie dziecka. Ale nadal było zbyt mało pielęgniarek w Kolonii, a zbyt wiele potrzebujących. Upłynie co najmniej jeszcze rok, zanim dwie córki Morrowsów podrosną na tyle, aby je wysłać do przyuczania.

W sklepie nikt ostatnio nie zatrzymywał się na długo. George McGovern jako właściciel stwarzał tam niesympatyczną atmosferę.

— Przyszłyście tu na zakupy czy na plotki? — pytał zbierające się kobiety.

Jenny uśmiechnęła się. George był dobrym pracownikiem, ale złym biznesmenem, praktycznie podarował jej już gotowy plan.

Postanowiła zbudować ładną kawiarnię, gdzie mogłyby się zbierać kobiety. Pani George'owa Farley zajmie się pieczeniem ciasta, robieniem herbaty i kasą, a Mei Li może obsługiwać klientów. Oczywiście, jeśli pani Farley i Mei Li zgodzą się, ale tego Jenny była pewna. Ona zaś trochę na tym zarobi, choć w porównaniu z innymi jej dochodami przychód z kawiarni stanowić będzie marny grosz.

I tylko drobną cząstkę w jej planach.

Usłyszała za sobą stukot dwóch par butów na drewnianym chodniku prowadzącym z centrum wioski. Jakaś para zatrzymała się, nie przerywając kłótni. W pewnej chwili małżeństwo zdało sobie sprawę z jej obecności w pawilonie i mężczyzna skierował się do pubu, a kobieta do sklepu.

Zgodnie z tym, co pokazał zegarek, który Jenny nosiła na dewizce, pięć minut później kobieta wyszła i zamknęła starannie drzwi do sklepu. Ruszyła z powrotem chodnikiem. Jej nogi wystukiwały niecierpliwy rytm, kiedy chodziła to w jedną stronę, to w drugą, czekając na męża.

Czekanie na mężczyznę każdą kobietę może wytrącić z równowagi. Nawet kiedy się czeka tylko na list, który nie nadchodzi.

Powinnam zaprosić tę kobietę do pubu, pomyślała Jenny. Wejść tam i zamówić dla nas obu whisky. Chociażby po to, by zobaczyć wyraz twarzy zebranych tam mężczyzn.

Wydawało jej się, że słyszy głos Millie Garnett: „Nalej mi drinka, Paddy. Na smutki życia nie ma nic lepszego niż grog”.

A może zacząć rozlewać whisky do ładnych buteleczek, takich jak te od perfum, pomyślała Jenny. W jednej chwili pomysł zaczął nabierać kształtów. Do butelek ze szklanym korkiem, w kształcie granatu. A na butelkach nazwa GARNETT. Ładnymi literami. Butelki pakowane w obciążone jedwabiem drewniane pudełka. GARNETT-pokrzepiciel kobiet.

Pierwszą rzeczą, którą musi zrobić następnego ranka, to pójść do warsztatu George'a Farleya i zamówić u niego te pudełka. Potem spotka się z Maltem i Murphym Jonesami w gorzelnii i każe im zamówić butelki. Napełni je najłagodniejszą whisky, ze słodkiego jęczmienia. Dla dam w Kolonii i w mieście Sydney.

Wiosna to najlepszy czas w dolinie, pomyślała Jenny. Ale tej samej nocy przyśnił jej się jeden z jej szalonych snów, który rankiem ledwie mogła sobie przypomnieć... Kopyta i koła turkoczące po wybitej kocimi łbami alei z jej dzieciństwa. Jej pięści bijące mężczyznę, który do niej nie wrócił.

19.

Kiedy Jenny rozpoczęła realizować nowy projekt, na efekty nie trzeba było długo czekać. Słysząc było o nich w całej dolinie i poza nią.

— Przez te obciążone jedwabiem pudełka — mówił George Farley — okoliczne damy będą musiały chodzić w perkalowych sukienkach. Wybrałem w sklepie jedwab do ostatniej be-
li, a ten, który jedzie z Chin, też już zamówiłaś. Właściciel składu powiedział, że wolałby, byś
go wcześniej ostrzegła.

— Nie da się uprzedzić nowych pomysłów.

— Mamy już próbki butelek — powiedział jej Murphy Jones. — Ale szklarz z Quean-
beyan mówi, że nie zostało mu dość powietrza nawet na puszczanie wiatru, jeśli wybaczysz to
określenie.

— Skoro ma za słabe płuca, niech używa miecha, tak to już robią w innych krajach. A je-
śli chciałby się dowiedzieć, jak to się robi, mogę mu pożyczyć książkę na ten temat, którą wła-
śnie przeczytałam. Będziemy potrzebowali dużo więcej butelek, więc dobrze by było, żeby zna-
lazł wiatr i nadal je dmuchał. Czy drukarz z Queanbey skończył już nalepki?

— Powiedział, że to najwymyślniejsza robota, jaką w życiu dostał.

— Jeśli poniesie go wyobraźnia, będzie robił jeszcze raz. Chcę eleganckie nalepki, nie
wymyślne. I żeby całość gotowa była w tydzień, pamiętaj! Jeden tydzień, nie więcej. Umówi-
łam się z kurierem z dyliżansu, że zawiezie próbki towaru do Sydney pod wskazane adresy.
Obiecał, że dostarczy je jak najspieszniej i równie szybko wróci z ofertami zakupu. Od
Gwiazdki dzieli nas tylko trzy miesiące, a wtedy właśnie kupuje się dla dam piękne prezenty.

Tydzień później próbki butelek w pudełkach były już w drodze do Sydney. Po wrześniu
przyszedł październik, a z nim poczta. Jenny szukała pomiędzy katalogami, spodziewając się
kartki od Mike'a, ale jej nie znalazła. Nie tracąc nadziei, zaczęła przeszukiwać jeszcze raz, gdy
zobaczyła Malta i Murphy'ego Jonesów, nadbiegających ścieżką do domu. Wyglądali na pod-
nieconych i niepewnych.

„Nie wolno wam nigdy mówić o interesach gorzelni w tym domu — zapowiedziała im
Jenny tego dnia, kiedy Jazon skończył dwadzieścia jeden lat i gospodarstwo stało się jego wła-
snością. — Od dzisiaj rozmawiamy na temat gorzelni tylko tam”.

Nawet kiedy odkupiła z powrotem dom i ziemię, nie odstąpiła od tej zasady.

Na widok obu mężczyzn ruszyła ku nim biegiem, z góry przewidując kłopoty. Retorty pękły, spaliły się beczki, nieprzesypany jęczmień zgnił. Na każdy z tych problemów już znalazła rozwiązanie, kiedy po ich twarzach poznała, że przywiodła ich zupełnie inna sprawa.

— To ta nowa rzecz, Garnett! — krzyczał Murphy, wymachując gazetą. Malt wskazywał na pełniutką torbę z listami. Nie trzeba było nic więcej mówić.

— Próbki, które posłaliśmy do Sydney — powiedział Murphy, kiedy usiedli — stały się prawdziwą sensacją.

— To wszystko zamówienia. Całe setki — Malt pokazywał ciągle zawartość torby.

— A to jest list od Goliatha Jonesa, który ma wielką firmę transportową w Sydney — dodał Murphy, wyjmując jeszcze jeden list z kieszeni kurtki. — Píše o tym tutaj ogłoszeniu — wskazał na gazetę.

— Żaden nasz krewny — powiedział Malt ze śmiechem, nie potrafiąc opanować podniecenia. — Goliath Jones!

— Czytałem kiedyś o nim — dodał Murphy. — Był taki Jones, który zbudował swe przedsiębiorstwo w latach trzydziestych. Pierwsze biura miał naprzeciwko głównego urzędu pocztowego. Wyglądało na to, czym było, normalne przedsiębiorstwo przewozowe. Tylko miał zwyczaj stać w drzwiach i uściskiem ręki witać każdego klienta. Taki miły gest powitania. I to Jones. Walijczyk jak my. Może zresztą już nie żyje. Ale czytałem o nim.

Jego słowa obudziły w umyśle Jenny pewną scenę z przeszłości.

Stała poniżej Cut na uliczce, takiej angielskiej w stylu, tuż nad mostem, koło poczty. Damy i dżentelmeni z Kolonii na jej widok wykrzykiwali: „Nie zbliżaj się do nas, ty szumowino. Trzymaj się stąd daleko.” Był to czas cholery.

— Wiem, gdzie mieści się to przedsiębiorstwo — powiedziała lekko drżącym głosem. — Czego chcą?

— Składają duże zamówienie! — powiedział Malt. — Duże! Bardzo duże! Większe niż wszyscy inni klienci.

— I spójrz tylko na ogłoszenie Goliatha Jonesa — Murphy otworzył gazetę na odpowiedniej stronie i pokazał Jenny. Dłonie drżały mu z podniecenia, twarz miał poczerwieniałą. — Zatrzymałem się w pubie, żeby pokazać ludziom — dodał. — Jest z czego być dumnym. Trzeba to było uczcić.

Zaczął czytać na głos, jakby ona nie była w stanie zrobić tego sama.

— Ogłaszamy ukazanie się na rynku wzmocnionego alkoholu tylko dla dam...

Jenny roześmiała się, wspominając Millie Garnett ze szklaneczką w dłoni, która piła czysty spirytus wyrabiany przez Irlandczyków z wyhodowanych lub ukradzionych kartofli.

— Czy mieli prawo tak napisać? — zapytał Murphy. Usłyszał jej śmiech i spojrzał na nią z wahaniem. — Chodzi mi o to, że to wcale nie tylko dla pań. To przecież taka sama whisky, jaką robimy dla wszystkich. Tyle tylko, że w śliczniutkich buteleczkach, w których mieści się mniej niż połowa za podwójną cenę.

— Sama rzadko jej próbuję — stwierdziła Jenny. — Czy jest mocna?

— O, tak — odpowiedzieli jak podwójne echo.

— W takim razie nie kłamią.

— W tym ogłoszeniu jest jeszcze więcej — wtrącił Murphy. — „Goliath Jones i wspólnicy z dumą ogłaszają pojawienie się na rynku GARNETT-pokrzepiciela kobiet. Pachnącego i wybornego destylatu, nadzwyczajnie oczyszczonego, stworzonego dla wzmocnienia delikatnych i wrażliwych kolonialnych dam”. — Murphy aż nadał się z dumy. — I wydrukowali to na specjalnej stronie nowinek towarzyskich. Pojawienie się w takim miejscu uszlachetnia naszą GARNETT.

— Stek nonsensów — skwitowała Jenny, biorąc gazetę.

Spojrzała na stronę odwróconą przez Murphy'ego i aż wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła nazwisko pod nagłówkiem: Telegraficzne Wiadomości Towarzyskie:

„Panna Jennifer Donohue, delikatny kwiat naszej Kolonii, została przedstawiona Jej Wysokości królowej Wiktorii i bierze teraz udział w sezonie londyńskim. Panna Donohue jest córką Michaela Donohue pochodzącego z Galway w Irlandii, pana na Berkshire, mającego powiązania z Kolonią, gdzie posiada ziemie zarówno koło Sydney, jak i na południowym wschodzie kraju. Mówi się, że damy i dżentelmeni z towarzystwa sydneyjskiego mają powody, by szukać znajomości z dziedziczką Kolonii, kiedy przyjeżdżają do Anglii w celach zdrowotnych lub przywożą swą młodzież, by zdobywała wykształcenie w macierzystym kraju. Niewielka jest jednak nadzieja na odzyskanie panny Donohue i jej ojca dla Kolonii. Jej strata stała się zyskiem Anglii — tak się przynajmniej szepcze w salonach.

Jenny zdając sobie sprawę, że Murphy Jones się jej przygląda, spojrzała na datę gazety: 17 października 1875 roku. Dzień jej własnych zapomnianych urodzin!

— Wydrukowali to tydzień temu — powiedziała. — Dostarczcie Goliathowi Jonesowi wszystko, co zamówił, i to jak najspieszniej. A kiedy przyjdzie jego następne zamówienie, żądajcie podwojonej ceny.

— Za połowę tej whisky, która idzie w naszych butelkach z nazwą Highland Bae? — zapytał z niedowierzaniem Murphy.

— Highland Bae jest dla dżentelmenów — powiedziała Jenny.

— Dżentelmeni łykają whisky, damy ją sączą.

Bracia Jones spojrzeli najpierw po sobie, potem na nią.

— W tej torbie i w liście Goliatha Jonesa jest zamówień na więcej, niż gorzelnia wyprodukuje przez miesiąc, i to łącznie z niedzielami.

Jenny spojrzała ponad zabudowaniami w stronę ziemi, którą dawno temu kupiła na nazwisko Garnett.

— Czas wybudować drugą gorzelnię — powiedziała. — Czas, byście znaleźli pracowników, którym możecie zaufać. — Obok niej leżała porzucona gazeta z ogłoszeniem i nowinkami towarzyskimi.

— Czas na pracę! Trzeba iść naprzód!

Jenny siedziała w kuchni, nie zdając sobie sprawy z obecności Ringi przycupniętej w rogu, i czytała plotki towarzyskie.

— Należy to uczcić — mruknęła powtarzając słowa Murphy'ego.

— Prawdziwa arystokracja. — Nie mogła przestać myśleć o Mike'u. Wpatrywała się w gazetę, która zdawała się ich łączyć, a jednocześnie oddzielać. On był teraz eleganckim londyńskim dżentelmenem, a ona nadal handlarką whisky. O obojgu mówiono i pisano w Sydney. Dwa światy, a pomiędzy nimi mur.

Do kuchennych drzwi zastukał Murphy.

— Zapomniałem ci to oddać — powiedział. — Ten list trafił do gorzelni, ale jest zaadresowany osobiście do ciebie. — Na widok gazety na kuchennym stole uśmiechnął się, kiwnął głową i wyszedł krzyżąc przez ramię. — Wracam do roboty!

Jenny odsunęła gazetę i otworzyła kopertę zaadresowaną nieznanym kaligraficznym piśmem.

Droga Pani.

Jeśli dobrze rozumiemy, stoi Pani na czele przedsiębiorstwa, które wypuściło na rynek dobroczynny specyfik opisany w naszym ogłoszeniu, nazwany GARNETT-pokrzepiciel kobiet, i to jak najbardziej słusznie, ponieważ ten destylat stworzono z myślą o damach.

Taka nieoczekiwana oferta nie mogła przejść nie zauważona wśród partnerów Goliath Jones i S-ka, którzy chcieliby osobiście podziękować Pani za jej znakomity produkt.

W związku z powyższym, z przyjemnością powitamy Panią w Goliath i S-ka przy najbliższej Pani wizycie w stołecznym mieście naszej Kolonii.

Podpisane: P. Entwistle, urzędnik na usługach panów J.F. Edwardsa, E.L. Woodwarda, C. Jonesa.

Jenny jeszcze raz przeleciała wzrokiem list, potem zaniósła go do sypialni, żeby przeczytać go za pomocą słownika.

Wreszcie uśmiechnęła się, ale kiedy doszła do ostatniej linijki, zmarszczyła ponownie brwi.

Przy najbliższej wizycie w Sydney...

Siedziała w sypialni, a myślami wędrowała po ulicach i alejach, których nie widziała od trzydziestu dwóch lat. Mimochodem zauważyła, że jej papiery są w nieładzie, tak jakby ktoś je przekładał albo odsunął, żeby pochylić się bardziej nad biurkiem i lepiej przyjrzeć oprawionym pocztówkom, wiszącym na ścianie.

Podniosła wzrok na fotografii małej dziewczynki Mike'a, teraz już dorosłej panny. Obrazek umieszczony pomiędzy nimi, przedstawiający rysunek angielskiego zamku, wisiał przekrzywiony na bok, jakby ktoś go zdjął, a potem odwiesił zbyt pośpiesznie. Poprawiła go automatycznie, a potem usiadła i spoglądając na niego, starała się wyobrazić sobie Anglię.

„W jednej z książek ojca był ten rysunek — powiedział jej kiedyś Jazon. — To miejsce nazywa się Langley”.

Mike cieszył się z towarzystwa Jennifer u swego boku. Pałac Langley żarzył się jak pochodnia, odcinając się od ciemnego, nocnego nieba. Świeczniki oświetlały frontowe pokoje, a lampiony powieszono wzdłuż marmurowych schodów wznoszących się od podjazdu, którym powoli nadjeżdżali. Jego znakomicie wytrenowane konie zatrzymały się. Drzwi do powozu otworzył lokaj z Langley.

Mike zastanowił się przez chwilę, dlaczego wkraczając do jednego z większych pałaców Anglii nie czuje się tym przygnieciony tak jak wtedy, gdy wkraczał dwanaście lat wcześniej do szarego kamiennego zamku Connacht, który był już wówczas jego własnością. Dlaczego teraz czuł tylko dwuznaczność sytuacji?

Spojrzał na dziewczynę i pomógł jej wysiąść z powozu. Stała się prawdziwą damą. Nigdy nie peszyły ją takie miejsca. Dla niej były tak naturalne jak farma dzierżawcy w Connemarrze dla niego. Na moment zatrzymał ją ściskając dłoń. Czuł ogrom pustki, którą sam stworzył pomiędzy nią a sobą. Potem rozluźnił uścisk i pozwolił wysiąść z powozu dziewczynie o nieskazitelnych manierach, w pięknej balowej sukni. Przytrzymał ją jeszcze chwilę czekając, by spojrzała na niego w typowy dla niej przenikliwy sposób. Jeszcze teraz należała do niego, młoda dama z najwyższego angielskiego towarzystwa, już przedstawiona królowej i od miesiąca biorąca udział w londyńskim sezonie karnawałowym.

Podniosła na niego pełne ciekawości oczy, tak jak się spodziewał, i na chwilę stała się Jenny. W każdym calu była tą Jenny, którą spotkał, poznał i pokochał, choć tamta ubrana była w płócienną starą sukienkę, miała pistolet za pasem i buszmeński kapelusz na głowie. Piękne stroje nic nie znaczyły, dziewczyna była taka sama. Jej pytający wzrok niewiele się różnił od wyzywającego spojrzenia Jenny, powiedział sobie, czując potrzebę potwierdzenia podobieństw.

Prowadząc ją po marmurowych stopniach do wielkiego holu i salonu w Langley, gdzie odbywało się przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin dziedzica tytułu i majątku, czuł ironię sytuacji. Knuł przeciwko rodowi, który mieszkał w Langley, przez dwadzieścia jeden lat, od pięćdziesiątego czwartego, kiedy to przeczytał dziennik Jonathana Travisa, pięć lat przed urodzeniem się tej dziewczyny...

Na wzgórzach płonęły ogniska i w nim również płonął ogień, bo Jenny go odrzucała, nie chcąc rozerwać więzi łączącej ją z nieżyjącym mężczyzną.

Gdy byli w połowie marmurowych schodów, zaczął się śmiać. Dzisiejsza noc miała być ukoronowaniem jego knowań, jego na wpół puste życie toczyło się wokół intryg i planów, a teraz dziewczyna idąca u jego boku, nawet o tym nie wiedząc, przewróciła je do góry nogami, gdyż postanowiła sama pokierować swoim życiem, zupełnie tak samo jak Jenny.

Jennifer spojrzała na niego z naganą, próbując uspokoić swego nieprzewidywalnego irlandzkiego ojca.

Usłyszeć wypowiedziane głośno ich nazwiska, zobaczyć wiszące kandelabry w wielkim holu niby korony nad głowami wicehrabiego Langley i jego prawie niewidocznej żony, to było zbyt wiele dla Mike'a. Ukłonił się w odpowiedzi na kurtuazyjne powitanie, i coś w nim umarło. Dwukrotnie stracił Jenny przez jednego Jonathana, a dziś wieczór straci swe dziecko przez drugiego. I sam do tego doprowadził!

Trevor Jonathan zostawił rodziców i ruszył ku dziewczynie. Poprowadził Jennifer do tańca. Mógł ją trzymać tylko jedną ręką, ponieważ zranione w Belfaście ramię miał wciąż na temblaku. Na skroni widać jeszcze było ślad draśnięcia kulą.

Mike przeszedł w nie oświetlony, opustoszały kąt tarasu.

— Jenny, moja Jenny — szeptał w październikową angielską mgłę. — To wygrał twój duch, a nie moje intrygi, choć wątpię, bym kiedykolwiek wobec ciebie się do tego przyznał. Wygrałaś cztery lata temu, kiedy nasza dziewczynka pognała przez pola z pantalonami trzepoczącymi niby chorągwie ogłaszające zwycięstwo. To byłaś cała ty.

W drzwiach prowadzących na taras pojawił się lokaj. Uważnie spojrzął w stronę ciemnego kąta i po chwili zniknął. Potem na taras wszedł wicehrabia Langley.

— W taką noc jak dzisiejsza człowiek ma uczucie, że wszystko, co planował w życiu, zostało zakończone — powiedział tonem, który sugerował więcej niż słowa. Nie była to tylko błaha uwaga dotycząca osiągnięcia przez syna pełnoletności. — Dzisiaj dwóch starych przeciwników może pozostawić tańce młodszej generacji i znaleźć sposoby scementowania bardziej przyjaznych stosunków w jakimś spokojnym kącie.

Mike ruszył za nim przez wielki hol, gdzie wciąż gromadzili się goście, w stronę zachodniego skrzydła zamku. Przeszli przez utrzymaną we francuskim stylu bawialnię, miejsce pani domu, gdzie mogła pisać listy przy sekretarzyku lub wypić herbatę przy francuskim *petit point suite*, na którym widniał herb Marii Antoniny.

Idąc za Trauntonem Jonathanem, Mike uśmiechał się słysząc w myślach głos Williama Harta:

— Nie oczekuj specjalnych dowodów przyjaźni, ty buntowniczy Irlandczyku! Traunton Jonathan będzie cię traktować jak sakiewkę w Wielki Czwartek, ale przy twoim majątku możesz jednak liczyć na popołudniową herbatę i kanapki z ogórkiem w dniu, w którym zazwyczaj spotyka się z wikarym. Ale ponieważ wikary reprezentuje kościół anglikański, a ty rzymskokatolicki, może to być raczej lunch z burmistrzem i innymi lokalnymi dygnitarzami. Tylko dlatego zresztą, by wikaremu zaoszczędzić zakłopotania. Jako irlandzki kolonista nie masz najmniejszych szans na to, by otrzymać zaproszenie na kolację. A jeśli już przez przypadek się tam znajdziesz o niewłaściwej porze, dla zachowania twarzy przed innymi gośćmi, najprawdopodobniej zabierze cię gdzieś na bok.

— I tak się będzie zachowywała moja mała dziewczynka, kiedy już wejdzie do rodziny?

— Najprawdopodobniej. To jest częścią tradycji, Michaelu. I o to właśnie dla niej walczyłeś.

— Wydaje mi się, że właśnie zmieniam zdanie!

— Musiałbyś zmienić serce. A najlepiej je wyrzucić. Ona wychodzi za mąż za człowieka, którego kocha. Wolałbyś, żeby została pionkiem w twoim irlandzkim spisku? Lub w moim, jeśli już o to chodzi?

Dotarli do wielkiej biblioteki, gdzie królowie pędzla Gilberta Stuarta i kromwelowscy spiskowcy Dahla spoglądali na nich z galerii ponad półkami pełnymi książek. Złoczone ramy i skórzane oprawy zamykały niesforną historię w porządne opakowania.

Langley starannie wybrał miejsce na rozmowę, pomyślał Mike.

— W tym pokoju sam podaję drinki — powiedział wicehrabia. I z wymuszonym uśmiechem dodał. — Są sytuacje, kiedy nikt nie życzy sobie obecności lokaja.

Mike odpowiedział mu nic nie mówiącym uśmiechem. Uśmiech przychodził mu bez trudu, nauczył się w jednej chwili wcielać się w postać, którą grał tak często, po obu stronach Atlantyku, siedząc w pokojach, gdzie Irlandczycy planowali upadek Anglików.

Langley umieścił szklanki i karafkę ze szkocką na małym stoliku.

— Pan woli czystą whisky — powiedział — jak pamiętam z klubu, kiedy rozmawialiśmy o koniach. — Do swojej szklanki dodał wody. — Ja wolę nieco ochrzczoną. Wzmaga jej buket.

Mike uśmiechnął się swym wyćwiczonym uśmiechem.

— Dla Irlandczyka najlepsze produkty wysp wydają się mieć inny smak w Anglii.

— O, tak. Pańska córka jest tego najlepszym przykładem. Króluje wśród panien tegorocznego sezonu londyńskiego. Mówiono mi, że zrobiła wrażenie nawet na królowej.

— Jej Wysokość jest bardzo łaskawa.

— Jeśli chodzi o pańską córkę, to nic nie przesadziła — powiedział Jonathan. — Dobra robota, Donohue. Odrobina wody robi równie dobrze krwi jak szkockiej whisky.

Mike poczuł się rozbrojony, ponieważ bitwa wydawała się skończyć, zanim się rozpoczęła. Starał się dostrzec człowieka, który krył się za świetną pozycją i nazwiskiem. Od czasu kiedy go ostatni raz widział, Langley schudł, stał się bardziej kościsty, zszarzał. Jak ktoś, kto kawałek po kawałku umiera.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że nie sprzeciwia się małżeństwu naszych dzieci? — zapytał.

— Gdybym się sprzeciwił, mój syn zaakceptowałby obowiązki wynikające z pochodzenia, mimo osobistego żalu. Tacy są synowie naszej klasy, a on nie okazałby się wyjątkiem.

— A jednak pan zdecydował, że nie będzie się przeciwstawiał decyzji poślubienia mojej córki?

Langley milczał przez kilka sekund, jakby szukając słów, które nawet Irlandczyk mógłby zrozumieć.

— W naturze mężczyzn o mojej pozycji leży także ostrożność — powiedział. — Czasami jesteśmy zbyt ostrożni, co wypomniał mi William Hart. Jego rodzina i moja były swego czasu bardzo sobie bliskie, tak więc znam historię jego małżeństwa z wnuczką francuskiego arystokraty-renegata. William Hart był wtedy w wieku mojego syna, a jego ojciec znalazł się w podobnej sytuacji jak ja teraz. Jak zapewne pan wie, kiedy dowiedział się o małżeństwie, rozdzielił ich i wysłał Williama do Connaught, by gnił w Irlandii.

Nagle zamilkł.

— Wybacz, Donohue. To była niestosowna uwaga. Ale naprawdę tam gnił, sam mi to powiedział. Nie szukał swej żony przez lata, wreszcie odnalazł ją w Kolonii tylko po to, by stracić podczas porodu ich córki. Pan oczywiście zna tę całą historię, ale ja dowiedziałem się o niej całkiem niedawno. William Hart sam mi ją opowiedział. Miał na tyle szczęścia, że znalazł w Kolonii odpowiednią rodzinę, która mogła się zająć dzieckiem. Chodzi oczywiście o pańską żonę, a jego córkę. Smutna historia, ale William Hart opowiadając ją osiągnął swój cel. Żaden ojciec nie ma prawa ryzykować złamania serca i może zrujnowania życia swemu synowi. — Wyciągnął rękę teatralnym gestem. — Tak jak ja mogłem zrobić, gdyż we mnie nie ma więcej uczucia dla irlandzkich rebeliantów niż miał ojciec Williama Harta dla zdradzieckich francuskich arystokratów, a dowiedziałem się tego i owego o pańskiej przeszłości.

Mike podniósł wzrok na portrety pędzla Michaela Dahla przedstawiające angielskich spiskowców i przez chwilę dumiał nad Anglikami. Pamiętał jeszcze jedną sytuację, kiedy dziadek Will przedstawił Jennifer jako swoją wnuczkę. Wtedy rozbawiło to Mike'a.

— Twoja opowieść, Willu, ma więcej dziur niż sito — powiedział mu ze śmiechem.

William nie wydawał się ubawiony.

— Sito może nie utrzymać wody, ale utrzyma błękitną krew. Błękitna krew trzyma się razem. Nikt nigdy nie będzie kwestionował mojej historii, ponieważ jest to opowieść, w którą każdy chce wierzyć. W historii Anglii znajdziesz wiele bardziej naciąganych.

W rękawie zakietu, starannie owinięte w pergamin, tkwiły, nie dając o sobie zapomnieć, dokumenty. Spadek dla Jennifer, który miał być jej posagiem, teraz stał się bez wartości.

Jeśli William Hart był zaakceptowany jako jej angielski dziadek, Travis Jonathan nigdy by nie był — i nie będzie.

— William Hart darzy Jennifer głębokim uczuciem — stwierdził Mike. — Powiedział mi, że dla niej nawet dałby się skompromitować.

— A mnie ostrzegł, że pan może powiedzieć coś takiego, a nawet zaprzeczać związkowi rodzinnemu, żeby chronić jego reputację. Nie uważam, by smutna historia jego małżeństwa z matką pańskiej żony, czy nawet pozostawienie dziecka zagrażało jego reputacji. Wielu mężczyzn żeni się pośpiesznie i żałuje potem tego kroku.

Mike podniósł się powoli.

— Myślę, że powinniśmy zakończyć tę dyskusję.

— Proszę, niech pan siada i trzyma swój temperament na wodzy. I proszę wybaczyć moją uwagę. William Hart dobrze mnie przeszkolił w tym, co powinienem powiedzieć, by sprawdzić, czy jest pan człowiekiem dyskretnym.

— Może moglibyśmy lepiej ocenić się wzajemnie, gdyby rozmowa nasza była bardziej szczerą.

— Bardzo dobrze. Niezwykle szczęśliwie złożyło się dla naszej rodziny, że pan i pański przyjaciel ksiądz znaleźliście się w Belfaście akurat tej nocy i przyszli na ratunek mojemu synowi. Zdecydowałem, że będę to uważał jedynie za zbieg okoliczności. Ale jedna sprawa jest oczywista, i powiedziałem to w ministerstwie wojny. Oficer angielskiej armii, którego teść jest Irlandczykiem, nie powinien służyć w Irlandii. Ministerstwo zgodziło się ze mną. Kiedy mój syn dojdzie w pełni do zdrowia, otrzyma czasowy przydział do Nowej Południowej Walii. Nie mamy nic przeciwko temu, by małżeństwo zostało zawarte w Kolonii. Dla pana byłoby to bardzo męczące, gdyby miał pan wrócić do Anglii na ślub córki.

Mike przyglądał się wychudzonej twarzy i ciału Anglika. Przypomniawszy sobie pełną zadowolenia uwagę adwokata. „Dla Langleya honor rodziny znaczy bardzo wiele. Będzie go bronił własnym kosztem, jeśli przyjdzie taka potrzeba. I to go zabije, kawałek po kawałku. Umrze w ciągu kilku lat. Pan nie rozumie angielskiego szlachcica, więc pan mi nie wierzy, z czego się cieszę”.

Teraz już mu wierzył. W jego oczach i głosie, kiedy odpowiadał Trauntonowi Jonathanowi, była ta świadomość.

— Jeśli się nie mylę, dla pana droga do Kolonii na ślub syna będzie równie długa.

— Nie mam ochoty odwiedzać Kolonii. Najmniejszej! — odpowiedział, odrzucając sugestię Michaela, Traunton Jonathan. — Mój syn i jego żona wydadzą oficjalne przyjęcie, kiedy wrócą do Anglii. — Ale gdy patrzył na Mike'a, wyraz jego twarzy się zmienił, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, który sięgnął także oczu. — Mój syn powiedział mi, że zamierzają się pobrać w siedemnaste urodziny pańskiej córki. Będzie miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata. Nie spodziewałem się, że mój syn ożeni się w tak wczesnym wieku. Jestem wdzięczny losowi i zadowolony, że zdecydował się na to. Teraz być może, za mojego życia, doczekam się wnuka i umrę spokojny, że linia rodziny przetrwa. Żaden mężczyzna nie może żądać więcej. — Wzruszył ramionami. Nawet gdy musi dzielić tego wnuka z Irlandczykiem.

Mike uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że życie jest łatwiejsze i szczęśliwsze dla Irlandczyków niż niektórych Anglików — kiedy się Irlandczyk nad tym zastanowi. Tak jak ja dzisiaj. Szczęście mojej córki jest dla mnie ważniejsze niż moje plany względem Anglii. To jest pakt, który zawrę z panem, i będę się go trzymał. — Teraz już nie uśmiechał się, spoglądając na zapadnięte oczy i szarawą skórę Anglika, tak różniącego się od krzepkiego mężczyzny, jakim był zaledwie kilka lat temu. — Nigdy już nie zobaczy mnie pan w Anglii. To również mogę panu obiecać — powiedział Mike, uśmiechając się znowu. — Jestem pewny, że dziadek Will, szlachetny William Hart, będzie szczęśliwy, mogąc zająć moje miejsce.

Langley siedział przyglądając się swemu gościowi, jakby starał się zapamiętać jego twarz, podobnie jak młody sanitariusz w Belfaście. Potem podniósł się, lecz nagły ruch wywołał skurcz bólu. Ale gdy już wstał, znowu wyglądał na tego, kim był, aroganckiego oficera. W cieniu nie widać nawet było szarości jego twarzy.

— Wydaje mi się, że powinniśmy wrócić do gości — powiedział. — Już czas na złożenie oświadczenia.

Kiedy Mike opuszczał pałac, odwrócił się, by jeszcze raz rzucić okiem na wypielegnowane ogrody i rozległe trawniki, gdzie pasł się młody jelonek, i dalej na pola, lasy i wioski należące do majątku Langley.

To był odpowiedni dom dla wielkiej damy, odpowiedni dom dla Jennifer. Ale on czuł w sobie coraz większą tęsknotę do szarego kamiennego dworu w Connacht z otaczającą go kamienistą ziemią i pobliską zatoką, a kawałek dalej otwartym morzem.

To był odpowiedni dom dla Irlandczyka. I jego damy.

Słyszał jeszcze słowa Jenny: „Czy wiesz, którą część domu lubię najbardziej? Tę chropowatą, granitową ścianę, której tak nienawidził Bimber. Ale oczywiście on był Anglikiem”. A dalej już wyobrażał sobie, jak Jenny mówi do siebie: „Wokół Connacht jest wystarczająco wiele ziemi, żeby wybudować miasto. Tutaj będzie rynek, a tam na wzgórzu gorzelnia. Wiele dobrego można by zrobić z takim kawałkiem porządnej irlandzkiej ziemi”.

Czuł, jak go uwiera gruby plik dokumentów, który był bronią zabijającą człowieka przez sam fakt, że został w niego wycelowany. Zabijającą równie skutecznie jak kość śmierci wymierzona przez kurdatchi w czarnego buszmena.

Jennifer szarpnęła go za rękaw, przerywając gonitwę jego myśli.

— Ojcie, nie można zapomnieć najważniejszych chwil naszego życia, prawda?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

Zobaczył perły na jej szyi — zaręczynowy prezent od wicehrabiego Langley — i jednocześnie krople mleka, które piła z czarnej piersi Ringi.

— Niektóre zapominamy — powiedział jej.

Potrząsnęła głową.

— Ja nigdy nie zapomnę niczego, co ważne w moim życiu, nigdy!

Mike uśmiechnął się.

Trzymała go za ramię.

— Masz silne ramię, ojcie! Ramiona Trevora są silne, ale nie tak — odwróciła twarz.

Pewnie się zaczerwieniła, pomyślał.

— Zapomniałaś, że zawsze byłem pracującym człowiekiem, Jennifer, a ludzie, którzy pracują, są w jakiś sposób silniejsi od innych.

Pomyślał, że w taką noc jak ta człowiek powinien iść do domu i upić się. Upić się i napisać długi list. Jego pierwszy list do Jenny. Nigdy dotąd do tego nie doszło. Nie napisał listu do Jenny...

* * *

Dave przyjechał z Cooma z wiadomością, że zabierają chłopca. Dowiedział się o tym od czarnego chłopaka imieniem Gur. Prosiła go przecież, by powiedział jej, kiedy przyjdzie czas. Nie patrzył na Jenny, gdy przypominał sobie jej słowa.

Osiodłała kobyłę i pojechała razem z nim do miasta. Większość z czterdziestu mil pokonali galopem, jadąc na skróty po dzikich ostępach i walcząc z czasem.

Jenny ostatnimi czasy mniej jeździła konno. Dlatego teraz czuła, jak jej uda obcierają się pod sukienką do konnej jazdy, aż krew zaczyna przesiąkać przez materiał. Podróż dwukółką

byłaby zbyt wolna, nie miała czasu na jazdę łatwiejszą drogą. Musiała zdążyć pożegnać się z dzieckiem, w którym płynęła jej krew.

Kiedy dojechali do Cooma, przed budynkiem więzienia stał już wóz z klatką na więźniów, gotowy, by ruszyć w okreśną drogę na północ.

Dave powiedział jej, że chłopaka czekają całe dni, a może nawet tygodnie podróży w tej klatce, przerywane postojami przy innych więzieniach, skąd również zabierano skazańców. Narysował jej mapę drogi, zaznaczając miejsca postoju. A na końcu podróży... To, co czekało tam chłopca, mogła usłyszeć w głosie Dave'a i widzieć w jego uciekających na boki oczach.

Stała koło drzwi i przyglądała się, jak wyprowadzają Eda, pozwalając, by i on ją zobaczył. Nic więcej. Nie miała dla niego słów. Mogła tam tylko stać, patrzeć, jak go zabierają w klatce niby jałówkę zbyt młodą, by dało się ją ciągnąć na powrozie do rzeźni.

Wdzięczna była za ból, jaki przenikał jej ciało po ciężkiej jeździe.

— Przyślę ze stajni dwukółkę, żeby cię zawiozła z powrotem — powiedział Dave, wciąż unikając jej spojrzenia, kryjąc myśli, które oczy mogłyby zdradzić. Nic więcej nie powiedział, odwrócił się do niej tyłem. Kiedy odchodził, jego dziwnie sztywne ramiona oskarżały ją.

To dobry człowiek, pomyślała Jenny, a dobrzy ludzie pewnych spraw nie potrafią zrozumieć.

Koło aresztu przykucnął czarny chłopak. Przyglądał się, jak odjeżdża wóz z więźniem, a potem przyjrzał się także jej. Poznała go. Wołali na niego Gur. Od kangura. Ponieważ chodząc lekko podskakiwał. To był syn Ringi, Rum.

Kiedy kurz za wozem więziennym zniknął na północy, od południa słychać było nadjeżdżający dylizans. To kurier z pocztą z Rock Flat i Nimmity Belle oraz położonego trzydzieści mil na północ wybrzeża Gowing Wharf.

Dave sam osobiście przyprowadził jej powozik.

— Odebrałem pocztę dla Minaby Flat — powiedział. — Torba leży w powozie.

— Bardzo to miło z twojej strony — odparła Jenny.

Starła się, by jej słowa brzmiały przekonująco.

— Pomyślałem, że to też powinnaś dostać. — Dave wręczył jej gazetę, wciąż nie patrząc na Jenny. — Zauważyłem opis pewnej historii w gazecie z Sydney, która cię zainteresuje. To jedno z tych wydarzeń, które się dzieją w Londynie, a wiadomość jest przesyłana kablem, tak przynajmniej mówią. Coś się stanie w Anglii i my o tym wiemy, nim minie tydzień, a nieraz

nawet szybciej, prawie od razu. To trochę nie ma sensu, zwłaszcza że Anglia jest tak daleko. Właściwie żadna wygoda — dodał, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zdziwiona Jenny rozwinęła gazetę, śledząc wzrokiem sztywne plecy odchodzącego w stronę stajni Dave'a.

Wreszcie spojrzała na gazetę, którą trzymała w ręce.

„Wiadomości dla Kolonii wysyłane cotygodniowo kablem z Londynu”. Podmorskie i lądowe kable zainstalowano trzy lata wcześniej. To nie była dla niej żadna nowina.

Czytała gazetę powoli, uważnie, zatrzymując się nad poszczególnymi słowami. Nigdy nie piszą tak, jak się mówi, pomyślała.

„W obecności zebranych gości z najwyższych sfer towarzyskich ogłoszono zaręczyny panny Jennifer Donohue, córki Michaela Donohue, pana na Berkshire w Anglii i Galway w Irlandii, z kapitanem Trevorem Jonathanem, synem i dziedzicem szlchetnego wicehrabiego Langley. Michael Donohue jest właścicielem dużych majątków ziemskich w Nowej Południowej Walii, zarówno w samym Sydney, jak i okolicach powstającego miasta w południowo-wschodniej części Kolonii, Cooma”.

Jenny spojrzała w stronę stajni ze ściągniętą twarzą. Czytała dalej, szukając, gdzie jeszcze pojawi się nazwisko Mike'a.

„Należałoby też przypomnieć, że szlchetny dziewiąty wicehrabia Langley odziedziczył tytuł w 1852 roku po przeprowadzeniu procesu potwierdzającego domniemaną śmierć jego kuzyna w drugiej linii, ósmego wicehrabiego Langley, i w konsekwencji śmierci jego kuzyna z trzeciej linii, ewentualnego dziedzica, który zginął w 1841 roku podczas ataku na brytyjski garnizon w Kabulu, w Afganistanie, gdy służył w brytyjsko-indyjskim batalionie pod dowództwem generała Elphinstone'a”.

Kuzyn pierwszej linii, drugiej, trzeciej! Trzymają się w rodzinie w tamtej części świata, przynajmniej z tymi, którzy się liczą, pomyślała poirytowana, wciąż nie mogąc pozbyć się myśli o więziennym wozie.

Spomiędzy gmatwaniny słów i szczegółów zaczęła się wyłaniać treść artykułu.

„Po swoim ślubie, panna Jennifer Donohue, dumny kwiat Kolonii Nowej Południowej Walii, bez wątpienia stanie się pomocna kapitanowi Trevorowi Jonathanowi, który został przydzielony, by służyć jako *aide-de-camp* w tej właśnie Kolonii honorowemu przedstawicielowi Jej Królewskiej Najwyższej Mości, królowej Wiktorii, jego eksceleencji sir Herculesowi Geor-

ge'owi Robertsowi Robinsonowi, pierwszemu baronowi Rosmead, gubernatorowi Nowej Południowej Walii i Kolonii jej podlegających.

Zaręczyny zostały zawarte w obecności Michaela Donohue, 23 września, z okazji szesnastych urodzin Jennifer Donohue. Formalnie ogłoszono je podczas wielkiego przyjęcia, które odbyło się 20 października, a wydanego przez wicehrabiego Langley w jego posiadłości, która jest majątkiem rodzowym w Surrey, z okazji ukończenia przez kapitana Trevora Jonathana dwudziestych pierwszych urodzin".

Jenny zaczęła się śmiać. Ci ludzie z innego świata wydali jej się zabawni, a przynajmniej w taki sposób byli opisywani. Ale już następne słowa przykuły jej uwagę.

„Panna Jennifer Donohue wraca do Nowej Południowej Walii wraz ze swym ojcem, by wziąć tam z kapitanem Jonathanem ślub, który odbędzie się 23 września nadchodzącego roku.

W tejże Kolonii zamieszkuje wielu irlandzkich ekspatriantów i nie od rzeczy byłoby przypomnieć, że gubernator Nowej Południowej Walii, sir Hercules Robinson, jest Irlandczykiem, który dołączył do 87 pułku królewskich fizylierów w 1843 roku i był zmuszony zrzec się patentu oficerskiego w następstwie sprzedaży majątków rodzinnych — z powodu głodu w Irlandii w latach czterdziestych".

Jenny roześmiała się znowu. Demagog! Artykuł był napisany przez jakiegoś irlandzkiego demagoga. Żadnej informacji nie można było traktować poważnie!

Czarny chłopak, na którego wołali Gur, siedział nadal w kucki przy drzwiach więzienia otoczony chmurą much. Oczy miał spuszczone, teraz już na nią nie patrzył.

Na północy niebo było już całkiem czyste, kurz wzniesiony przez wóz więzienny opadł.

Dlaczego wybrali akurat dzisiejszy dzień, by go zabrać? — zastanawiała się Jenny.

Dzisiaj skończył piętnaście lat.

Z okazji swoich szesnastych urodzin... panna Jennifer Donohue, dumny kwiat Kolonii...

Wychodząc z budynku więzienia, syn Jen, Ed, podniósł wzrok i zobaczył Jenny. Spojrzała mu prosto w oczy. Po raz pierwszy. Tylko przez chwilę.

Jenny zawróciła konia z pożyczonym powozikiem w stronę domu, gdzie Ringa, uważna i opiekuńcza, strzegła w milczeniu sekretów i machała jemiolą, by odpędzić złe duchy, które ją nawiedzały.

Wszystko składało się na jedną całość. Wszystkie kawałki.

Kiedyś uda jej się je ułożyć i połączyć razem. Gdy nie będzie taka zmęczona.

W połowie drogi do doliny pomyślała, że chociaż trudno uwierzyć, to może Mike naprawdę wraca do domu!

Minęły święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, przyszedł styczeń siedemdziesiątego szóstego, a Jenny czekała z nadzieją na pocztówkę od Mike'a. Zamiast tego nadszedł od niego wreszcie pierwszy list, napisany ponad trzy miesiące wcześniej, datowany: czwartek, dwudziesty pierwszy dzień października 1875 roku.

„Najdroższa Jenny, pierwsza z moich dwóch ukochanych Jenny, moich dwóch miłości, którym oddaję wszystkie uczucia, co zrozumiesz, kiedy spotkasz tę drugą.

Wszystko ma swój cel i przyczynę. A jeśli wydaje się, że tak nie jest, potrzeba tylko niewielkiej pomocy czarów. Każdy Irlandczyk jest w pewnej mierze czarownikiem. A ten twój jest trochę bardziej niż przeciętny, jeśli chodzi o jego sposoby odgrzebywania faktów, układania planów i zakładania pułapek, by doprowadziły do szczęśliwego końca w sposób, w jaki dobry Bóg sam by zrobił, gdyby nie to, że miał ręce i uwagę zajęte czym innym.

Jeśli to brzmi, jakbym sam sobie gratulował, to dlatego, że tak właśnie jest. Na naszą Jennifer czeka przyszłość dla niej zaplanowana, jej stopy już podążają ścieżką przygotowaną przez Irlandczyka tak starannie, jak tylko Irlandczyk potrafi to zrobić.

W Irlandii mówi się, że prawa przysługujące mu z urodzenia Irlandczyk musi zakupić lub wywalczyć, ponieważ Anglicy mu je ukradli lub odebrali. To, co zostało mu wyrwane, Irlandczyk odkupuje w Irlandii i w Anglii, a ten Irlandczyk, o którym tu mowa, nie ukradł nic, ani innemu Irlandczykowi, ani żadnemu Anglikowi. Zapamiętaj to, Jenny. Zawsze to pamiętaj. Ona miała takie samo prawo jak inni. Bardziej niż inni. Najstarsza najstarszej. Ale piszę teraz już bez związku i sam się łapię w pułapkę własnych słów, więc dość na tym.

Nie ma czegoś takiego jak szczęście Irlandczyków. Jest tylko knucie i planowanie, a nikt tego nie potrafi lepiej niż twój własny Irlandczyk. Ale nawet plany Irlandczyka pozostaną nie spełnione do końca, jeśli choć jedna drobna sprawa zostanie zaprzepaszczona.

Jeden krok w jednym czasie. Jedna przeszkoda na raz. A tyle tych przeszkód nastawiałaś na mojej drodze, Jenny, że zamieniłaś mi życie na bieg z przeszkodami. Życie czasami jest trudne i nie ma na to rady. Ale za swoją pomyślność sami jesteśmy odpowiedzialni, czy nie tak zawsze mówiłaś, Jenny?

Ty nie popełniałaś pomyłek, Jenny, poza jedną. Powinnaś była wyjść za mnie, kiedy cię o to prosiłem. Nie okazałbym się przecież takim złym ojczymem, prawda?

Plotę tak i plotę, a nie przekazałem ci jeszcze ostatnich wieści. Moja mała Jenny wychodzi za mąż. Opuszcza mnie, by iść ścieżką, jaką sam dla niej wydeptałem. Zrobiłem z niej prawdziwą damę i teraz jako dama będzie dalej prowadziła swe życie.

Bo Jenny jest najprawdziwszą damą, prawdziwszej nie można by sobie wymarzyć. To jej napiszę na prezencie, jaki otrzyma od nas obojga. Na złotym dzienniku, w którym opisywać będzie swoje życie.

A teraz, moja najpierwsza i na zawsze Jenny, muszę ci napisać, że będę tęsknił za tobą jeszcze bardziej, kiedy nie będzie ze mną mojej małej Jenny. Wiele lat temu powiedziałem, że znajdę sposób, byśmy mogli dzielić wspólną przyszłość. I tak się stało, dzięki Bogu i Jego cudom. I wierzę, że nic już tego nie zmieni.

Przewędrowaliśmy długą drogę, ty i ja, razem, choć przez większą część tej podróży osobno. Zakończmy ją wspólnie. Jeszcze przed nami kawał drogi, a to, co na dnie butelki, zawsze jest najśłodsze.

Nie odrzucaj mnie ponownie, Jenny, bo uznam się za skazanego za grzechy, które niewątpliwie popełniłem, ale przecież zbierałem kawałki porzucane przez Boga i składałem je według własnego upodobania".

Jenny wpatrywała się w kręty podpis Mike'a, potem przeczytała od nowa cały list, nie rozumiejąc znaczenia pewnych słów i całych fraz.

Musiał być pijany, kiedy to pisał, uznała wreszcie. I pewnie jeszcze nie wytrzeźwiał, kiedy szedł na pocztę. A teraz najprawdopodobniej już zapomniał, co napisał, ostrzegła samą siebie. Ale czytała ostatnią stronę raz po raz, a czytając dotykała napisanych słów.

Teraz już oczekiwała na sydneyjskie gazety, szukała w nich strony z plotkami towarzyskimi w nadziei, że pojawi się wśród nich nazwisko Mike'a, tak jak się to zdarzyło dwa razy wcześniej.

Podczas ostatnich dni lata do doliny zawitała i gazeta, i gość.

Na stronie poświęconej wiadomościom towarzyskim Jenny znalazła znowu nazwisko Mike'a.

„Panna Jennifer Donohue, córka Michaela Donohue i narzeczoną szlachetnego kapitana Trevora Jonathana, *aide-de-camp* gubernatora Nowej Południowej Walii, sir Herculesa Robinsona, podróżuje na parowcu S.S. Luizjana płynącym do Kolonii Nowej Południowej Walii. Statek powinien przybyć do portu Jackson w następnym miesiącu. Towarzystwo w Sydney oczekuje, że jesienny sezon rozpocznie przybycie przyszłej wicehrabiny Langley".

Gościem był pewien wagabund. Jak większość podróżujących bez celu, zjawił się w dolinie tylko po to, by zawadzić o pub i wyprosić w mijanych gospodarstwach trochę jedzenia, pieniędzy, ubrania i może noc lub dwie na sianie.

W pubie, kiedy był już po czterech whisky, zaczął opowiadać o sprawach, których nie poruszał w mniej oddalonych osadach.

Siedział pięć lat w więzieniu Berrima, tak zwanej diabelskiej dziurze, i opowiadał o tym mieszkańcom doliny, którzy go chętnie słuchali.

Jenny też wysłuchiwała jego opowieści, kiedy przyszedł do jej gospodarstwa. Dała mu jeść, trochę pieniędzy, ubranie i wysłała, by ruszył dalej własną drogą. Ale jego słowa z nią zostały, nie mogła przestać myśleć o Edzie, synu Jen, i nie mogła zapomnieć o Jennifer, córce Mike'a. Jak inaczej ułożyło się ich życie.

Ostatnia lutowa poczta przyniosła trzeźwą kartkę od Mike'a. Na obrazku był bukiet wyblakłych kwiatów, a po drugiej stronie kilka słów, nie nawiązujących do poprzedniego listu. Wiadomość była lakoniczna. Mike pisał, że wraca, gdyż zamierza zamieszkać w Sydney, gdzie planuje otworzenie następnego przedsiębiorstwa wynajmu koni. Zaraz po powrocie odwiedzi Cooma i ma nadzieję wtedy się z nią spotkać.

Zdania z październikowego listu wryły się jej głęboko w pamięć.

„...Zakończmy naszą podróż wspólnie. Jeszcze przed nami kawał drogi. A to, co na dnie butelki, zawsze jest najslodsze”.

Próbowała się śmiać z niego, że wypisywał takie bzdury, i z siebie, że prawie uwierzyła w pijackie majaczenia. Najprawdopodobniej zaraz po napisaniu listu usiadł i całkiem sam wypił do końca tę cholerną butelkę. — Pomyślała. Ujęła kartkę z wyblakłym bukietem za jeden róg i odrzuciła ją od siebie. Kartka jak żagłówka poszybowała na drugą stronę pokoju.

20.

Kiedy Jenny tak stała przed domem oczekując mężczyzny, który nie wrócił, i patrzyła z doliny na drogę, wydawało się, że czas stanął w miejscu, jak gdyby nie przeminęło lato i jesień pięćdziesiątego dziewiątego roku.

Gdy zobaczyła go wjeżdżającego do doliny, ciągle jeszcze tkwiła w przeszłości — siedemnaście lat wstecz. Skręcił w drogę prowadzącą do jej gospodarstwa, na pół ukryty w tumanach kurzu. Dopiero wtedy zrozumiała, że jest tam naprawdę. A kiedy ściągnął wodze, zatrzymał przed tarasem konia, zsiadł z niego i stał patrząc na nią, znowu znalazła się w przeszłości, w grudniu pięćdziesiątego ósmego. W tym samym miejscu co teraz czekała, by do niej podszedł, chciała, by jej powiedział to, co ona pragnęła od niego usłyszeć, gotowa nie odtrącić go.

Od tego dnia go nie widziała.

Nagła wściekłość zabarwiła jej policzki czerwienią. Czuła się tak, jakby jakaś jej część stała w tym miejscu od tego dnia przez cały czas w oczekiwaniu na niego!

Podszedł do niej powoli, otrzepując kurz z ubrania. Tak samo wtedy otrzepywał się z popiołu po całodniowym gaszeniu pożarów na stokach.

Podszedł bliżej, po prostu patrzył na nią bez słowa, i widać było, że czyta w jej myślach. Rumieniec Jenny jeszcze mocniej zapłonął.

— Dawniej nie rozumiałem kobiet tak dobrze jak teraz — powiedział Mike z uśmiechem.

— I gdzież to zdobyłeś odpowiednie wykształcenie? — zapytała gniewnym tonem.

— Tu i tam — wybuchnął gromkim śmiechem. — Och, Jenny, Jenny ty się nigdy nie zmienisz.

Wpatrywała się w niego. Widziała go, słyszała, rozmawiała z nim. Wydawało się, jakby czas stanął w miejscu. Ale nie zatrzymał się.

Czuła, jak krew odpływa z jej policzków. Zbyt wiele czasu przeszło. Wszystkie te lata!

— Słodkie słówka — udało jej się wykrztusić. — To nieprawda.

Cofnął się o krok i nadal się jej przyglądał.

— Rzeczywiście, to nieprawda. Zawsze byłaś ładną dziewczyną, ale teraz jesteś piękna. Bardzo, bardzo piękna.

— To tylko ładne piórka, i wszystko — Jenny odwróciła się od niego, kryjąc rumieniec, który wrócił jej na policzki.

— Za bardzo chowasz się pod tym buszmeńskim kapeluszem — powiedział. — I w tej zapadłej dolinie. — Rozejrzał się wokół, a potem wrócił do niej spojrzeniem. — Mam ci tyle do powiedzenia. Tyłoma sprawami chciałbym się z tobą podzielić. — Uśmiechnął się. — Tryumf, Jenny! Odniosłem zwycięstwo dla nas obojga. Ale nie mogę o tym mówić tutaj. To nieodpowiednie miejsce. I najpierw musisz poznać Jennifer. Nie zrozumiesz, póki jej nie zobaczysz. I nie rozpoznasz. — Zamilkł i przysunął się bliżej Jenny. — Ale nic z tego nie jest nawet w polowie tak ważne jak to, że jestem znowu z tobą. Wejdźmy do środka, ten upał jest nieznośny.

— Chłodniej będzie w cieniu drzew nad rzeką — powiedziała Jenny szybko. Szukała słów, jakichkolwiek słów i jakiegoś publicznego miejsca. — Strasznie gorąco tego lata. Doszło do czterdziestu trzech stopni w styczniu. Violet McGovern twierdzi, że nawet dużo wyżej. Na nowej farmie Farleyów pracuje kilkoro Spigottów. Rozpalili ogień dla uczczenia czternastolecia ich przybycia do doliny. Farleyów kosztowało to nową stajnię, a Spigottów o mały włos utratę pracy.

— Zaletą twojej rzeki — stwierdził Mike — jest to, że płynie również do innych miejsc.

Jenny milczała, kiedy schodzili w dół po stoku. Spojrzała na starą bookoolę, którą jak co roku uszkodził ogień.

Świadomość obecności Mike'a blisko niej była tak intensywna, że nie umiała się przed nim bronić. Zerkalała na niego. Zachowywał się, jakby wcale nie minęło tyle czasu, jakby nic się nie zmieniło. Ale on się zmienił. Stał się dżentelmenem o bardzo eleganckich manierach. Duma nie pozwalała jej na odrzucenie szorstkości, obawiała się protekcyjności ukrytej gdzieś w jego słowach.

Mike ściągnął zakiet i rozłożył go na trawie pod drzewem. Sam nadal stał, lustrując okolicę. Widział, ile zmian wprowadziła tu Jenny od ich ostatniego spotkania.

„Słyszałem, że zrobiła z doliny prawdziwe miasteczko”, powiedział mu Dave. Przygotowywał go. Może ostrzegał.

— Przyjechałem tutaj, żeby cię zabrać do Sydney, Jenny. Czy jesteś gotowa opuścić dolinę i odjechać ze mną?

— Nie lubię Sydney!

— Zostaniemy tam tylko tyle, ile potrzeba — powiedział, przypominając sobie grymas na szarej twarzy Trauntona Jonathana. — Potem będę cię mógł zabrać do Anglii i mojego domu w Irlandii.

— Mój dom stoi tutaj — powiedziała Jenny. — Jestem tu potrzebna.

— Pozwól, że opowiem ci o innych miejscach, gdzie także jesteś potrzebna. — Siedzieli już na trawie od kilku minut. Mówił bardzo ostrożnym tonem.

Słuchała w milczeniu, kiedy opowiadał jej o starym zamku z piaskowca na starożytnej ziemi w pobliżu zatoki Galway w Connemarze.

— To miejsce czeka na ciebie od bardzo dawna, Jenny.

— Wydaje się, jakby było samotne i opuszczone. Porzucone. — Tak jak ja, pomyślała, nie patrząc na niego.

— Miejsce tak samo jak człowiek może, czekając na ciebie, czuć się samotne i opuszczone. Ale nie zostało porzucone — dodał, przyglądając się jej spod zmrużonych powiek.

To dziwne, pomyślał Mike, przez siedemnaście lat myślał o Jenny, a przez szesnaście przyglądał się, jak rośnie inna kobieta ulepiona z tej samej gliny. I choć każda z nich zachowywała się i żyła w tak odmiennych warunkach, nie różniły się ani charakterem, ani temperamentem. Obie niespokojne, uważne, czekające tylko na błysk sztyletu.

Wszystko, co do tej pory jej powiedział, przygotowywało grunt pod to, co jeszcze miało zostać powiedziane.

— Ludzie, którzy mieszkali w Connacht przez całe życie, dbali o zamek i ziemię. To jest ich dom. A także mojego przyjaciela, ojca Patricka O'Reilly'ego. Przez jakiś czas był ranny i chory. Opiekowali się nim, aż całkiem wyzdobył. Teraz jest księdzem dla całej parafii. Ale to biedna parafia, Jenny. Potrzebuje kogoś, kto da tym ludziom pracę. — Znowu rozejrzał się po dolinie. — Może trzeba by wybudować jakieś warsztaty dla rzemieślników. Może gorzelnię, gdzie niektórzy znaleźliby zatrudnienie...

Głośny wybuch śmiechu Jenny wystraszył ptaki siedzące na drzewie.

— Jesteś czarodziejem słów, Mike'u Donohue. Ale jesteś jak wszyscy Irlandczycy. Nigdy nie wiesz, kiedy przerwać. Proponujesz, żebym pojechała tam i nauczyła Irlandczyków pędzić whisky? To przecież Irlandczycy nauczyli mnie. I co niby ci biedacy robili przez całe życie? Po prostu siedzieli z założonymi rękami i czekali na mnie?

— Coś w tym rodzaju. Musisz ich spotkać, żeby zrozumieć. Siedzieli pod butem Anglików tak długo, że zapomnieli — przynajmniej większość z nich — jak się pracuje. Ale masz rację. Rzeczywiście mówię zbyt dużo. Powtarzam tylko myśl, jaka mi przyszła do głowy, kiedy wyobrażałem sobie tam ciebie. Miałem nadzieję, że taka chwila nadejdzie.

— Mam mnóstwo roboty tutaj.

— Jeszcze teraz? I czy życie składa się tylko z pracy? Praca i jeszcze więcej pracy?

— Praca zatka każdą dziurę. I coś daje. Dzięki pracy coś się dzieje. Płynie życie.

— Ale życie może przeciekać też między palcami, Jenny.

— Jeśli życie sprowadza się do wyboru między pracą a Irlandczykiem, zawsze wybiorę pracę. Więc bardzo ci dziękuję za propozycję pracy w Irlandii. Będę o niej pamiętała, kiedy tutaj wyczerpią się możliwości.

Jenny zamilkła nagle. Odwróciła od niego twarz i spojrzała na drzewo.

— To drzewo jest polem bitwy dla ptaków i insektów o tej porze dnia — odezwała się, kiedy mogła już zawierzyć swemu głosowi.

— Dlaczego ciągle walczymy, kiedy jesteśmy razem? Dlaczego? Dlaczego nie umiemy przestać, nawet dzisiaj?

Jenny usiłowała się roześmiać.

— Przypuszczam, że z powodu irlandzkiej krwi, która w nas obojgu płynie. Może to, że mamy ze sobą tyle wspólnego, odsunęło nas od siebie. — Spojrzała na niego. — Na tak długo.

— Nawet jeśli byśmy mieli klócić się do śmierci, potrzebuję ciebie.

— Potrzebujesz mnie? — Jenny znowu spojrzała na niego, w jej oczach ujrzał ból. — Nie było cię przez siedemnaście lat! Siedemnaście lat. Nawet dłużej. Od grudnia pięćdziesiątego ósmego. Prawie osiemnaście! — Odwróciła głowę, żeby nie widział w jej oczach łez.

— Zrozumiesz wszystko, kiedy przyjedziesz do Sydney — powiedział Mike.

— Jeśli tam pojedę. Nie możesz spodziewać się, że zjawisz się w mej dolinie po tylu latach, a ja pojedę za tobą na pierwsze gwizdnięcie.

— Nie mogę? Miałem inne wrażenie, gdy wjechałem do doliny i zobaczyłem cię na progu domu. Powinienem był zrobić wtedy to, co od razu przyszło mi do głowy. Wziąć cię na ręce i zanieść do sypialni. Zapłaciłabyś za każdą chwilę tych siedemnastu czy osiemnastu lat czekania.

— I myślisz, że bym ci pozwoliła?

Mike spojrzał na nią, szukał wzrokiem jej twarzy, a potem spojrzał na wąską rzekę, która meandrowała pomiędzy skałami, kierując się w stronę wąwozu. Po drugiej stronie dobrze wydeptana ścieżka biegła z gospodarstw na południowym zboczu do centrum wioski.

— Tak, myślę, że byś mi pozwoliła. Nawet teraz i tutaj. A mnie nie obchodziłoby za grosz, gdyby wszyscy mieszkańcy wioski ustawili się na brzegu i nam się przyglądali!

Jenny roześmiała się, własny śmiech zabrzmiał obco w jej uszach.

— I to by ci odpowiadało, czyż nie, Mike'u Donohue? Potem ty byś się mógł przyglądać, jak mnie tarzają w smole i pierzu i wyganiają jako grzeszną kobietę z miasta. Znalazłam kiedyś taki opis w książce.

— Zawsze tak to traktowałaś, Jenny, prawda? Dla ciebie nasze kochanie się to powód do żartów, nigdy nie podchodziłaś do tego poważnie. Prawda?

— Jeśli ty możesz sobie żartować na ten temat, to czemu nie ja?

— Ja nie żartowałem, Jenny. Mam zamiar cię kochać, i to już. Nie mów mi tylko, że nie jesteś gotowa na mnie, bo twoje ciało zada temu kłam. Jesteś gotowa. O, na Boga, wezmę cię.

Jenny cofnęła się gwałtownie, usiłując wstać, ale on złapał ją za ubranie, pociągnął na ziemię, ściągając cienką muślinową suknię i wszystko, co było pod nią.

Roześmiał się — nienaturalnie, prawie groźnie.

— Wszystkie te warstwy ubrania w tym cholernym klimacie!

Jenny, na wpół naga, biła go pięściami po piersi, ale osłabła, czując żar jego ciała pod jedwabną koszulą. W tej chwili jej pożądanie stało się równie silne jak jego, zerwała z Mike'a koszulę, poczuła pod palcami nagie ciało, pociągnęła go na siebie, ściągnęła pas, bryczesy — wszystkie te lata oczekiwania zamieniły się w nagłe, wspólne pożądanie.

Leżąc na trawie z otwartymi ustami i oczami wpatrywała się w drzewo i krzyjące ptaki. Potem znowu zamknęła oczy, czując Mike'a w sobie. Powracała do życia.

Leżeli tak razem przez długi czas, jedno było częścią drugiego, ich spragnione ciała przykryte tylko strzępami odzienia.

Mike oparł wreszcie głowę na łokciu i spojrzał na nią.

— Ty bękarcie — powiedziała. — Uwiodłeś mnie.

Uśmiechnął się, a po chwili uśmiech zamienił się w śmiech, który poczuła też w sobie.

Usłyszeli kroki na ścieżce wzdłuż rzeki, ktoś przystanął na chwilę, a potem szybko odszedł. Mike zakrył twarz Jenny swoim ciałem.

— Znowu jedna z tych Spigottówien! — powiedział oddalający się od nich głos.

— To w najwyższym stopniu niesmaczne! — odpowiedział drugi.

— Ktoś powinien o tym powiedzieć Jenny Travis. Już ona by temu jakoś zaradziła.

Jenny zaczęła się śmiać.

— Jednak skończyło się to żartem.

— Zostaw to miejsce i chodź ze mną, Jenny. Potrzebuję cię. Kocham cię.

— Nigdy mi tego wcześniej nie powiedziałaś. Nigdy wprost.

— Naprawdę? Myślałem, że tak. Milion razy.

— Nie. Ani razu. Nigdy wprost.

— W takim razie teraz ci to mówię. — Patrzył na nią i czekał. — A co z tobą? Czy mnie kochasz?

— Oczywiście, że cię kocham — odpowiedziała Jenny obrażonym tonem, sięgając pamięcią wstecz. — Zawsze cię kochałam.

— Zmarnowaliśmy tyle czasu — szepnął Mike.

— Powiedzenie paru słów niczego tak naprawdę nie zmieni, Mike.

— Ale czuła w sobie takie pragnienie, że nie mogła powstrzymać się od powiedzenia tego, co ją nurtowało. — Moglibyśmy stworzyć szczęśliwy dom dla nas tutaj albo w Cooma.

Pochylał się ku niej, ale nagle odskoczył.

— Nie zbuduję sobie więzienia, Jenny. Nie zrobię tego nawet dla ciebie. Nie w tej dziurze zabitej deskami. Musiałbym być inwalidą, żeby pozostać w takim miejscu jak to. Może nim muszę właśnie się stać, jeśli to jedyna droga, byśmy byli razem.

— Nie mów takich rzeczy! Kuisz los.

Mike podniósł swoją kurtkę i otulił nią Jenny, wygładzając strzępy jej sukni. Ściągnął z siebie resztki koszuli i stanął ubrany tylko w buty i bryczesy, z obnażonym, brązowym torsem.

— Moja zwariowana irlandzka dziewczyna — powiedział patrząc na nią. Siedziała wciąż na trawie w jego kurtce, z włosami opadającymi na ramiona. — Zabobonna jak każdy w Irlandii, ale nie na tyle szalona, by wyczuć to, co ja za każdym razem czuję, gdy wjeżdżam do tej doliny.

Ciemną, złą siłę, oczekującą, by cię zranić. W jakiś sposób ona ci zrobi krzywdę.

Ściągnęła w tył włosy, szukając w trawie szpilek.

— Powiedziałbyś wszystko, Mike'u Donohue, żeby mnie stąd wyciągnąć. Może i złożę w Sydney kiedyś wizytę. Zastanowię się nad tym. Ale teraz wołałabym, żebyś już więcej nie mówił takich rzeczy. To zaproszenie dla nieszczęścia.

— Prawda często przywołuje kłopoty, Jenny.

Tydzień później Jenny zdecydowała się odwiedzić Sydney. Nie potrafiła wyrzucić z pamięci pożegnalnych słów Mike'a. Były jak wyzwanie.

— Boisz się tam wrócić, Jenny — powiedział. Siedział już w siodle i spoglądał na nią z góry. Czuła się przy nim mała i nieśmiała. — Dlatego właśnie się tutaj schowałam. Ponieważ się boisz.

— Nie boję się! Nigdy się niczego nie bałam! — Ale przypominała sobie burdele i wyszynki, szorstkie ręce na jej ciele, interesy w ciemnych zaułkach, smród i ubóstwo Lower Rocks. — Ja po prostu należę do tego miejsca. Dobrze mi tu w górach pomiędzy kozicami i królikami, jakby powiedział Jazon. Jestem tutaj potrzebna.

— Twoja praca w tym miejscu dobiegła kresu, Jenny. Twój syn jest dorosłym mężczyzną i ma już własnego syna.

— Ale muszę jeszcze zbudować miasto.

— Ile ludzi mieszka obecnie w tej cholernej dolinie?

— Pięćdziesięcioro czworo — odparła z dumą. — Ale w tym roku będzie więcej. Spigottowie, którzy mają farmę trzody chlewnej na południowym stoku doliny, produkują szybciej dzieci niż prosiaki. Liczę, że do końca roku będzie z pięćdziesiąt sześć osób. Starsza córka Spigottów pracuje jako służąca, ale wkrótce dorobimy się więcej służących niż gospodarstw, jeśli ta rodzina nie poświęci więcej czasu swoim świniom.

Mike roześmiał się.

— Jeśli Jonathan Travis szukał odosobnionego miejsca, to mądrze postąpił, odchodząc wkrótce po sprowadzeniu ciebie do swej kryjówki. Jenny, Jenny! Skoro w dolinie mieszka już teraz pięćdziesięcioro czworo ludzi, a dalsi są w drodze, to nieobecności jednej nikt nie zauważy.

— To byłoby okropne, gdyby nikt nie odczuł mojej nieobecności.

— Ja tęskniłem za tobą przez ostatnie siedemnaście lat. Czy musi za tobą tęsknić całe miasto, żebyś czuła się potrzebna?

— Taka już jestem, Mike. A tu jest coś, co ja sama stworzyłam.

— W tym również dzieci Spigottów i ich świnie? Nadchodzi czas, ukochana Jenny, kiedy wioska lub miasto żyją już własnym życiem. Więc nie używaj takiej wymówki. Nie przekonasz mnie w ten sposób. Boisz się powrotu do Sydney, tak jak powiedziałem, i oto cała prawda. Wstyd mi za ciebie, Jenny. Jesteś tchórzem! Gdybyś nie była, jechałabyś teraz ze mną.

Podniosła kamień i cisnęła w niego. Uchylił się i odjechał, odwracając się jeszcze przez ramię.

Jenny usiadła przy biurku nad kartką papieru listowego. Zacisnęła zęby, a na jej twarzy ukazał się wyraz stanowczego postanowienia.

Szanowny panie Entwistle — zaczęła. Nad dalszą częścią listu mozoliła się przez godzinę. Pisała go, przepisywała i wreszcie rezultat ją zadowolił.

Jako stojąca na czele przedsiębiorstwa produkującego Garnett-pokrzepiciela kobiet, osobiście odpisuję na pański list. Rozważam teraz przyjazd do Sydney, więc byłoby mi bardzo miło spotkać się z przedstawicielami firmy Goliath Jones.

Uprzejmie proszę o zawiadomienie mnie zwrotną pocztą o dniu i godzinie możliwego spotkania.

Byłabym również niezwykle wdzięczna za doradzenie mi w sprawie hotelu, gospody czy innego miejsca noclegowego odpowiedniego dla wdowy, która podróżuje samotnie. Jak również przedsiębiorstwa wynajmu powozów i woźnicy na czas pobytu w Sydney.

Z góry bardzo wdzięczna za pomoc,

szczerze oddana

Jenny Garnett,

właścicielka Garnett i spółka.

Jechała wzdłuż tych samych ulic co wtedy, gdy opuszczała Sydney z Jonathanem. Pomyślała, że nic nie pozostało takie samo jak było. Woźnica zatrzymał się przed hotelem „George” na rogu ulicy Pitt i rynku. Zaczerpnęła głęboki haust powietrza, przyglądając się ogromnym budynkom wznoszącym się nad nią na pięć pięter, jakie dotąd widziała tylko na fotografiach.

Hotelowy portier w liberii pomógł jej wyjść z powozu, lokaj wyładował bagaż na czekający wózek bagażowy i wtedy coś się wydarzyło.

Z ciemnego podcienia wybiegło kilkoro dzieci. Otoczyły jej pakunki, wyciągając dłonie i czapki, gotowe w każdej chwili do ucieczki.

Pośpiesznie szukała monet, niespokojna, że mężczyzna w uniformie spojrzy w ich stronę. Kiedy zobaczyła, jak odwraca głowę, i usłyszała jego głos wznoszący się do krzyku, poczuła, jak jej własne nogi przygotowują się do ucieczki.

— Zmiatać stąd, wy nędzne, małe żebraki. Nie zbliżajcie się do tej damy, bo wezwę konstabla.

— Łapcie — krzyknęła Jenny do dzieci, rzucając im garść monet.

Własny głos wydał jej się obcy. Zabrział ostro i piskliwie, był to jej głos z dzieciństwa, kiedy sama biegała w grupie takich dzieci.

Chwila minęła szybko, monety upadły i grupa uliczników znikła. W tej chwili zdała sobie sprawę z obecności szwajcara hotelowego i portiera.

— To małe dzieci, i do tego głodne — powiedziała swym normalnym głosem.

— To brudne, małe szumowiny, szanowna pani. Nie chciałyby pani mieć z nimi nic do czynienia.

Uśmiechnęła się tym pełnym wyższości uśmiechem, którego nauczyła się od Violet McGovern.

Powtórnie otworzyła torebkę, sięgnęła i wyjęła następne monety, by wręczyć je z kolei portierowi i szwajcarowi.

Kiedy mężczyźni schowali pieniądze, uśmiechnęła się znowu.

— Te dzieci po prostu przygotowują się, by kiedyś zostać pracownikami hotelu — powiedziała. — Ale ponieważ małe biedactwa nie dojadają, nigdy nie obrosną należycie tłuszczem.

Wkroczyła do hotelu. Drobnym incydentem przeniósł ją z jednego czasu w drugi, z dawnego do nowego świata. Na widok metalowej klatki windy starała się nie okazać ogarniającego ją przerażenia. Weszła do środka, przyglądając się, jak obsługujący windę człowiek zamyka drzwi od środka. Poczula się niby w pułapce. Gdy wreszcie wyszła na solidną podłogę korytarza, trzęsły jej się ręce.

Patrzyła przez okno na południowo-zachodnią stronę rozciągającego się przed nią miasta, szukała wzrokiem znajomych widoków z dzieciństwa: farm, ogródków warzywnych i pastwisk pomiędzy zabudowaniami, wałących się sklepików i magazynów wzdłuż Pitt, bud na targowisku. Wszystko, na co patrzyła, wydawało jej się obce. Była z tego zadowolona.

Jenny odwróciła się, podeszła do okna balkonowego, nie zwracając uwagi na port przeniosła wzrok w stronę Lower Rocks, ku swej przeszłości.

Następnego dnia, na godzinę przed umówionym spotkaniem z Goliathem Jonesem, zacięła zęby i ignorując schody, zjechała metalową klatką na obiecujący bezpieczeństwo parter.

W świecie bogatych istniały koszmary, których biedni nawet nie podejrzewali, pomyślała i powodowana impulsem ruszyła na północ przez Pitt, potem Post-Office Way, a następnie skręciła w George, gdzie miała się spotkać ze swymi partnerami z przedsiębiorstwa handlowego. Czuła potrzebę przejścia się bez celu dawniej znajomymi ulicami, przechadzania się tak jak damy i dżentelmeni, tym razem nie słysząc ich gniewnych głosów odtrącających ją, nakazujących jej powrót do ruder na Rocks, gdzie według nich należała.

Marsz zwycięstwa, powiedziała sama do siebie.

W połowie ulicy Post-Office Way zatrzymała się, czując, że czegoś tu brak.

Zniknął teatr Wiktorii! Millie wysyłała ją tam, by wyśpiewywała dziecinne piosenki przed budynkiem teatru. A ona przemykała się do środka, by przyglądać się Molly O'Reilly na oświetlonej scenie. Wspomnienie przemknęło i znikło. Jenny patrzyła na miejsce, gdzie kiedyś był Teatr Wiktorii, a teraz stały duże, nowe budynki, na których widniał napis Nieruchomości — Harris i Ackerman. Wróciła myślami do Millie.

Pod wpływem impulsu skinęła na przejeżdżającą dorożkę.

— Zawieź mnie na cmentarz — powiedziała do woźnicy.

Odwrócił się do niej i powiedział.

— To długa droga.

— Nonsens. Wcale nie jest daleko — odpowiedziała Jenny. — Zawróć i jedź wzdłuż rynku, kiedy dojedziesz do George, skreć w lewo, a potem prosto przed siebie tam, gdzie skończyli już chyba budować katedrę. Za pięć minut będziemy na miejscu.

Żałowała, że nie ma kwiatów. Ale znajdzie je na pewno na cmentarzu, w pobliskich zaroślach. Zawsze rosło tam trochę dzikich kwiatów. Wystarczy, by położyć na grobie Millie, na tym spłachetku nie poświęconej ziemi niedaleko katedry, gdzie chowano biedaków i prostytutki.

— To jest katedra — powiedział dorożkarz, kiedy dojechali na miejsce. — Ale tu już dawno nie ma żadnego cmentarza. Robił zbyt ponure wrażenie, taki opuszczony, i to w samym centrum. Ojcowie miasta zdecydowali się wznieść na tym miejscu nowy ratusz, a ciała, jak sądzę, zostały pod spodem. Więc jeśli szuka pani cmentarza, trzeba by się przekopać przez podłogę tego budynku. Mam nadzieję, że żadna bliska pani osoba nie spoczywała tutaj. Nikt niktogo nie chciał urazić, pani rozumie.

Przyglądał się jej z ciekawością, gdy tak siedziała wpatrzona w ratusz.

— Musi pani przybywać z daleka. Kamień węgielny położono pod ratuszem jeszcze w sześćdziesiątym ósmym, kiedy miasto wizytował książę. To jego chciał zabić ten Irlandczyk O'Farrell, ale mu się nie udało. Farrella powiesili, niektórzy powiadają, że zasłużył sobie za to, że nie trafił.

To wygląda jak pomnik na czyjaś cześć, myślała Jenny, spoglądając na ratusz wznoszący się na kościach Millie. Tak honorowano ważnych obywateli. Widywała zdjęcia pomników w

gazetach. Żaden nie był tak wielki jak ten. Niby monument ku czci Millie i innych, co spoczywali pod spodem w grobach.

— Możesz teraz zawrócić — powiedziała do woźnicy. — Zabierz mnie do przedsiębiorstwa transportowego Goliatha Jonesa. Mam spotkanie w interesach i nie chciałabym się spóźnić.

Droga nie była już brukowana kocimi łbami. Podkowy były w gładką kostkę. Minęły ich dwukółka i dwa otwarte powozy. Siedzące w nich damy i dżentelmeni nie byli ani lepiej, ani modniej ubrani niż ona.

Przedsiębiorstwo Goliatha Jonesa znajdowało się naprzeciwko poczty przy ulicy, która niegdyś prowadziła do baraków wojskowych. Jenny przez chwilę wydawało się, że słyszy krzyki żołnierzy maszerujących ulicą w stronę zamieszkaną przez dziwki Rocks, idących może od Point, gdzie Mike zbudował swe przedsiębiorstwo wynajmu koni na brzegu przy porcie.

— Czy chce pani, żebym poczekał? — zapytał dorożkarz po raz drugi.

— Nie, dziękuję — Jenny uśmiechnęła się i zapłaciła mu. — Zamówiłam własny powóz z woźnicą, będzie na mnie czekał, żeby zabrać mnie do hotelu.

Pan Entwistle, sztywny w wykrochmalonym, wysokim kołnierzyku, przywitał ją przy wejściu, a potem w lansadach poprowadził do gabinetu, gdzie stały stare dębowe meble, skórzane chesterfieldy i wisiały welwetowe zasłony. Znalazła się przed obliczami dwóch brodatych siwiejących dżentelmenów i jednego nieco młodszego. Wszyscy wstali z szacunkiem, by ją powitać.

Ogarnęły ją wspomnienia: miała siedem lat i pełzła na czworaka, ukryta w fałdach krynoliny starszej damy, która nie wiedziała, że ona się tam znajduje.

Kiedy starsza pani usadowiła się na krześle, Jenny wyjrzała spod spódnicy, gotowa złapać każde świecidełko, które jej wpadnie w ręce, ale ujrzała jedynie parę lśniących butów.

Podniosła wzrok w górę i zobaczyła uśmiechniętego młodego człowieka.

Wyciągnął ją i zaprowadził do tego właśnie pokoju. Wtedy zasłony nie były jeszcze wypłowiałe, chesterfieldy wyglądały na całkiem nowe, a broda młodego człowieka nie zaczęła siwieć.

— Naucz się, dziecko, zarabiać pieniądze każdym możliwym sposobem — powiedział jej — ale nigdy więcej nie kradnij.

Potem wyprowadził ją na ulicę, trzymając jej dłonie w mocnym uchwycie swoich rąk. Kiedy drzwi zatrzasnęły się przed jej nosem, znalazła między palcami lśniącego szylinga.

Czas wybielił jego brodę i przerzedził włosy, ale rozpoznała go. Miał te same łagodne oczy młodego człowieka, który jej pomógł, zamiast wysłać ją do borstalowskiego zakładu karnego dla młodzieży.

Uśmiechnęła się do niego, czując potrzebę opowiedzenia mu tej historii, przypomnienia siebie.

— Jestem starszym wspólnikiem tej firmy, moje nazwisko Woodward — powiedział z uśmiechem. — Wielki to dla mnie zaszczyt powitać damę z wyższych sfer, która jednocześnie odniosła wielki sukces handlowy. Damę z dużym zmysłem do interesów, i jeśli wolno mi dodać, odznaczającą się również dużym poczuciem humoru. Który mężczyzna piłby ukradkiem whisky z tak ozdobnej butelki? I przynoszącej taki dochód? — roześmiał się. — W tym pokoju możemy pozwolić sobie, by przede wszystkim porozmawiać o interesach. Chodzi o odrobinę mniejszy zysk dla Garnett i S-ka, a nieco większy dla Goliath Jones i S-ka.

Byli równymi partnerami! Kiedy wychodziła, czuła się większą damą niż jakakolwiek inna odwiedzająca tę firmę. Pan Woodward szedł u jej boku, prowadząc ją do wynajętego powozu.

Wiał zachodni wiatr, pchając przed sobą burzowe chmury, zaciągające szarością popołudniowe niebo. Kiedy wsiadła do powozu, zaczęła się ulewa.

— Zawieź mnie na Point — poleciła woźnicy. — Do przedsiębiorstwa wynajmu koni Michaela Donohue. — Była elegancką damą zamierzającą złożyć niespodziewaną wizytę dżentelmenowi. Nie mogła się doczekać chwili spotkania.

Długo oczekiwany deszcz spływał z nieba, jakby za czas suszy chciał odplącić powodzią. Piaszczyste drogi prowadzące do Point zamieniły się w kanałki i rzeczki, głębsze w miejscach, gdzie koła powozu wyżłobiły koleiny. Chodniki przy magazynach stały się śliskie od błota.

Przed stajniami Mike'a nie było chodnika. Droga otwierała się na podjazd dla koni. Niejeden przechodzień odwracał się, żeby spojrzeć na kobietę stojącą w błocie, która nie okazała nawet tyle rozsądku, by zakryć się parasolką przed deszczem.

Jenny czuła, jak mokre, ciepłe strumyczki płyną jej po twarzy. Ledwie była świadoma deszczu i tego, że płacze, ale musiała przetrzeć dłonią oczy, by wyraźniej widzieć. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że stoi w potokach wody, i schroniła się pod dach stajni.

Kiedy ujrzała Mike'a, zapomniała, że od ich pierwszego spotkania minęły dwadzieścia cztery lata. Wydał jej się zupełnie nie zmieniony, młody i pełen irlandzkiej energii. A młoda kobieta, która siedziała obok niego, to była ona, Jenny Travis, która nazywała siebie wdową

Garnett, sprzedającą whisky w Kirwin Inn, ubrana w perkalową sukienkę z połamaną krynoliną, z szalem na ramionach, w buszmeńskim kapeluszu na głowie i z pistoletem za pasem.

Perkal i krynolina były przeszłością, podobnie jak szal, buszmeński kapelusz i pistolet.

Dziewczyna, na którą teraz patrzyła, miała na sobie suknię z pięknego materiału, podkreślającą figurę, prostą z przodu, ozdobioną turniurą z tyłu.

Jennifer obróciła się i ujrzała Jenny w drzwiach, wpatrującą się w nich.

Jenny próbowała się skoncentrować na drobnych, zwykłych rzeczach, na małym kapelusiku przysłaniającym rudawe, wysoko upięte włosy, na zgrabnej torebce trzymanej w drobnej dłoni.

Minęła długa chwila, zanim ocknęła się, nagle świadoma otoczenia i własnego mokrego ubrania.

Nikt tak naprawdę nie pamięta, jak wyglądał za czasów własnej młodości, pomyślała, ciągle wpatrując się w dziewczynę. Pamięta się tylko innych. Ale w tej chwili dziewczyna odwróciła się znowu i skinęła ręką, a Jenny miała wrażenie, że widzi własne odbicie w lustrze. Znowu spojrzała na twarz dziewczyny, na której pojawił się leniwy uśmiech, ujrzała znajomy ruch głowy.

— Wciąż mnie zdumiewa — mówiła Jennifer do ojca, ale patrząc na Jenny — że w kraju, gdzie mieszka niespełna trzy miliony ludzi, może być takie zagęszczenie złego gustu i złych manier. Gdybyś kazał wybrać mi jedno słowo, które najlepiej opisałoby większość ludzi, jakich tutaj spotkałam, miałabym kłopot z wyborem pomiędzy takimi przymiotnikami jak: głupkowaci, nudni, niezdarni, źle wychowani, wulgarni, po prostu niegrzeczni i nawet nie podaję nasuwających mi się jeszcze dosadniej szych określeń. Nie mogę pojąć, dlaczego wróciłeś do tego okropnego kraju. I już z pewnością nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego upierasz się i nie chcesz wracać z nami do Londynu i cywilizacji...

W głos Mike'a wkradła się dawna irlandzka kpiąca nuta, łagodząca upomnienie.

— Z całą pewnością nie ma drugiej kobiety tak wprawnej w słowach. — Roześmiał się, spoglądając na córkę. — Twoje wspaniałe wykształcenie doznaje uszczerbku, kiedy ponosi cię temperament. Twój głos wznosi się nieco za wysoko, zważywszy, że nie jestem jeszcze głuchy, a twoje słowa są nazbyt ostre, biorąc pod uwagę fakt, że urodziłaś się w tym kraju. Nie zamierzasz chyba o tym zapomnieć?

— Nie. Chociaż niewiele jest do pamiętania, skoro opuściłam go, nie mając jeszcze skończonych trzech lat. — Czowała się winna i wyraźnie gotowa była go przeprosić. — Używa-

łam ostrych słów i mówiłam głośno, bo myślałam, że w ten sposób wypłoszę nieproszonego gościa. W drzwiach stoi jakaś kobieta i wpatruje się w nas.

Mike odwrócił się pośpiesznie, ale zdążył zobaczyć tylko mignięcie sukni i obcasów. Za to usłyszał głośny, gniewny krzyk Jenny rozkazujący woźnicy, żeby schodził z kozła. Nie miała czasu ani cierpliwości na niezdecydowanie.

Nim Mike zdążył wypaść na drogę, siedziała już na miejscu woźnicy i za pomocą bata zawracała konie, przedzierając się przez strugi deszczu i zacinający wiatr w stronę peryferii.

Kiedy złapał za chomać i uprząż jednego z koni, Jenny uderzyła go batem po twarzy i piersi, po czym skierowała zwierzęta w prawo, żeby nie mógł ich złapać. Wróciła na prostą drogę, zanim powóz stracił równowagę, i pognała na zachód.

Słyszała, że podąża za nią jakiś powóz, najpierw w oddali, potem coraz bliżej. Dystans między nimi stale się zmniejszał, choć jechali pod górę.

Krzyknęła na wiatr i deszcz.

— Nie ma porządných koni w stajniach dla państwa, tylko cholerne powoziki? — zawierucha pochłonęła jej słowa, słyhać było tylko turkot kół, odgłos kopyt na bruku i wściekłość szalejącej ponad jej głową burzy.

Ludzie uskakiwali na widok jej powozu: mężczyźni, kobiety, grupy dzieci, których twarze wydawały się twarzami ze wspomnień, uciekali pod ściany, wymykali się z jej myśli.

Nagle, kiedy skręciła w prawo, kierując się nieświadomie w stronę swojej doliny, ujrzała, że brukowana droga zamienia się w piaszczystą wąską uliczkę. Stała na kozle, odchyliła się do tyłu i ściągnęła konie całą siłą swego ciała. Zatrzymały się, a ona siedziała i patrzyła przed siebie, przez kurtynę deszczu, na parę unoszącą się z pysków koni, na deszcz spływający wzdłuż z alejki, żłobiący przejścia, które czas zasklepił.

Doganiający ją powóz zwolnił i zatrzymał się, potem podjechał jeszcze trochę i stanął obok. Siedzący na kozle mężczyzna nie odezwał się.

Konie grzebały kopytami w błocie, otrząsały głowy z oślepiającego je deszczu i potraçały się wzajemnie.

Jenny patrzyła na nie, nie pozwalając sobie na kolejne spojrzenie w uliczkę. Siedziała wysoko na kozle, czuła się jak gość należący do innego miejsca, a nie ktoś, kto mieszkał niegdyś w ruderach na Lower Rocks.

— Jesteś całkiem przemoczona, Jenny.

— Deszcz jest czysty. Zawsze lubiłam deszcz. Sprawiał, że czułam się czysta i jakby odnowiona. — Oderwała wzrok od koni i przeniosła go na uliczkę, szukając wzrokiem baraków, które kiedyś służyły jej za dom. Musiały się rozpaść. Przynajmniej większość. W każdym razie nie było ich. A może tylko ukryły je strugi deszczu.

Mike nic nie powiedział. Pochylił się tylko i zarzucił jej płaszcz na ramiona.

— Nic nigdy nie dzieje się tak, jak planujemy, prawda, Jenny? Od przeszło szesnastu lat wyobrażałem sobie chwilę, kiedy wy dwie się poznacie. Myślałem sobie, co powiemy do siebie, ty i ja, kiedy ten czas nadejdzie. W ciągu minionych lat uleciały mi słowa, którymi miałem opisać tę cudowną niespodziankę. Czasami nawet zapominałem, że trzeba będzie coś wyjaśnić. Może po prostu wydawało mi się, że ty tylko spojrzysz na nią, poznasz ją i żadne słowa nie będą potrzebne.

— Nie wyobraziłam sobie tego, prawda? Ona wygląda tak jak ja?

— Ona jest tak podobna do ciebie, że po prostu jest tobą.

— Jeśli jest tak podobna, musi być moja. A jeśli jest częścią mnie, to znaczy, że jest córką Jen. Nie może być niczyją inną.

— Jest moją córką, Jenny. Była moja przez całe swoje życie. Została porzucona po urodzeniu. Zostawiona czarnym. Znalazłem ją. Szukałem jej i znalazłem przy piersi czarnej kobiety. Kiedy zobaczyłem, że ta sama buszmenka mieszka teraz u ciebie, wydawało mi się, że musisz już znać prawdę.

Jenny wpatrywała się w ciemność uliczki i widziała tam Millie. I Jen. Słyszała śmiech i płacz Millie. Łzy spływały po twarzy Millie, jak deszcz. Wydawało jej się, że nigdy nie opuściła Lower Rocks. Jakby to miejsce przez cały czas było jej domem. Siedząc tak na koźle i patrząc w uliczkę, zapragnęła tam pójść, wejść do środka przez te drzwi, które zawsze miały naderwane zawiasy, i ujrzeć Millie, która tam na nią czekała.

Deszcz spływał jej po twarzy, jakby były to wszystkie łzy, których nigdy nie wylała nad Millie i które zbyt długo były w niej ukryte.

— Ja i każda kobieta w mojej rodzinie, pokolenie po pokoleniu, to dziwki. Moja matka, ja sama, moja córka Jen, wszystko dziwki. Żaden mężczyzna nie wziąłby kobiety tak, jak ty mnie wziąłeś w dolinie, gdyby nie uważał jej za dziwkę.

— Zniszczysz nas, Jenny. Sama siebie zniszczysz.

— Ja siebie chronię. Tak jak to zawsze robiłam. Zawsze musiałam robić.

— Ty nie potrzebujesz ochrony, bo tę proponowałem ci już dawno temu.

— Kobieta, która zależy od mężczyzny, a nie od samej siebie, nie jest lepsza od dziwki!
— Obrzuciła go płomiennym wzrokiem. — A co gorsza, jest po prostu głupia. Ponieważ gdy nadchodzi czas potrzeby, mężczyzny nigdy nie ma.

Jenny dygotała. Mike słuchał jej w milczeniu.

— Kiedy angielski magazynier rozpruł moją matkę hakiem, gdzie byli ci wszyscy Irlandczycy, którzy kręcili się koło niej i mówili, jak to ją kochają? Gdzie wtedy byli? A gdy ja sama rodziłam Jazona, to gdzie wtedy był Jonathan? A gdzie ty byłeś, kiedy ciebie potrzebowałam?
— Zamilkła nagle.

— Byłam daleko, ponieważ mnie odprawiłaś. Za każdym razem mnie odrzucałaś. I dlaczego, Jenny? Powiedz mi to teraz, właśnie teraz. Dlaczego? Nie dlatego, że mnie nie kochałaś. To wiem. Więc dlaczego?

— Czuję się bezpieczna, jeżeli polegam tylko sama na sobie, a inni zależą ode mnie. Nie czuję się bezpieczna, kiedy jest inaczej. Wtedy się boję i ogarnia mnie gniew. Głównie na siebie, że na to pozwalałam. — Nadal dygotała. — Jak pozwolę sobie uzależnić się od mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny, równie dobrze mogę stanąć w drzwiach i zawołać najbliższego magazyniera, żeby przyszedł i zrobił mi dziurę hakiem do podnoszenia towarów!

Westchnęła, a potem zaczęła niepowstrzymanie płakać.

— Moja matka była taka ładna. Chodziła wymalowana jak lalka, ale gdy umyła twarz, była po prostu młodą, śliczną dziewczyną. Wcale nie klęła przez cały czas. Tylko przy mężczyznach, ponieważ lubili, jak się ordynarnie wyrażała.

Spazmy płaczu wstrząsały jej ciałem. Mike już chciał się pochylić, by ją dotknąć, ale zawahał się i nadal przyglądał się jej w milczeniu. Popłynęły znowu przerywane łkaniem słowa.

— Uderzał w nią tym hakiem, ciął i ciął, a ona przez cały czas modliła się, zwracała się do Maryi, Matki Bożej. Schowałam się i patrzyłam, i nawet nie płakałam. Nie zapłakałam nad moją śliczną mamusią. Ani wtedy. Ani nigdy potem. Po prostu uciekłam. Powiedziałam nawet sobie, że jej nienawidzę, ponieważ wysłała mnie na ulicę, żebym tam zarabiała. Ale to nie moja matka mnie wysłała. Tylko ten mężczyzna, do którego należały kobiety i ich dzieci żyjące w barakach dziwek.

Jenny ucichła, jej łkanie ustawało, słowa popłynęły cichym, niezrozumiałym szeptem. Nagle zaśmiała się.

— Dorożkarz pomyślał pewnie, że jestem złodziejką koni. Daj mu to. — Wyciągnęła woreczek z pieniędzmi z przemoczonej kieszeni i rzuciła go Mike'owi. — Powiedz mu, że po-

jechałam jego wozem do rogatki w Goulburn. To tylko sto trzydzieści mil i po dobrej drodze. Jego koniom nie stanie się żadna krzywda. A stamtąd wyślę je do twojej stajni. W Goulburn mam własne konie i powozik. — Zaczerpnęła głęboko powietrza. — Muszę wracać do domu, do doliny.

— Nie możesz teraz odjechać! Jesteś przemoczona do suchej nitki. Potrzebne ci suche ubranie i spokojna noc.

Jenny roześmiała się znowu.

— Wiem, co mi jest potrzebne. Muszę wracać do domu, jak najdalej stąd.

Spojrzała na niego spokojnym i chłodnym wzrokiem.

— Ponieważ nie mogłeś mieć mnie, wzięłeś moją córkę! Tak to było, Mike'u?

— Masz o mnie równie złą opinię jak o innych Irlandczykach. Chciałbym być prawdziwym ojcem Jennifer, ale nim nie jestem.

Jenny kiwnęła głową.

— To upraszcza pewne sprawy. — Zgarnęła dłońmi krople deszczu z twarzy i parujących włosów.

Siedząc na koźle wyglądała jak mała porzucona dziewczynka. Uśmiechnęła się do niego.

— Kiedy przyjedziesz do Cooma, daj mi znać. Odwiedzę cię tam. I kiedy oboje będziemy w podobnym nastroju, możesz mnie mieć. Zawsze, gdy zjawię się w Cooma. Nie przyjadę do ciebie, jeśli nie będę w nastroju. To najlepszy sposób na życie i miłość dla takich ludzi jak my. A przecież jesteśmy dobrą parą. Oboje żyjemy zgodnie z własnymi zasadami i nie dbamy za grosz o to, co inni mogą myśleć, czy czuć.

— Jenny!

— I jeśli masz ochotę, to możesz powiedzieć tej swojej pannicy, że jej brat jest teraz w więzieniu. Został wysłany do diabelskiej dziury w Berrimie tego samego dnia, w którym przeczytałam w gazecie o jej zaręczynach.

Odwróciła wzrok od Mike'a i spojrzała w alejkę.

— Ponieważ okazałeś się takim nietypowym irlandzkim ojczymem, powinieneś był ukraść również Eda Soamesa. Dlaczego zabrałeś tylko jedno dziecko Jen, a drugiemu pozwoliłeś gnić?

Złapała cugle mocno w ręce, wilgotna skóra wymykała się jej z palców. Patrząc wciąż na Mike'a odezwała się znowu. Jej głos brzmiał pusto.

— Kilka miesięcy temu pewien mężczyzna zjawił się w dolinie, ot tak, zaszedł tylko na drinka. On odsiedział wyrok w Berrimie. Nigdzie tak nie chłoszczą, jak tam, powiedział. Potrafią pociąć człowieka na cząstki swymi kotami o dziewięciu ogonach. Przypomni mi o mężczyźnie, którego znała moja matka. Wysłali go do Islandii. Skończył w kawałkach wyrzuconych na brzeg. Potrafią to zrobić człowiekowi, używając tylko liny i skórzanych rzemieni... — zawięła wodze wokół dłoni i zawróciła konie. — Ed miał tylko piętnaście lat. Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ma się piętnaście lat i trafia się w takie miejsce jak Berrima?

Już miała ruszyć w stronę Cut, ale jeszcze raz spojrzała na Mike'a i uśmiechnęła się.

— Nie zapomnij zawiadomić mnie, jak będziesz w Cooma.

L R

KSIĘGA TRZECIA

21.

Chciałbym, żebyśmy oddali ten cholerny kraj z powrotem aborygenom — wyszeptał Mike. Starał się zająć robotą w stajni w Sydney, ale nie potrafił się na niej skoncentrować. W jego głowie aż się kłębiło. — Niewielu białych potrafi sobie cenić ziemię w taki sposób jak oni.

Znowu czuł się jak skazaniec — tym razem został zesłany na dożywotnią służbę w Kolonii przez pakt, który zawarł z Trauntonem Jonathanem. Stajnie stały się nieznośnym ciężarem, jak nigdy wcześniej. Za każdym razem, gdy spoglądał na skórzaną uprząż, przypominał sobie więzienie i plagi, które przez te wszystkie lata starał się wymazać z pamięci. Pewnego dnia będzie musiał stawić tym wspomnieniom czoło, postanowił. Lecz ciągle odsuwał ten dzień.

Ślub Jennifer odbył się we wrześniu. Dwa miesiące później wróciła z mężem do Anglii. Po tym Mike zaczął podróżować między Sydney a Cooma, jakby częsta zmiana miejsca miała okazać się lekarstwem na życie.

U progu kolejnej wiosny, siedemdziesiątego siódmego, w pełnej niepokoju zadumie wracał właśnie do Cooma. Kierował się na południe wschodnią stroną Great Divide, jechał przez wioski, które stały się miastami, przez miasta, obrosłe w tradycje, prawie nie pamiętające już czasów, kiedy były młodymi osadami. Sto mil od Sydney zdecydował, że los przeznaczył mu inny cel tej podróży. Kiedy przejeżdżał przez Wallandilly, jego myśli wyostrzyły się, ukazując wyraźny obraz miejsca, do którego się zbliżał.

Zjechał po długim zboczu w dół do wioski Berrima, gdzie stały piaskowe budowle schowane za greckimi kolumnami i wysokimi murami oddzielającymi posiadłości od bitej drogi. Gdy dotarł do kamieniołomów, przywiązał konia i siedział długo, wpatrując się w berrimańskie więzienie. Wiedział, co znajduje się za tymi murami. Greckie kolumny znaczyły drogę do piekieł.

Kiedy wpatrywał się w ściany więzienia, miał znowu piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat i czekał na uderzenie pejczem. Chłopak o silnej woli, nie dający się złamać, sam wybrukował sobie drogę do piekła. Mike'owi wydawało się, że słyszy Williama Harta opisującego go jako niesympatycznego, zgorzkniałego i wiecznie szukającego kłopotów. Pochował tego chłopca dawno temu, głęboko w sobie, przerósł go, zaparł się go i pogrzebał. Ale on jakoś ciągle żył w nim, był jego nieodłączną częścią.

Przypomniał sobie pytanie Jenny, na które wtedy nie odpowiedział: "Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest mieć piętnaście lat i znaleźć się w takim miejscu?" On to wiedział. Wcale nie musiał sobie wyobrażać.

Szare, kamienne ściany stały się tłem wszystkich jego poczynań, przez każdy rok, który dzielił mężczyznę, jakim się stał, od chłopca, jakim kiedyś był.

Dla Jenny były również tłem jej życia. Otaczali ją przecież więźniowie i Irlandczycy.

Prawdziwy obraz zaczął się z trudem wyłaniać z kształtów i cieni harcujących w jego umyśle. To wcale nie Jennifer była wspólnym dzieckiem jego i Jenny. Tylko ten nieznany Ed. On reprezentował wszystko, co starali się za sobą zostawić. Łączył ich chłopiec, którego żadne z nich nie znało, a jednocześnie znało zbyt dobrze.

Chciał podejść do tych zamkniętych bram, do strażnika, który patrolował teren, i poprosić o pozwolenie wejścia do więzienia i na widzenie ze skazańcem, Edem Soamesem. Chciał spojrzeć na niego i ujrzeć zgorzkniałego chłopca, którym sam kiedyś był.

Siedział jeszcze kilka chwil, wpatrując się w więzienie, potem pchnął kolanami konia i ruszył przed siebie, wprowadzając ogiera w kłus, a wreszcie w galop. Zostawił Berrimę za sobą, nie oglądając się już na nią więcej.

Pola wokół Berrimy były zielone, nisko położone, płaskie jak stół, falujące na wschodzie ku skarpie schodzącej do morza. Ed nigdy nie widział morza.

Było jak ziemia, którą chętnie by posiadał na własność, żeby budować na nim, żyć na nim. Myślał o morzu starając się skoncentrować na tym, co widział, zamknąć umysł na uczucia. Ale wiedział, że już nigdy nie będzie chciał oglądać tych stron, nigdy. Nie chciał oglądać kraju, który przypominał mu o tym, co się z nim tu działo.

Jego ręce pociemniały, ponieważ gromadziła się krew, znajdowała drogę omijając ucisk więzów. Przypomniał sobie na czas, by rozsunąć ręce. Strażnik mocno zacisnął ostatni węzeł i odszedł nawet na niego nie spoglądając. Obojętnie.

Wtedy Ed przyciągnął kciuki do dłoni i zmienił położenie nadgarstków. Ucisk zmniejszył się i mrowienie w dłoniach ustało. Była to sztuczka, której nauczył się już dawno od starego skazańca. „Kiedy zwiążują ci ręce, nie pozwól, by dłonie były złożone razem. Trzymaj je jak najszerszej. O tak, widzisz? Wtedy na ich objęcie potrzeba więcej liny. Odsuń kciuki, nie przyciskaj ich. Ale zrób to tak, by niczego nie zauważyli. Kiedy już skończą, będzie na tyle luźno, że krew się nie zatrzyma. Ci, którzy nie nauczą się tej sztuczki, tracą palec albo dwa, a czasami nawet dłoń czy całą rękę. Gangrena. Niektórzy od tego nawet umierają”.

Stary zesłaniec był skarbnicą takich informacji.

„A łańcuchy przy nogach powodują nieuleczalne wrzody i narośle. Widziałem, jak żelazo potrafi zedrzeć skórę do kości. Wiesz, co trzeba wtedy zrobić? Poczekaj, aż ci się trafi w wyżerce kawałek tłuszczu. Schowaj go. W policzku, ale nie wysysaj, bo wybierzesz z niego całe dobro. Ma być tłusty. Potem posmaruj nim żelazo od wewnętrznej strony, żeby było śliskie. Wtedy nie drażni tak skóry. Ale z kolei ciało trzeba potraktować inaczej. Smarujesz kostki każdego ranka czymś, czego masz całą masę. Twoimi własnymi sikami. Nie ma nic lepszego. Zapamiętasz to? Trzeba sobie radzić z żelazem na nodze. W ten sposób może jej nie stracisz, a niektórym to się zdarza”.

Wingecaribee. To była nazwa rzeki, która przepływała przez teren więzienia. Wingecaribee. Miejskowa nazwa, ale nie wydawało się, by ktoś rozumiał znaczenie tego słowa. Nikt, kto tu mieszkał, nie znał języka miejscowego szczepu, a w tych stronach zostało niewielu czarnych.

Jego dłonie traciły czucie. Poruszanie palcami nie wydawało się pomagać zbyt wiele. Nadgarstki napęczniały w miejscu, gdzie liny wrzynały się w skórę, co jeszcze bardziej zaciśkało więzy.

„Nie martw się opuchliznami. Bolać, to prawda, ale tak to już jest. To jakby poduszeczki dla starych obtarć. Przyjmiesz je z wdzięcznością, kiedy już nie będziesz mógł znieść bólu w starych miejscach po linach”.

Kiedy pokonywało go zmęczenie, zaczynał myśleć o Southern Tablelands i High Country, sto sześćdziesiąt mil na południe. Bliżej na północ znajdowało się Sydney, ale o Sydney nie myślał. Nigdy w życiu nie widział tego miasta.

Strażnik nie wracał już bardzo długo. Czasami tak właśnie robili. Związywali człowieka, przygotowując go do chłosty, a potem zostawiali, by miał czas się nad tym zastanowić. Ale on już nigdy nie myślał o chłoscie. Nie pozwalał sobie na takie myśli. To było zwycięstwo. Oznaczało, że nie robił tego, czego od niego oczekiwali, więc to on wygrywał. Kiedy związywali rękę więźnia z tyłu, dawali mu jeszcze więcej czasu na myślenie. A potem, gdy przychodzili, chłostali go z przodu, nie z tyłu, a bicie z przodu było znacznie gorsze i więźniowie bardziej się go bali.

Stary skazaniec na ten temat również miał wiele do powiedzenia.

„Złamią ci żebro czy dwa, tego można się spodziewać, ale żebra leczą się szybko. Wtedy musisz robić tak: krzycz jak potępiony, kiedy bat uderza ci w żebro, ale nie wydawaj nawet dźwięku, gdy trafiają niżej w twoją męskość czy wyżej w twarz. Wtedy za każdym razem będą

uderzać w żebra, bo lubią, jak się krzyczy. Tak to już jest. A ty uratujesz się przed kalectwem lub oślepieniem, co się niektórym zdarza. Oczywiście jeśli zbyt długo będą uderzać w żebra, mogą też uszkodzić płuca. Lub jeśli twoje serce nie jest dość silne, może się zatrzymać. Tak czy siak, wtedy jest szybki koniec. Lepsze to, niż być kaleką czy ślepcem, co? Ale mężczyzna sam musi zdecydować o takich sprawach".

Ed nie lubił krzyczeć. Nie chciał dawać im tej satysfakcji. Ale nauczył się. Ponieważ wtedy robili to, co chciał. I to też był rodzaj zwycięstwa.

Strażnik wrócił z pejczem.

Szedł wolno, spokojnie, nie śpiesząc się, pewien, że Ed patrzy na niego, jak się coraz bardziej zbliża. Lubił wywoływać panikę i strach u związanego, czekającego człowieka.

Ed zajął się własnymi myślami. Planował przyszłość.

Znajdzie sobie jakąś miłą dziewczynę, ożeni się i będzie miał dzieci. I wychowa je, jak należy, w porządnym domu. Postawi gospodarstwo, a może chatę. Coś. Dom. Będzie porządnie żyć. Najpierw postara się o pracę. Dobrą pracę, za którą każdego tygodnia otrzyma zapłatę. Żadnych głupich kradzieży. Nie jest już niemądrym dzieciakiem.

Strażnik stanął przed nim, spoglądając złośliwie. Wziął do ręki pejcz delikatnie, jakby pieszczotliwie. Naprawdę kochał ten kawałek skóry. Nazywał go Lucy. Jesteś gotowa, przyjaciółko? Lucy zaraz ci da popalić. Za chwilę to powie, zawsze tak powtarzał.

— Jesteś głupim skurwielem, co? — zapytał strażnik. — Nigdy nie wiesz, kiedy trzymać jadaczkę zamkniętą. Od samego początku nie wiedziałeś, kiedy należy zamknąć buzię.

Jeszcze tylko dwa miesiące, pomyślał Ed. Do listopada, a był już wrzesień.

Strażnik spoglądał na niego z ciekawością.

— Inni skazańcy są na tyle sprytni, że potrafią szeptać półgębkiem, z zamkniętymi ustami. Ty nigdy nie byłeś na tyle mądry, żeby się tego nauczyć — powiedział jakby dręczony ciekawością.

Ed uśmiechnął się lekko, przypominając sobie strażnika w areszcie w Cooma.

— Ja tak nie mówię — powiedział. — Nigdy nie mówiłem i nigdy nie będę.

To był błąd. Nie powinien był odpowiadać strażnikowi.

— Kiedy Lucy zakończy już z tobą zabawę, może nie będziesz już nigdy niczego robił.

— Strażnik złapał ręką rzemień, naciągnął go smakując z góry zbliżającą się przyjemność. — No co, gotowa jesteś, przyjaciółko? Lucy ci zaraz da popalić.

Ed napiął mięśnie brzucha.

Skoncentrował się na chacie, którą miał zamiar wybudować, i kobiecie z dziećmi. A ziemia, którą zobaczył oczami wyobraźni, była tą z doliny Minaby Flat. Zawsze ta sama. Ziemia, która była mu obca. Widział ją tylko raz, zerkając z przełęczy w dolinę, gdzie urodziła się jego matka i gdzie pracował jego ojciec. Nie lubił myśleć o tej ziemi. Przypominała mu rodziców, którzy go porzucili, i jakąś dalszą rodzinę, której wcale nie znał.

Rzemień ciął głęboko, popłynęła krew, powietrze uciekło z płuc. Musiał jeszcze raz głęboko odetchnąć, żeby krzyknąć. Krzyk był potrzebny. Jeśli nie będzie krzyczał, strażnik uderzy go wyżej lub niżej. Musiał pamiętać o krzyku.

Usiłował wyobrazić sobie jeszcze raz chatę, a w niej kobietę. Ale nie w tamtej dolinie. Dlaczego zawsze myślał o tamtym miejscu? Skoncentrował się. Starał się wymarzyć sobie miejsce gdzie indziej. Starał się nie zwracać uwagi na uderzenia pejcza i nie zapominać o krzyku. Nigdy nie można zapomnieć o krzyku.

Zawsze przychodziła taka chwila, kiedy ciało i umysł zdawały się wymykać w obszar czerwonej mgły. Moment, gdy ból stawał się zbyt potężny, by umysł się wzniósł ponad niego, a ranione, pokrwawione ciało padało pod własnym ciężarem.

Wtedy powracał ze swego umysłowego wygnania i jego krzyk zlewał się z tą śmierdzącą, spoconą dzikością, którą stawał się strażnik.

Strażnik opowiedział mu kiedyś o sobie w jednej z rzadkich chwili porozumienia między nimi. A może raczej w czasie, gdy chciał się pochwalić. Albo wskazać na różnicę między nimi, podkreślając przeciwieństwa. Powiedział wtedy, że jest zwykłym człowiekiem, który nade wszystko ceni rodzinę. Zwykłym facetem wykonującym robotę, za którą dostaje więcej pieniędzy, niż gdyby zajmował się czymś innym. Ale z kolei są też lepiej płatne zawody.

— Nie jestem specjalnie przywiązany do tej roboty, ale bierze się, co dają.

Był przywiązany. I dawał, a nie brał.

Lewa noga Eda była wolna, tylko prawa przykuta. Mógł kopnąć wolną nogą albo kolaniem. Uderzyć prosto w męskość strażnika. Zawsze go to kusilo. Zawsze. Musiał zdławić tę pokusę.

„Będą takie chwile, kiedy dostrzeżesz możliwość odpłacenia skurwielom. Ale nie rób tego, rozumiesz? Oprzyj się tej ochocie, bo oni sami stwarzają te sytuacje. Po prostu chcą, żebyś to zrobił. Ale tylko spróbuj, a załatwią cię na dobre. Każdy z tych skurwieli tylko czeka na swoją szansę”.

Czuł, jak podnosi mu się kolano i stopa. A więc musiał walczyć z tym pragnieniem, nie ze strażnikiem. Skoncentrował się na desperackiej, cudownej, niszczącej chęci uszkodzenia tego skurwiela. Dusił ją, nie myśląc o czymkolwiek innym, tylko walczył z tym pragnieniem.

Ed zastanawiał się, jak długo leżał na ziemi w swojej własnej krwi i wymiocinach, z nogą w żelaznej obręczy skręconą pod ciałem i wrzynającym się łańcuchem. Poruszył się, zamknął oczy, a kiedy otworzył je znowu, był dzień, gorące słońce południa wgryzało się w krwawe pręgi, zamieniając strużki krwi w rdzawe znaki.

Obudził go przechodzący obok stary więzień.

— Jak się czujesz, koleś? — jego usta nie poruszały się, głowa nie odwróciła, oczy patrzyły prosto przed siebie.

— Jeszcze żyję — odparł Ed.

— Mów ciszej. Nigdy się tego nie nauczysz, co?

Pewnych rzeczy jednak się nauczył. Więzienia w Kolonii odwiedzał jakiś pisarz. Nazywał się Troll czy Trop. Coś takiego. Ed nie potrafił sobie przypomnieć. Ten człowiek pisał na temat warunków w więzieniach i ich wpływie na charakter i świadomość narodową Australijczyków. Ed nie mógł zapomnieć jego słów. Zapamiętał je już przez to, że próbował zrozumieć. Wreszcie zdecydował, że nie mają żadnego znaczenia. Najmniejszego.

Słowa w ogóle nie miały znaczenia. Jedyne, co było ważne, to jak się je wypowiada. W tym leżała cała różnica.

Ale po dwóch latach słowa pisarza nauczyły Eda czegoś o nim samym. Był buntownikiem przez całe życie, zawsze skłócony z wszystkimi wokół, zabrał swój bunt także do więzienia, odmawiając wspólnoty z tymi, którzy się razem tu z nim znaleźli. Powtarzał sobie, że zostanie inni niż oni. I nawet gdy spadał równie nisko jak oni, wygrzebywał się inny. I teraz już zawsze będzie inny.

— Nie mogę mówić tak jak ty — odpowiedział Ed, odkrywając, że w ogóle z trudem mówi.

— Nie możesz czy nie będziesz?

Ed chciał się uśmiechnąć, ale wargi miał tak opuchnięte, że nie potrafił. Badając wnętrze ust językiem stwierdził, że jeden ząb ma złamany, drugi rozłupany, a jego połowa wbiła mu się w policzek. Zataczał wokół językiem, próbując go wyciągnąć, ale ostra krawędź zęba wbiła się w miękką tkanę.

Widocznie zemdlałem i przestałem krzyczeć, pomyślał Ed — i wtedy strażnik uderzył mnie w twarz. Poruszył nogami dla sprawdzenia i uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie czuł bólu w lędźwiach, w dolnej partii ciała nie czuł wcale bólu poza tęnym oboleniem, które przenikało go całego.

— Nie będę — odpowiedział Ed. — Nie będę.

Południowe niziny wydały się Edowi przepiękne.

Listopadowy upał siedemdziesiątego siódmego roku wygnał ze szczelin ćmy, które wyleciały mu na spotkanie. Kurz wznoszony przez południowo-wschodni wiatr uderzył go w twarz. Trawa straciła już pierwszą świeżość. Ale wyglądała przepięknie.

Mury stały się znowu górami. Cały świat był dziurą w ziemi, ale sufitem okazał się odwrócony kosz, z którego wypływały chmury jak śnieżnobiałe pranie, z ptakami na tle rozpostartych prześcieradeł. Z wolnymi ptakami latającymi wysoko. Cały świat czuł się czysty.

Zastanawiał się, jaką robotę uda mu się znaleźć. Myśl o stałej pracy podniecała go. Nigdy wcześniej takiej nie miał. Zawsze była jakaś nadzieja na szybkie i łatwe dorobienie się. Marzenie jego ojca. Ale to już przeszłość. Stała praca z regularną pensją była teraz częścią jego własnego marzenia. Znajdzie sobie pracę w jednym z gospodarstw, myślał, albo może w którymś z rozrastających się miast.

Minął tydzień, a on już wiedział, że w mieście nie znajdzie pracy. Po dwóch tygodniach chodzenia od rancho do rancho okazało się, że tam też nie ma dla niego miejsca.

Był więziennym ptaszkiem. Skazańcem. Połowa mieszkańców Australii pochodziła od skazańców, pokolenie lub dwa wcześniej. Ale on był przestępcą miejscowym, nie przywiezionym. I to była ogromna różnica. Zawsze istnieją jakieś różnice. Jak mury. Bariery oddzielające białych od kolorowych lub wolnych osadników od uwolnionych, uwolnionych od miejscowych przestępców. Lub tych, którzy mówili jak skazańcy, od tych, co tak nie mówili.

Wierzył, że jego normalna mowa będzie biletem do przyszłości.

Ten pisarz Troll czy Trop pisał o bezklasowym społeczeństwie, tak pamiętał Ed. Ale coś takiego jak bezklasowe społeczeństwo nie istniało. Ani wśród insektów, ani zwierząt, ani ludzi. Wszystko ma swoje miejsce. A jeśli go nie ma, to dlatego, że je straciło.

Pomyślał, że któregoś dnia chciałby napisać książkę — to był nowy i podniecający pomysł. Ale o prawdziwym życiu i prawdziwych ludziach. O tym, jak wszystko wygląda naprawdę. Poczuł przypływ nowej nadziei, coś, co pozwalało mu dalej żyć. Kiedy pokonywał kolejne

mile, kierując się na południe w poszukiwaniu pracy, myślał o przyszłej książce, starając się zapomnieć o pustym brzuchu.

Był w pobliżu Cooma, kiedy zobaczył go Gur. Przyskoczył, by się przywitać.

— Jak tam było? W Berrimie. Słyszałem straszne rzeczy o więzieniu w Berrimie. Czy to wszystko prawda?

— Skąd mam wiedzieć? — odparł krótko Ed. — Nie wiem, co słyszałeś.

Gur roześmiał się.

— Słyszałem też, że szukałeś pracy, ale nic nie znalazłeś.

Ed wzruszył ramionami i uśmiechnął się z wysiłkiem, ruszając dalej.

— Możesz zostać u mnie, jeśli chcesz.

Ed odwrócił się do czarnego chłopaka.

— Dlaczego miałbym chcieć?

— Może dlatego, że nie masz gdzie iść. Że nie masz ani pracy, ani miejsca do spania — Gur roześmiał się znowu. — My mieszkamy na obrzeżach Cooma jak za dawnych czasów. Wszyscy razem. To przypomina trochę plemienne czasy. Nazywają nas peryferyjnymi mieszkańcami.

— Jakich nas?

— Zbieraninę z różnych plemion, nasze kobiety i dzieci. Czarni, którzy nie pracują na ranchach. Tu dostaniemy coś, tam co innego. W jednym miejscu robotę, w drugim pieniądze. Wystarczy, by utrzymać się przy życiu. Możesz spać w moim szałasie. Teraz jeszcze dasz radę, ale w zimie biały człowiek nie wytrzyma długo bez domu.

— Do zimy jeszcze szmat czasu — powiedział Ed, patrząc z ciekawością na Gura. — Ale dlaczego chcielibyście mieć wśród was białego człowieka?

Aborygen wzruszył ramionami.

— Nie będziesz pierwszy.

— To nie powód.

— Wiesz różne rzeczy. Innych możesz się nauczyć.

— Jedyne, czego się nauczyłem, to trzymać się sam. — Czuł, jak rośnie w nim uraza. — I zdobędę pracę. Mnóstwo pracy. Idę do Dave'a, do stajni. Dlatego przyszedłem do Cooma.

— Nie musisz iść do Cooma. Widzisz tego faceta, co siedzi tam na koniu? Zatrzymał się, kiedy cię zobaczył, i teraz ci się przygląda. To szef Dave'a. Całe przedsiębiorstwo należy do

niego. Lepiej porozmawiaj z nim. Ale słyszałem, jak Dave mówił, że on nie lubi skazańców. — Gur uśmiechnął się. — Dzisiaj w obozie mamy dobrą wyżerkę.

Ed odwrócił się powoli i popatrzył na Mike'a.

Mężczyzna na koniu był mu kompletnie obcy. I nie wygląda przyjaźnie, pomyślał Ed. Coś w wyrazie jego pochmurnej twarzy mówiło Edowi, że ten człowiek go zna i rozpoznaje.

— Dość mam białych — powiedział Ed do Gura głośno. Tak naprawdę to miał dość odtrącenia! — Dołączę dziś do twojego szałas i posiłku.

Jutro ruszę na zachód, postanowił. Z powrotem na złote pola.

Mike wrócił z podróży do Sydney i pojechał na zachód w poszukiwaniu Eda.

Kiedy Ed zobaczył, jak nadjeżdża, podniósł się znad kanału, który budował, i czekał. Nie podszedł, żeby się przywitać, ukrywał podniecenie, które czuł.

— Słyszałem, że żyjesz z aborygenami i bratasz się z Chińczykami — powiedział Mike. Wręczył mu niewielki woreczek z pieniędzmi. — To pomoże ci żyć uczciwie. Kiedy będziesz potrzebował więcej, pojedź do Cooma i poproś Dave'a.

— Dajesz mi robotę? — zapytał Ed, starając się ukryć nutę nadziei.

Pytanie zabrzmiało gburowato.

— To pieniądze na jedzenie — powiedział Mike. Złościła go myśl, że pieniądze Jenny będą stracone. — Z czegoś, co można nazwać funduszem powierniczym.

— Nie proponujesz mi pracy?

— Dlaczego miałbym to robić?

Ed spojrział na woreczek z monetami, który leżał na jego dłoni. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Jeśli dajesz mi zapłatę, to muszę ją odpracować — powiedział, nie rozumiejąc, co się dzieje.

— Pracę daję tym, którym ufam — odpowiedział Mike. — Tym, którym nie ufam, daję jałmużnę. Możesz uznać, że miałeś szczęście.

Policzki Eda poczerwieniały. Przez chwilę patrzył łakomie na worek pieniędzy, a potem cisnął nim w twarz Mike'a.

— Sam sobie wezmę, co mi będzie potrzebne — powiedział głosem lodowatym od straszliwego gniewu. Słowa nie miały znaczenia, tylko ich brzmienie. Tak jak w więzieniu poczuł w swojej stopie i kolanie potrzebę uderzenia, zranienia, oddania ciosu. — Wezmę, co mi będzie potrzebne, ale nie przyjmę jałmużny.

— Lepiej uważaj na siebie — powiedział Mike ostrzegawczo.

— To ty uważaj na mnie — wybuchnął Ed. — Ty i wszyscy tobie podobni. Uważaj. Tylko uważaj!

Na początku siedemdziesiątego ósmego Ed wziął jedno z tego, co ofiarowywało mu życie, jedyne, co pozostało z nadziei i planów snutych w więzieniu Berrima.

Wziął sobie żonę, dziewczynę z Kiandry imieniem Mercy, która była równie samotna i zagubiona jak on.

Kiedy przyszła zima, dziecko było już w drodze. Wrócili z pustych, złotych pól Kiandry i zamieszkali pośród aborygenów na obrzeżach Cooma.

W czasie następnych miesięcy ożywiła się stara nienawiść między czarnymi i białymi i od czasu do czasu zdarzały się napady na gospodarstwa położone na północny i południowy wschód od Minaby Flat.

— To tylko drobne incydenty — odpowiadała policja i wojsko, gdy osadnicy wzywali do akcji przeciwko czarnym. Oddziały dławiły się własną frustracją. — Rząd każe nam łagodnie obchodzić się z czarnymi.

Pod koniec października siedemdziesiątego ósmego, ciemną nocą, Gur wrócił z najazdu na osiedle, na południu. Obudził Eda i pokazał mu swój łup.

— Klejnoty — powiedział. — Należały do żony jednego z osadników. Teraz są moje. I kiedy zechcę je sprzedać, dostanę za nie dobre pieniądze.

Trzymał je w świetle lampy Eda, przyglądając się kolorowemu lśnieniu kamieni.

— Paciorki dla tubylców — powiedział Ed. — Pamiętasz tego strażnika z aresztu w Cooma? Tego, który opowiadał o Ameryce i Indianach. Mówił, że tubylcom daje się paciorki.

Gur zaczął się śmiać, ale śmiech zamarł mu na ustach. Odłożył błyskotki na bok.

— Nie to, co pieniądze — stwierdził. — Nie będę sobie już więcej zawracał nimi głowy. Pieniądze łatwiej i zdobyć, i wydać. Nie trzymają ich w bankach, szczególnie ci, co mieszkają daleko od miast. Pieniądze są lepsze.

— A zapracowanie jeszcze lepsze — odrzekł Ed. Dostał pracę dwa razy w tygodniu, ale wiedział, że i to długo nie potrwa.

— Mógłbym dla nas zdobyć mnóstwo pieniędzy w tych osiedlach położonych wysoko w górach — mówił Gur, nagle rozgniewany.

— Ale to ty powiedziałaś, że będzie lepiej dla mnie i dla mojej bandy, byśmy trzymali się terenu leżącego bardziej na wschód. Nie powinienem był nigdy cię słuchać. Miałem swoje plany.

— Powinieneś zaplanować znalezienie jakiejś roboty — burknął Ed. — W grudniu zawsze można coś znaleźć.

— Nie mam ochoty pracować dla białego człowieka w grudniu — odparł ponuro Gur. — To najgorszy czas. Nienawidzę grudnia. Kiedyś przygotuję im wszystkim specjalne prezenty na Gwiazdkę — wykrzyknął w złości.

Ed spojrzał w głąb szałas.

— Obudzisz Mercy i dziecko — powiedział. — Mów cicho.

— Nie wiem, czemu się w ogóle tobą przejmuję — powiedział Gur, ale ściszył trochę głos. — Zawsze tylko nam mówisz, czego nie powinniśmy robić, ale nigdy nie powiesz, co powinniśmy.

— Nie chcę być oprychem. To mi się nie podoba — stwierdził Ed.

— Kiedy nadejdzie zima, nie będzie ci się także podobało głodowanie — Gur wzruszył ramionami. — Dla mnie tam możecie sobie wszyscy pomrzeć z głodu.

— Może będę miał nadal pracę — powiedział Ed. Gur parsknął śmiechem i odwrócił się do wyjścia.

— Nie zapomnij swoich paciorków. — Ed podniósł się i rzucił nimi za czarnym chłopakiem.

— I tak nie przydałbyś się do niczego — burknął Gur w gniewie. — Też by z ciebie był opryszek. Nawet nie masz konia!

Jenny leżała na poduszce i patrzyła z uśmiechem w sufit poddasza nad stajniami.

— Czy nie jest przyjemnie? Kochasz się, a potem leżysz i jest ci ciepło i leniwie, i słuchasz, jak deszcz bije o szyby.

Mike uniósł się na łokciu i popatrzył na nią.

— Mam nadzieję, że Dave też się rozkoszuje deszczem, gdzieś w górach, pod przeciekającym szałasem — powiedział.

— Znowu wysłałeś go, żeby łapał dzikie konie?

— Zawsze to robię. W czasie ostatnich dwóch lat spędził więcej czasu na wzgórzach niż w stajniach.

— No cóż, przynajmniej nam jest miło.

— Jezu Chryste, Jenny! Nie jest miło. Może nigdy ci tego nie mówiłem, ale jestem bardzo majątnym człowiekiem. I ze wszystkich znaków na niebie i ziemi można wnioskować, że ty też nie jesteś biedna. Oboje jesteśmy bogaci. I oto masz nas tutaj, składających życie po kawałku na poddaszu nad stajnią, gdzieś na końcu świata. Dlaczego, na litość boską?

— Ponieważ nie chcesz przyjechać do mnie, do Minaby Flat, właśnie dlatego.

— Mówiłem ci już, co by mnie mogło tam sprowadzić! — podniósł rękę. — Dobrze już, dobrze. Nie powtórzę tego. Na razie nie mam ochoty kusić niczego, nawet losu. — Zmierzył jej włosy, a potem rozsunął je jak wachlarz na poduszce. — Moglibyśmy się pobrać i przez jakiś czas pomieszkać w Sydney. To byłby mały krok ku cywilizowanemu życiu.

Jenny milczała jak zaklęta.

— Jeśli się nie zgadzasz, to nie — powiedział Mike. — Ale chciałbym, żebyś podała powód, który mnie przekona.

— Wolę być dziwką.

— Naprawdę? No to pewnie na dworze czeka już spora kolejka, a mój czas się kończy.

— O czym ty mówisz?

— Dziwki mają wielu klientów.

— Nie jestem tego typu dziwką.

— W ogóle nią nie jesteś! Któregoś dnia opowiem ci o dziwkach.

— Jeśli nie jestem dziwką, to jak byś mnie nazwał?

— Małym uparciuchem, tak na początek! — Przyglądał jej się przez chwilę. — Jak długo jeszcze, Jenny? Tego mi nie powiedziałaś, gdy wtedy, w Sydney, ogłaszałaś mój wyrok. Kiedy mężczyzna jest skazany za swe zbrodnie, zazwyczaj mówią mu, ile lat kary go czeka.

Jenny uśmiechnęła się swym leniwym uśmiechem.

— Wcześniej nie zachowywałaś się, jakbyś odbywał karę.

— Ukrywałem swoje uczucia.

Jenny roześmiała się.

— Tak samo zależy ci na tym, by być ze mną, jak mnie, żeby być z tobą. Nie ukryjesz tego.

— Nie chcę ochłapów twojego życia i twojej miłości. Chcę, żebyś była ze mną przez cały czas.

— Moglibyśmy być ze sobą przez cały czas, gdybyś zamieszkał w Minaby Flat — powtórzyła Jenny.

— Jeszcze nie jestem gotowy, by mnie całkiem pogrzebano.

Traunton Jonathan również nie, pomyślał Mike, przypominając sobie ostatni list Jennifer. Powrót do Berkshire w Anglii ciągle jeszcze należał do przyszłości. Nie mógł nawet pojawić się w Connacht. Nie potrafiłby mieszkać tak blisko Jennifer i jej dzieci, bez możliwości przyjazdu do Anglii i zobaczenia się z nimi. Nie warto było jeszcze rozmawiać z Jenny o wyjeździe do Irlandii — nie mógł ryzykować, że zgodziłaby się na wyjazd do Connacht, gdzie musiałby kazać jej czekać. Jenny uśmiechnęła się.

— Myślisz o Irlandii, prawda? Nauczyłam się rozpoznawać, o czym myślisz. Nie możemy być sobie bliżsi niż teraz, Mike.

— Och, możemy. Zaraz ci to udowodnię!

— Dlaczego nie wybierzesz się do Sydney? — zaproponował Mike Dave'owi, kiedy nadeszła wiosna osiemdziesiątego pierwszego. — Przypilnujesz tam stajni, a ja zostanę tutaj jeszcze trochę. Siedziałeś w jednym miejscu przez dwadzieścia pięć lat, podczas gdy ja szwendałem się po świecie.

Mike rozejrzał się po mieszkalnych kwaterach położonych nad stajniami.

Dave spuścił głowę. Mike mówił ciągle o koniach i stajniach, ale w jego oczach widać było wspomnienia tego, co działo się w tym mieszkaniu, gdy Dave był na wzgórzach.

— Przysięgam, że już nigdy tutaj nie wrócę — powiedział wreszcie Dave. — Zaoszczędziłem większość z tego, co mi płaciłeś. Samotny mężczyzna nie potrzebuje wiele. Może czas, bym zbudował własny dom. Tutaj w Cooma. Bo to jest moje miejsce. — Pokazał ręką na mieszkanie. — A to twoje. Wypożyczyłem je na jakiś czas, to wszystko, ale teraz znowu ci jest potrzebne.

Mike odwrócił się i spojrzał na mężczyznę, którego znał przez połowę swego życia, a który mimo to ciągle pozostawał obcy.

Ten kraj jest ich pełen, pomyślał. Pełen ludzi, którzy nie potrafią tak naprawdę ze sobą rozmawiać. To jest nadal więzienie i może zawsze będzie.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że nie będziesz już dla mnie pracował?

— Nie, nie to! — przez kilka chwil Dave szukał słów, by powiedzieć coś, czego nigdy nie mówił. — Tylko tak, jak powiedziałem. Jeśli chcesz zamieszkać tu z powrotem, ja mogę zbudować dom. Zamiast jechać do Sydney.

— Jeśli chcesz pozostać w Cooma, ja sam mogę też zbudować dom dla siebie. Ale to, co zbuduję, będzie kolejnym więzieniem, i nie tylko dla mnie. Poprzysiągłem, że nigdy tego nie zrobię.

Dave milczał, jakby rozważając słowa Mike'a.

— Składamy zbyt wiele przysiąg — powiedział Mike. — Sam złożyłem kilka w swoim czasie i mam powody, żeby jednej żałować. Ale nie zbuduję domu i nie będę żył tutaj. Tej przysięgi dotrzymam, i to bez żalu, choćby mnie miała wiele kosztować. — Spojrzał na Dave'a. — Po prostu myślałem, że może masz ochotę na trochę odmiany. Nie wiedziałem, że zdecydowałeś nigdy nie wracać do Sydney. — Zaśmiał się, słysząc w tym słowa Jenny, ale śmiech szybko zamarł na jego wargach.

Dave wpatrywał się w swoje ręce. Słuchał, ale słyszał wcześniejsze słowa. Inne więzienie, powiedział Mike. Inne więzienie.

— Myślałem, że zjawiłeś się tutaj podczas gorączki złota — powiedział.

— Nie, kiedy wybuchła gorączka złota, zjawiłem się tu powtórnie. Byłem wcześniej. To mi dopomogło.

— Nie wiedziałem. Pewnie jest sporo rzeczy, których o sobie nie wiemy. My wszyscy, którzy mieszkamy w tym kraju. To jedna z tych rzeczy, których się najszybciej uczymy. Nigdy nie zadawać pytań. Nigdy nie wściubiać nosa. Kiedy wszystko jest ukryte, można wygodnie żyć. To pierwsza rzecz, której się uczymy po przyjeździe tutaj. Po jakimś czasie zapominamy, że w ogóle można żyć inaczej.

Mike spojrział na Dave'a. I jeszcze jedno, pomyślał. Zaczynamy być ostrożni, gdy ktoś mówi zbyt dużo.

— Ukrywanie wszystkiego nie uchodzi między przyjaciółmi. I nie było tak między nami, Dave. W moim życiu niewiele jest spraw, o których byś nie wiedział. Tylko jeden człowiek na całym bożym świecie wie więcej, i jest to irlandzki ksiądz, który został postrzelony, zmarł, a potem zmartwychwstał, kiedy odkrył, że nie jest jeszcze gotowy na Dzień Sądu. Jeśli jest coś, o czym chciałbyś wiedzieć, powiem ci. Ponieważ niedobrze mi się robi, kiedy myślę, co ten kraj będący kolonią karną robi z ludźmi, którzy mogli zostać przyjaciółmi, a czasami z mężczyzną i kobietą, którzy mogli zostać czymś więcej niż tylko kochankami. Chcę wyjechać z tego kraju, Dave. Chcę wrócić do Irlandii. Ale, poza wszystkim innym, moje życie ma tutaj swoje korzenie i nie może być wyrwane bezboleśnie. Ten kraj zaczął się dla mnie jako więzienie, a kończy jako pułapka, ponieważ posiada coś, co ja bym chciał posiadać. Człowiek żyje tam, gdzie go rzu-

ci los, a ja sporo swojego życia zainwestowałem tutaj. Więcej tutaj niż w Sydney. — Roześmiał się znowu, tym razem przyszło mu to z większą łatwością. — Niestety, to samo zdarzyło się pewnej kobiecie. Ot, cała historia, Dave. I nie mów mi, że jej nie zrozumiałeś, bo ci nie uwierzę.

Dave siedział w milczeniu, zaszokowany. Wreszcie oderwał wzrok od dłoni i spojrzał na Mike'a.

— Dla mnie życie w tym małym mieście, daleko od wszystkiego, co zostawiłem za sobą, było dobre. Inaczej podchodzę do pewnych spraw. W Anglii po prostu miałem pecha, inaczej nie przetransportowano by mnie tutaj. Ale stało się. Nigdy wcześniej nie mówiłem ci o tym. Powinienem był, ale bałem się, że potraktujesz mnie jak kogoś gorszego. Tak czy siak, to właśnie powód, dlaczego nie chcę wracać do Sydney. Kiedy tam byłem, podczas odpracowywania kary, znienawidziłem to miasto. Jako chłopak byłem skazańcem z żelaznym łańcuchem u nogi, zbudowaliśmy Sydney własną krwią i potem. Ale choć poprzysiągłem sobie, że nigdy do tego miasta nie wrócę, to jeśli rzeczywiście jestem tam potrzebny, pojedę. Pojadę wszędzie, gdzie mnie wyślesz.

— Na razie nie ma potrzeby, żebyś jechał do Sydney. Tyle tylko, że od czasu do czasu wyślę cię na wzgórze po konie, dobrze?

Dave przyglądał się znowu swym dłoniom, na policzkach pokazały mu się rumieńce.

Kiedy zabrzmiał dzwonek przy wejściu do stajni, pośpieszył na dół, unikając odpowiedzi.

Mike wstał i zaczął nerwowo się przechadzać po niewielkim pomieszczeniu, czuł, jak ściany i wspomnienia napierają na niego, duszą go i wiążą.

Słońce skłaniające się już ku zachodowi wpadało ukośnymi promieniami przez okno, oświetlając wypolerowaną powierzchnię juków wiszących na gwoździu wbitym w ścianę, ciężkich od koron dla nieznanego brata Jennifer. Pieniądze uspokajające sumienie Jenny, fundusz powierniczy Eda Soamesa — część wszystkiego, co stało pomiędzy nimi.

— Ja też mu to proponowałem — powiedział Dave. — Ale on nie chce jałmużny. — Uśmiechnął się. Jakby go to cieszyło, jakby był dumny z chłopca.

Z frustracji, jaka zżerała Mike'a, narodził się gniew. Zbiegł po schodach na dół, krzycząc, zanim jeszcze znalazł się w stajni:

— Pozbądź się worka Eda Soamesa, Dave. Zakop go! Niech Ed żyje sobie pomiędzy czarnymi i niech będzie potępiony. Nie chcę, by mi przypominano za każdym razem o nim, kiedy tu jestem.

Krzyczał jeszcze, kiedy ujrzał kalekiego syna Ringi przechodzącego właśnie koło drzwi stajni. Chłopak uśmiechnął się do niego szeroko.

Gur szedł powoli w stronę peryferii miasta, kierując się do chaty, w której mieszkał Ed Soames.

Wejście zasłaniała młoda kobieta. Była blada i delikatnej budowy. Trzymała na biodrze małego chłopca, zbyt już dla niej ciężkiego.

— Jak się masz, Tommy? — zapytał Gur. Przyglądał się dziecku, bo nie chciał patrzeć na kobietę. W jej obecności stawał się nerwowy.

— Ed już wrócił — powiedziała. — Coś naprawia.

Gur minął ją i wszedł do jedyne go pokoju tej walącej się rudery. Posuwał się powoli, jak zawsze wtedy, gdy chciał ukryć utykanie. Przez wąskie drzwi przeszedł na podwórko, gdzie wałały się połamane części wozu.

Ed podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Szykuję ostatnie koło! — powiedział. — Będzie całkiem zgrabna bryczka.

— Sam ją pociągniesz? Potrzebujesz konia.

— Mam konia — powiedział mu Ed. — Albo raczej będę miał. Stara chabeta, ale do wozu nada się w sam raz. Dostanę go jako zapłatę za dwa tygodnie pracy. Jeden z pastuchów na starym rancho Delegate złamał nogę i potrzebują kogoś, kto zastąpi go przez jakiś czas.

Gur uśmiechnął się.

— Okropnie musisz chcieć tego konia. I właśnie takiego dostaniesz. Okropnego. — Roześmiał się zadowolony z własnego żartu.

— Nada się — odparł ze spokojem Ed. — Głównie będzie woził Mercy i chłopaka. Dla niej to będzie duża ulga, mieć konia i wóz.

Gur nic nie odpowiedział. Ta kobieta była chora. Prawdopodobnie umierająca. A Ed czasami zachowywał się, jakby tego nie wiedział lub nie chciał wiedzieć. Nie chciał uwierzyć. Chorowała od dnia narodzin chłopca. Mieli niedużo jedzenia ostatniej zimy i kiepską chatę. Zaziębienie przeszło jej na płuca. Gur słyszał, jak mówiła, że ma szczęście, bo nie będzie musiała przeżywać już wielu takich zim.

— Usłyszałem coś — powiedział Gur. Kręcił się koło stajni i innych miejsc odwiedzanych przez ludzi, przysłuchiwał się rozmowom i zbierał informacje.

— Jesteś jak sroka, która złapie wszystko, co się błyszczy — stwierdził Ed.

Gur przytaknął. Kobieta stanęła w drzwiach i przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Jak sroka, ale to nie jest prawdziwe imię tego ptaka — powiedział, odchodząc od głównego tematu. — To tylko biali ludzie tak ją nazwali.

Kiedy kobieta odwróciła się i zniknęła we wnętrzu chaty, Gur zaczął mówić szybko o kolejnym planowanym napadzie. Tym razem wybierali się na zachód, w okolice Gedzederick albo Berridale, a może nawet dojadą do Jindabyne, gdzie kiedyś szczep zbierał się, by polować na ćmy.

— Tym razem mam dobrych ludzi. Dwóch pastuchów. Gotowych na wszystko.

Ed spoglądał niespokojnie w pusty otwór drzwi. Przemęczył się przez kolejny ciężki rok, podejmując się każdej pracy, jaką dostał, zarabiając na życie najlepiej, jak mógł. Kiedy żona była w pobliżu albo przychodził Gur ze swymi namowami, ukrywał, jak mu ciężko. Nie mógł znieść myśli, że jego strach sprowadzi lęk w serce żony lub uśmiech satysfakcji na twarz czarnego chłopaka.

— Może któregoś dnia dołączę do was — wyrwało mu się. — Ale tylko wtedy, gdy będziecie iść na południe lub północ, nie na zachodnią wyżynę.

Gur roześmiał się.

— Zawsze trzymasz nas z daleka od miejsca, w którym żył kiedyś mój szczep.

— Nikogo tam nie znam — powiedział Ed obojętnie. — Nawet nie wiem, kto tam mieszka.

— Ale oni wiedzą, gdzie ty mieszkasz. Tyle tylko, że chcieliby nie wiedzieć. To właśnie usłyszałem, kiedy przechodziłem koło stajni. Coś na temat pogrzebienia ciebie. Może życzą ci, żebyś umarł.

— Nie zawsze dobrze wszystko zrozumiesz — przypomniał mu Ed, traktując opowieść jako żart, na jego twarzy nie widać było żadnych emocji. Czarni nie mieli związków rodzinnych, nie szanowali nawet swoich, odrzuconych przez własny szczep. A on ciągle jeszcze czuł silną potrzebę przynależności do jakiejś grupy.

Kiedy minęły dwa tygodnie pracy na ranchu, za którą częścią zapłaty była stara chabeta, Ed założył na nią siodło własnej roboty i pojechał do Minaby Flat tylko po to, żeby spojrzeć na dolinę. Była to długa i wolna droga.

Gur pożyczył konia od jednego z pastuchów i pojechał za nim. Spotkali się, kiedy Ed wracał.

— Wiem, gdzie byłeś — powiedział z uśmiechem Gur. — Zawróć tę starą szkapę i pojedziemy górną drogą nad doliną. — Kiedy Ed potrząsnął głową, dodał. — Tam jest chata, którą chcę ci pokazać. Nikt jej nie chce. Nikt w niej już dawno nie mieszka. Do nikogo nie należy. To dobre miejsce, można się tam schować i patrzeć.

— Nie zamierzam spędzać czasu na podpatrywaniu, tak jak to ty robisz — powiedział Ed, zwalczając ochotę zawrócenia konia. — I przed nikim nie muszę się chować. Jeszcze nie zostałem jednym z twoich opryszków.

— Jeszcze nie nadeszła zima — Gur uśmiechnął się pewny swego. Koń szczypiąc trawę, sam odwrócił się w stronę doliny, dlatego

Edowi łatwiej było powiedzieć:

— Skoro jesteśmy tak blisko, mogę rzucić okiem na to miejsce. Czemu nie?

Z chaty rozciągał się widok na dolinę, od starych kamieni i pasma drzew, poprzez ogródki warzywne, budynki gospodarcze i mieszkalne, aż po płaski teren przy rzece, wzdłuż której rosły topole.

Ed wyjrzał oknem zasnutym pajęczyną. Odwrócił się w stronę Gura, ale jakby go nie dostrzegając, i rozejrzał się po chacie.

— Mógłbym tu urządzić porządną dom. Lepszy niż jakikolwiek inny, który udałoby mi się stworzyć dla Mercy i chłopaka. Ale stąd daleka droga do pracy. I do złotych pól.

Gur podskoczył do otwartych drzwi i wyjrzał na wschodnią stronę doliny.

— Za to nie tak daleko do gospodarstw, które pokazywałem ci na przeciwległym zbocz — powiedział. — Opowiadałem ci o nich. A w chacie można się schować. Mieszkałem tu już wcześniej. Nikt nigdy tu nie zachodzi. Do nikogo nie należy. Dobra kryjówka.

— Dałoby się z niej zrobić miły dom.

— Nie masz pieniędzy, nie masz jedzenia, nie masz nic — odparł Gur. — Dach nad głową nie napełni ci brzucha, a nie ma już na co polować w tych stronach. Masz zamiar jeść korzonki, jak to kiedyś robili moi ludzie?

— Tylko tak się zastanawiałem. Nie mówiłem poważnie o zamieszkaniu tutaj — powiedział Ed, ale wrócił do otworu okiennego i spojrzał na rozpościerającą się dolinę.

— Tu, na tych wzgórzach czekali na moich ludzi — powiedział Gur.

— Dawno temu, kiedy jeszcze oprócz korzonków zjadaliśmy ćmy. Tu właśnie biali czekali na moich ludzi. Tutaj ich spalili żywcem. Tych, których nie zepchnęli z krawędzi wąwozu. Biali ludzie mieli tu świetną zabawę.

— Ja jestem biały. Czasami mi się wydaje, że o tym zapominasz.

Gur roześmiał się.

— Łatwo zapomnieć, że jesteś biały. Oni też o tym zapomnieli. Traktują cię jak jednego z nas. I jesteś przecież jednym z nas. Tak się zachowujesz.

— Nie jestem ani jednym z was, ani z nich. Po prostu jestem sobą. Czas wracać do Co-oma.

Gur wzruszył ramionami i spojrzął jeszcze raz przez otwór.

— Nie możemy teraz wyjść. Ktoś wchodzi na wzgórze. — Wysunął głowę przez otwór, a potem roześmiał się cicho. — To ona, moja matka. Pamiętasz, jak ci opowiadałem dawno temu, że karmiła z jednej piersi mnie, a z drugiej białą dziewczynkę. To pierwsze, co zapamiętałem z jej opowiadań. Mówiła, jakby była z tego dumna, albo jakby się bała. No cóż, to właśnie ona. Moja matka. Tyle tylko, że teraz nie zobaczysz już jej piersi, bo dostała ubrania, jak my wszyscy. — Odsunął się szybko od okna. — Chyba mnie widziała. Lepiej już pójdźmy, zanim się tu zbliży.

Cienie wydłużały się, ułatwiając ukrycie pośród krzaków. Ale przeszli zaledwie kilka metrów, kiedy Gur złapał Eda za ramię zatrzymując go.

— Spójrz. Tam, pomiędzy drzewami. Ten stary. To Benong. Mieszka tutaj. Zawsze się kręci w tym miejscu. Przygląda się i łązi. — W głosie Gura zabrzmiał lęk. — Nikt nie pamięta czasów, kiedy go tu nie było. Niektórzy mówią, że musi mieć już z dziewięćdziesiąt lat. Najstarszy ze szczepu. Może najstarszy człowiek na całej ziemi. Niektórzy mówią, że on nie żyje, że to tylko jego duch, który pozostał w ciele człowieka, zamiast przemienić się w ptaka lub skałę. — głos Gura przeszedł w szept. Potem nagle chłopak ruszył, kryjąc się w gęstwinie drzew.

Gdzieś zza ich pleców rozległ się pierwszy krzyk plemiennej pieśni. Zawisł przez długą chwilę w powietrzu, a potem znikł w miarowym rytmie.

Ed wdrapując się na swego wałacha obejrzał się w tył, ale chaty nie było już widać.

— Nie ma potrzeby mówić pastuchom ani nikomu innemu, że tu byliśmy — powiedział Gur, kiedy Ed się z nim zrównał. — Powiemy, że nie dojechaliśmy tutaj, bo coś nas wcześniej zatrzymało.

Ed popatrzył na niego.

— Dlaczego miałbyś im cokolwiek mówić?

— Planujemy napad na Minaby Flat, rozmawialiśmy już o tym.

— Nie jestem pewien — powiedział Dave do Mike'a po jego powrocie z Sydney — ale wydaje mi się, że czarni planują najazd na osiedla położone wyżej. Któryś z pastuchów napomknął o Minaby Flat.

— Jesteś pewien?

— Powiedziałem już, że nie jestem. Słyszałem plotki. Coś na temat napadu. Coś na temat Minaby Flat. Może jedno nie ma nic wspólnego z drugim, ale wolałem ci o tym powiedzieć. Wydawało mi się, że może cię to zainteresować.

— Nie będzie mnie przez jakiś dzień czy dwa, może dłużej — powiedział Mike.

Dave skinął głową. Nie musiał o nic pytać.

Mike osiodłał świeżego konia i godzinę później wyruszył w czterdziestomilową wycieczkę do doliny.

Była połowa września. Po pierwszych wiosennych deszczach ziemia rozmiękła, a w wyższych partiach nadal topniał śnieg, powoli spływając wzdłuż dróg i ścieżek.

Koń sam wybierał drogę, więc trwało to długo. Jeszcze mniej przejezdnie zrobiło się za Berridale, gdzie aleja wśród drzew prowadziła zachęcająco do niskiego budynku pubu, który kusił, by zatrzymać się i odpocząć chwilę. Mike zwalczył tę pokusę. Zanim dojechali do Jindabyne, koń cały parował. Niechętnie też słuchał poleceń jeźdźca.

— Ty cholerna, leniwa kobyła — powiedział Mike, ale pod kolanami wyczuł, że kobyła będzie miała żrebaka i długa podróż ją zmęczyła. Była jedną z rozplodowych klaczy Dave'a i rzadko jej używano do jazdy poza granice Cooma.

Droga zwęziła się i stała bardziej stroma. Pojechał skrótem po stoku i teraz tego żałował. Było tu więcej kamieni, które musiał omijać, a poza tym cały czas znosiła ich spływająca w dół woda. Kobyła po kolana brnęła w błocie. Wiedział, że powinien zatrzymać się na chwilę, pozwolić jej odpocząć i poskubać trochę wyłaniającej się spod śniegu trawy. Ale zbliżała się noc i gnało go naprzód jakieś przecucie silniejsze od rozsądku.

— Dave mnie przeklnie — powiedział do klaczy. — W dzisiejszych czasach on jest lepszym koniarzem niż ja. Uważaj, staruszeko.

Przed nimi pojawiła się duża dziura z wodą. Kobyła obeszła ją dość zgrabnie. Teraz kierował nią uważniej i delikatniej. Gdy dojechał do wzniesienia przy Col, wydało mu się, że już najgorsze ma za sobą, i to uśpiło jego czujność.

Miejsce, które wyglądało na całkiem bezpieczne, okazało się zapadliną. Okrągły kamień uderzył w kopyto i kobyła poślizgnęła się, zaczęła zjeżdżać na kolanach po stoku, a wreszcie upadła i zrzuciła go. Uświadomił sobie, że jest to miejsce, gdzie już kiedyś spadł z konia, w pięćdziesiątym czwartym roku. Nie zdążył się roześmiać, ponieważ spowiła go ciemność.

Młody Szkot nazwiskiem McLaren pracował na wyżynach, gdzie wypasały się owce Travisów. W Australii nie mieszkał jeszcze długo i nazywał sam siebie pasterzem. Codziennie rano sprawdzał stan stada i szukał zagubionych sztuk.

Podczas nocy padało i droga prowadząca do doliny była śliska, deszcz zatarł na niej wszystkie ślady. McLaren był starannym pracownikiem. Miał zamiar dojechać aż do Col, ale zanim tam dotarł, Usłyszał rżenie konia. Potem go zobaczył. Kobyła szczypała trawę i uderzała kopytem o ziemię, zdenerwowana ciężarem nasiąkniętego wodą siodła i koca, które miała na grzbiecie. W pobliżu na ziemi leżał mężczyzna.

McLaren sprawdził, w jakim stanie znajduje się człowiek, po czym szybko wrócił do doliny, by sprowadzić pomoc i nosze.

Kiedy wnosili Mike'a do domu, Jenny przyglądała się z zaciśniętymi ustami, powstrzymując krzyk, który w niej wzbierał.

— Czy on nie żyje? — udało jej się zapytać.

— Prawie — odpowiedział wolarz Mitchellów. — Musiał się połamać przy upadku i leżał tak co najmniej przez całą noc, na deszczu i zimnie.

— Złamania się zaleczą — powiedziała, próbując przekonać samą siebie. — Z zaziębieniem też sobie poradzimy.

— Zna go pani? — zapytał młody Szkot, przypatrując się jej uważnie.

— To stary przyjaciel. Najprawdopodobniej właśnie tutaj jechał. Zajęła się zagrzewaniem łóżka w jej własnym pokoju i szykowaniem świeżej bielizny nocnej Jazona.

— Na pewno chce go pani położyć u siebie? — zapytał wolarz Mitchellów, rozglądając się po pokoju, który najwyraźniej był jej sypialnią. — Długo nie będzie w stanie się ruszać o własnych siłach.

— Na pewno — odparła Jenny.

— Nie możemy go nawet umyć, zanim złamania nie zostaną ustawione.

— Ja je ustawię — powiedziała Jenny. — Ustawiałam ich wystarczająco wiele w swoim czasie. — Spojrzała na mężczyznę wyzywająco. — I mogę go również rozebrać i umyć. Znamy się wystarczająco długo, nie czas na fałszywą skromność.

— Pomogę pani — powiedział Angus McLaren, podtrzymując ją ramieniem. — Jest pani w szoku, pani Travis. Przyda się pani pomocna dłoń.

— W takim razie ja już lepiej pójdę — powiedział wolarz Mitchellów. — Chyba że mógłbym się wam także przydać. Ale widzę, że on jest w dobrych rękach.

Jenny popatrzyła na nich obu z wdzięcznością.

— Ludzie w dolinie i tak będą gadać na mój temat — wyrwało jej się. — O kobiecie, która gotowa jest rozebrać mężczyznę nie będącego jej krewnym.

— W mojej obecności nie będą — powiedział wolarz Mitchellów.

— Ani nie usłyszą czegoś takiego ode mnie. Gdybym był na jego miejscu — wskazał głową nieprzytomnego mężczyznę na łóżku — wolałbym, żeby się mną zajmowała jakaś delikatna dama, a nie szorstkoręki wolarz.

Angus McLaren wodził właśnie delikatnie dłońmi po nieświadomym niczego ciele, szukając złamań, prostując członki i ściągając mokre ubranie.

— Robisz to bardzo zręcznie — powiedziała Jenny i przyłączyła się do niego.

Uśmiechnął się.

— Nauczyłem się tego przy owcach. Zwierzęta czasami budzą w człowieku delikatność.

— Czy wyjdzie z tego? — zapytała.

— Jeśli ma mocne serce, powinno mu się udać.

— Mocne serce i mocna głowa, oto cały Mike Donohue.

— Tak się nazywa?

Jenny przytaknęłam Młody Szkot ściągnął z Mike'a ostatnią część ubrania, zawinął go w prześcieradło tak, że obrażenia pozostały na wierzchu.

— Długo się będzie leczyć — powiedział ponuro.

Jenny wpatrywała się w poturbowanego mężczyznę leżącego na łóżku.

— Ale wyleczy się — powiedziała. — Musi.

Minął dzień i noc, zanim Mike otworzył oczy. Przekręcił powoli głowę i ujrzał Jenny siedzącą koło łóżka. Po dobrej chwili zdołał się do niej uśmiechnąć.

— Zdawałoby się, że człowiek jest na tyle sprytny, że nie powinien popełnić tego samego błędu dwa razy w życiu — wyszeptał.

— Lub pamiętać, że za pierwszym razem wyszło mu to na dobre — odparła Jenny. — Zaczynam myśleć, że robisz wszystko, Mike'u Donohue, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mike chciał coś odpowiedzieć, ale zaczął kasłać. Pot pokrył mu czoło, bladość twarzy pogłębiła się.

— Więcej snu i mniej gadania, oto czego ci trzeba — oznajmiła Jenny. — Masz złamane trzy żebra, a do tego rękę i nogę. Jesteś workiem potłuczonych kości, ot co. — Patrzyła na jego usta, czując ucisk we własnej piersi. Bała się, że zobaczy krew, zdradzającą dziurę w płucu. — Jesteś bardzo przeziębiony — powiedziała wreszcie — ale dzięki Bogu, to wszystko.

— Przyjechałem, żeby cię ostrzec przed najazdem. Mogą tutaj przybyć — wyszeptał. — Czy pamiętałem, żeby cię ostrzec?

— Jeśli się zjawia, ja będę gotowa — zapewniła go. — Zawiadomiłam o twoim wypadku Dave'a i dostałam już od niego tę wiadomość.

Oczekiwanie na napad wywołało nastrój wielkiego podniecenia w dolinie, głównie za sprawą Chrisa Colebrooka, który skrzyknął wszystkich mężczyzn i wydawał się cieszyć na sposobność walki z czarnymi. Ale oczekiwani napastnicy nie zjawiali się. Donoszono o najazdach na południowo-wschodnie tereny, ale czarni nigdy nie dotarli na wyżyny.

— Czy ostrzegałem cię? — pytał raz po raz Mike, jakby to było dla niego najważniejsze.

— Przypuszczaliśmy, że twoje przybycie oznacza coś takiego — powiedziała Jenny, ale nie wspomniała, czego się naprawdę obawia. Jazon wyjechał jak zwykle po urodzeniu się jagniąt i wiosennym strzyżeniu. W odróżnieniu od innych posiadaczy stad owiec, którzy sprzedawali ścięte runo kupcowi z Sydney, on sam udawał się na rynki w mieście. Każdego roku jego nieobecność przedłużała się, a pieniądze ze sprzedaży były coraz mniejsze. Tak jakby poszukiwał nie tylko uciezki, ale i porażki, myślała Jenny — i bała się chwili, kiedy i on sobie to uświadomi.

Usłyszała głos Mike'a będący echem jej myśli.

— Kiedy wróci Jazon?

— Wyjechał niewiele ponad tydzień temu, a powiedział, że tym razem może go nie być dwa albo trzy miesiące — odparła. — Zostaje poza doliną tak długo, jak mu się podoba.

— W takim razie potrzebujesz mężczyzny. Muszę szybko dojść do siebie — powiedział Mike i znowu zamknął oczy.

Ale jego kości zrastały się powoli. Mijały dni, a on był tak ciężko chory, że nie miał sił nawet rozmawiać. Jenny spędzała dni i noce przy jego łóżku, trzymając go podczas najgorszych godzin za rękę, a czasami modląc się w lęku. A jednak czuła zadowolenie, do którego wstydziła się przyznać nawet sama przed sobą. Miała Mike'a w domu, jej głód był wreszcie zaspokojony,

samotne życie, na jakie się skazała, zakończone. Cieszyły ją długie godziny spędzane przy jego boku.

Wieczorami i rano przychodził Angus McLaren. Mył Mike'a i zmieniał mu ubranie, opiekował się nim tak, jak mógłby się zajmować jedną ze swych owiec. Ale gdy nadszedł październik, musiał odejść ze stadem na dalsze łąki. Wtedy opieka nad chorym spadła wyłącznie na barki Jenny. Wcale jej to nie przeszkadzało.

Nasłuchiwała, jak majaczył w gorączce, opowiadając o sprawach, które ją dziwiły. W jej myślach zaczęły się układać pytania, lecz odrzucała je od siebie, żeby nie przeszkadzały.

Wreszcie nadeszły kłopoty, ale spoza doliny.

Pod koniec października przyjechał na farmę Travisów Dave, niespokojny o Mike'a przywiózł dla niego list.

Jenny zostawiła chorego i pośpieszyła powitać Dave'a na schodach. Tam go zatrzymała.

— Mike jest zbyt słaby, żeby mu teraz przeszkadzać — powiedziała, wysyłając gościa na noc do chaty dla pracujących na farmie mężczyzn. Chciała utrzymać go z daleka od domu.

Rano oddał jej list, osiodłał konia i wrócił do Cooma, nie widząc się z Mike'em.

Później tego samego dnia wyjęła list ze schowka. Oglądała kopertę ponad godzinę, zanim zdecydowała się ją otworzyć i przeczytać.

Wmawiała sobie, że powinna tak zrobić, a już na pewno jej postępowanie było słuszniejsze niż Mike'a, kiedy wdzierał się w jej życie prywatne otwierając skrzynię Jonathana i czytając jego dziennik.

A poza tym, czy nie był to list od jej własnej wnuczki?

* * *

Cały listopad spędziła w jednej sypialni z Mike'em, śpiąc na łóżku polowym, które rozkładała koło jego łóżka.

Nadszedł grudzień osiemdziesiątego pierwszego.

— Nie różni się specjalnie od grudnia pięćdziesiątego czwartego — stwierdził Mike, puszczając do niej oko.

— Jest inny — powiedziała, nasłuchując dziecięcych głosów.

Nie było już dzieci z pięćdziesiątego czwartego. Jen przebywała gdzieś na północy, w Queensland, nie przysyłając o sobie żadnej wiadomości od ponad dwudziestu lat, Jod wprawdzie zaledwie o pół mili, jeśli chodzi o odległość, ale w istocie miliony mil od Jenny, i Jazon, którego nie oczekiwała w domu przed upływem miesiąca.

W domu mieszkało teraz nowe pokolenie: Nathan i Chang Lee, syn Kai, i mała Tallawang Ringi.

A Jenny wyczekiwała niecierpliwie końca tego roku.

Jennifer z dwojgiem dzieci płynęła statkiem z Anglii do Kolonii.

Jazon powrócił z początkiem grudnia. Milczący, zamknięty w sobie, nie chciał mówić o swych podróżach po miastach na północy. Zaprowadziły go tam owce i wełna, do domu sprowadziła z powrotem porażka, to szybko stało się dla Jenny oczywiste.

— Nie wiem, co w niego wstąpiło — powiedziała do Mike'a, który przeniósł się do domu dla pracowników w godzinę po powrocie syna. — A ty nie powinienesz się tu przenosić. Jazon może się często zachowywać dziwnie, ale czułby się dobrze, gdybyś pozostał w domu.

— Ale ja nie czułbym się dobrze — odparł Mike. — Teraz, kiedy on wrócił do domu, dla mnie przyszedł czas powrotu do Cooma. Póki mi noga do końca nie wyzdrowieje, z pomocą kija dam sobie radę.

— Nie! — krzyknęła Jenny, ale odwróciła głowę, by nie zobaczyć wyrazu jej twarzy. — Chciałabym, żebyś został, mam swoje powody.

— Ja też czuję, że powinienem zostać. Na pewno są powody, choć wątpię, byśmy myśleli o tym samym. Co ukrywasz przede mną, Jenny? — Czekał. — Dlaczego chcesz, żebym został?

— Nie jesteś jeszcze wystarczająco silny, żeby podróżować, to wystarczający powód. Mam dość zmartwień przez Jazona. Nie chcę się jeszcze zamartwiać tobą.

— A więc martwisz się o mnie?

— Wiesz, że tak.

— Więc zostaw to miejsce i pojedź ze mną, będziesz mogła mieć mnie zawsze na oku.

— A kto dopilnuje Jazona i będzie opiekował się doliną?

— Jeśli zostaniesz, stanie ci się coś złego. Czuję to w kościach. Zawsze to czułem. I polamanie ich nic nie zmieniło.

— Chodzi ci o to, że będę zraniona, kiedy wyjedziesz. Pochlebiasz sobie, choć przyznam, będzie mi ciebie brakowało. — Umknęła wzrokiem na bok. — Nauczyłam się lubić, że jesteś pod ręką.

— Widzę, że skończę wreszcie jako kaleka prowadzony przez ciebie na smyczy. Dobrze, zostanę jeszcze trochę — powiedział Mike — i roześmiał się na widok wyrazu jej twarzy.

Uniósł dłoń i potargał jej włosy, nadal ciemnokasztanowe w słońcu. — Widzisz, ja też się o ciebie martwię. Tak się składa, że cię kocham.

Jenny spojrzała na niego, ale po chwili znowu odwróciła wzrok.

— A poza tym mam dla ciebie niespodziankę — głos zdradził, że jest zdenerwowana.

— Co za niespodziankę?

— Jeśli powiem, to nie będzie niespodzianka.

— Nie jestem pewien, czy lubię niespodzianki.

— Ta ci się spodoba. — Odwróciła twarz, żeby nie mógł zobaczyć na niej uśmiechu.

Jennifer była coraz bliżej Kolonii, a Mike nadal tego nie wiedział. Tajemnica była dobrze strzeżona. A Jenny snuła swoje plany. Nie przeoczyła niczego.

Z drugim tygodniem grudnia pojawiła się niepewność, której Jenny nie potrafiła ukryć.

— Coś cię martwi — stwierdził Mike.

Jenny zmusiła się do śmiechu.

— Nie wiem, co mi jest. Moja matka nazywała to muchami w nosie.

— Jeśli potrzeba ci pieniędzy, powiedz tylko.

— Gdyby niepokoił mnie brak pieniędzy, wiedziałabym o tym — odparła Jenny i dodała gwałtownie: — A poza tym nigdy bym nie przyjęła pieniędzy od ciebie, jeśli to sugerujesz.

— Te twoje pieniądze. Pieniądze, które dałaś Dave'owi dla Eda Soamesa. Nie przyjął ich. Ja też próbowałem mu je dać, ale odrzucił jałmużnę. Uznałem, że jeśli będzie potrzebował pieniędzy, wie, gdzie przyjść poprosić. Nie zaproponowałem mu ich powtórnie.

Jenny długo milczała.

— Może powinieneś był. A może to ja powinnam była to zrobić. Musiało mu być ciężko.

— Jeśli chcesz, pošlę po Dave'a. Nie chcę, by cię dręczyły jakieś zmartwienia.

— Nie — powiedziała gwałtownie Jenny. — Masz rację. Jeśli syn Jen potrzebuje pieniędzy, wie, gdzie je znaleźć.

Ed wioził drewno do Queanbeyan. W pewnej chwili musiał przeprowadzić swój wóz na jedną stronę drogi, by przepuścić powóz. Siedział potem przez chwilę, oglądając się za nim, póki kurz na drodze nie opadł.

Coś ciągnęło go do kobiety w powozie. Widział ją tylko przez chwilę, ale ta twarz zaniepokoiła go. A potem również przyciągnął jego uwagę ekwipaż i otaczająca go aura bogactwa.

Nigdy w życiu nie widział ani takiego powozu, ani równie wymyślnie ubranej kobiety.

Jego stary wałach stał, na wpół śpiący. Ed musnął zad konia, obudził go, i ruszyli w stronę Queanbeyan. Myślami wrócił do pracy i zapłaty, którą miał za nią otrzymać.

Koń z wysiłkiem ciągnął wóz, ale pośpieszanie go nie przyniosłoby żadnego efektu. Ed opanował zniecierpliwienie i przestał zwracać uwagę na powolny chód konia. Myślał o Mercy i chłopcu. Myślał o Gurze. A najbardziej o Minaby Flat i chacie na stoku. Przyciągała go tak jak magnes przyciąga gwoździ. Równie uparcie w jego myślach pojawiał się powóz ciągnący za sobą pachnący pieniędzmi tuman kurzu.

22.

Pięćdziesiąt mil za Cooma powóz skręcił w trakt prowadzący do doliny, a potem wjechał na most i drogę do farmy Travisów.

Na dźwięk zajeżdżającego powozu Jenny wybiegła na werandę, nie zauważając nawet, że jest tam Jazon.

— To zbyt szybko — wykrzyknęła Jenny. — Niemożliwe, żeby już się zjawiała.

— Kto taki? — zapytał Jazon.

Jenny wygładziła włosy, poprawiła suknię, odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić.

— Wkrótce się dowiesz — odparła.

Ubrana bogato, ale zupełnie bez gustu, oparta na ramieniu równie krzykliwie odzianego, czerwonego na twarzy Irlandczyka pojawiła się młoda kobieta. Jak pstry motyl przybywający na tereny zamieszkane przez ćmy bogong, tak Jen Soames pojawiła się w Minaby Flat.

— To Jen! — zawołała Jenny. — Twoja siostra Jen.

— Oto Paddy O'Hara, mój narzeczonny — poinformowała Jen matkę i brata. — On jest z Ameryki. I tam właśnie mnie zabiera. Do Ameryki. I do cudownego, starego hiszpańskiego miasta, w którym żyją wszyscy ważni ludzie. Do San Francisco.

— A gdzie jest twój mąż? — zapytała Jenny, kiedy wreszcie udało jej się odzyskać głos.
— Gdzie podział się Bill Soames?

Promienny uśmiech na twarzy Jen nieco zbladł.

— Nie żyje. Spadł w sztolni jednej z tych opuszczonych odkrywek i utopił się w kałuży wody. Paddy wdrapał się, żeby go wyciągnąć, i znalazł złoto. Wielką, grubą żyłę, którą wyssa-
liśmy tak, że staliśmy się bogaci jak krezusi.

— Krezusi — mruknął Jazon.

Jen spojrzała nieprzychylnie na brata.

— Czy to wszystko, co masz nam do powiedzenia? *Gracious!* Tym swoim gładkim głosem? Jakby moje szczęście było powodem spuszczenia nosa na kwintę?

— Krezus — powtórzył cierpliwie Jazon. — Król Lydii. Bogaty jak Krezus. Kiedy ktoś jest nieprzychylnie bogaty, tak się go określa. Bogaty jak Krezus.

— Całkiem stracił rozum — stwierdziła Jen, przyglądając się bratu ciekawie. — Każdy, kto za długo siedzi w tym miejscu, musi sfiksować. Powinieneś był odjechać stąd, tak jak to zawsze planowałeś. Jako chłopak nie przestawałeś o tym opowiadać, ale nigdy tego nie zrobiłeś, co? Przynajmniej ja się na to zdecydowałam. I spójrz na mnie. — Teraz znowu uśmiechała się. Oczy błyszczały jej zadowoleniem. — Nigdy nie myślałeś, że zobaczysz mnie taką, co?

Zawirowała demonstrując czerwoną spódnicę z ogromną turniurą obramowaną fioletową wstążką. W tym samym kolorze miała mały kapelusik nasadzony na jasnorude włosy.

Irlandczyk, który dotąd stał cicho, objął ją teraz w cienkim, dzięki gorsetowi, pasie i powiedział z dumą:

— W San Francisco padną na jej widok. — Klepnął ją po turniurze. — Ale prosiła, żeby najpierw tutaj ją przywiózł, bo się chciała pokazać — dodał, spoglądając ostrzegawczo na Jazona. — To naturalne, że dziewczyna pragnie odwiedzić rodzinę, zanim wyjedzie z kraju na dobre.

Dziewczyna! pomyślała Jenny. Dobry Boże, za dwa lata skończy czterdziestkę. Wydawało się to niemożliwe. Dwanaście lat temu wyglądała starzej niż teraz. Szczęście tak ją odmieniło.

— Paddy twierdzi, że mam dobrą figurę — mówiła dalej Jen. — I naprawdę tak jest. Spójrzcie na moją talię. A biorąc pod uwagę, że urodziłam dwoje dzieci...

— Dwoje? — szepnęła Jenny. — Nie wiedziałam.

— Jedno zaraz umarło. Szkoda, że drugie nie, ale o tym pewnie wiesz — głos Jen zdrżał, oczy stały się niespokojne. Obejrzała się szybko, czy Paddy O'Hara nie usłyszy. Ale on rozmawiał z Jazonem, obejmując go po przyjacielsku ramieniem.

— A co z twoim synem? — zapytała Jen. — Czy masz zamiar się z nim zobaczyć?

Twarz Jen wydłużyła się.

— Wyszedł z więzienia?

Jenny przytaknęła.

— Już ponad cztery lata temu.

Jen zastanowiła się przez chwilę, przeliczając coś w myśli.

— Musi mieć dwadzieścia jeden lat. Po co mu teraz matka?

— Trudno powiedzieć, co ktoś może oczekiwać od matki w jakimkolwiek wieku. — Jenny poczekała chwilę, po czym dodała: — Jest żonaty i sam ma syna. Nie chcesz zobaczyć ich obu?

Twarz Jen zmarszczyła się.

— Nie chcę — odparła. — Paddy jest dwa lata ode mnie młodszy. Kiedy się dowie, że mam dwudziestoletniego syna, uzna, że jestem stara. A jeszcze do tego wnuk. Nie chcę.

Rozejrzała się niepewnie po pokoju.

— Nie mieszkają tutaj, prawda?

— Nie. Twój syn tak samo nie należy do rodziny jak i ty — powiedziała Jenny. — A ty przestałaś być jej członkiem lata temu.

— Myślałam, że ucieszysz się na mój widok — odezwała się Jen rozdrażnionym głosem. — Myślałam, że będziesz zadowolona, widząc, jak mi się powiodło. — Spojrzała na matkę nadal zachmurzonym wzrokiem. — Nie cieszysz się, że jestem szczęśliwa?

— Cieszę się — odparła Jenny. — Naprawdę. Gdyby twój ojciec nie ożenił się ze mną i nie przywiózł mnie tutaj... Gdybym miała ciebie z innym mężczyzną, ciebie i inne dzieci takie jak ty, i gdybym żyła w Lower Rocks w Sydney... — myśli układały się powoli, jakby były dla niej zupełnie nowe, potem płynęły słowa, jedno po drugim, jak perełki różańca. Jenny wzięła głęboki wdech, usiłując uspokoić swój głos. — Wtedy nawet nie śmiałybym marzyć o takiej przyszłości dla ciebie. Nawet o ćwierci tego. Jesteś prawdziwą damą w porównaniu do tego, kim mogłabyś być.

Jen spoglądała niepewnie, ale potem rozpromieniła się, zadowolenie ze słów matki powróciło uśmiechem na jej twarz i dodało miękkości barwnemu motylowi.

— Chciałabym, żebyś była ze mnie dumna — powiedziała.

— Czy dlatego przyjechałaś? — zapytała Jenny.

— Nie. Chciałam ci dopiec. Tobie i wszystkim w tej dolinie. Chciałam, żebyście zobaczyli, że osiągnęłam więcej niż wy wszyscy razem wzięci. Jestem prawdziwą damą, tak jak powiedziałaś. Ale teraz cieszę się z innych powodów. Po prostu cieszę się, że tu jestem.

— Ja też się cieszę — odpowiedziała wolno Jenny, myśląc o dziewczynie, która w tej właśnie chwili zmierzała do doliny z Anglii. — Ja też.

Wydawało się, że z przyjazdem Jen nastąpiły przetasowania na farmie Travisów — a Jenny uważała, że nawet w całej Minaby Flat — jak w kartach z talii tarota, którego układała Millie.

Mike wymyślił sobie robotę na najodleglejszym skraju posiadłości i z zadowoleniem przyjął miejsce do spania w jednym z płóciennych namiotów wolarzy. Chang Lee próbując odwdziżyć się Jen za wysłanie go dwadzieścia lat temu na farmę Travisów, przechodził samego siebie w kuchni. Ringa na widok Jen schowała się w kącie starej destylatorni. Za to wszystkie dzieci oblażyły powóz i zaglądały przez okna do wnętrza domu. I coraz więcej mieszkańców doliny znajdowało jakiś pretekst, by złożyć wizytę na farmie Travisów.

— Spowodowałaś niezłe zamieszanie — powiedziała Jenny.

— To jeszcze nic w porównaniu z tym, które zamierzam wywołać — odparła Jen. — Tylko obserwuj.

— Jeśli nie będę, to na pewno jako jedyna — stwierdziła Jenny, widząc młodszą córkę Jody, Frede, pędzącą do domu z najświeższymi wieściami.

Jen nie przyjęła zaproszenia Jenny i wynajęła z Paddym najlepsze pokoje, jakie miał do zaoferowania hotel. Jenny starannie wybrała czas wizyty u córki, wiedziała, kiedy spotka najwięcej mieszkańców wioski.

— Nie ma powodu, by myśleli, że nie jesteśmy w przyjacielskich stosunkach i dlatego trzymasz się daleko od gospodarstwa — powiedziała córce. — I tak wystarczająco gadają na nasz temat.

Więcej niż wystarczająco, pomyślała, rozglądając się po hotelowym pokoju Jen. Jego prostota zniknęła ukryta pod stosami kolorowych sukni, porozkładanych na nie pościelonym łóżku i krzesłach. Skrzynie były pootwierane, a ich zawartość wysypana na lśniąca drewnianą podłogę. Męska pidżama i szlafrok wisiały na haku przy drzwiach. Jenny wróciła wzrokiem do nie pościelonego łóżka. Wiedziała już, o czym Charity Jones czy Downer Farley, które tu sprzątały, będą opowiadać.

— No cóż, słusznie postępujesz, że wychodzisz za mąż — powiedziała Jenny. — Bałam się, że zamierzasz wyjechać stąd z tym swoim Paddym bez ślubu, zostawiając wszystkich z tematem do plotek na całe lata.

Jen zaśmiała się.

— Głównie po to przyjechałam. Nie darowałabym sobie, gdyby cała dolina nie była na tym ślubie. Chociaż nie znam nawet ćwierci z nich. Ale obcy czy nie, chcę, żeby wszyscy byli

świadkami mojego szczęścia. Mimo wszystko okradziono mnie ze ślubu, który mi się uczciwie należał.

Jenny milczała.

— A to dopiero będzie ślub. — Jen czekała na reakcję matki.

— Na pewno nie przedwczesny, tylko tyle mogę powiedzieć — stwierdziła Jenny, gotowa rozwinąć ten temat.

— Nie zamierzasz mnie zapytać, jaki ślub planuję? — zapytała Jen.

— W dolinie nie ma kościoła — powiedziała Jenny. — Dlatego nigdy nie było tu porządnego ślubu. Ale przypuszczam, że uda nam się sprowadzić pastora z Cooma. A potem możemy wyprawić przyjęcie w domu, takie samo jak wtedy, gdy wychodziła za mąż Jody.

— Ta zarozumiała damulka — zachnęła się Jen. — Nie przyszła nawet, żeby się przywitać, czy pocałować, ani nic. Założę się, że jest zielona ze złości. No cóż, na ślub przyjdzie. Dzięki konie jej nie utrzymają, kiedy usłyszy, jakie mam plany — znowu zamilkła, przypatrując się Jenny badawczo.

— Jazon może cię poprowadzić — zaproponowała Jenny. — Był trochę za młody, kiedy Jody wychodziła za mąż, ale i tak ją poprowadził. Mitchellowie powiedzieli, że tak jest najodpowiedniej, kiedy nie ma ojca.

— Jestem wdową — powiedziała niecierpliwie Jen. — Wdowy mogą same iść do ołtarza. I nie będzie żadnego rodzinnego przyjęcia w domu. Planuję ślub, na który przyjdzie każdy i którego nikt nie zapomni. Zapraszam całe Minaby Flat. Każdego, nawet obcych. — Twarz jej rozświetliła się, w głosie zabrzmiał znowu entuzjazm.

— Mówisz o sprowadzeniu pastora z Cooma. — Roześmiała się.

— Ksiądz jest już w drodze i przybędzie z samego Sydney. Paddy nigdy wcześniej nie był żonaty, ja jestem wdową, nie ma powodu, by kościół nie uznał naszego związku. No i oczywiście dostaną hojną jałmużnę za swe trudy. Tak czy siak, dla mnie jakiś tam protestancki pastor to nie to. Taki ślub już raz miałam. Tym razem przybędzie ksiądz rzymskokatolicki. Oni lepiej się ubierają. Przyrzekł, że będzie w pełnym ornacie. Pełen ornat. I to tylko na początek. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcę wynająć cały hotel. Wynająć, przerobić i ozdobić. Dekorator z Sydney też już tu jedzie, z takiego wielkiego magazynu. Zjawi się jutro, najpóźniej pojutrze. A do pomocy przyjechałam stolarza z Cooma. Na początek ustawią kaplicę na podwórzu za pubem.

— Kaplica na podwórzu za pubem? — Jenny patrzyła na córkę wstrząśnięta. — Pełno tam starych puszek, pustych skrzynek i Bóg wie czego jeszcze.

— Nic takiego nie znajdziesz, kiedy skończą robotę. Będą rosły pnące róże, ziemię przykryje zielony dywan, a na nim postawią prawdziwy ołtarz ze złotym materiałem i wszystkim, co trzeba. Ksiądz ma nawet zgodę kościoła na konsekrowanie go. Wierz, że sporo mnie to kosztowało. Ale niech tam.

— Lepiej nadaje się podwórko przy hotelu — zaproponowała Jenny.

— Potem możesz sobie z tym zrobić, co zechcesz — mówiła dalej Jen. — Na przykład ogródek dla piwoszy, słyszałam od Niemców, że mają takie u siebie w kraju. Albo mogą się tam faceci odlewać. Nie dbam o to. Tylko nie próbuj mnie powstrzymać.

— Nie bardzo wiedziałabym jak — skomentowała Jenny.

— W hotelu stoły będą nakryte koronką, a na niej najlepsze srebra — mówiła dalej pośpiesznie Jen. — I jedzenie. Poczekaj, kiedy zobaczą tę wyżerkę. I jak się nawpychają. Z Sydney przyjedzie prawdziwy kucharz. Nazywa się go „chef”. Jest Francuzem. Nie będą nawet wiedzieli, co jedzą.

— To wszystko będzie mnóstwo kosztowało — zauważyła Jenny.

— Wydaję własne pieniądze, niczyje inne. A poza tym pieniądze są po to, żeby używać życia.

Jenny nic nie odpowiedziała, tylko pomyślała o Jazonie.

— No, dalej — napierała na nią Jen. — Co na to wszystko powiesz?

— Zaparło mi dech — Jenny nie chciała sprawić przykrości córce. Jej wzrok powędrował znowu na łóżko. — Ale tak naprawdę ważne jest, żebyście się pobrali. Im szybciej ty i Paddy zostaniecie małżeństwem, tym lepiej. Twój ślub to nie przedstawienie i na pewno nie tylko o nim się będzie mówiło.

Jen uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

— Czy wolałabyś, gdybyśmy oboje mieszkali u ciebie?

— Gdybyście mieszkali u mnie, wyglądałoby to inaczej.

Jen uśmiechnęła się znowu.

— Mamy powód, dla którego mieszkamy w hotelu. Niech sobie gadają. Zanim to wszystko się skończy, będą mieli naprawdę o czym paplać. Tak czy siak, wzięliśmy przecież dwa pokoje. Jeden jest potrzebny na moje stroje.

Jenny niełatwo było zagadać.

— Większość kobiet czeka na pierwszą małżeńską noc — powiedziała cierpko.

— Kobieta może być równie chętna jak mężczyzna, jeśli spotka odpowiedniego — odpowiedziała Jen. — Paddy jest Amerykaninem i w tym cała różnica. Australijscy mężczyźni uważają, że kobieta nie ma żadnych uczuć. Używają nas, jakbyśmy były kawałkiem chleba z dziurą.

— O czym ty mówisz? — przerwała jej Jenny ostro. — Nie rozumiem cię.

Jen popatrzyła na matkę rozbawiona.

— Żyłś pod kloszem, co?

— Przecież byłaś szczęśliwa z Billem Soamesem? — zapytała Jenny. — Może nie z powodu życia, jakie ci stworzył, ale szczęśliwa z nim. — Poczula się zakłopotana. Wolałaby zmienić temat, ale tak samo jak reszta mieszkańców doliny była ciekawa, kim stała się jej córka.

— Jeśli chodzi o łóżko, to był lepszy niż większość Australijczyków. Przynajmniej czasami. Kiedy mu się chciało — mruknęła Jen. Podniosła naszywany czarnymi i czerwonymi paciorkami płaszcz i zaczęła zwijać i rozwijać piękną jedwabną krezę.

— Mówisz, jakbyś miała co najmniej tuzin australijskich mężów — skomentowała Jenny.

Jen popatrzyła na matkę ostrożnie. Potem odwróciła wzrok.

— Kobiety na złotych polach rozmawiają o tym, jak jest im z mężami — powiedziała. — Nie ma specjalnie o czym innym gadać.

— O tym w ogóle nie powinno się rozmawiać — stwierdziła Jenny.

Jen wzruszyła ramionami.

— Australijscy mężczyźni to zwierzęta, w każdym razie większość z nich — ciągnęła zadowolona, że może zaszokować matkę. — W dwie sekundy już są dobrzy i pakują się w ciebie, jakbyś była ochłapem mięsa. Nienawidzę Australijczyków. — Spojrzała na matkę. — Jazon jest Australijczykiem. Jego żona długo nie wytrzymała, co?

Jenny zrobiło się niedobrze. Z Jazonem i Gwendoline nie było przecież wcale tak, powtarzała sobie. Ale teraz już straciła tę pewność. Zawsze już na widok Jazona będzie zastanawiać się nad tym.

— Twój ojciec był Anglikiem — powiedziała sztywno. — Angielskim dżentelmenem. Nie wiem nic na temat tych, których nazywasz Australijczykami, i nie chcę wiedzieć.

— Pewnie, że nie — zgodziła się Jen. — Za twoich czasów nie było ich tak wielu. Australijczycy to ci, którzy urodzili się tutaj. A jeśli ktoś jest Australijczykiem, to znaczy, że nie-

wiele się różni od zwierzęcia. — W jej uśmiechu czaiła się wyższość. — Paddy jest Amerykaninem. Ci to wiedzą co nieco na temat kobiet. Zadają sobie trud, żeby się dowiedzieć. Paddy mówi, że jemu jest lepiej, jak mnie jest dobrze. Australijczykom, takiemu Billowi Soamesowi czy innym, nie przyszloby coś takiego nawet do głowy.

Jenny czuła, że musi znaleźć się z dala od córki, z dala od tego pokoju. Wyszła na balkon, by popatrzeć na rzekę. Zaczerpnęła świeżego powietrza.

Jen poszła za nią. Udała się w róg balkonu i stała patrząc na południowy zachód, gdzie droga skręcała do posiadłości Colebrooków. Ta sama droga, po której kiedyś biegła, a dzikie róże czepiały się jej czerwonej sukienki.

— Chris Colebrook jest Australijczykiem — powiedziała, jakby bez związku. — Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Jest Australijczykiem. Nie wiedziałas o tym, ale chcieliśmy z Chrisem się pobrać. Dawno temu, kiedy jeszcze byłam naiwnym, słodkim dziewczęciem. Zanim jeszcze odbyło się to przyjęcie. — Zaśmiała się gorzko. — Zawsze, gdy słyszę słowo przyjęcie, robi mi się niedobrze.

Jenny wpatrywała się w rzekę.

— Czy ty i Chris...? — Jenny czekała.

Czekała bardzo długo, żeby usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

— Nie, nic takiego. Jeden pocałunek w sklepie. Tylko tyle, nic więcej. — Jen spoglądała na swoje dłonie, wspominając. — Tylko tyle. Ale wtedy wydawało się takie ważne.

Kiedy odezwała się znowu, głos jej się zmienił.

— Zamierzam wreszcie być taką osobą, jaką zawsze pragnęłam być — powiedziała z zadowoleniem. — Panią Paddy O'Hara.

Jenny przyjrzała się córce z ciekawością.

— To musi być miło tak wiedzieć na pewno — powiedziała. — Czasami myślę, że ja spędziłam całe życie, zastanawiając się, kim właściwie jestem.

Mike, wyglądający na zdrowszego, mniej powłóczyący nogą, opalony, wrócił wieczorem do domu po prowiant.

— Wielcy święci Irlandii — wykrzyknął, kiedy Jenny opowiedziała mu o weselnych planach. — To będzie niezły cyrk.

— Myślałam, że raczej przedstawienie — powiedziała Jenny.

— Widziałas kiedyś teatr? — dopytywał się Mike.

— Gdy byłam dzieckiem. Dawno temu.

— Będę się przyglądał spektaklowi z bezpiecznej odległości — oznajmił Mike. — A sam uczczę jej wyjazd z kraju. To cudowne, że Ameryka jest tak daleko. Z Anglii do San Francisco też, dzięki Bogu, szmat drogi. Do tego czasu nie chcę mieć żadnych kontaktów z Jen, a znasz moje powody. Przez samą świadomość, że ona żyje, drzę o Jennifer.

Jenny milczała zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek powiedzieć.

— O coś ci chodzi — odezwał się wreszcie Mike. — Zawsze masz na twarzy ten wyraz, gdy się czymś martwisz.

— Zastanawiam się, jaki prezent ślubny powinnam dać Jen — zdołała odpowiedzieć Jenny.

— Możesz jej podarować dwa szybkie konie, które wywiozą ją stąd jak najprędzej — zaproponował Mike. — Dołożę się anonimowo do tego prezentu.

Jenny myślą przebiegła po kartach atlasu Jonathana.

— Powiniennem wracać do Cooma — powiedział Mike. — Teraz jeżdżę już całkiem dobrze, kiedy zdołam włożyć nogę w strzemiono. Skoro mogę jeździć tu i tam z wolarzami, równie dobrze mogę pojechać do Cooma. Albo pożyczę od ciebie bryczkę.

— Nie! — wykrzyknęła Jenny i w tej samej chwili odwróciła się od niego. — Potrzebuję cię tutaj. I nie o milę stąd w namiocie wolarzy! Potrzebuję cię właśnie tu. W chacie na brzegu, jeśli już nie chcesz mieszkać w domu, ale bliżej.

— Przypuszczam, że prędzej grozi mi spotkanie z Jen w Cooma, gdy będzie wyjeżdżać, niż w chacie na brzegu, kiedy jeszcze jest w dolinie — Mike przyglądał się niespokojnej twarzy Jenny. — Przyjemnie być potrzebnym!

— A poza tym na pewno nie mam ochoty zamartwiać się, jak sobie radzisz z nie wyleczoną nogą! Wystarczająco wiele zmartwień... — zamilkła, jakby przestraszona, że powiedziała zbyt dużo. — Czuję, że nie powinieneś być za daleko.

— Cóż to mogłoby być za uczucie?

— To wcale nie to, o czym myślisz. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. — W jej głosie usłyszał lęk. — Po prostu takie przecucie.

— Sam zaczynam odczuwać coś podobnego. Ale czegoś mi nie mówisz, Jenny
Potrzęsnęła głową.

— Mam tylko takie przecucie.

Nie mogła spojrzeć na niego. W nagłej panice chciała już mu powiedzieć, żeby wyjechał. Do Cooma, do Sydney. Chciała powiedzieć, że przyjeżdża jego córka z dziećmi.

Każdy dzień przybliżał ich statek, skracając długą linię między portem w Sydney a punktem na wielkiej mapie świata, z którego wypłynęli przed miesiącem.

To jest tak, jakbym ja wszystko zaaranżowała, pomyślała. I do pewnego stopnia tak było, uświadomiła sobie. Czuła w sobie rosnącą potrzebę spotkania Jennifer, ale we własnej dolinie, na własnych zasadach. A w związku z niespodziewanym przyjazdem Jen pojawiły się możliwości, których nie chciałyby stracić. Chwile, które chciała z nimi dzielić. Przez kolejne dni zastanawiała się nad własnymi uczuciami, starając się je nazwać. Ale były nieuchwytnie, błąkały się po jej głowie, niemożliwe do określenia. A teraz nagle wiedziała.

Zrozumiała to w tej samej chwili, kiedy powiedziała Jen, że przez całe życie zastanawiała się, kim jest. Ona była Jenny Garnett i to, skąd pochodziła i od kogo się wywodziła, nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się tylko, kim sama była. I kto zawdzięczał życie jej życiu.

Trzy pokolenia kobiet. Kontynuacja jej samej. A ta trzecia generacja zjawiała się, kiedy ona była zaledwie w połowie drogi między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Chciała zobaczyć je wszystkie razem, wszystkie naraz, choćby tylko przez chwilę. Siebie i swoją córkę Jen. I córkę Jen — Jennifer. I jeszcze młodsze dziecko Jennifer, trzyletnią córeczkę imieniem Tricia. Jenny Garnett i trzy pokolenia kobiet, które podążały za nią. Wszystkie wokół niej. Przez jedną chwilę.

To będzie moment podliczenia, podsumowania, powiedziała do siebie, starając usprawiedliwić przed sobą to pragnienie. Sposób zamknięcia przeszłości, która wciąż łączyła Jen i Jennifer. To było coś, co należało zrobić. I Jen wszystko to ułatwiła. Gdyby ona знаła prawdę, gdyby mogła ją odgadnąć, tak samo by się zachowała.

Przez następne dni Jenny wypatrywała nadejścia gazet, a potem śledziła rozkład statków, jednocześnie starając się kontrolować to, co się działo wokół niej.

Wspaniały ślub, który miał się odbyć w Minaby Flat, wywołał w Cooma powódź komentarzy i plotek proporcjonalną do liczby krawcowych i sukni, z którymi się zjawiały. Na peryferiach miasta, w chatach i rozwalających się szałasach aborygenów, Gur kręcił się wśród swej bandy, budząc ich z letargu fantastycznymi opowieściami o zaszytym w pasie bogactwie, które można było tak łatwo zdobyć w dolinie.

Ed Soames chodził za nim, używając swego ostrego języka w celu pokrzyżowania tych planów. Wzruszając ramionami na pomysły Eda, snuł własne opowieści o wzrastających wpływach Chrisa Colebrooka pomiędzy nienawidzącymi czarnych pastuchami. O mężczyznach, których mógł on koło siebie zgromadzić, ich groźbach straszliwego odwetu. Ale jakie

znaczenie miało zamordowanie i torturowanie kilku, jeśli reszta mogła zdobyć majątek? Tych, których Gur zdołał pobudzić do czynu, Ed osadzał wątpliwościami i strachem, kolejny raz utrzymując ich z daleka od doliny.

— Ciekawym, kto to jest ta wymyślna, bogata dziwka? — medytował Gur. Był to dla Eda trudny dzień i ledwie zwalczył chęć odpowiedzenia czarnemu chłopakowi, czym podważyłby równocześnie swoje argumenty przeciwko najazdowi na dolinę. Kiedy Mercy zadała to samo pytanie, a w jej głosie zabrzmiała zazdrość, nawet jej nie powiedział, że to jego matka — matka, która powróciła bogata do Minaby Flat, pozostawiając za sobą nieżyjącego, zapomnianego ojca. Tak samo jak wcześniej porzuciła i zapomniała jego.

Chyba jednak oczekiwał, że ona do niego przyjdzie. Dlatego przestał kręcić się koło miejsc, w których łatwiej im było się na siebie natknąć. Znalazł słowo, które oddawało wszystkie szarpiące nim uczucia, wszystkie splątane emocje, słowo, które najlepiej je oddawało, a jego obnażało: ciekawość. Męczyła go zwykła ciekawość.

Osiadł starygo wałacha z zamiarem ruszenia w czterdziestomilową drogę do doliny, do opuszczonej chaty na wschodnim zboczu, by stamtąd coś podpatrzeć.

Kiedy Gur zobaczył jego przygotowania do drogi, podszedł, szczerząc zęby, z zapytaniem, gdzie się wybiera.

— Do Queanbeyan — skłamał Ed. — Dostałem tam na jutro pracę. — Ustawił konia w odpowiednim kierunku, przygotowany, że przejedzie te dodatkowe kilka mil, by zmylić Gura.

— To dobrze — powiedział czarny chłopak. — Lepiej, żebyś nie wybierał się do doliny twojej babki, ponieważ my z chłopakami może jednak zdecydujemy się na złożenie tam wizyty. Tylko może. A ty wtedy nie chciałbyś się tam znaleźć, prawda?

Ed wzruszył ramionami.

— Nie chciałbym być nigdzie w pobliżu ciebie i twoich oprychów, kiedy będziecie prosić się o kłopoty. — Spoglądając na czarnego chłopaka, dostrzegł ten prześmiewczy wyraz, który się zawsze pojawiał, kiedy Gur chciał się zabawić kosztem Eda. Ale zanim się zdążył zastanowić, co mówi, wypalił: — Gdybym myślał, że naprawdę się tam wybieracie, poszedłbym także po prostu po to, żeby uratować wasze głupie głowy.

Potem odjechał na wschód, a dopiero dużo dalej skierował się na zachód.

Jen obudziła się o świcie. Wyszła na balkon hotelowego pokoju i przyglądała się, jak wstaje dzień w Minaby Flat.

Na chwilę uległa wspomnieniom. Dwadzieścia trzy lata temu obudziła się, myśląc tylko o przyjęciu na farmie Colebrooków. Miała piętnaście lat, była pełna radości i podniecenia. Zdecydowana pokazać, że jest już wystarczająco dorosła do małżeństwa. Z Chrisem Colebrookiem. Ciekawe, jak on teraz wygląda, zastanowiła się. Do diabła. Być może jeszcze tego dnia zobaczy go i przekona się, że Bill Soames zrobił jej przysługę, zabierając z tej dziury. Gdyby nie Bill i gwałt, z którego sobie nawet nie zdawał sprawy, nadal by tu siedziała. I nigdy nie spotkałaby Paddy'ego.

— Obudź się, mój kochany — powiedziała, wracając do sypialni. — Dzisiaj jest dzień naszego wesela.

Jenny obudziła się z jednego ze swoich koszmarów.

— Jeszcze nie teraz, ale wkrótce... — wyszeptała, po czym nagle ocknęła się, a sen gdzieś umknął niezapamiętany. Leżała zdziwiona własnymi słowami.

Przez kilka chwil wydawało jej się, że Mike jest bardzo daleko, w Irlandii, czy gdzie tam się włóczył, i znowu poczuła o niego lęk. Potem rozbudziła się już zupełnie. Przez okno na wschodniej ścianie wpadało światło poranka przypominające jej, że Mike jest niedaleko i bezpieczny.

Jej myśli wróciły do wydarzeń rozpoczynającego się dnia — dnia wesela Jen. Sobota, dwudziesty czwarty grudnia. W tej samej chwili uprzytomniła sobie, że to również dzień urodzin Chrisa Colebrooka. Poczowała się jak wtedy, kiedy jeszcze żył Jonathan, a każda Gwiazdka była czasem milczenia i smutku.

Roześmiała się. Rocznicą przyjęcia na farmie Colebrooków. Że też nie zdała sobie dotąd sprawy ze znaczenia daty, jaką Jen wybrała!

Ubrana w czerwoną satynową suknię wyszywaną paciorkami i klejnotami, Jen stała w drzwiach pubu, witając nadchodzących gości.

— Niech nikt z was nie myśli, że widzi pannę młodą przedwcześnie, bo ona dopiero będzie nią później — powiedziała do wszystkich i do nikogo. — I będę białą panną młodą, bo to się należy każdej dziewczynie. Ale zaczniemy od przyjęcia, jako że dzisiaj Gwiazdka i być może nawet czyjeś urodziny. Na tę okoliczność miałam ochotę się ubrać na czerwono, tak jak mnie teraz widzicie, ale to tylko dla niektórych, którzy pamiętają mnie jeszcze z dawnych czasów.

Dla Jenny, stojącej w pewnej odległości, słowa Jen zabrzmiały jak jedna długa przemowa, ale do przychodzących trafiały jak oddzielne zdania, każdemu dostawał się okruch wiadomości.

— Niech mają o czym gadać — powiedziała Jen w przerwie między witaniem nadchodzących gości, odwracając się do matki z uśmiechem.

— Nim się skończy dzień, będą mieli aż za dużo tematów. — Wskazała ręką na zachód. — Od dnia przyjazdu nie widziałam nikogo z Colebrooków. Po tak długim czasie mogę ich nawet nie poznać. Daj mi znak, kiedy ich zobaczysz. To jesteś mi winna.

— Nie wszyscy przyjdą — powiedziała Jenny nerwowo. — Twoja siostra nie może.

— Nie może czy nie chce? Tak czy siak, to dobra nowina. Spędzi niezwykle niemiły dzień, zastanawiając się, co straciła.

— Gdzie jest Paddy? Narzeczonego — zapytała Jenny.

— Na górze, gdzie ma zostać, aż usłyszysz pierwsze tony weselnego marsza. Ta część ceremonii jest tylko dla mnie i Minaby Flat.

— Spóźnimy się — Kate Colebrook spojrzała niepewnie na męża.

— Oczywiście jeśli nie chcesz iść, to nie pójdziemy — w jej głosie zabrzmiało niezadowolone.

— Nie ma żadnego powodu, dla którego nie chciałbym tam pójść — odparł Chris. — Poza tym, że jest cała masa roboty, z którą powinniśmy się dziś uporać z Carruthersem.

— On właśnie wyszedł. Widziałam, jak schodził ze wzgórza. Jest przecież sobota. I Boże Narodzenie. — Uśmiechnęła się. — No i twoje urodziny.

— Kiedy człowiek dożywa średniego wieku, trudno się z nich cieszyć. Mam czterdzieści cztery lata — Chris roześmiał się z wysiłkiem i spojrzał na żonę. — Gwiazdka i urodziny nigdy nie były moim ulubionym czasem.

— Ale przynajmniej tym razem jesteś w domu — powiedziała. — Tak często nie ma cię o tej porze roku. — Uśmiechnęła się znowu do niego. — To miło mieć cię tutaj.

Wyglądała na zmęczoną, trzydziestodwuletnią kobietę, zauważył Chris. Ale kiedy się uśmiechała, robiła się po dziewczęcemu ładna. A pod fartuchem miała swoją najlepszą sukienkę. Rzadko zauważał takie rzeczy.

— Ubrałaś się już do wyjścia — stwierdził. — Masz ochotę pójść, prawda?

— Tylko, jeżeli ty chcesz.

Do pokoju wszedł Samuel Colebrook.

— Kiedy wychodzimy? — zapytał. — Powiedziałem Jenny Travis, że przyjdę.

— Cała rodzina razem! — wykrzyknęła Kate, spoglądając prosząco na Chrisa. — Ponieważ twoja matka także idzie.

— Moja matka? — Chris spojrział na nią zaskoczony.

— Gdy opowiedziałam jej o tym, że ma być zbudowany ołtarz, i o księdzu przybywającym, by go konsekrować... — głos Katie zamarł. — Nie ma w tym nic złego, że jej powiedziałam, prawda? To dla niej tak wiele znaczy.

— Będę gotowy za dziesięć minut — powiedział Chris.

— Naprawdę powiedziałaś, że ona idzie? — zapytał Samuel. Kiedy Katie przytaknęła, odszedł powoli, mrucząc do siebie. — Jeśli ona idzie, to ja zostaję.

To nie jest łatwa rodzina, pomyślała Katie. Pośpiesznie ściągnęła fartuch i pobiegła założyć kapelusz i rękawiczki. Przez kuchenne okno zobaczyła Mary Colebrook, która już samotnie śpieszyła w stronę kaplicy i księdza.

— Jestem Jim Carruthers, stary kumpel twojego męża, Billa — przedstawił się Carruthers z uśmiechem. — Pewnie mnie nie pamiętasz.

— Ależ oczywiście, że cię pamiętam! — Odparła uprzejmie Jen. — Ale głównie z tego, co mi później o tobie opowiadał Bill.

— O, to miło. Naprawdę miło.

— Cieszę się, że tak myślisz. I że przyjąłeś moje zaproszenie, bo mam dla ciebie specjalną wiadomość.

— Naprawdę?

Jen uśmiechnęła się i uniosła nieco spódnicę, pokazując pantalon i odsłaniając nogi. A potem z całej siły kopnęła go w lędźwie.

Upadł na zakurzoną drogę, zwijając się z bólu, a Jen odwróciła się do matki.

— Jeden na ziemi. Nie zapomnij dać mi znak, kiedy następni nadejdą, a teraz idę bawić się z resztą gości. Dzisiaj wszystko odbywa się na amerykańską modłę. Najpierw śniadanie dla gości, potem ślub, a na koniec bankiet. To dobra nazwa, bo każdy porządny bankier umarłby na zawał serca, widząc, że tyle pieniędzy się marnuje.

Jenny przystanąła na moment nad Carruthersem, wciąż zwijającym się w kurzu i trzymającym się za genitalia. Próbowwała opanować uczucie zadowolenia, idąc za córką.

Główna sala w pubie udekorowana była pękami róż umieszczonymi w spluwaczkach, a kontuar ugiął się od prosiaków z jabłkami w ryjkach porozkładanych na obrusie z białej koronki.

Po raz pierwszy w Minaby Flat lał się szampan, a mieszkańcy doliny obżerali się przy stole, za którym królował, zgodnie z poleceniem Jen, francuski szef kuchni, ubrany w biały fartuch i wielką czapę.

Zjawiała się Mary Colebrook.

Przez chwilę rozglądała się zdziwiona. Ale ponieważ już od wejścia widać było tylne drzwi na dziedziniec, dostrzegła przez nie wysoki ołtarz, księdza w ornacie, a za nim lśniąca w porannym słońcu malowidło Dziewicy Maryi z Dzieciątkiem.

Ruszyła wolnym krokiem w stronę tej prowizorycznej kaplicy, jakby w transie. Jenny patrząc na nią pomyślała, że jest jakaś rozjaśniona. Rozejrzała się, szukając wzrokiem Jen, która była właśnie odwrócona plecami. Nie zawołała jej. Nadal wstrzymywała oddech, patrząc jak Mary znika za drzwiami, i zastanawiała się, czemu poczuła potrzebę chronienia starej nieprzyjaciółki.

— W taki dzień nie powinno się nikogo ranić — powiedziała sobie, próbując wyjaśnić swoje uczucia. — Chyba że takich jak Carruthers, innych nie.

Ale piętnaście minut później, kiedy przyszli Chris Colebrook i jego żona, wstrzymywała tylko oddech i czekała.

Jen odwróciła się i zobaczyła go. Przez długą chwilę po prostu patrzyli na siebie, jakby byli zupełnie sami, a nie w tłumie rozochoconych już gości. Potem Jen uśmiechnęła się i ukłoniła, jakby była na scenie.

— Wstrzymajcie się, pan młody nadchodzi! — krzyknęła ostrym głosem.

W kaplicy ksiądz mylnie wziął jej słowa za ogłoszenie rozpoczęcia ceremonii zaślubin. Spojrzał na klęczącą przed nim kobietę, mrużącą przydługą spowiedź, szybko położył jej dłoń na głowie i wyszeptał:

— Przez krew Chrystusa, wszystkie grzechy są ci wybaczone — i sięgnął po mosiężną kołatkę, która miała służyć jako dzwon weselny.

— Jaką pokutę muszę wypełnić, by otrzymać rozgrzeszenie za cudzołóstwo? — zapytała stara kobieta, a łzy płynęły po jej pomarszczonej siedemdziesięcioośmioletniej twarzy. Czekwała na osądzenie.

— Zmów dwadzieścia Zdrowaś Mario i nie grzesz więcej — odparł niecierpliwie, odprowadzając ją. Potem złapał za kołatkę i zaczął potrząsać nią energicznie.

— Jezu — szepnęła Jen. — Ten cholerny ksiądz wszystko pomylił. Paddy zaraz zejdzie, a ja nawet jeszcze nie jestem ubrana na własny ślub.

— Pomogę ci się przebrać — zaofiarowała się Jenny i w głębi duszy odmówiła dziękczynną modlitwę za to małe nieporozumienie, które przyszło w sam czas.

* * *

Przez trzydzieści minut Paddy i ksiądz wpatrywali się w siebie w pustej kaplicy.

Z pubu dochodziły ich dźwięki zabawy coraz bardziej rozochoconych mieszkańców Minaby Flat, których nikt nie poinformował o kolejności zdarzeń. Za gąszczem palm i żelaznych liści ukrywał się młody człowiek ze skrzypcami w ręku, czekając na polecenia.

Na górze Jenny poprawiła na córce ślubną suknię, a potem zapatrzyła się na ogrom tiulu spoczywającego na krześle.

— Nigdy wcześniej nie widziałam takiego welonu, więc nie wiem, jak to przypinać. Jody miała koronkowy welon i wianuszek z białych pączków różanych. Co to właściwie jest? Wygląda jak korona, widziałam takie na zdjęciach królowej.

— To jest tiara. Sama potrafię założyć welon. I właśnie tak mam wyglądać, jak królowa. Nie zobaczysz mnie w pączkach róż, nawet jak będę w trumnie. Takie bzdury zostawiam damulkom w rodzaju Jody, która nawet nie pokazała się na weselu własnej siostry.

Nagle Jen westchnęła.

— Chryste! Wyszłam w takim pośpiechu i zapomniałam im powiedzieć, że mają zajmować miejsca w kaplicy. I skrzypek. Nie powiedziałam mu, żeby grał marsza weselnego. — Spojrzała na Jenny z zachmurzoną twarzą. — Cały ślub zmarnowany, a wszystko tak starannie zaplanowałam.

Po raz pierwszy patrząc na Jen, Jenny poczuła przyływ uczuć macierzyńskich. Widząc trzydziestoosmioletnią kobietę w białej sukni ślubnej, z przynależnym dziewicom tiulem na farbowanych włosach, z koroną pasującą do starej królowej, zobaczyła ją w innym czasie — maszerującą dumnie w stronę gospodarstwa Colebrooków, ubraną w wymyślną czerwoną krynolinę, żeby pokazać wszem i wobec, jaka to jest dorosła. Przedzierając się przez wspomnienia, usłyszała głos Jody, już złośliwy i pełen urazy w trzynastym roku życia. „Nie chcę, żeby moja przyjaciółka wiedziała, że mam siostrę, która zmarnowała swoje życie”.

— Ten dzień nie będzie zmarnowany, kochanie — powiedziała ciepło Jenny. — Wszystko będzie właśnie tak, jak to sobie zaplanowałam. I wyglądasz przepięknie. Naprawdę ślicznie.

Kiedy już będziesz ubrana i gotowa, zejść na dół i zaprowadzę gości do kaplicy, choćby trzeba było ich zaganiać pasterskimi psami. I powiem skrzypkowi, żeby zaczął weselnego marsza. Upewnię się, żeby wszystko było, jak chciałaś. Teraz się uspokój, masz wyglądać na szczęśliwą, tak jak powinnaś, kiedy wychodzisz za mężczyznę, którego kochasz. Kochasz go, prawda?

Jen spojrzała na odbicie matki w lustrze. Skinęła głową i chciała coś powiedzieć, ale wargi jej zadrżały, a w gardle coś ścisnęło, jakby łyż gniewu i frustracji zastąpił zupełnie odmienny rodzaj łez — wszystkich łez, które powstrzymywała jako dziecko. Jej matka nigdy wcześniej nie mówiła do niej z takim ciepłem w głosie, z taką łagodnością i miłością. Jen nigdy nie wiedziała, jak bardzo jej to było potrzebne.

— No już, bo będziesz miała czerwone oczy od płaczu — powiedziała ostro Jenny. — I nie przejmuj się swoją kołtuńską siostrą. O twoim ślubie będzie się mówiło jeszcze długo i za każdym razem, kiedy o nim usłyszy, skreśli ją ze złości, że nie była.

Jen roześmiała się zgrzytliwie, jeszcze ciągle przeszkadzało jej ściśnięte gardło.

— Będzie się skreślała, prawda?

Jenny przytaknęła.

— Już ja tego przypilnuję!

Weselni goście siedzieli poupychani w ławkach. Atmosfera kaplicy i obecność księdza uciszyła ich. Wdzięczni, że mogą pochować się w ławkach, czekali, co też jeszcze wydarzy się w ten dzień.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy na dźwięk skrzypiec. Skrzypek miał czarne włosy do ramion, twarz długą i melancholijną. Ale gdy smyczek wydobył dźwięki marsza weselnego, pierwszy raz usłyszano muzykę w Minaby Flat.

Wtedy wkroczyła Jen. Szła powoli wyłożonym dywanami przejściem, między ławkami pełnymi gośćmi, stawiając kroki w rytm marsza. Jej biała satynowa suknia ślubna była tak niezwykła i tak inna od wszystkiego, co zebrani tu ludzie widzieli w całym swym życiu. A na dodatek miała diamenty wielkości grochu na palcach i szyi, i jeszcze w tiarze, która królowała nad welonem. Kamienie, choć wątpliwej jakości, oślepiały patrzących. Uśmiechała się, słysząc westchnienia i jęki.

Jenny spojrzała przez nawę w stronę Chrisa Colebrooka, siedzącego ze swoją żoną Katie, córką z dobrej irlandzkiej rodziny, którą wybrała mu matka. Wpatrywał się w Jen ze zmienionym wyrazem twarzy. Jakby w jego oczach odbił się wschód słońca, pomyślała Jenny, nie wiedząc, czemu to określenie wydawało się jej tak odpowiednie.

Szybko odwróciła wzrok z powrotem na złoty ołtarz, gdzie stał przesadnie wystrojony ksiądz z Paddym O'Hara, czekającym na swą narzeczoną.

Wcześniej patrząc na tego Irlandczyka widziała tylko jego koszulę nocną na drzwiach pokoju córki i zmiętoszone prześcieradło. Patrząc na niego teraz, widziała bardzo zwyczajnego mężczyznę, wyglądającego na nadzwyczajnie szczęśliwego, mężczyznę, który miał na twarzy ten sam wyraz, co kochankowie Millie Garnett.

Wcale nie wygląda jak Mike, pomyślała Jenny. Żaden z nich nie wyglądał jak Mike, ani jeden.

Ceremonia była długa i dla większości protestanckich mieszkańców Minaby Flat dziwna. Słuchali, jak ksiądz odprawia wotywną mszę, i zastanawiali się, dlaczego mówi w obcym języku. Ale byli oszołomieni powagą rytuału, który ucierpiał tylko odrobinę, kiedy dwóch wolarzy zmuszonych było podczas ceremonii skorzystać z przyległej toalety.

— Słyszałaś ich? — zapytała Jen matki, kiedy były z powrotem w pubie, gdzie przygotowano już bankiet dla gości. — Jak para koni, co nie sikała przez tydzień.

— Nic nie było słyhać — skłamała Jenny. — Jody będzie zielona z zazdrości, kiedy usłyszysz o twoim ślubie. Jej nawet trudno z twoim porównać.

Jen uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Poczekaj, aż zobaczysz jedzenie, które podadzą. Szef dwoił się i troił, żeby wszystko przygotować. Poczekaj, aż spróbujesz.

— Połowa tych potraw wygląda dla mnie zupełnie obco — powiedziała z powątpiewaniem Jenny, spoglądając na dania, których nie potrafiła zidentyfikować. Ale zaraz dodała: — Jestem pewna, że są pyszne.

— Mogą jeść i pić tak długo, jak mają ochotę — zapewniła Jen wylewnie. — Nie ma żadnych ograniczeń czasu. Ale Paddy i ja wymkniemy się, zanim wyjdą goście. Czytałam gdzieś, że tak się właśnie powinno robić.

— Gdzie się wybieracie? — zapytała nagle niespokojna Jenny. — Wydawało mi się, że zostaniesz jeszcze kilka dni.

— Pójdziemy tylko na górę — powiedziała Jen, której udało się przybrać wyraz osoby skromnej i wstydlivej. — Zrobić, co należy.

Jenny spojrzała na córkę.

— To będzie miła odmiana.

Jen zaśmiała się.

— Do panny młodej należy rzucić bukiet kwiatów i wymknąć się przed wyjściem gości. A ja postanowiłam, że tym razem mój ślub będzie taki, jak należy.

Nagły niepokój Jenny przypomniał jej o Mike'u, który trzymał się z daleka gdzieś na skraju farmy albo na wzgórzach.

Jeszcze siedem dni, pomyślała w panice. Za trzy dni statek przybije do Sydney Cove, a potem potrzeba jeszcze dwóch czy trzech dni na przyjazd szybkim dyliżansem do Cooma. Wtedy Dave przyniesie wiadomość, że Jennifer i jej dzieci czekają w miasteczku.

Jazon coś do niej mówił. Gniew zwyciężył jego zwyczajowe milczenie, gniew, że kaplicę ustawiono na terenie pubu, gniew na księdza, na francuskiego kucharza, na wygląd Jen i całą wulgarność przedstawienia, które przed nimi odegrała. A najbardziej rozgniewał go pokaz za-
możności, który wydawał się drwić z jego finansowych porażek, myślała Jenny. Starła się go zrozumieć. Starła się poczuć znowu matką.

— To jest wielki dzień Jen, jej zwycięstwo — powiedziała, walcząc ze zniecierpliwieniem. — Czy nam się to podoba, czy nie, ona ma prawo pokazać to w taki sposób, jaki sama wybierze. Chce zaimponować pieniędzmi, ale wszyscy się świetnie bawią. I ja również. Kiedy zobaczysz Downera Farleya, powiedz mu, żeby kupił zapas szampana. Zdaje się, że naszej dolinie tego właśnie potrzeba.

Mówiąc to patrzyła na Chrisa Colebrooka. Pusty wzrok okradzionego człowieka gdzieś zniknął.

Chris spojrział na swoją cichą żonę Katie.

— Czy ja byłem dla ciebie dobrym mężem?

Katie zachichotała.

— Jakie śmieszne rzeczy ludzie mówią na weselach.

Starła się mówić lekko, ale głos jej drżał. Chris wziął ją za rękę i przytrzymał jej dłoń. Na taki gest nie zdobył się nigdy wcześniej.

Ed wyglądał przez otwór okienny w chacie. Drzewa zasłaniały wschodni stok, ale odgłosy wesela rozchodziły się po całej dolinie.

Na te parę godzin zabawy wydano więcej pieniędzy, niż potrzeba, by wyżywić przez kilka lat rodzinę. Tysiące funtów, słyszał, jak mówił sklepikarz w Cooma. Cholerna fortuna, tak powiedział.

Pod wieczór, kiedy Ed nie mógł już dłużej znieść dławiącej go goryczy, wyszedł przed chatę i ruszył w stronę mostu. Nie zaplanował tego, po prostu szedł do pubu i matki.

W połowie drogi do rzeki zatrzymał się, gdyż zauważył Mike'a Donohue, który powłócząc nogą, obchodził posiadłość jego babki i wuja.

W tym samym momencie, właśnie gdy chciał się wycofać, zobaczył coś jeszcze — ciemne postacie poruszające się na wzgórzach. Skrytych za drzewami trudno było rozróżnić, ale kulejąca postać na przodzie nie pozostawiała wątpliwości, że to banda Gura.

— Uważaj — Ed krzyknął do Irlandczyka. — Napastnicy.

Mike Donohue odwrócił się na dźwięk jego głosu. Ed zamarł, stał na otwartej przestrzeni wiedząc, że Gur i jego banda zobaczyli go również. Rozbiegli się, wycofując pomiędzy drzewa, przedzierali się przez krzaki w stronę drogi.

Irlandczyk machnął mu ręką i skierował się do chaty na brzegu rzeki. Po chwili wypadł z niej Chińczyk i zaczął wspinać się na wzgórze w kierunku Eda.

— Siedziałem tam i pilnowałem — powiedział Ed, w jego własnych uszach słowa te brzmiały pusto i bezsensownie. — Teraz już będzie wszystko w porządku — dodał, starając się mówić rozsądnie. — Widziałem, jak uciekali.

Zza rzeki dochodziły ich hałasy zabawy.

— W którą stronę poszli? — zapytał Chińczyk.

W górę do chaty, pomyślał Ed. A może z powrotem do Cooma — a tam była Mercy i chłopak.

Pokazał ręką na chatę, potem na północ.

— Uciekli w góry. Teraz już będzie wszystko w porządku — powtórzył. — Powiedz mu — powiedział myśląc o Irlandczyku. Odwrócił się i ruszył z powrotem do chaty.

Gur i inni czarni czekali na niego, ukryci w ciemnych kątach. Czuł ich.

Przypomniały mu się rzeczy, których nauczył się w więzieniu, wszystko to, czego się nie chciał nauczyć, ale co człowiek wchłaniał szybko w takich warunkach.

— Czy nikt tam nie został? — zapytał z udawanym niepokojem. — Nie byłem pewien, czy słyszeliście moje ostrzeżenie.

Z kąta chaty wyłonił się Gur, pozostali czaili się w mroku. Czekali.

— Słyszeliśmy cię — groźnym tonem powiedział Gur, czując w sobie siłę stojących za nim ludzi. — Krzyknąłeś „Uważaj! Napastnicy.” To ich ostrzegąłeś.

— Powiedziałem „Uwaga, napastnicy” — odparł niecierpliwie, z lekką wzdargą w głosie. — Wolalbyś, żebym was wołał po imionach? — roześmiał się. — Kiedy powiedziałeś mi, co planujecie, zdecydowałem, że lepiej będzie, jak przyjadę i uchronię was od kłopotów.

Z kąta chaty wyłonił się pasterz i rzucił woreczek monet na podłogę chaty.

— To znaleźliśmy na południowym krańcu doliny, po prostu weszliśmy i wzięliśmy, tak właśnie, jak sobie obmyśliliśmy. Bez najmniejszych kłopotów. Nawet jedna dusza nas nie zatrzymała.

Ed roześmiał się znowu.

— A co spodziewaliście się znaleźć na świńskich i kurzych farmach? Wszyscy w dolinie zgromadzili się wokół prawdziwych pieniędzy. W pubie czekają na was wszyscy mężczyźni, którzy mieszkają w dolinie. I dodatkowe straże porozstawiane są na granicach gospodarstwa.

Widział te straże. Starego mężczyznę wędrującego po zachodnim stoku, prawdopodobnie ojca Chrisa Colebrooka. Kobieta, swoją ciotkę Jody, stojącą w oknie domu przy drodze do Col, wpatrującą się w budynek pubu. Irlandczyka i Chińczyka na terenie gospodarstwa babki. Uśmiechnął się do siebie. Kłamał. Uśmiechnął się, ponieważ inni także zaczęli wychodzić z ukrycia, a pokonany Gur nie był już dłużej zagrożeniem.

W ciszy, która zapanowała w chacie, Ed słyszał hałasy zabawy rozchodzące się po dolinie.

— Następnym razem, kiedy będziecie planowali napad, pójdę z wami — powiedział, czując znowu gorycz, wywołującą potrzebę działania. Wyładowania się.

— Mówisz poważnie? — zapytał Gur.

Wsluchując się w echa odgłosów dochodzące z pubu, czując, jak gaśnie w nim nadzieja, przytaknął.

— Poważnie. I zrobimy to porządnie. Kiedy nadejdzie zima. To najlepszy czas.

— Ale im gały wyłaziły — powiedziała Jen do męża, opadając na łóżko. — Jeśli szybko nie zdejmę tych sznurków, przetrznę mnie na pół.

Paddy patrzył, jak się rozbierała.

— Nie czuję się wcale inaczej przez to, że jestem żonaty.

— Nie chcę, żebyś był inny.

— Najlepsza zabawa, na jakiej byłem w życiu. Ciągle zapominałem, że to moje własne wesele. — Nadal się jej przyglądał. — Nie powinnaś tak mocno wiązać gorsetu. Fiszbiny zostawiły ci czerwone pręgi. To nie może być zdrowe.

— Chcesz przecież, żebym wyglądała jak najlepiej, prawda?

— Dla mnie zawsze wyglądasz dobrze. Jakbyś o tym nie wiedziała.

— Chcę też wyglądać jak najlepiej dla twoich przyjaciół. Nie chcę, żeby twoi znajomi w San Francisco powiedzieli, że ożeniłeś się z jakąś szantrapą.

— San Francisco. — Paddy O'Hara przeciągnął się. — Poczekaj, aż je zobaczysz. Pierwsze, co zrobimy, to kupimy miejsce na dom, który wytrzyma przynajmniej dwadzieścia pięć następnych lat. Wydaje mi się, że chciałbym mieć już własny dom.

— Co tylko zechcesz, kochanie. Dwadzieścia pięć lat! — Jen roześmiała się. — To już będzie w innym stuleciu. 1906 rok. Czy wystarczy ci dożyć do następnego stulecia?

— Może. Zobaczymy, kiedy przyjdzie czas. Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po koszulę nocną.

— Czy oczekujesz pełnego przedstawienia weselnego? — zagadnął Paddy. — Jestem pełny, po dziurki w nosie, szampana. Wydaje mi się, jakbym był unoszony powodzią. Ale jeśli życzysz sobie, dam radę.

— Nie tej nocy, kochanie. Możemy pożegnać się z moim dziewictwem jutro.

— Czy będziemy tu jeszcze jutrzejszej nocy? — zapytał Paddy. — Jak długo masz zamiar zostać w tej dziurze?

— Jeśli o mnie chodzi, przedstawienie jest skończone — odparła Jen. — Może jednak zostaniemy te kilka dni do końca roku. Zdaje się, że moja matka bardzo by tego chciała. Co prawda, nie jestem jej nic winna. Nie jestem. Ale jednak... Tak czy siak, muszę się przyszykować do drogi. To mi zabierze trochę czasu!

— Czego tylko chcesz, gołąbeczko.

— Dobranoc, Paddy, stary skunksie.

— Dobranoc, staruszko.

23.

Przez wszystkie ostatnie dni grudnia Jenny wyczekująco spoglądała na wjazd do doliny. Późnym popołudniem zobaczyła wreszcie Dave'a. Wyszła go przywitać, by zapobiec przekazaniu wiadomości Mike'owi.

Córka Mike'a, Jennifer — nieznane dziecko Jen — zjawiała się w Cooma.

— Oczekiwaliśmy na ciebie, Dave, i masz przygotowaną świeżą kobyłę. Czy mógłbyś zrobić Mike'owi przysługę i jechać od razu do Cooma? Powiedz jej, że czekamy tutaj na nią i jej dzieci. Mike spodziewa się ich przyjazdu jutro. — Jenny zamilkła, odczekała, by Dave podniósł wzrok i spojrzał na nią. — Wy tłumaczysz, jak tu dojechać, prawda? Jutro.

Dave rozejrzał się, a potem znowu spojrzał na Jenny i skinął głową, obdarowując ją jednym ze swych rzadkich uśmiechów. W jego wzroku pojawiło się zrozumienie, tak przynajmniej odebrała to Jenny, nie patrzyłby tak na nią, gdyby wcześniej nie widział Jennifer.

Chodziło o ich podobieństwo, Jennifer i jej, pomyślała Jenny. Dodał dwa do dwóch i otrzymał trzy. I to był właśnie dobry wynik.

Następnego dnia, kiedy powóz wjechał do doliny, natychmiast został zauważony przez Jen i Jenny stojące na werandzie. Kobiety zegnały się przed wyjazdem. Paddy O'Hara, o duszy sportowca, podszedł do stopni werandy, wskazał na nadjeżdżające lando i zaczął rozprawiać nad zaletami różnych typów powozów: land, faetonów, czterokółek i dwukółek. Według niego do dalekich podróży najlepiej nadawały się bryczki i lekkie powoziki.

— Na dobrym bitym trakcie lando mogłoby nas przegonić. Ale na tutejszych drogach dobra amerykańska dwukółka pobiłaby lando, i to już na pierwszych metrach. Chociaż powstrzymałbym się ze stawianiem zakładów przed obejrzeniem koni. Szkoda, że nie jadą w przeciwnym kierunku. Moglibyśmy się pościgać.

Jen nie słuchała go. Odwróciła się do matki:

— Wjeżdżają na drogę prowadzącą do domu. Jadą tutaj.

Jenny zaaranżowała znakomicie ten moment. Jazona nie było w domu, pojechał na pastwiska sprawdzać owce. Nathan, Tally i Kai Lee siedzieli w pokoju szkolnym, skąd pod surowymi karami nie wolno im się było ruszać. Mike przez cały ranek i popołudnie reperował siodła w stajni.

Zaplanowała wszystko tak, by świadkami przyjazdu Jennifer i jej dzieci była tylko ona i Jen, z Paddym w roli strażnika.

Ale kiedy nadszedł oczekiwany moment, Jenny ogarnęły nerwowe wątpliwości. Bała się, że w każdej chwili może pokazać się Mike, zwabiony hałasem nadjeżdżającego powozu, lub dzieci, mimo najsurowszych zakazów, wypadną z pokoju. Nawet przez moment nie pomyślała o Jazonie. Gdy już udało mu się wyjść z domu, nigdy nie wracał wcześniej niż po zapadnięciu zmroku.

Powóz i konie wzniecały niewielki tuman kurzu na umocnionej drodze, ale wehikuł nieco podskakiwał, co poniewczasie kazało Jenny z troską pomyśleć o podróżnych. Humor Jennifer po takiej podróży mógł być nie najlepszy. Przypomniała sobie przelotne spotkanie ze swą wnuczką pięć i pół roku wcześniej. Jej przestach spotęgował się, miała ochotę uciec ze sceny, którą sama wyreżyserowała. Ale nie było już ucieczki.

Otwarto bramę i powóz wjechał długim podjazdem, który na koniec ostro zakręcał na kilka kroków przed stopniami werandy.

Jenny poczuła, że nagle ogarnia ją spokój. Przypomniała sobie o córce, to przecież jej obecność skłoniła ją do przeprowadzenia tego planu, i teraz dzieliła uwagę między Jen i młodą kobietę wysiadającą z landa przy pomocy woźnicy. Za nią pokazały się dzieci. Mała dziewczynka, Tricia, która szła pierwsza, była dokładną repliką dziewczynki z pierwszego zdjęcia.

Na twarzy Jen pojawił się wyraz zdziwienia. Przyglądając się jej, Jenny ujrzała zapytanie, zwątpienie, a potem znowu zapytanie.

— Kto to jest? — wyszeptała Jen, spoglądając na własną córkę. — Ona jest bardzo podobna do ciebie.

Cały plan zawiódł, ponieważ Jen nie zareagowała tak, jak powinna.

— Nie będę was przedstawiać — powiedziała Jenny. — Zaoszczędzisz mi zakłopotania, jeśli wsiądziesz do powozu i odjedziesz lub wejdiesz do domu na czas naszego powitania. Wysłałam twojego woźnicę przed bramę, żeby powozy sobie nie przeszkadzały. Jeśli wolisz już jechać, woźnica czeka. Jeżeli postanowiłaś pozostać, przyjdę wkrótce do ciebie i wtedy odpowiem na wszystkie pytania. Zastanów się. Muszę przywitać się z nią i przeprowadzić ich wszystkich do cienia.

— Poczekaj na mnie w dwukółce, Paddy. Przy bramie — zwróciła się Jen do męża. — Zjawię się tam za kilka minut.

Jennifer nie ruszyła się od powozu, jej dwoje małych dzieci stało spokojnie obok, przyglądając się werandzie.

Jenny zeszła po stopniach w ich kierunku, starając się uspokoić bicie serca. Bała się tylko, że głos ją zdradzi.

— To pani jest Jennifer — udało się jej powiedzieć na powitanie. — A to muszą być Tidge i Tricia. Ja jestem Jenny Travis. Być może pani ojciec wspominał o mnie kiedyś.

— Tak, oczywiście — odpowiedziała Jennifer głosem zadającym kłam słowom. W jej wzroku nie było również rozpoznania, nie pamiętała kobiety, którą przez kilka chwil widziała na deszczu. — Jak się pani miewa? Kiedy otrzymałam wiadomość, że mam przyjechać do doliny, trochę się zaniepokoiłam. I cóż to za straszne drogi! Czy mój ojciec jest bardzo chory?

— Koń zrzucił go prawie cztery miesiące temu i od tego czasu mieszka tutaj, jak zapewne Dave pani powiedział. Ale nie mógł powiedzieć, gdyż po prostu sam o tym nie wiedział, że trzymałam wasz przyjazd do kraju w tajemnicy przed pani ojcem.

— Naprawdę? Dlaczego?

— No cóż, nie zaszkodzi miła niespodzianka w życiu raz na jakiś czas. Zobacz pani, że on ma się już całkiem dobrze, a kiedy was zobaczy, poczuje się jeszcze lepiej. Poprosiłam, żeby przyniesiono nam napoje do letniego domku. Zaraz też przyślę tam pani ojca. Ma dobre, silne serce, lekki wstrząs mu nie zaszkodzi.

— Czy mówi mi pani całą prawdę, pani...?

— Travis.

— Tak, oczywiście. Pani Travis, czy nie ukrywa pani czegoś przede mną? Wszystko wydaje się takie dziwne. Mój ojciec nie wie, że jestem w Kolonii, ani w ogóle, że się tu wybieralam. Niezupełnie rozumiem.

— Nie ma powodu do niepokoju — odpowiedziała Jenny lekkim tonem. — Wydaje się, że choremu mężczyźnie lepiej posłuży miła niespodzianka niż całe miesiące zamartwiania się o przebieg podróży jego córki.

— To miło, że pomyślała pani o tym. Oczywiście ja dowiedziałam się o niedomaganiach ojca dopiero wczoraj, kiedy przyjechałam do Cooma.

— Przeszło, minęło i lepiej, że pani nie wiedziała. Inaczej pani też zamartwiałaby się przez cały czas, psując sobie przyjemność morskiej podróży.

Jennifer roześmiała się lekko.

— Czy kiedyś podróżowała pani z Anglii do Kolonii, pani Travis?

— Nie — odpowiedziała Jenny. — Urodziłam się tutaj.

— W takim razie mogę panią zapewnić, że trudno wyobrazić sobie coś, co mogłoby jeszcze bardziej zepsuć przyjemność tej podróży. Wątpię, czy coś się poprawiło od czasów, kiedy wieziono tu skazańców.

Słowa wnuczki obudziły stare wspomnienia. Przypomniały opowieści Millie Garnett o podróży na nędznym statku dla więźniów. Jenny na końcu języka miała odpowiedź: wątpię, czy twoja prababka by się z tobą zgodziła.

Zatrwożona tym impulsem, Jenny szła w milczeniu po stopniach werandy.

Na górze podeszła do nich Jen, wpatrująca się w młodą kobietę u boku Jenny.

Spoglądając na Jennifer, Jenny zobaczyła uniesiony podbródek i skrzywiony nos, a w oczach niewidzące spojrzenie, kiedy jaskrawo ubrana kobieta mijała je w milczeniu.

Tylko oczy Trici były pełne ciekawości, wpatrzone w wymalowaną damę, która była jej babką.

Jenny westchnęła, czując zarazem smutek i ulgę, gdy chwila, którą zaplanowała, nadeszła i minęła.

— Pójdźcie tymi schodkami do ogrodu, potem przez trawnik do letniego domku. Tam będzie chłodniej — powiedziała, walcząc ze swym głosem. Kiedy spojrzała w stronę domu, zobaczyła Jen, przyglądającą się im z kuchennego okna. W krzykliwym stroju wyglądała jak postarzała Millie Garnett. — Moja córka Jody nazywa to miejsce belwederem — wyjaśniła Jenny i natychmiast pożałowała tych słów. Zakłopotana dodała: — Może wolałaby się pani najpierw odświeżyć, pani Jonathan.

— Tak bardzo chciałabym zobaczyć mojego ojca — odparła Jennifer nieco ostrym tonem. — I obawiam się, że już nie jestem panią Jonathan.

Jenny wpatrywała się w młodą kobietę.

— Jakie to okropne! Czy pani ojciec już wie?

— Sądzę, że tak. I dziękuję za współczucie. Bardzo cierpieliśmy po śmierci ojca mojego męża.

— Ale dlaczego to...

— Mój mąż odziedziczył tytuł. Teraz nazywam się lady Langley.

— Och! Mike nic mi nie mówił.

Jennifer zaśmiała się znowu.

— Na pewno wie pani, co Irlandczycy myślą o angielskich tytułach.

— Zaczynam się domyślać — odparła Jenny.

Mike uniósł głowę, gdy Jenny weszła do stajni.

— Jeśli wyjdiesz przed chatę, znajdziesz tam cebrzyk z wodą i czyste ubranie. Masz gości i powinieneś wyglądać jak najlepiej — oznajmiła Jenny.

Mike przyjrzał się jej uważnie, nagle zaniepokojony.

— Każdy, kogo mógłbym tu zobaczyć, może mnie oglądać takim, jakim mnie widział już wiele razy wcześniej. Więc kto to może być, skoro każesz mi się specjalnie wyszykować? — Podniósł się powoli. — I nie jest to niespodziewany gość, bo moje ubranie nie czekałoby przygotowane. Mów no mi zaraz, Jenny. Znam cię zbyt dobrze i wiem, kiedy planujesz jakąś psotę. Masz to wymalowane na twarzy. W dodatku czuję, że wcale nie będzie mi się to podobało.

— Będzie — odparła Jenny. — Ale kiedy ci się tak przyglądam, dochodzę do wniosku, że i w tym stroju nie wyglądasz najgorzej. Moim zdaniem tak wyglądasz nawet lepiej. — Uśmiechnęła się do niego. Był dobrze zbudowanym mężczyzną. A w skórzanych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli miał w sobie coś takiego, że na sam jego widok kobiecie szybciej krążyła krew. — W każdym razie ujdiesz. Czekają na ciebie w letnim domku.

Twarz Mike'a zbladła pod opalenizną.

No i na koniec nie będzie to dla niego niespodzianka, pomyślała Jenny. Z wyrazu malującego się na jego twarzy wiedziała, że się domyślił. Zobaczyła to i jeszcze coś. Odwróciła się szybko, nie mogła wytrzymać jego spojrzenia.

— Czy Jen wyjechała? — zapytał szybko.

— Nie spotkały się — powiedziała. — Zadbałam, by to się nie stało.

— A Jazon?

— Jeszcze nie... — zaczęła.

— W ogóle nie, jeśli tylko uda mi się temu zapobiec — wyszeptał i ruszył lekko kulejąc. Jenny pozostała sama w stajni.

Później będzie miała dość czasu, by zastanowić się nad jego dziwnymi słowami, pomyślała Jenny. Teraz czekała na nią Jen.

— No więc kto to jest? — dopytywała się Jen. — Jakaś krewna, to jasne jak słońce. I na pewno żadna z córek Jody. Nie przyjechałaby prosto tutaj, chyba...

— Ona jest moja — powiedziała Jenny.

— Twoja?

Jenny skinęła głową.

— No, coś podobnego! — Jen roześmiała się. — A ten mężczyzna, który stoi obok niej, to niby kto, ojciec?

— Nic się przed tobą nie ukryje, prawda?

— Ten sekret kryłaś wystarczająco długo — Jen przyglądała się matce. — Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Nigdy nie myślałam, że mogłabyś...

— Że mogłabym urodzić jeszcze jedno dziecko? Może nie wyglądałam młodo dla ciebie, ale kiedy uciekłaś z Billem Soamesem, miałam dwadzieścia parę lat.

— Wyszłaś za niego?

— Nie.

Jen roześmiała się znowu.

— Dowiedziałam się więcej na twój temat w czasie tych dziesięciu minut niż przez całe życie.

— Nie mieszkałaś tu przez całe życie.

Jen wyglądała przez okno.

— Kiedy go spotkałaś? — zaśmiała się lekko. — Ojca trzeciej córeczki?

— Rok czy dwa po tym, jak zmarł wasz ojciec. Później Mike spędził u nas Gwiazdkę, w pięćdziesiątym czwartym. Był ranny.

— Teraz go pamiętam — Jen zmarszczyła czoło. — Spotkałam go kiedyś na złotych polach. Wydawało mi się, że to stamtąd go pamiętam. Ale przypominam go sobie z wcześniejszych czasów. Kiedy ona się urodziła?

— W 1862 — skłamała Jenny.

— Myślałam, że jest starsza. O jakieś trzy lata. Nie, żeby wyglądała, bo nie wygląda. Ale jakoś tak przyszło mi do głowy.

Jenny czuła, że ma całkiem suche wargi.

— Tysiąc osiemset sześćdziesiąty drugi — powtórzyła Jen. — Dwa lata po urodzeniu Eda. Pamiętam, że widziałam cię kiedyś, jechałaś w moją stronę, a potem zawróciłaś bryczkę i odjechałaś. Bardzo mnie to zraniło. Myślałam, że nie chcesz mnie znać. Teraz rozumiem. Nie chciałaś, żebym ja ciebie zobaczyła. To również wyjaśnia inne sprawy. Dlaczego Jody i ty nie żyjecie w zgodzie. Nawet nie zachowała pozorów na tyle, by przyjść na moje wesele. I dlatego Jazon tak dziwnie czasami na ciebie spogląda.

— Jak spogląda?

— Z goryczą.

— Goryczą?

— Nie martw się. Mężczyzna może się zabawiać, ile tylko chce, ale niech no kobieta przekroczy swoją granicę. — Jen uśmiechnęła się do matki. — Teraz jesteś mi bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. To prawda nas połączyła.

— Nie ma nic lepszego od prawdy — oświadczyła Jenny. Z werandy dobiegł głos Paddy'ego O'Hary.

— Chodź już, staruszko. Musimy się pośpieszyć.

— Idę, Paddy. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

— Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa — powiedziała szczerze Jenny.

— Jestem — odparła Jen. — Chociaż potwierdziliśmy to oficjalnie dopiero kilka dni temu, Paddy i ja byliśmy już razem od pewnego czasu. Jeszcze zanim Bill utopił się w kałuży. Paddy to właściwy mężczyzna dla mnie. Żałuję, że nie spotkałam go wcześniej. Ale, jak wiadom, nigdy nie jest za późno.

Jen jeszcze raz wyjrzała przez okno, potem spojrzała na matkę.

— Jak ją nazwałaś?

— Ma na imię Jenny. Tak samo jak ja.

— Ładna, prawda? I wygląda jak prawdziwa dama.

Jenny skinęła głową bez słowa.

Jen zaśmiała się nieco wymuszenie.

— Przyjemnie mieć młodszą siostrę. Sama się poczułam młodsza. Kiedy już o tym pomyślę, to ona jest na tyle młoda, żeby być moją własną córką. Nawet gdyby była o trzy lata starsza, mogłaby jeszcze być moją córką. Ale wolę o tym nie myśleć. Mówią, że jest się na tyle młodym, na ile się czuje. A ja przestanę się czuć młodo, jeśli będę myśleć w ten sposób.

Wyjrzała znowu przez okno.

— A ten twój facet jeszcze dzisiaj wygląda dobrze. Kochasz go?

— Tak, nadal — powiedziała Jenny.

Jen przytuliła matkę.

— Każda kobieta powinna spotkać odpowiedniego mężczyznę. Wcześniej czy później, ale należy jej się to przynajmniej raz w życiu.

Teraz mogła wreszcie odetchnąć. Pomyśleć. Stanąc przy oknie tak jak przedtem Jen i przyjrzeć się młodej kobiecie siedzącej w letniej altanie ze swoimi dziećmi i mężczyzną, którego uznawała za ojca.

Mike odwrócił głowę w stronę bramy, nasłuchując odjeżdżającego powozu. Kiedy przeniósł wzrok na dom, jakby wyczuwając, że Jenny stoi w oknie i przygląda się, ujrzała, że z jego twarzy nadal nie znikła niepewność.

Rozległo się niedalekie beczenie owiec. Odwrócił głowę w tamtym kierunku i nasłuchiwał, czy to Jazon wraca. Wyraz twarzy miał czujny i napięty.

Jego córka zrzuci to na karb choroby, ale Jenny wiedziała, że tak nie jest. To było coś nowego, co pojawiło się dopiero teraz. Ale dlaczego miałby się nagle zacząć martwić? Czy bał się tego, co ona powiedziała jego córce? Może uważał, że zdradzę jej, kim była ta wulgarna, wystrojona kobieta, którą minęła niecałą godzinę temu. Albo że opowiem jej o niej samej? Zdradzę, że jest porzuconym dzieckiem przygarniętym przez tego Irlandczyka, którego uważa za swego ojca. I na dodatek przedstawię jej mamce, biednej, bezzębnej, starej kobiecie, która kryje się w starej destylatorni?

— Przynajmniej jedna wygląda tak jak ja — wymruczała do siebie, przypominając sobie czasy, kiedy szukając w dzieciach siebie, znajdowała tylko Jonathana Trvisa. Podobieństwo rodzinne to jak piętno na bydle. Nie można na stałe go odrzucić ani łatwo wykorzenić, choćby nie wiem jak się starać. Gdyby Mike miał odrobinę rozumu, powiedziałby jej, że jesteśmy krewnymi. Ale wygląd to nie wszystko. Dziewczyna wyrosła zbyt wysoko i daleko od zwykłej kolonialnej kobiety, takiej jak ja, więc niełatwo nam było ze sobą rozmawiać. Powiem to Mike'owi, może odetchnie spokojniej.

Ale kiedy młoda kobieta wkroczyła znowu do domu, jej wyniosłość jakby zmaląła.

— Przygotowałam dla pani własny pokój — powiedziała Jenny. — Wyniosłam wszystkie moje rzeczy, by było tam pani jak najwygodniej.

— Nie mogę pozwolić, żeby pozbawiała się pani własnej sypialni, pani Travis — odrzekła Jennifer. — Będzie mi zupełnie dobrze w jakimkolwiek miejscu, w którym mnie pani umieści.

— W takim razie niech pani będzie dobrze w moim pokoju, ponieważ tam właśnie panią umieściłam — głos Jenny był prawie zgryźliwy. — Nie mam innego odpowiedniego pokoju, pani Jonathan. — Na słowie „Jonathan” zająknęła się, przypomniawszy sobie o lady Langley.

— Rozumiem, że jest pani starą przyjaciółką mojego ojca. Chyba nawet daleką krewną.

— Wszystko jest możliwe w tym kraju, lady Langley. Nie rysujemy drzew genealogicznych, tak że trudno powiedzieć, kto jest z kim spokrewniony.

— Przyjaciele mojego ojca zwracają się do mnie „Jennifer”.

Jenny odwróciła się i spojrzała po raz pierwszy uważnie na młodą kobietę. To było jak spoglądanie na siebie w lustrze, jakby ktoś przeniósł ją w przeszłość, w czas, kiedy z Mike'em szmuglowała grog. I potem gdy w pięćdziesiątym czwartym Mike był ranny i koń go zrzucił koło Col. Zanim odesłała go stąd. Przed masakrą w czasie łowienia ciem.

Jennifer rozpakowywała niewielką walizkę, nie dyskutując już więcej na temat pokoju. Wyjęła oprawną w srebrną ramkę fotografię męża i postawiła ją na stoliczku koło łóżka.

Dwoje dzieci przyszło za matką, przystanąły teraz w drzwiach, rozglądając się ciekawie. Jenny odwróciła się, żeby na nie popatrzeć.

Wpatrzyła się w chłopca. Tidge wyglądał jak Jazon, kiedy ten był w jego wieku. A ja byłam wtedy w wieku jego matki.

— To jest tak, jakbym oglądała coś, co już się kiedyś wydarzyło — wyszeptała. Uzmysłowiła sobie, co mówi dopiero wtedy, gdy usłyszała własny głos.

Jennifer podniosła głowę i uśmiechnęła się.

— *Déjà vu*. Jest pani Irlandką. Wszystkim Irlandczykom się to zdarza. Szczególnie mojemu ojcu.

Jenny popatrzyła na nią niepewnie.

— Pokażę ci pokój dziecinny — powiedziała. Ale nie ruszyła się. Znowu spojrzała na chłopca. Jest jeszcze bardziej podobny do Jonathana niż Chris czy Jazon, pomyślała. Tak właśnie musiał wyglądać Jonathan, kiedy był małym chłopcem.

— Wyobrażam to sobie — powiedziała sama do siebie, zerkając na fotografię w srebrnej ramce ustawioną na stoliku. — Bardzo jest podobny do własnego ojca.

I nagle wygląd ojca zaniepokoił ją jeszcze bardziej niż syna.

Przez okno dostrzegła Mike'a spacerującego po ogrodzie, wręcz skradającego się. Nasłuchującego. Patrzył w okno, szukał jej wzrokiem. Na jego twarzy malował się dziwny wyraz, na pół niepokój, na pół oczekiwanie, wszystko pomieszane na tej napiętej twarzy.

Jenny powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy.

— Tidge. To dziwne imię dla chłopca. — Zafascynowana przenosiła spojrzenie z twarzy dzieci na twarz ich matki, a potem na twarz mężczyzny na zdjęciu w srebrnej ramce.

Jennifer Donohue coś mówiła. Tylko że ona przecież nie nazywała się Jennifer Donohue, lecz Jennifer Jonathan. Lady Langley. To też było dziwnie niepokojące.

— Chciałam go nazwać Michael, po moim ojcu. Ale on powiedział, że ani Mike, ani Mick nie pasują do Anglika. Wolał, żebym wybrała jakieś inne imię. A zresztą wybór tak naprawdę należał do mojego męża.

Jenny skinęła głową, nadal przyglądając się mężczyźnie w srebrnej ramce.

— Tidge — powtórzyła, jakby chwytając się imienia, które należało do chłopca i do nikogo innego.

— Oczywiście nie tak został ochrzczony. To tylko przezwisko. Powstało to z połączenia jego inicjałów — T.J. Pasuje do niego, prawda?

Jenny uśmiechnęła się niewyraźnie. Druga Jenny odpowiedziała uśmiechem.

— To stary zwyczaj w rodzinie mojego męża — ciągnęła dalej rozmowę, starając się wynagrodzić wcześniejszą szorstkość. — Podejrzewam, że w ich żyłach musi płynąć kornwalijska krew, jeśli wybierają takie imiona jak Treleaven, które wcale przecież nie są imionami, tylko nazwami rodów kornwalijskich. Ale dwie litery w imieniu wystarczą, by dopełnić tradycji. Mój teść nazywał się Traunton. Jak zapewne pani wie, mój mąż ma na imię Trevor. Córka została nazwana Tricia, chociaż podczas chrztu zrobiono ustępstwo na rzecz Patricii.

Wtedy odezwał się mały chłopiec. Miał mocniejszy angielski akcent niż jego matka.

— Ja tam wołę Tidge, ale tak naprawdę na imię mam Travis — powiedział i uśmiechnął się. — Pisz się jak pani nazwisko, ale inaczej wymawia.

Jenny oblizwała suche wargi.

— Wydaje się, że to jednak twój ojciec wybrał imię, nie mąż — powiedziała wreszcie z trudnością.

— Ojciec? Może... nie pamiętam. Rozważaliśmy tyle imion, ale Travis było najbardziej odpowiednie, ponieważ w rodzinie Jonathanów był już kiedyś Travis. Chociaż ja nie wybrałabym tego imienia dla mojego syna. Związane jest ze smutnymi okolicznościami. Da Bóg, żeby mój syn nie okazał się takim człowiekiem jak tamten Travis

Jonathan z przeszłości. Czy pani dobrze się czuje, pani Travis? Zbladła pani jak śmierć.

— Muszę przez chwilę odpocząć — odparła Jenny. — Położę się do kolacji — dodała. — Dzieci... — wydawało jej się, że stoją w wielkiej odległości. — Ich pokój jest koło twojego.

Uciekła do starej destylatorni, gdzie zmagazynowała swoje osobiste drobiazgi zabrane z sypialni — oprawione w ramki zdjęcia i kufer Jonathana.

Wpatrywała się w zniszczony, stary kufer i wyryte na nim nazwisko. Jonathan. Nie Jonathan Travis. I nawet nie po prostu Travis, tak jak powinno być. Tylko Jonathan. Zawsze myśla-

ła, że to śmieszne, jakby kufer należał do dziecka. Teraz zastanawiała się, dlaczego nigdy tego nie kwestionowała.

Jonathan powiedział kiedyś: „Nazwisko to wszystko, co człowiek właściwie posiada. Nie powinien go nigdy porzucać”.

Nie odrzucił swojego nazwiska, tylko je odwrócił, tak jak to robią Chińczycy, pomyślała Jenny.

Kiedy chłopiec wymówił swoje imię, poczuła zimno, lodowaty chłód, jakby krew przestała płynąć jej w żyłach. Teraz zaczynała odżywać. Krew już nie płynęła, tylko wrzała. Jenny odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Chciała zwalczyć mieszane uczucia, jakie ją zaatakowały i zamknęły w kokonie, z którego można było wyrzeć tylko przez małe dziurki.

Z kąta pomieszczenia wyłoniła się Ringa. Przez ostatnie dwa tygodnie, od chwili przyjazdu Jen, spała tu w nocy, a kryła się za dnia. Przyjrzała się Jenny, a potem wróciła do swego kąta, cicha i uważna.

Jenny odwróciła się plecami do skrzyni, zbierając myśli i siły. Spojrzała przez wąskie okno, którym wpadało do pomieszczenia słoneczne światło.

Nagle odwróciła się znowu do kufra, otworzyła go i wyjęła wszystko, co tam było: dziennik Jonathana i jej własny, starą listę poległych z 1841 roku, którą trzymał Jonathan, i dwie rzeczy, których właśnie szukała — jedyny list, jaki otrzymała od Mike'a, i kawałek gazety, którą Dave dał jej w Cooma w dniu, kiedy zabrano do więzienia syna Jen, Eda.

Gazeta pożółkła na brzegach, ale druk był nadal wyraźny. Reporter relacjonował ślub Jennifer i opisywał rodowód mężczyzny, za którego wychodziła. Jenny czytała to teraz z uwagą, nie tylko wiedzona zwykłą ciekawością osoby niezaangażowanej.

List Mike'a był podarty w miejscach, które często dotykała. Kiedy czytała go po raz pierwszy, uznała, że pisał go po kieliszku. Pamiętała o tym. I pomyślała jeszcze o czymś innym. Pamiętała, że jej zdaniem, gdyby się nie upił, nie napisałby wcale żadnego listu. Ani wcześniej, ani później nie zrobił przecież tego. Zawsze tylko przysłał pocztówki z paroma zdaniami na odwrocie. Przesuwając po kartce palcem znalazła przetarte słowa.

„...I teraz, moja pierwsza i jedyna Jenny, będzie mi ciebie jeszcze bardziej brakowało, kiedy moja druga Jenny już nie jest ze mną. Wiele lat temu powiedziałem, że znajdę sposób, byśmy dzielili przyszłość. I tak się stanie z pomocą Bożą i Jego cudów...”

Dziecko. Należące w połowie do niego. I w połowie do niej. Wiedziała to od siedemdziesiątego szóstego, ale dopiero teraz zrozumiała sens jego słów.

„...Ona miała takie samo prawo jak inni. Bardziej niż inni. Najstarsza najstarszej...”

Jenny zaśmiała się, ostry dźwięk przestraszył Ringę. Bóg i Jego cuda! Plany i spiski Irlandczyka o czarnym sercu. Odsunęła list i jeszcze raz przeczytała artykuł w gazecie, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie list i artykuł, i nazwisko na kufrze, i wszystko, co w nim znalazła, i to, co dawno temu Jonathan mamrotał podczas swych koszmarów, ułożyło się jak kawałki chińskiej układanki.

24.

Jenny naszykowała dzban gorącej wody, zniosła do pokoju Jennifer, zapukała i czekała.

Usłyszała skrzypnięcie krzesła. Potem młodsza Jenny otworzyła drzwi i uśmiechnęła się, chociaż nieco wymuszenie. Najwyraźniej gospodyni w czymś jej przeszkodziła. Krzesło stało przy stole, na którym leżał papier listowy przy przestawionej fotografii. W tej chwili podmuch wiatru, który wpadł przez okno porozrzucił kartki po podłodze.

— Piszę do męża — powiedziała Jennifer, schylając się po list. — Kiedy wyjeżdżam, piszę do niego codziennie. Numeruję kartki jak strony w książce. Długo musi czekać, zanim dojdą do niego, ale to ułatwia rozłąkę. Przynajmniej trochę.

A więc było to małżeństwo z miłości. Na jedno pytanie Jenny otrzymała odpowiedź, która ułatwiła jej zadać drugie. Jennifer nadal była do niej odwrócona tyłem.

Tęskni za nim. Płacze, pomyślała Jenny i wyczuła ciepło, którego nie oczekiwała. Jennifer była damą, lecz nie przestała być kobietą. Nie tak jak Gwendoline, która tak bardzo starała się być damą, że zaparła się własnej płci.

— Przyniosłam ci gorącą wodę. Myślałam, że może chcesz się odświeżyć przed herbatą — powiedziała Jenny. Ale kiedy postawiła dzban na marmurowym blacie, nie ruszyła się do wyjścia, zdecydowana pozostać tu, jeśli trzeba będzie, nawet tak długo, aż woda zamieni się w lód.

— Jak spotkałaś swego męża? — zapytała. — Musiał was przedstawić twój ojciec.

Młodsza Jenny uśmiechnęła się.

— Ojciec wyobraża sobie, że był swatem. Lubi nawet myśleć, że to on zaplanował i zaaranżował nasze spotkanie. Ale tak naprawdę Trevor i ja poznaliśmy się przypadkiem.

— Nie zawsze to, co wydaje się przypadkiem, jest nim naprawdę — stwierdziła Jenny. — Wiele wydarzeń jest wynikiem planów i spisków. Szczególnie, jeśli chodzi o Irlandczyków.

Jennifer roześmiała się.

— Ojciec na pewno knuł i planował, ale co innego, a w każdym razie zadawał się z knującymi Irlandczykami. Dlatego musiał opuścić Anglię. Gdyby nie to, wolałby tam zostać i mój ślub odbyłby się w Anglii. Ale jestem pewna, że pani zna jego przygody. Mówił mi, że niewiele jest rzeczy, których pani o nim nie wie.

— Znalazłoby się kilka. Nigdy nie opowiadał mi o twoim pierwszym spotkaniu z przyszłym mężem — powiedziała. — Spiskowanie i planowanie wymaga czasu.

Jennifer spojrzała na list trzymany w dłoni, potem na dzbanek z gorącą wodą, ale uśmiechnęła się grzecznie.

— Jak pani wie, ojciec handluje końmi. Tranton Jonathan chciał kupić kobyłę, a ponieważ już wcześniej zapoznał się z moim ojcem, przyjechał do jego stajni.

— Przyjazd do Anglii i rozpoczynanie tam handlu końmi musiało być trudne dla Mike'a — stwierdziła Jenny. — Każdy był mu tam obcy, a nawet gorzej. I nie znał żadnej rodziny, w której mógłby być przedstawiony.

— Ależ Anglia nie była mu obca. I mieszkał przecież w Irlandii. Nie wracał wcale do kraju pełnego wrogich mu ludzi.

— Więc już wtedy znał rodzinę twojego męża?

— Wydaje mi się, że o niej słyszał — Jennifer podeszła do marmurowego blatu, grzecznie dając do zrozumienia, że ma zamiar się umyć. Wzięła mydło do ręki, by po chwili je odłożyć.

Jenny nawet nie drgnęła.

— Poznał ich po przyjeździe do Anglii, czy jeszcze w Koloniach?

— Rodzina mojego męża nie miała koneksji w Koloniach, zanim ja do niej weszłam. Ale najwyraźniej mój ojciec opowiedział pani ten sam żart, co mnie. Kiedy zaręczyliśmy się z Trevorem, stwierdził: „Przywiozłem cię do Anglii po to tylko, żebyś poznała tego młodego człowieka!” — ale to jedynie jego irlandzka fanaberia. Zresztą mówił to w taki śmieszny sposób, jak zawsze, kiedy żartuje. — Spojrzała na Jenny, tym razem chłodniej. — Z tego, co mój ojciec mówił o pani, zrozumiałam, że pani najlepiej wie, kiedy on żartuje. Dziwi mnie, że powtórzył pani to samo co mnie, a skoro tak, to pani nie powinna mieć wątpliwości, że to żart. Gdyby w tych słowach doszukiwać się jakiegoś poważnego znaczenia, to tylko takiego, że przywiózł mnie do miejsca, gdzie spotkałam i wyszłam za człowieka, który dał mi szczęście.

Jenny już nie słuchała. Serce waliło jej mocno. Bała się, że słychać je w całym pokoju. Czowała łomot w uszach, jakby morze waliło o brzeg poniżej Rocks.

Przypomniwała sobie pożar na wzgórzach i otwarty kufer Jonathana. A później, kiedy tej dziewczyny jeszcze nawet nie było na świecie, Mike'a stojącego przed wrotami stajni i krzyżującego za nią: „Zanim skończę z tą sprawą, będę znał lepiej Jonathana Trávisa, niż ty go kiedykolwiek znałaś”.

Z nazwiska na kufrze, z kilku słów w dzienniku... Wszystko to naprowadziło go na ślad Jonathana w Anglii. Nic trudnego dla kogoś tak zdecydowanego jak Mike, kochającego zbierać informacje.

Zdała sobie sprawę, że Jennifer stoi w milczeniu i czeka, aż ona wyjdzie z pokoju.

Przez okno w sypialni Jenny zobaczyła wracającego przez pola do domu Jazona.

— Jak to właściwie jest? — zapytała. — Jak tam mieszkacie? Co robi twój mąż? — To były sprawy, o których nigdy wcześniej nie myślała. Sprawy, które wypłynęły jakby znikąd, kiedy patrzyła na fotografię mężczyzny w srebrnej ramce i na Jazona widocznego w ramie okna.

Oczy Jennifer podążyły za wzrokiem Jenny ku fotografii.

Jej twarz zmiękła, złagodniała.

— Po śmierci ojca mój mąż oczywiście zrezygnował z kariery wojskowego. Życie wielu ludzi w majątku zależy od jego decyzji. Trzeba się troszczyć o wiele istnień ludzkich. Trevor jest wspaniałym opiekunem. — Uśmiechnęła się. — Żartuje sobie ze swego stanowiska, ale dźwiga ogromną odpowiedzialność, za innych i ich majątek. Jest bardzo starannym człowiekiem. Posiada ogromne poczucie odpowiedzialności i sprawiedliwości.

Jenny nie patrzyła na dziewczynę.

Jazon nadchodził ogrodową ścieżką. Rama okienna opustoszała.

Jenny wyszła z domu i ruszyła w dół ku rzece.

Stała na brzegu, patrząc na niski przypływ, na wygładzone wodą kamienie, migotliwe i zwodnicze. Wydawały się większe i ładniejsze niż w rzeczywistości.

Mamy styczeń 1882 roku, pomyślała. Nowy Rok nadszedł i przeszedł, a ja go nawet nie zauważyłam. Tak samo było z Gwiazdką. Zawsze obchodzona w złym miejscu i czasie.

Rozsądniej byłoby obchodzić Boże Narodzenie w czerwcu, tak mówiła Jonathanowi. Stwierdził, że to bezsensowna uwaga.

Życie pełne jest bezsensownych uwag, zawsze zbyt mało ludzie mówią sobie tego, co powinni.

W domu zapalono lampy, przez okna na trawiasty stok padały długie jasne smugi. Pewnie są już głodni i zastanawiają się, kiedy dostaną jeść, pomyślała, ale niewiele ją to obchodziło.

— Jeden z tych śmietnikowych kurczaków nadałby się na tę okazję — mruzczała do siebie — I te resztki, które wyszukiwaliśmy na wysypiskach za nadbrzeżnymi tawernami.

Zaczęła się śmiać, powstrzymując łzy napływające do oczu. Usiłowała wyobrazić sobie tę scenę. Podchodzi do Jennifer i kłaniając się pyta: "Czy wasza lordowska mość pozwoli jeszcze kawałek rybiego kręgosłupa? Kiedy się zdrapie brud, można będzie znaleźć cudowne mięsko przy tych na wpół przeżutych ościach".

Millie zawsze powtarzała, że wszystko ma swoją śmieszna stronę. Trzeba ją tylko umieć znaleźć.

Usłyszała, że ktoś ją woła. Udawała, że nie zwraca na ten głos uwagi, i szła dalej wzdłuż brzegu, w stronę ścieżki, która prowadziła do jej gospodarstwa. Głos przybliżał się. Należał do Mike'a. Trawę pokryła wieczorna rosa, mgła wznosiła się z rzeki, opadała z nieba, nadchodziła zewsząd. Ziemia robiła się od niej śliska. A jego noga nie była jeszcze mocna, nie stąpała pewnie. Więc Jenny zawróciła i ruszyła z boczem, żeby nie musiał schodzić niżej.

Kiedy patrzyła na niego stojącego tam na górze, czekającego, oświetlonego od tyłu światłem padającym z okien domu, wszystko stało się jasne i ostre. Jakby kawałeczki, które zbierała, ułożyły się w jeden wzór. Teraz widziała tylko zmartwiony wyraz twarzy Mike'a, włosy spadały mu na czoło, jak zawsze, gdy był zbyt pochłonięty myślami, by je odgarnąć. Takie drobiazgi. Cały on.

— Jeśli czekasz, żeby ze mną porozmawiać, to teraz nie czas na to — powiedziała. — Muszę przypilnować kolacji. Byłam nad brzegiem, żeby zebrać trochę dzikiej pietruszki. I przestań wyglądać jak siedem nieszczęść. W tym kraju nie ma trujących roślin. Gdzieś o tym czytałam. Co za szkoda!

Kolacja była spóźniona, bo czekali na Jenny. Spigottówna kręciła się między jadalnią a kuchnią.

— Czy kolacja gotowa? — zapytała ją Jenny.

— Już bardziej gotowa być nie może, z jednej strony nawet jest przypalona.

Podczas posiłku Jennifer rzucała drobne, uprzejme uwagi gospodyni, ale głównie rozmawiała z Jazonem o sprawach, których Jenny nie rozumiała, i nie przypuszczała nawet, że Jazon może rozumieć.

Jazon najpierw był cichy, zdziwiony obecnością tej eleganckiej kobiety w jego domu, ale potem stopniowo stawał się coraz bardziej otwarty. Jak słonecznik zwracający się ku słońcu, myślała Jenny, spoglądając na syna. Wiedziała, że Mike również mu się przygląda.

— Co to znaczy „domniemanie”? — zapytała Jenny. Jej słowa były zgrzytem w dyskusji o Bachu i Bayronie.

Jazon popatrzył na nią zaskoczony i zakłopotany.

— To znaczy, że coś się uważa za pewne — odpowiedział. — Musiałas nas źle zrozumieć.

— Nie przysłuchiwałam się wam, tylko zastanawiałam nad czymś, co przeczytałam w starej gazecie z siedemdziesiątego piątego roku, którą trzymam w kufrze. Coś o domniemaniu śmierci.

Krzesło Mike'a skrzypnęło. Odsunął się nieco, a potem znowu usiadł.

Jenny popatrzyła na niego wyzywająco.

— Ludzie zbyt wiele spraw uważają za pewne, prawda?

— Chyba zachowałam się niegrzecznie, pani Travis — przeprosiła Jennifer, błędnie odczytując jej intencje. — My tu rozmawiamy o muzyce i poezji, co wcale nie musi pani interesować.

— Nie mamy za wiele tego w tym kraju — odpowiedziała Jenny. — Z twojego świata daleka do nas droga. Nie wiemy połowy rzeczy, które się zdarzyły po drugiej stronie ziemi.

— Ale w Sydney są sale koncertowe i teatry. I mamy także niezłych poetów — powiedział szybko Jazon. Patrzył na Jennifer, oczekując jej aprobaty. — Czy słyszała pani o A.B. Patersonie? Nazywają go Banjo. Urodził się po drugiej stronie tych gór, nie tak daleko stąd. Napisał sporo wierszy. Jest bardzo popularnym balladzystą opiewającym busz.

Jennifer uśmiechała się grzecznie i pochyliła głowę. Nie podjęła tematu.

— Musimy rano wcześniej wyruszyć — odezwał się Mike.

— Wcześniej wyruszyć? Dlaczego, gdzie się wybieracie? — dopytywała się Jenny.

— Najpierw do Cooma. — Mike popatrzył na córkę, zauważył pytanie w jej wzroku. — Pojutrze będziecie na tyle wypoczęci, że możecie udać się w powrotną drogę. A ja powinienem był stąd wyjechać już dawno temu.

— Nonsens — sprzeciwiła się Jenny. — Traktuję cię jako członka rodziny. Bliskiej rodziny. A dzieciom na pewno będzie tu lepiej. Posiedzisz tu trochę ze swoją córką i będziecie mieli tyle czasu dla siebie, ile wam będzie potrzeba na wasze rozmowy. — Spojrzała na Mike'a i uśmiechnęła się, jak na czarującą gospodynię przystało.

— Wasza obecność nikomu tu nie przeszkadza. Absolutnie nikomu.

— Niedobrze wyglądasz, ojciec — stwierdziła Jennifer. Spojrzała na Jenny z wyrzutem. — Nasze niespodziewane przybycie okazało się szokiem.

— Czuję się dobrze — zapewnił ją Mike. — Po prostu chcę już się stąd ruszyć. — On też patrzył na Jenny. — Nie ma co już dłużej udawać kaleki, prawda?

— Nagłe zdarzenia zawsze poruszają nasze nerwy — Jenny zwróciła się do Jennifer. — Ale czasami dobrze jest przeżyć szok. Porządkuje pogmatwane myśli. A poza tym uważam, że twój ojciec zupełnie jeszcze nie nadaje się do podróży. Więc nie zwracaj uwagi na propozycję wyjazdu.

Nagle odezwał się znowu Jazon. Był niespokojny. Zwrócił się do Jennifer, tak jak przez cały wieczór — łagodny, młody człowiek, który usiłował być czarujący, a któremu udawało się tylko zachować prowincjonalnie i niezręcznie.

— Mam nadzieję, że pani zostanie. Tak rzadko zdarza się okazja rozmawiać z kimś takim jak pani. Często zastanawiałem się, jak to jest, kiedy się żyje w Anglii. Szczególnie, jak żyją tam ludzie pani sfery. Czytałem wiele książek i nawet widziałem rysunek przedstawiający pani dwór, ale czasami wprost trudno wyobrazić sobie, jak naprawdę się tam żyje.

Jennifer uśmiechnęła się. Odpowiedziała grzecznie i automatycznie:

— Kiedy przyjedzie pan do Anglii, proszę koniecznie u nas zamieszkać. Angielska prowincja jest urocza. Ale życie w Koloniach na pewno również musi być ciekawe. Rozmawialiśmy nieraz z moim mężem o kupieniu tutaj posiadłości.

Jazon wpatrywał się w nią, niezdolny wymówić już ani jednego słowa.

Jenny przyglądała się im obojgu zmrużonymi oczami. Jej twarz była teraz równie blada jak twarz Mike'a. Niedbale rzucone słowa Jennifer zawisły w powietrzu, jakby były żywe.

— Posiadłość w Australii? — Jenny uchwyciła się tych słów.

— Tutaj już nie ma tak dużo wolnych terenów, jak niegdyś. Na wschodnim stoku jest chata z niewielkim kawałkiem ziemi. Należała dawniej do mojego męża. Nic więcej nie ma. Ale oczywiście, skoro... — Zamilkła patrząc na ożywioną jak nigdy, twarz Jazona. Zaczęła

mówić szybko, głośno, patrząc tylko na Jennifer. — Jeśli chcesz mieć tę posiadłość, dobrze byłoby, gdybyś wiedziała, jak się na niej pracuje. Jutro rano dam ci popróbować dojenia.

— Wyzwanie? — Jennifer uśmiechnęła się. — Nigdy nie potrafiłam oprzeć się wyzwaniu.

Jazon nareszcie odzyskał głos.

— Wizyta w Anglii i pobyt w Langley! — wykrzyknął. — To jakby sen się ziścił. Wyjdziemy za rok w styczniu. Pod koniec tego roku Nathan będzie mógł wstąpić do college'u w Anglii. Jeszcze tylko rok. To nie tak długo.

— Słodki Jezu! — wyszeptał Mike.

W domu panowała cisza. Wszyscy spali, oprócz jednej osoby. A w chacie nad rzeką światło lampy znaczyło cienką linię pod drzwiami pokoju Mike'a. Jenny wyszła z domu, pokonała krótki dystans przez trawnik i stanęła pod jego drzwiami. Przez chwilę przysłuchiwała się krokom wystukującym nerwowy rytm na drewnianej podłodze.

Otworzyła drzwi, weszła szybko do środka i zamknęła je za sobą.

— Nabrałaś zwyczaju wchodzenia do męskich pokoi w środku nocy? — zapytał Mike. — Choć muszę przyznać, że cię oczekiwałem.

Jenny trzymała w dłoni gazetę z siedemdziesiątego piątego roku z wiadomościami telegraficznymi. Podała mu ją.

Mike rzucił tylko okiem. Potem podniósł wzrok na Jenny.

— Wolałabym dowiedzieć się czegoś więcej na temat mojego męża — powiedziała. — Wszystko to, czego nigdy nie wiedziałam. Wszystko, czego się dowiedziałeś. Kim był i czym był.

— Nic więcej?

— Nie. Przynajmniej na początek.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie będzie ci się podobało.

— To nieważne. Karty na stół, Mike.

To powiedzenie z dawnych czasów, pomyślała. Z dni rynsztoków i burd w szynkach, gdy wszyscy jej przybrani ojcowie siedzieli nad kieliszkami z rumem czy bimbrem i kartami tarota.

— W porządku. Jeśli tego naprawdę chcesz, Jenny. Karty na stół. Ale ostrzegam cię, że kij ma dwa końce.

Chcę tego, cokolwiek mogą znaczyć te słowa, pomyślała Jenny. I czekała.

— Po co ci to? — zapytał Mike. — Wszystko dawno już jest pogrzebane. Dlaczego wydobywać to z ziemi. Dlaczego?

— Czy wolisz, żebym zadała pytania twojej córce? Ona zna niektóre odpowiedzi, chociaż nigdy nie słyszała pytań. — Jego córka, pomyślała. Czas powoduje, że niektóre rzeczy stają się prawdziwe. — Chcesz, żebym ją zapytała? A może sama jej powiedziała? Wydaje mi się, że potrafię. Chyba już wcale nie potrzebuję od ciebie jakiegokolwiek odpowiedzi. Chyba wiem, co należało się jemu. I o tym właśnie chciałam porozmawiać.

Mike potrząsnął głową.

— W takim razie nie wiesz nic albo się mylisz. Nie miał żadnych praw. W każdym razie nie moralnie. Rozumiał to lepiej, niż ty kiedykolwiek zdołasz pojąć. Odwrócił się do nich plecami i zabrał to wszystko do grobu. On nie żyje. Pozwól mu... — zacisnął wargi, powstrzymując ciskające się na usta słowa.

— Odpocząć w spokoju? Nie rozumiem czemu, skoro zostawił po sobie tyle pytań bez odpowiedzi.

— Chciałem powiedzieć, pozwól mu gnić w piekle. Wystarczająco sobie na nie zapracował.

Jenny usiadła na pryczy. Rozejrzała się po pomieszczeniu. To tutaj zazwyczaj uciekał z domu Jazon, kiedy chciał czytać. Patrzyła na przedmioty nie widzącymi oczyma.

— Wiem, kim i czym był — powiedziała. — Teraz już wiem! Nazywał się Travis Jonathan, prawda? Ósmy wicehrabia Langley, którego wymieniają w gazecie. Ten, którego śmierć domniemano.

— Tego, czym się stał, nie można było wyrazić w przyzwoitym języku.

— Wiem, kim się stał, przynajmniej w części. Czytałam jego dziennik i słuchałam, co szeptał, gdy męczyły go koszmary. Żyłam z nim. Chcę wiedzieć, co zdarzyło się wcześniej, w Anglii.

— Wcześniej w Anglii stał się tym, kim się stał.

— Czy zrobił coś strasznego?

— Zabił swego brata.

— I za to wysłano go do Kolonii?

— Nie — Mike potrząsnął głową. — Sam się wysłał. Nie musisz wiedzieć nic więcej, Jenny.

— Żebyś wiedział, że muszę. Jeśli zabił brata, czemu nie został powieszony?

— Nie oskarżono go. Uznano, że zastrzelił brata przypadkiem na polowaniu.

— A jeśli to rzeczywiście był wypadek?

— Travis Jonathan tak nie myślał. On miał najwięcej danych, by się osądzić, i wydał werdykt: winny. Winny śmierci starszego brata. I ojca także. Szok spowodowany śmiercią syna zabił go kilka godzin później. A ponieważ śmierć brata poprzedzała śmierć ojca, syn brata został wydziedziczony. I w ten sposób Travis Jonathan stał się ósmym wicehrabią Langley. Dziedzicem tytułu, posiadłości i szlacheckiego kodeksu honorowego, który dla niższych urodzeniem jest trudny do zrozumienia!

Jenny spojrzała na Mike'a ze zdziwieniem.

— Mówisz tak, jakbyś go polubił.

— Nauczyłem się szanować Trávisa Jonathana. Wydaje mi się, że chciał zrezygnować ze swych praw na rzecz bratanka, po prostu znikając. Chłopiec był jego dziedzicem tak długo, póki Travis Jonathan nie... — Mike zamilkł. — Tak, polubiłem Trávisa Jonathana. Nie pozwoliłbym wejść Jennifer w jego rodzinę, gdyby tak nie było. Ale nie lubię ani nie czuję szacunku do Jonathana Trávisa. A twoim mężem był Jonathan Travis, mężczyzna, którym stał się Travis Jonathan. Pozwól, że opowiem ci o tym wspaniałym, znakomicie wychowanym twoim mężu. On nie został przetransportowany do zatoki Botany i nie był skazańcem, w jakiej to roli siebie widział. Pojechał na Ziemię Van Diemena, i to jako wojskowy strażnik więzienny. To miejsce w czasach Jonathana Trávisa nazywano Piekłem gubernatora Arthura. Był okrutny i twardy dla skazańców, a jeszcze gorszy dla czarnych.

— Nienawidził tego, co musiał robić — powiedziała Jenny tępym głosem. — Czytałeś jego dziennik!

— Czytałem, co próbował sobie wmówić.

— Nie chcę już więcej rozmawiać na ten temat. Są inne sprawy.

— Jestem zmęczony, Jenny.

— Możesz odespać jutro. Ja jeszcze nie skończyłam. Nie dałeś mi szansy nawet zacząć. Przyszłam, żeby otrzymać kilka uczciwych odpowiedzi dotyczących Anglii, a usłyszałam, co robił Jonathan na Ziemi Van Diemena. — Zamilkła. Wreszcie odezwała się. — Czy zapomniałeś, że twoja dziewczynka jest jego wnuczką?

— Jest częścią ciebie. Dalej już nie spoglądam.

— To dopiero stek bzdur! Patrzyłeś dalej, i to dobrze patrzyłeś. Jak możesz zaprzeczać mi w oczy. Chciałeś zdobyć wszystko, co należało do niego.

— To prawda. Wszystko, co było w Anglii, dla niej. I ciebie dla mnie.

— Jesteś mistrzem w zbaczaniu z głównego szlaku, Mike'u Donohue. Bez dwóch zdań. Ale ja nie dam się wyprowadzić w pole. Przyszłam tu po odpowiedzi i dostanę je. Kiedy całe to mordowanie czarnych odchodziło tutaj, co działo się w Anglii? Co stało się z całym majątkiem Jonathana?

— Jezu Chryste, Jenny! Przecież ci właśnie powiedziałem, że on nie posiadał już nawet swojej zgniłej duszy, kiedy się z tobą spotkał.

— Może duszy nie, ale na pewno był prawnym właścicielem całkiem sporego majątku.

— Niedługo! Po śmierci jego bratanka inna gałąź rodziny wystąpiła na drogę prawną. Wreszcie Travis Jonathan został uznany za zmarłego. Ponieważ Tranton Jonathan był jego kuzynem drugiego stopnia i najbliższym pozostałym przy życiu krewnym, odziedziczył zarówno tytuł, jak i ziemię. Kiedy zmarł w zeszłym roku, wszystkie prawa po nim przeszły na męża Jennifer, Trevora. I żyli sobie szczęśliwie. Aż po dziś dzień.

— Ale Jonathan przecież żył.

— Jenny, minęły lata, zanim prawnie uznano go za zmarłego. I wtedy już nie żył. Leżał pochowany pod tamtym kamieniem.

Jenny wpatrywała się w stos książek Jazona. Większość należała jeszcze do Jonathana. Teraz były jego syna. Przez całe życie traktowane jak świętość. Jej wzrok przesunął się na kupkę innych starych książek — dowód, że część Jonathana Travisa nadal żyła w Jazonie.

Jenny przypomniała sobie, jak mały Jazon mówił, że kiedyś czarni składali w tej dolinie ofiary z ludzi. On stał się kolejną ofiarą ludzką dla bogów doliny.

W najlepszym jego interesie, powiedziała do siebie. Gdyby się kiedyś dowiedział, podziękowałby mi.

Wspomnienie własnych słów prześladowało ją podczas kolacji. I wspomnienie twarzy syna — jakby nieżywej, skrzywionej brzydkim grymasem. Twarzy, która pozostała martwa przez długi czas, aż rzucone mimochodem słowa Jennifer obudziły ją znowu do życia.

— Travis Jonathan nie był całkiem martwy, Mike. I nadal nie jest. Zostawił syna. I wnuka. Są Jazon i Nathan. Widziałam, że osoba Jazona niepokoi cię od chwili przyjazdu Jennifer. I gdyby nie było o co się martwić, nie patrzyłbyś na mnie tak, jak patrzysz teraz. Jonathan zawsze pragnął syna. To śmieszne, jak rzeczy się sumują. Z takich kawałków i skrawków. Może nigdy by się nie ożenił, gdyby jego bratanek nie zginął. Ale ponieważ tamtego już nie było, zapragnął mieć żonę. Każda się nadawała, byle tylko urodziła mu syna, który odziedziczyłby

wszystko, z czego on sam zrezygnował. — Jenny udało się roześmiać. — Był tak zajęty zabijaniem samego siebie, kiedy ratował syna z nieprawego łoża, że nie dożył chwili, w której mógł się dowiedzieć, że ma dziedzica.

— Zanim urodził się Jazon, była już Jen — powiedział Mike. — Ona jest najstarsza. A Jennifer jest jej najstarszą córką. Ale ciebie obchodził zawsze tylko syn. Nigdy córki. Dlaczego matki zawsze dyskryminują córki na rzecz synów. Kobiety skarżą się, że mężczyźni spychają je w dół, ale to głównie robią inne kobiety, szczególnie matki.

— Prawo niewiele dba o córki.

— A od kiedy to ty zaczęłaś dbać o prawo?

— Wystarczająco długo, by zorientować się, jak działa. I nie staraj się znowu zmieniać tematu, Mike. Ponieważ właśnie rozmawiamy o prawie.

Mike milczał. Położył się na pryczy i zamknął oczy.

— Przed czy po 1849 uznali Jonathana za zmarłego?

— Po — odpowiedział Mike. — Tak więc widzisz, to nic nie zmienia. On już wtedy nie żył.

— To wszystko zmienia — odparła Jenny. — Nie manipulowałam prawem, by utrzymać swoją ziemię, nie wiedząc, jak działa prawo w przypadku dziedziczenia. I jedna sprawa to zajmowanie ziemi tutaj, gdzie owdowiała kobieta z dzieckiem musi stanąć przeciwko mężczyźnie, który może chcieć zagarnąć jej mienie, a zupełnie inna, gdy chodzi o rodzinny majątek w Anglii. Wkrótce poznam wszystkie różnice i zrobię to, co powinnam zrobić.

Mike teraz już skierował wzrok w jej stronę.

— Po czterdziestym dziewiątym powinni byli się martwić Jazonem, nie Jonathanem — mówiła Jenny, zastanawiając się nad każdym słowem. — A oni nie stwierdzili śmierci Jazona, ponieważ nawet nie wiedzieli, że on istnieje.

— Brali taką możliwość pod uwagę. Nie zostawili żadnej kwestii, która mogłaby być podważona.

— Co to znaczy podważona?

— Zwalczona.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że ludzie nie walczą o własność?

— Nie, tego nie próbuję ci powiedzieć. Mówię tylko, że jeśli spróbujesz walczyć, przegrasz.

— To będzie walka Jazona, nie moja, a ty nie byłbyś taki zmartwiony, gdyby nie istniał cień szansy, że mu się uda. I choć on nie jest z tych, co walczą, o to może bić się jak szalony.

— Zapominasz, że włożyłaś sporo pracy w utrzymanie przekonania, że Jonathan przeżył 1849 rok.

— Dobrze wiesz, że moje starania nie zmieniły prawdy. I nie tylko ja ją znam. Chris Colebrook jest wiarygodnym świadkiem. Jonathan stracił życie, ratując go. Prawdę zna też Samuel Colebrook, on go pochował!

Mike leżał z zamkniętymi oczami. Jenny spojrzała na niego gniewnie.

— Czasami doprowadzasz mnie do szału, Mike'u. Przyszłam tu, żeby z tobą porozmawiać o pewnych sprawach. Ale ty nigdy nie rozmawiasz. Ty zawsze się kłócisz.

— Straszny dusigrosz z ciebie.

— Nawet nie wiem, co za grosz chcę dusić! Nie masz zielonego pojęcia, o czym ja myślę, tak samo jak ja nie umiem zrozumieć, co się wyprawia w tym twoim irlandzkim brudnym mózgu. Gdybyś powiedział mi wszystko, co powinnam wiedzieć, nie pozwoliłabym Jenny tutaj przyjeżdżać. Sam siebie wiń za to.

— Chyba się cieszę, że przyjechała — powiedział Mike. — To uporządkowało sprawy. — Machnął ręką. — Zawsze chciałem ci powiedzieć. Po prostu kiedy czas mijał, było to coraz trudniejsze. Gdy wróciłem tutaj, wydawało mi się, że bezpieczniej będzie nic nie mówić. Na początku nie mogłem się doczekać, kiedy ci opowiem. Chciałem, żebyś to wszystko dzieliła ze mną.

— Mogłeś napisać do mnie list.

— Nie należę do tych, co pisują listy, ale raz napisałem. Nie pamiętasz tego. Dawno temu. Po zaręczynach Jennifer uznałem, że jest już bezpieczna. Pisałem ten list po pijanemu. Byłem tak zalany, że uwierzyłem, iż nasz czas nadszedł. Twój i mój.

Wyglądał na zmęczonego. Jenny zauważyła, że jego głos rwał się.

— Teraz też mówisz, jakbyś był pijany. Oczywiście, że go pamiętam. Całe to gadanie o tym, że dokończymy wspólnie naszej podróży. To, co zostaje na dnie butelki, jest najśłodsze, tak napisałeś. Wtedy już wiedziałam, że musiałeś być po niejednym kieliszku. Na trzeźwo nigdy nie napisałbyś czegoś podobnego. Kiedy jesteś trzeźwy, nigdy nie piszesz. Słyszałam od ciebie mnóstwo słodkich słówek, ale liczy się naprawdę tylko to, co człowiek napisze. Co zapisze na papierze, kiedy jest trzeźwy. Ponieważ kobieta na pewno nie włoży serca w coś stworzonego przez pijanego mężczyznę.

— Już prawie świt, Jenny! Połóż się ze mną na tę odrobinę nocy, która jeszcze nam została.

— A co powie Jennifer, jak zobaczy mnie wychodzącą stąd rano?

— Nic gorszego, niż gdyby zobaczyła cię teraz.

— Muszę ci powiedzieć coś ważnego. O ziemi w Anglii. I o ziemi tutaj.

— Ziemia. Zawsze tylko ziemia, co Jenny? Nie twój syn czy wnuk. Nawet nie Jonathan Travis. Po prostu ziemia.

— Nie zrozumiesz tego. Nigdy nie rozumiałeś. Nie potrafisz. Nie urodziłeś się tutaj.

— Nie ma nic ważniejszego dla kobiety niż ziemia. Przekonałaś mnie.

— Zazwyczaj nie rezygnujesz tak łatwo!

— To nie było łatwe, Jenny. Wierz mi, że wcale nie było łatwe.

— To, co naprawdę ci chciałam powiedzieć i o czym chciałam rozmawiać, dotyczy męża Jennifer i Jazona.

— W takim razie może poczekać do jutra. Połóż się teraz i bądź cicho.

— Zrobię to, ponieważ jestem zmęczona i nie chcę, by widziano, jak się stąd wymykam przed świtem. Ale bez żadnych głupstw, Mike. Oboje jesteśmy zbyt zmęczeni.

— Na to nie liczylibym tak bardzo, Jenny. Nie liczylibym.

Jenny przystanęła w drodze do domu. Przyglądała się bawiącym się dzieciom: dzieciom Jazona, Chang Lee, Ringi i dzieciom angielskiej arystokratki. Młodzi Anglicy trzymali się osobno, choć widać było, że mają ochotę przyłączyć się do zabawy. Przyglądali się, jak Nathan, Chińczyk Kai Lee i aborygenka Tally grają w palanta, ale tylko patrzyli.

— Wy też możecie grać — zawołał do nich Nathan. — To łatwe i nie będziemy za mocno rzucać piłką. Grałem w to, jak miałem trzy czy cztery lata.

Tricia chciała dołączyć do gry, ale Tidge złapał ją za rękaw, marszcząc ostrzegawczo czoło.

— Pobrudzisz się.

— To nic nie szkodzi — odpowiedziała Tricia z godnością. — Wszyscy tutaj są brudni.

— Pokazała na Tally. — A ona jest cała czarna.

Tidge spojrzał ostro na siostrę.

— To jest jej naturalny kolor. Ona nie jest brudna, tylko po prostu czarna.

— Ale Nathan i Kai Lee są brudni.

— Jesteś niegrzeczna, Tricia. Mamie by się to nie podobało — powiedział stanowczym głosem Tidge.

— Ale oni są brudni.

— Nic nie mogą na to poradzić. Urodzili się tutaj. Muszą tu mieszkać.

— Jeśli oni są brudni, to dlaczego ja nie mogę? — mała dziewczynka nie ustępowała.

— Ponieważ ty jesteś inna — tłumaczył jej cierpliwie. — Nie mieszkasz tutaj. Jeśli się mieszka tutaj, na brud nic się nie poradzi.

Jenny ruszyła powoli w stronę domu. W pobliżu padoku zobaczyła Jazona. Pracował w porannym skwarze, jego opalone na brąz ciało lśniło od potu. Czysto brązowy, nie brudny. Dobry, uczciwy pot zmieszany z dobrą, uczciwą ziemią.

Blżej, na podwórku przy oborze, Jennifer siedziała na stołku, prowadząc z krową bój o mleko. To dlatego Jazon pracuje tutaj, pomyślała Jenny, normalnie nienawidził tego rodzaju zajęć. Ale odrzuciła szybko tę myśl i przyjrzała się Jennifer.

Młoda kobieta wyglądała jak cieplarniany kwiat na ścieżce wśród zarośli. Cieplarniane kwiaty. Tak kiedyś nazywano damy z Kolonii. Wtedy nie wiedziała, co to właściwie oznacza. Tam, gdzie ona żyła, przez cały prawie rok było gorąco. Ale damy mieszkały w porządnym domach, nie w barakach. Wyglądały jak kwiaty, nie chwasty. Jennifer była bardziej damą niż one wszystkie razem wzięte, a jednak Jenny doszła do wniosku, było w niej również coś z wytrzymałości zielska.

— Nigdy nie byłam w stanie odrzucić żadnego wyzwania — odezwała się Jennifer.

— Czasem lepiej zrezygnować — poradziła Jenny.

— Nie ma mowy. Wydoję tę cholerną krowę, choćbym miała jej urwać wymię — popatrzyła przepaszająco na Jenny. — Mam nadzieję, że wybaczy mi pani ostrzejsze słowo. Czasami „cholerny” wydaje się jedynym właściwym określeniem. A ponieważ jestem w połowie Irlandką, nie mogę się przez cały czas zachowywać jak wiktoriańska dama, prawda?

Teraz mi się bardziej podobasz, chciała jej powiedzieć Jenny, ale te słowa nie były odpowiednie, a innych nie znajdowała.

— Twój ojciec jeszcze śpi. Zamknęłam drzwi do jego pokoju, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Pewnie miał niespokojną noc.

Wycofała się do swej zastępczej sypialni. Sama też niewiele spała tej nocy. Dwie godziny później zbudziło ją przybycie Jody, która zdecydowała się złożyć matce wizytę w nadziei spotkania prawdziwej damy.

To, co się dzisiaj dzieje, przypomina latarnię magiczną, którą widziałam kiedyś w Co-oma, pomyślała Jenny. Jedna scena, po której następuje zupełnie inna. Bez związku. I wreszcie słowo KONIEC wypisane wielkimi lśniącymi literami, jakby miał zaraz nastąpić Dzień Sądu. Złowieszczy napis, pomyślała, znalazłszy odpowiednie słowo. Jennifer nazwała to *déjà vu*, kiedy mówiła o powracających z przeszłości zdarzeniach.

— Życie tutaj musi wydawać się pani bardzo prymitywne, lady Langley — mówiła Jody wysokim głosem. Oczywiście było, że starannie dobiera wyrazy. — Jestem przekonana, że przywykła pani do zupełnie czegoś innego.

— Naprawdę? — Jennifer uśmiechnęła się chłodno.

Jody zawahała się przez moment, ale ponieważ przybyła z misją, nie dała się zniechęcić.

— Tutejsze damy — powiedziała z emfazą — mają zaszczyt zaprosić panią na nasze popołudniowe herbatki podczas pobytu w Minaby Flat. W moim domu oczywiście. Nasz dom nadaje się najlepiej, ponieważ ma wszystkie potrzebne akcesoria.

Jenny poruszyła się.

— Co to są akcesoria? To słowo brzmi jakoś wulgarnie. Nie wydaje mi się, by prawdziwa dama mogła mieć w domu akcesoria.

— Moja matka nie rozumie — powiedziała przeproszająco Jody zniżonym tonem.

— Ja zdaje się również nie — odparła Jennifer. — To słowo jest tak rzadko używane.

— Czy czwarta po południu będzie dogodną porą? — Jody z desperacją ciągnęła dalej.

— Jeśli odpowiadać będzie mojej gospodyni — zgodziła się Jennifer.

— Dla mnie jest jak najbardziej odpowiednia — odpowiedziała Jody z ulgą.

— Chodzi mi o pani matkę — poprawiła ją Jennifer. — W Minaby Flat jestem jej gościem.

— Ona jest bardziej podobna do mnie, niż myślałam — powiedziała Mike'owi Jenny.

— Czy Jody...? — Wyraz twarzy Mike'a wystarczył za resztę pytania.

— Jody nie dostrzega nic poza jej tytułem. Ale źle zrobiłam sprowadzając Jennifer tutaj, gdzie ludzie mogą dostrzec podobieństwo niezauważalne dla niej samej.

Mike zawahał się, przesunął ręką po twarzy.

— Siedziałem tu przez chwilę po obudzeniu i myślałem. To nie jest w porządku. To nieuczciwe. Powinienem jej powiedzieć, kim jesteś.

— Nie! — Jenny potrząsnęła głową. — Jeśli jej to powiesz, ona stanie się naprawdę taka sama jak ja. Będzie się przez całe życie zastanawiać, kim właściwie jest! A ona wie, kim jest. Nie ograbiaj jej z tego, Mike!

— Jesteś dziwną kobietą, Jenny.

Przytaknęła głową.

— I na jedną rodzinę jedna dziwna kobieta to aż nadto.

— Jenny, jest...

— Przygotowałam dla ciebie posiłek w altanie. Nic dzisiaj nie jadłeś. Kiedy już zjesz, możemy się przejść nad rzekę. Usiądziemy pod tym starym drzewem. — Uśmiechnęła się. — Po prostu usiądziemy! Ciągłe chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Bez wchodzenia w sprzeczki. — Zamilkła na chwilę. — I to ja muszę powiedzieć pierwsza.

Kiedy siedzieli już pod drzewem, opadły ją wspomnienia i te pierwsze słowa nie okazały się takie łatwe.

— Ile razy tu jesteś, Mike'u, odsyłam cię. A ty zawsze wracasz. Gdybym cię nie odsyłała, odjechałbyś i tak. Po prostu byś się zabrał i tyle bym cię widziała. — Jenny zajęła rękę spiniem jednego liścia z drugim, tak że utworzyły wreszcie długi łańcuch. — Zabierz stąd Jennifer i dzieci jutro z samego rana. — Popatrzyła na niego. — Ja wiem, że pojedziesz z nimi dalej niż do Cooma czy Sydney. Wrócisz z nimi do Anglii, prawda?

— Chyba muszę, Jenny. Nie mogłem tam wrócić wcześniej, ale teraz już mogę. I muszę. Są sprawy, które powinienem załatwić. Nie zakończone interesy. — Sięgnął po łańcuch z liści, zmuszając ją, by spojrzała na niego. — Bardziej niż kiedykolwiek chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Ale muszę ci powiedzieć, że jadę do Anglii przygotować się na walkę, którą będę musiał stoczyć, kiedy zjawią się Jazon i Nathan. Jeśli chcesz ze mną walczyć, teraz nadszedł czas.

— Ależ nie chcę! To właśnie chciałam ci powiedzieć zeszłej nocy. Gdy zdałam sobie sprawę, jaka jest prawda, poczułam gniew. Wielki gniew! Ale potem rozmawiałam z Jennifer i zastanowiłam się nad wszystkim. — Jenny uśmiechnęła się. — Jennifer opowiedziała mi o swoim mężu Trevorze. Jak dobrze wykonuje swe obowiązki. Jaki jest odpowiedzialny. Jazon nie ma żadnej z tych cech. Jest tylko marzycielem. Całe życie spędza na marzeniach, jakby to było dobrze mieszkać w Langley i być panem na tych wszystkich włościach. Ale to oznaczałoby koniec Langley. I przyszłości Jennifer. A także jej rodziny. A co najgorsze, byłby to koniec pomyślności tych wszystkich ludzi, o których mówiła, ludzi zależnych od właściciela Langley. Oni nie mogą zależeć od Jazona. Nathan jest inny. Ma cechy, których brak jego ojcu. Ale on

ma własne marzenia i te tkwią korzeniami tutaj, w ziemi tego kraju. Jest mieszkańcem Kolonii w trzecim pokoleniu i nie chce być nikim innym. Jazon jeszcze tego nie rozumie. Nathan może nawet nie zechce jechać z nim do Anglii. Ale Jazon pojedzie. Nie mogę znaleźć się przy twoim boku przeciwko niemu. I nie chciałabym być po jego stronie przeciw Jennifer. I tak wcale nie musi być. Ty możesz zaopiekować się Jazonem w moim imieniu, co wcale nie okaże się takie trudne. Nawet Travis Jonathan, który stał się Jonathanem Travisem, byłby twoim sojusznikiem, jeśli rzeczywiście był takim człowiekiem, za jakiego go uważałeś. Wystarczy, żebyś zaakceptował Jazona jako odległego krewnego, na tyle jednak bliskiego, by mógł dzielić to życie, o którym tak długo marzył.

Ponieważ Mike milczał, Jenny zdenerwowała się.

— Jennifer zrobi wszystko, o co ją poprosisz! Myślałam o tym i myślałam, i cała sprawa wydała mi się taka prosta i jasna. Potrzebny mi tylko Irlandczyk, który nie będzie marzył o bójce.

— Och, Jenny, Jenny, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Ale co będzie, jeśli stanę naprzeciw mężczyzny z Kolonii, który będzie chciał się bić? Marzenie człowieka może być silniejsze od niego. Czasem tak silne, że uczyni go wielkim jak samo marzenie. Jazon może zadziwić nas oboje. Nie chcę takiego ryzyka. Muszę przygotować się do walki. Jeśli będę musiał zmagać się z Jazonem, nie ustąpię. Jeśli nie, spróbuję zrobić to, o co mnie prosiłaś, kochanie. — Uśmiechnął się kwaśno. — Wygłosiłaś długą przemowę, Jenny. Nie słyszałem nigdy, żebyś mówiła tak dużo.

— Pierwszy raz w życiu mi nie przerwałeś.

— Nie pozostawiłaś mi nic do powiedzenia. A miałem zamiar powiedzieć ci dużo. Bardzo dużo! Zawsze miałem zamiar cię tam zabrać, kiedy przyjdzie odpowiedni czas — nadal mam! — ale skoro muszę stawić czoło walce z Jazonem, nie chcę się zmagać także z tobą.

Rozejrzał się wokół i popatrzył na szczyty gór. Zmarszczył czoło.

— Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Teraz. Wolałbym nie być jednym z tych Irlandczyków, których nie ma, kiedy właśnie są potrzebni.

25.

Śmiertelnie niebezpieczną lawinę może zapoczątkować maleńki kamień toczący się w dół zbocza.

— Ten kamyczek — uczyła Violet McGovern swych uczniów — zapoczątkuje to, co nazywa się reakcją łańcuchową.

I taki kamyczek właśnie wtoczył się do Minaby Flat wczesną jesienią osiemdziesiątego drugiego roku pod postacią młodego włóczęgi szukającego pracy.

— Nazywam się Herb Elliot — przybysz poinformował mężczyzn zebranych w pubie. Oparł się o bar i siedział słuchając rozmów na temat trudnych czasów.

— Niechby sobie było nie wiem jak ciężko, nigdy nie będzie gorzej niż za pierwszych dni Kolonii — stwierdził Downer Farley. Był właścicielem pubu i mógł godzinami opowiadać o dawnych czasach.

Elliot wytarł pianę z brody i umoczył powtórnie usta. Miał do opowiedzenia własną historię o prześladowającym go pechu i już się cieszył na liczne audytorium. Zebrała się dobra połowa męskiej populacji doliny, by utopić w piwie swe smutki lub oblać drobne sukcesy. Żaden mężczyzna nie potrzebuje daleko szukać okazji, by odwiedzić bar.

— Pech i ciężkie czasy, człowiek się z tym rodzi — powiedział głośno, skupiając na sobie uwagę. — To jest pułapka. Wpadają w nią całe rodziny. Weźcie mnie na przykład.

Głowy zwróciły się ku niemu, więc znowu wytarł brodę wierzchem dłoni i odstawił kufel na kontuar.

— Zaczęło się to dwa pokolenia temu, a może jeszcze wcześniej, bo inaczej po co moja rodzina przyjeżdżałaby tutaj, by zacząć wszystko od początku? No i zaczęli! Zjawili się tu w latach czterdziestych i nie zdążyli spędzić nawet kilku miesięcy, kiedy mój dziadek został zabity. Kiedy był w Parramacie, ktoś walnął go przez łeb, złapał wóz dziadka z całym dobytkiem i odjechał. Takie rzeczy przytrafiały się niejednemu w tamtych czasach, a jeśli już o to chodzi, to zdarza się i teraz, ale powiadam wam, że takie wydarzenie może zmienić całe wasze życie. Mój ojciec był wtedy jeszcze małym chłopcem, przez długi czas nikt nie wiedział, co się stało z jego ojcem. Potem matka zachorowała i umarła. Od tego wydarzenia nic już nie szło dobrze w mojej rodzinie. Mój stary umarł, kiedy ja ledwie co odrosłem od ziemi. Nastąpił na zardzewiały gwóźdź i w kilka dni było już po nim. A ja przyszedłem na świat, gdy miał niewiele ponad dwadzieścia lat, więc naprawdę był młody. Zostawił tylko mnie z moją matką, a ją dziesięć lat

ciężkiej pracy też wykończyło. I nic nie zostało. Moja rodzina nigdzie nie potrafiła zagrześć miejsca. Źle zaczęła, i tak to się już ciągnęło.

Rozejrzył się po zebranych mężczyznach.

— Przewędrowałem prawie sto mil w poszukiwaniu pracy i myślicie, że znalazłem? Jeśli ktoś już ma pecha, wszystko obraca się przeciwko niemu. Ale pomyślałem, że może lepiej poszczęści mi się w tej dolinie.

Jazon roześmiał się nerwowo, co często mu się ostatnimi czasy zdarzało.

— Jeśli masz pecha, nie licz na to. Szczęściem nazwałbym, kiedy człowiek potrafi znaleźć drogę powrotną z tej doliny.

— Co umiesz robić? — zapytał przybysza Chris Colebrook. Jego wzrok prześlizgnął się po Jazonie, po czym skierował na przybysza.

— Wszystko — odpowiedział Elliot. — Mogę być wolarzem, pasterzem, złotą rączką, powiedz, kogo potrzebujesz.

— Dam ci pracę — oznajmił Chris. — Przyda mi się pomoc. — Skinął głową w stronę oberżysty. — Downer powie ci, gdzie mnie znaleźć. Możesz przyjść do mnie rano.

Do mnie, powiedział Chris, a przecież gospodarstwo należało jeszcze do jego ojca.

Samuel przyjrzał się synowi, kiedy ten wrócił do domu.

— Nie zauważyłem wcześniej, ale twoje włosy i broda stały się całkiem siwe — powiedział.

Chris zaśmiał się.

— Już od kilku lat.

— Kiedyś byłeś jasny. A ja rudy. Miałem rude włosy i brodę. Pomarańczową jak nagietki, które hodowała moja matka w Devon.

— Nigdy wcześniej nie opowiadałeś mi o Devon — zauważył zaciekawiony Chris.

— Teraz też nie zamierzam. Twoja matka miała ciemne włosy. — Palce starca skubały koszulę nocną, a oczy podążały za palcami.

— Ale ty byłeś jasny. Inny niż ja. Inny niż my oboje. — Podniósł wzrok i spojrzał na Chrisa. — Ale teraz robisz się podobny do mnie.

Chris uśmiechnął się. Zdecydował się przedłużyć wieczorną wizytę i opowiedział historię Herba Elliota, by rozbawić starego człowieka. Może liczył, że powodowany współczuciem ojciec wybaczy zatrudnienie nowego pracownika bez konsultacji z nim. Chociaż nie obawiał się zmiany decyzji. Ojciec nigdy mu się nie sprzeciwiał. W ostatnim czasie zostawiał całą robo-

tę i większość decyzji Chrisowi. Czasami go to złościło, częściej jednak cieszyło. Życie byłoby łatwiejsze, gdyby miał pełną kontrolę nad gospodarstwem, myślał, ale nigdy sobie tego nie życzył.

Kiedy Chris już odszedł, Samuel zaczął obracać tę historię w swojej głowie.

Ukradziony wóz był cięższy na ścieżkach pamięci. Parramatta stała się Sydney. Czterdzieste lata trzydziestym drugim rokiem. A włóczęga Herb Elliot wnukiem osadnika, którego zdzielił lagą i pozostawił nieżywego na dziedzińcu tartaku.

Do późnych godzin nocnych w Minaby Flat świeciło się w jednym oknie. To paliła się lampa u Samuela Colebrooka.

Siedział przy małym stoliku przeglądając papiery, które trzymał zawsze w zamkniętym pudle. Ostatnia wola i testament były proste. Zostawiał gospodarstwo Colebrooków Chrisowi Colebrookowi, a po nim jego synowi Johnowi. Wiele razy Samuel wyciągał testament z pudełka i uważnie go czytał.

Po prostu Chrisowi Colebrookowi. I jego synowi Johnowi. Nie mojemu synowi Chrisowi Colebrookowi i mojemu wnukowi Johnowi Colebrookowi. Ponieważ Chris Colebrook nie jest moim synem. A John Colebrook nie jest moim wnukiem. Czasami miał ochotę dopisać te kilka słów i zobaczyć, jak by wyglądały i jak by się czuł czytając je. Ale duma wstrzymywała rękę.

Teraz sięgnął po rzadko używane pióro i zanurzył je w na pół wyschniętym kałamarzu. Wydawało mu się, że atrament jest ciemny jak krew, wypływająca z czarnego od poczucia winy serca. Czuł, że nadszedł czas wyrównania rachunków.

Ręce mu się trzęsły, kiedy dopisywał kilka słów, które były konieczne. Dodał je na samym dole testamentu, a pod tym postawił swe nazwisko.

A potem usnął i spał spokojniej niż podczas wszystkich nocy przez ostatnie czterdzieści lat.

Zima nadeszła jeszcze przed czerwcem. Wczesny śnieg pokrył góry niby pierzynka. Potem temperatura spadła sporo poniżej zera. W sierpniu zima złapała szczyty w lodowate kleszcze.

W Cooma Gur przyszedł porozmawiać z Edem, kiedy Mercy i dzieciak spali.

— Powiedziałeś, że przyłączysz się do nas w zimie. Mówiłeś poważnie, czy zmyślałeś?

Ed zerknął ku alkwie, gdzie Mercy i ich syn usiłowali się wzajemnie ogrzać. Dwa razy szedł w stronę stajni, by przyjąć darowiznę od Dave'a. Dwa razy zatrzymała go duma.

— Zawsze dotrzymuję słowa — powiedział czarnemu mężczyźnie.

Dwa dni później Ed, Gur i dwóch pastuchów rozpoczęło mozolną wspinaczkę boczną drogą prowadzącą do Gedzederick.

14 sierpnia w Minaby Flat było kilka incydentów.

Chris Colebrook stwierdził, że nie stać go na zatrudnianie dodatkowej siły roboczej i właśnie ten dzień wybrał, by powiedzieć Samuelowi, iż musi zwolnić nowego pomocnika, Herba Elliota.

— Nie! — krzyknął stary człowiek, opadając na krzesło. — Ja zabiłem jego ojca. Lub dziadka. — Zmarszczył brwi w głębokim namyśle. — Nie, to jednak musiał być jego dziadek. To było tak dawno temu.

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— Nie wiesz tego. Nigdy ci nie mówiłem. Nigdy nikomu nie mówiłem. — Namyślał się przez moment. — Twoja matka wie. Była tam. — Zastanawiał się jeszcze chwilę. — Zrobiłem to dla niej.

— Co zrobiłeś? To nie ma w ogóle sensu.

— Powiedziałem ci. Zabiłem dziadka Herba Elliota. Wiesz to. Ty sam powtórzyłeś mi jego historię.

Spojrzenie Chrisa złagodniało, zdenerwowanie ustąpiło trosce.

— Pomyliło ci się, tato.

Stary człowiek zmarszczył brwi, przechylił głowę, a potem przyjrzał się Chrisowi.

— Zawsze tak do mnie mówiłeś, prawda?

— O co ci teraz chodzi?

— Nieważne.

— Posłuchaj, tato, mogłem go po prostu zwolnić i nic ci nie powiedzieć. Ale uważam, że masz prawo wiedzieć, co się dzieje, i dlatego ci mówię. Ale tak trzeba zrobić.

— Nie — Samuel potrząsnął głową. — Nie możesz tego zrobić, jeśli ja ci nie pozwolę.

— Chryste Wszechmogący, powinienem mieć do tego prawo. Od trzydziestu lat wypruwam sobie flaki, pracując na tym gospodarstwie. Czego ty ode mnie oczekujesz? Mam ci zacząć życzyć śmierci, bym dowiedział się, że to, co moje, jest moje?

Stary człowiek nic nie powiedział.

— To jest gospodarstwo Colebrooków, a ja jestem Colebrook, więc co mam robić? Zachowywać się jak czternastoletni dzieciak?

— Nazwisko to tylko nazwisko.

— Coś bredzisz. Powiedziałem, że zwolnię tego człowieka, i zrobię to.

Za oknem przechodził Carruthers. Przystanął, a potem poszedł dalej.

— Widzisz to pudło na stole? — zapytał Samuel. — Jest tam coś, co chciałbym ci pokazać.

Starzec wziął pudło, które Chris mu podał, i otworzył je drżącymi palcami. Jego ostatnia wola leżała na samym wierzchu, napisana ręcznie i porządnie złożona. Powoli ją rozwinął, wyrównał na zagięciach.

— To jest mój testament — powiedział. — Jeśli chcesz, możesz go obejrzeć. Po mojej śmierci gospodarstwo przejdzie na ciebie. Zapracowałeś sobie na nie, a poza tym uważam, że masz do niego coś w rodzaju prawa. Na początku należało tak samo do matki, jak i do mnie. Widzisz tutaj? Wszystko pozostawiam Chrisowi Colebrookowi i jego synowi Johnowi. Ale poniżej coś jeszcze dodałem i też podpisałem porządnie. Tu jest powiedziane, że nigdy żaden Elliot nie zostanie stąd wyrzucony, ani teraz, ani nigdy. Tyle jestem im winien.

Chris rozłożył dokument i czytał w milczeniu.

— Wiem, jak się pisze poprawnie testamenty i kodycyłe — powiedział stary człowiek. — Ponieważ w mojej rodzinnej Biblii na ostatniej stronie było napisane, pamiętam, jak to czytałem, nigdy tego nie zapomnę. Nigdy niczego nie zapominam. Niczego, co jest ważne.

— Jezu — wyszeptał Chris.

Przez kilka chwil milczał, wpatrując się w starego człowieka. Kiedy wreszcie odezwał się, starannie dobierał słowa.

— Ten człowiek, którego rzekomo zabiłeś, kiedy to się stało i gdzie?

— Pierwszego dnia po naszym przyjeździe do Kolonii. Na podwórzu tartaku.

— W Sydney?

— Złapałem za jego muszkiet i uderzyłem go w głowę. Potem zabrałem jego wóz i wszystko, co miał na nim, i ziarno, i bydło, i dojechałem aż tutaj. Zrobiłem to, żeby uratować twoją matkę. Zrobiłem to dla niej. Ona ci powie. Może ci powie.

— Zaraz po tym, jak zesłicie ze statku? W Sydney? Posłuchaj mnie, zadałem ci pytanie.

Stary człowiek spoglądał na niego niepewnie, myślami był jeszcze w przeszłości.

— Byłeś kiedyś w Parramacie? — zapytał Chris.

Samuel potrząsnął głową.

— Powiedziałem ci. Przyjechaliśmy prosto tutaj. Mijaliśmy jakieś miejsca. Nie znałem ich nazw.

— Zabrałeś wóz w Sydney, to jedno, co jest ważne. Czy mnie słuchasz? — Twarz Chrisa poczerwieniała, na czole pulsowała mu żyła. — Z tego, co pamiętam z opowiadania Elliota, jego dziadek zginął w Parramattcie. Parramatta, nie Sydney. I wydarzyło się to o wiele później, w latach czterdziestych. Nie ma nic wspólnego z tobą. Pomieszales tę opowieść z czymś, co przytrafiło ci się, kiedy przyjechałeś do Kolonii. Czy rozumiesz to, co ci mówię? Wszystko ci się pomieszało. Musisz usunąć ten kawałek ze swego testamentu. Nie mam zamiaru znosić obcych bez ważnego powodu. Czy słyszysz mnie?

— Niech ci matka opowie, co wydarzyło się tamtego dnia. Może ci powie.

Chris skinął głową.

— Mnie nic nie potrzebuje mówić, ale może tobie przemówi do rozumu.

Za szybą znowu pojawiła się na chwilę głowa Carruthersa. Chris rozgniewany podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

— Wynoś się stąd, do diabła! — krzyknął. — Znajdź sobie robotę gdzie indziej i nie podsłuchuj rozmowy, która ciebie nie dotyczy.

— Słyszałem, jak mówiłeś o zwalnianiu ludzi. To jak najbardziej mnie dotyczy.

— Przyjdę do ciebie później — powiedział Chris i zatrasnął okno.

Wyszedł z pokoju. Po chwili z kuchni dobiegł głos Mary Colebrook wzniesiony do krzyku.

— Nie rozmawiam z nim od lat i teraz też nie mam mu nic do powiedzenia.

— Nadszedł czas rozmowy — odparł Chris, przekrzykując ją i ciągnąc w stronę pokoju ojca.

Za drzwiami rozległ się jeszcze słaby protest Mary.

— Nie wejdę tam.

— Mówił takie rzeczy, które powinnaś usłyszeć.

— Jakie rzeczy? — głos starej kobiety zadrżał, jakby nagle zaczęła się bać.

— Wszystko w porządku. Nie odgryzie ci głowy. Wszystko mu się pomyliło. Opowiada jakieś bzdury o waszym pierwszym dniu w Kolonii.

— Od lat z nim nie rozmawiałam — wymamrotała.

— Najwyższy czas, żebyś zaczęła.

Otworzył drzwi szeroko i Mary weszła do środka, z wahaniem, niepewnie patrząc na siedzącego na krześle starego człowieka. Samuel spojrział na nią.

— Gdzie jest Katie? — zapytał. — Ona naprawia moje rzeczy i szykuje mi jedzenie. Nie potrzebuję ciebie tutaj.

— Katie i John zajmują się jedną z krów. Ta sprawa nie ma z nimi nic wspólnego — powiedział Chris. — Dotyczy tylko nas trojga. Teraz powiedz matce, co opowiadałeś o dziadku Elliota.

— Nie muszę jej mówić. Ona tam była. Widziała, co się wydarzyło.

— On myśli, że ten człowiek, którego zabił w dniu przyjazdu do Kolonii, to dziad Elliota — wyjaśnił Chris. — Ta sama historia wydarzyła się dziadowi Elliota wiele lat później w Paramatcie, i staruszkowi pomyliły się dwie sprawy. Wpisał nawet Elliota do testamentu.

Mary nagle odnalazła głos. Nowy głos, ostry i twardy.

— Więc to właśnie zamýślasz? Siedzisz tutaj i knujesz, jak pozbawić mojego Chrisa tego, co mu się prawnie należy?

— Nic takiego nie próbowałem zrobić — uspokajał ją syn. — Nałożyłem tylko na mnie ciężar, z którym trudniej mi będzie żyć.

Ale Mary go nie słuchała.

— Nie będę stała i patrzyła, jak mojego Chrisa okradają z praw do majątku.

— Nie. Posłuchaj. Wytlumaczę ci — mówił cierpliwie Chris. — To nie ma nic wspólnego z majątkiem. Nie mógłby mnie z niego okraść, nawet gdyby chciał. Jestem jego synem.

— Nie jesteś — powiedział nagle Samuel. — Wcale nie jesteś moim synem.

Samuel Colebrook usłyszał własne słowa i poczuł, jak odrzuca minione lata i znowu czuje przerażenie i ból. Jak wtedy, gdy poczuł się zdradzony przez Mary i Jonathana, kiedy po raz pierwszy zaczął ich podejrzewać. Rana była głęboka. I słowa wydobyły wreszcie tę prawdę.

Patrzył na Mary — starą kobietę o szarej twarzy i białych włosach. Ale widział jej kameliową cerę i czarne włosy okalające twarz świętej. I powtórnie umarła w nim miłość.

— Jego ojcem jest Jonathan Travis — powiedział silnym głosem, który należał niegdyś do niego, jakby prawda przeniosła go w tamte odległe czasy.

Dziewczyna o bladej twarzy, spokojnych oczach, czarnych włosach i zdradzieckim ciele znikła. Na jej miejscu stała stara kobieta, a jej oczy stały się pustymi oknami, za którymi już nikt nie mieszkał.

Chris wyszedł z pokoju, a potem z domu. Słyszał za sobą szuranie stóp matki.

Carruthers zastąpił mu drogę.

— Herb Elliot zostaje, ale ja muszę odejść, czy tak to ma być? — dopytywał się. — Słyszałem wystarczająco wiele, by wiedzieć, co się szykuje. Chcesz kogoś wyrzucić. No cóż, w każdym razie nie mnie. Nie odejdę tak bez niczego. Nie po tych wszystkich latach pracy, którą włożyłem w twoją ziemię.

Chris ledwie na niego spojrzał.

— Lata nic nie znaczą — odezwał się nieswoim głosem.

— No cóż, tak jak powiedziałem, nie odejdę z pustymi rękami — powtórzył Carruthers. — Jedyne, co wyhodowałem na tym kawałku ziemi, który dostałem od was, to dzieciaki. Jeśli mam odejść, potrzebuję zwierząt. Tyle owiec, żeby mieć stado na początek. Powiedzmy dziesięć sztuk za każdy rok, który tu przepracowałem. To będzie uczciwe.

Chris roześmiał się.

— Masz takie samo prawo jak ja — powiedział. — Obsłuż się sam, a potem idź do diabła.

— Czy w takim razie mnie zwalniasz?

— Nie miałem zamiaru, ale teraz już mam. — Chris odepchnął go i odszedł w stronę rzeki.

— Ty pieprzony skurwielu — krzyknął Carruthers, a potem poczerwieniał, napotkawszy wzrok Mary Colebrook. — Przepraszam, panią. On przecież jest synem swego ojca — poczerwieniał jeszcze bardziej. — Nie chciałem pani obrazić.

Mary Colebrook stała i wpatrywała się w niego, jakby czekając na wyjaśnienie. Jej długie milczenie zdenerwowało go.

— Chodzi o moją umowę z Chrisem dotyczącą owiec, będących zapłatą za te wszystkie lata, które tu przepracowałem. Pracowałem naprawdę ciężko. Nie ma pani nic przeciwko temu? Staruszek też chyba nie? — Czekał, a ona wciąż patrzyła na niego tępym wzrokiem. — Lepiej niech pani powie teraz, jeśli się nie zgadza. — Czekał. — To uczciwe. Milczenie jest zgodą. Biorę, co moje, i odchodzę. — Poczuł, jak skręca go gniew. — To jasne jak słońce, że jest synem swego ojca. Podobny do Jazona Travisa jak dwie krople wody. Każdy głupiec to potrafi zobaczyć. Nie muszę wcale przeproszać za to, co powiedziałem. Myślę, że od początku nie lubiła jej pani, tej zadzierającej nosa pani Jenny Travis, więc może i ona odpłaciła się pani, biorąc paninego męża do łóżka, żeby spłodził tego nic niewartego jej synalka.

Chris Colebrook przedzierał się przez zwały śniegu, w stronę wąwozu. Incydent z Carruthersem, prawie niedostrzeżony, już wyleciał mu z pamięci. Pamiętał tylko ojca, który wyglądał nagle młodziej i mówił pewnym głosem rzeczy, które brzmiały prawdziwie.

Zatrzymał się nad wąwozem, jego twarz poszarzała.

Podczas minionych lat słyszał różne plotki... Był tak podobny do Jazona, że zastanawiał się nad własnym ojcem i Jenny Travis. Coś innego nigdy mu nie przyszło do głowy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Złapał się za skałę. Chłód kamienia sparzył go w palce i przepłynął przez ręce aż do pierśsi w paroksyźmie bólu.

Staruszkowi wszystko się poplątało. To, co mówił, nie miało przecież sensu.

Nigdy wcześniej nic takiego nie powiedział. Nawet nie napomknął.

Nigdy wiele nie rozmawiali.

Może zbyt mało. Za dużo było między nimi ciszy.

Czuł, jak przenika go zimny wiatr wiejący przez dolinę i wąwóz.

Wydało mu się, że wiatr niesie jakieś głosy.

Samuel patrzył przez okno. Widział Mary, jak szła w dół ku rzece, potem znikła na kilka chwil, by wynurzyć się na moście i wreszcie podążyć ścieżką w górę do gospodarstwa Travisów.

Wyszedł niepewnym krokiem z pokoju, a potem z domu. Zimny podmuch odebrał mu oddech, zawrócił w głowie. Ruszył w stronę farmy Travisów, ale dotarł tylko do granic własnej posiadłości. Tam upadł w śnieg. Poczł, jak chłód bierze go w swoje szpony.

To była pierwsza jej wizyta w gospodarstwie Travisów.

Minęło czterdzieści pięć lat od dnia, kiedy pierwszy raz przeszła na wschodni stok do chaty Jonathana Trávisa.

Trakt był wtedy świeżo oczyszczony, ścieżka bardziej kamienista.

Minęły trzydzieści trzy lata od czasu, kiedy wspięła się tu po raz drugi, przedzierając się przez śnieg, wzywając go, by uratował jej syna, a potem przyszła znowu, by spojrzeć na miejsce jego ostatniego spoczynku i odczytać napis na kamieniu nagrobnym.

Teraz szła ze spuszczoneym wzrokiem, patrząc na drogę, która stanowiła wyzwanie dla jej starych, słabych nóg, na zdradzieckie koleiny, wyłobione przez lata, schowane pod śnieżną breją. Czuła wdzięczność, że nie musi patrzeć poprzez drzewa na kamień i na starą chatę, która choć szara od deszczów, ciągle jeszcze stała.

Czasami udawało jej się zapomnieć. Nawet na długo. Ale teraz wspomnienia wracały z całą mocą, jak szybkie rozbłyski światła pomiędzy cieniami.

Skreśliła w prawo na nieznamy teren i chatę przesłoniło duże domostwo. Wysypana żwirem ścieżka, twarda pod śniegiem, pozwoliła jej stawiać pewniej nogi, wyprostować plecy. Dlatego Jenny Travis obserwując jej zbliżającą się postać, zobaczyła również gniew, który dziesięć minut wcześniej przytłumiony był ciężarem lat i wspomnień.

Ciągle jeszcze powłóczy nogą, a lewe ramię zwisa bezwładnie, pomyślała Jenny, ale poza tym właściwie nie widać, że miała dwa udary, tak samo jak nie wyglądała na siedemdziesiąt dziewięć lat. Żaden udar nie mógł pokonać jej pragnienia przetrwania.

Minęła dobra chwila, zanim Jenny uderzyło to, że w ogóle ją tu widzi, idącą do frontowych drzwi domostwa Travisów, tak jakby przywykła składać tu sąsiedzka wizytę.

— Czemu zawdzięczam tę przyjemność? — zapytała Jenny, otwierając przed nią drzwi. — Zapraszałam cię na dwudzieste pierwsze urodziny" Jazona. Dwanaście lat temu. Chciałam odpłacić za twoją gościnność w pięćdziesiątym ósmym. Ale nie przyszedłeś i przestałam cię oczekiwać. — Zamilkła. — Jakież kłopoty na farmie Colebrooków? — udało jej się zapytać. — Czy potrzebujesz pomocy.?

Mary Colebrook patrzyła na nią nagle zmieszana. Jakiś kłopot? Co się stało? Słyszała wręcz głos Jonathana, który zadawał te same pytania.

— O to też zapytał Jonathan — powiedziała nie odrywając wzroku od Jenny.

— Wejdz — gospodyni zaprosiła ją do wnętrza. Ale stara kobieta stała nieporuszenie.

— Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć? — spróbowała znowu Jenny, jej głos brzmiał łagodnie.

— Zapomniałam. — Ale w tej chwili zmieszanie zniknęło.

— Chciałabym coś ustalić.

— W takim razie wejdz.

Mary poczuła się znowu pewna, przytomna i gniewna.

— Nie będę tu długo, więc nie muszę wchodzić do środka. Poprzysięgam, że nigdy nie przestąpię progu twojego domu i dotrzymam przysięgi.

— No cóż, ja nie mam ochoty stać przed domem i marznąć na kość — odpowiedziała Jenny. — Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, musisz wejść do środka.

Staruszka wahała się, jej usta ściągnięte były w wąską linię. Jenny odczekała chwilę, potem powiedziała.

— Nie mam też zamiaru zostawić otwartych drzwi, bo zamarznę w środku.

Stara kobieta niechętnie weszła do korytarza i ruszyła nim dalej.

— Pierwsze drzwi na prawo — powiedziała Jenny, szybko zamykając wejściowe drzwi.

— Na kominku płonie porządny ogień, który wypłoszy chłód z twoich kości, a ja w tym czasie nastawię wody na herbatę.

— Nie przyszłam tutaj z towarzyską wizytą.

— Nie ma nic towarzyskiego w herbacie. Nawet jeśli ty nie masz ochoty się napić, to ja mam.

Mary stała przed ogniem, ignorując krzesła ustawione wokół paleniska, ale starannie lustrowała pokój. Nie przeoczyła najmniejszego szczegółu.

— Wygodnie się urządziłaś — powiedziała, kiedy Jenny wróciła z herbatą.

— Tam gdzie się chce mieszkać, powinno być wygodnie.

— Tak, ty należysz do tych, co zapuszczają korzenie. A myślałam, że podwiniesz ogon i znikniesz stąd po pierwszym roku.

— Raczej miałaś taką nadzieję.

— No, może i miałam. Niektóre rzeczy trudno już teraz sobie przypomnieć.

— Innych zaś trudno zapomnieć.

Spojrzenie Mary na moment uciekło w bok, a potem skupiło się na Jenny.

— Czy ty mi odpłaciłaś? O to się przyszłam dowiedzieć.

— Odpłaciłam ci? — Jenny zaśmiała się. — Za co konkretnie? Za Jonathana i ciebie?

Czy za Jen?

Stara kobieta zastanowiła się przez chwilę.

— Nie wiem — powiedziała wreszcie. — Carruthers powiedział, że mi odpłaciłaś.

Twarz Jenny stwardniała.

— Chcesz mleka do herbaty?

— Jeśli jest zaparzona po buszmeńsku, to proszę. Nigdy mi nie smakowała ta mocna, czarna herbata.

— Tylko taką nauczyłam się parzyć. Usiądź, czemu stoisz? Równie dobrze możesz mówić siedząc. Chyba że masz rozum tam, gdzie Carruthers.

— Zawsze zachowywał się w stosunku do mnie z pełnym szacunkiem — powiedziała powoli Mary. — Bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Zawsze bardzo grzeczny. Ale nigdy go nie lubiłam. Nigdy mu nie ufałam.

— On bierze byka za rogi, tyle tylko, że wcześniej nie przyjrzy się uważnie, czy nie zła-
pał czasem od złej strony.

To było głupie gadanie. Zachowuję się jak idiotka, pomyślała Jenny. To dlatego, że cie-
szą się z jej wizyty. Cieszę się, że przyszła i siedzi w moim salonie. Dlatego tak głupio się za-
chowuję.

— Zauważył, że nasze dzieci są podobne — powiedziała Jenny. — I rozповідаł o tym
wszem i wobec. Nawet jeśli by miała to być ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu, odpłacę mu za
to, co opowiadał ludziom z doliny. — Spojrzała na starą kobietę. — Czasami odpłacenie komuś
pozwala ci żyć w lepszej zgodzie z samą sobą. Więc niekiedy jest konieczne. Ale ja nigdy tobie
niczym nie odpłaciłam. Nie czułabym się lepiej, gdybym to zrobiła. Jakoś nigdy nie chciałam
tego zrobić.

— To zdarzyło się, kiedy nikogo poza nami nie było w dolinie. Tylko Jonathan i ja. Po-
tem urodził się mój Chris. Może to się zdarzyło, bo ciebie tutaj nie było. Dlaczego nie byłaś
wtedy tutaj?

— Miałam dopiero pięć lat.

Stara kobieta zmarszczyła brwi.

— Wszystko do mnie teraz wraca. Pamiętam, jak to się stało. I pamiętam, że opowiedzia-
łam o tym księdzu. Przez większość czasu myślałam, że zdarzyło się coś innego. Coś świętego.

— Wmawiamy sobie to, co chcemy — odparła Jenny.

Stara kobieta odzyskała kontrolę nad sobą. Spokój powrócił na jej twarz.

— To było dzieło Boga — powiedziała i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Ścieżki Boga bywają tajemnicze — odpowiedziała Jenny, starając się ukryć irytację.
— Ty i Jonathan byliście mniej więcej w tym samym wieku i to mogło stworzyć między wami
nić porozumienia. To zrozumiałam. Jonathan był prawie cztery razy starszy ode mnie w chwili
naszego małżeństwa. Nie dokładnie, ale prawie. Zawsze mi się wydawało, że czuje się bardziej
związany z tobą niż ze mną.

Mary zmarszczyła czoło.

— Jonathan Travis i ja? Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. O czym ty mówisz? —
Wyglądała na zaniepokojoną.

— Pamięć znowu płata ci figle — powiedziała Jenny. Wzruszyła ramionami. — To nie-
ważne. Napijmy się jeszcze herbaty.

— Miło siedzi się tutaj i rozmawia — powiedziała Mary. — Nikt już od dawna ze mną nie rozmawiał. Nieraz czuję się samotna.

— Co robisz?

— Po prostu siedzę. Czasami wydaje mi się, że śpię. W jednej chwili jest jasno, a w drugiej robi się ciemno, wtedy wiem, że musiałam spać. — Spojrzała podejrzliwie na Jenny. — Dlaczego zadajesz mi tak dużo pytań?

— Po prostu zastanawiałam się, co robisz ze sobą przez cały dzień. Ja też niekiedy czuję się samotna i zdarzało się, że miałam ochotę przejść przez most i pójść do ciebie. Po prostu dlatego, żeby mieć z kim porozmawiać. Teraz jest już inaczej, ale pamiętam chwile, kiedy chciałam to zrobić. Ty też mogłabyś nieraz tu przyjść. Byłoby mi miło.

— Może tak zrobię.

— Tylko nie zapomnij — powiedziała Jenny, ale wiedziała, że tak się właśnie stanie. — Ty otworzyłaś drzwi do tej doliny i czasami wydawało mi się, że to ty je zamkniesz, ale teraz już nie sędzę, by tak się stało.

— Nie lubię Carruthersa — powiedziała Mary.

Jenny zacisnęła wargi.

— Coś z nim zrobię — powiedziała. — Przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzy.

— Co zamierzasz zrobić?

— Jeszcze tego nie wymyśliłam.

— Nie lubię go.

Jenny zaśmiała się. Oto siedzimy tu sobie jak dwie zwariowane, stare irlandzkie konspiratorki, pomyślała.

— Ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego — powiedziała do Mary. — Ja też jestem na pół Irlandką.

Kiedy zobaczyła, że starszuszka przysypia, powiedziała.

— Lepiej, żebyś ruszyła zaraz do domu. Zaprzęgnę konia do mojej dwukółki i odwiezę cię.

Mary Colebrook ocknęła się.

— Staram się sobie przypomnieć, po co właściwie tutaj przyszłam.

— Żeby się napić filiżankę herbaty i porozmawiać — odparła Jenny. — Na filiżankę herbaty i pogawędkę, to wszystko.

Drzewa rosły tu z rzadka, przed nimi rozciągała się pusta przestrzeń. Jakąś milę dalej widać było zabudowania farmy Gedzederick.

— No, jesteśmy na miejscu — powiedział Ed.

— Jest jeszcze za jasno — stwierdził Gur, nie patrząc na niego. Jeden z pasterzy zaśmiał się.

— A czego się spodziewasz o tej porze. Dobrze nam się jechało.

— Nie możemy czekać, aż zapadnie zmierzch — Ed rozejrzał się wokół, po rzadkich kępach drzew. — Nie bardzo jest gdzie się schować.

— Wykarczowali ziemię na pastwiska — stwierdził Gur. — Całe mile wokół. Najpierw pozbyli się czarnych, teraz drzew. Żadnych zwierząt także już tu nie ma. A było mnóstwo. Kangury i wallaby. Obecnie już rzadko kiedy trafiają się w tych stronach.

— Lepiej jedźmy dalej, w górę, za linię drzew — uśmiechnął się starszy pasterz. — Ominiemy Berridale, a potem skierujemy się do Jindabytle.

— Na teren starego obozowiska — zgodził się Gur, spoglądając na pasterzy. — Nasze stare obozowisko.

Ed spojrział na nich niepewnie.

— Nie ma po co pchać się tak daleko — powiedział. — Chcemy być tu z powrotem przed zmierzchem, lepiej wróćmy kawałek tą drogą, którą przyjechaliśmy, i tam zaczekajmy.

— Pojedziemy dalej — zarządził Gur. Wpatrywał się przed siebie, nie zwracając uwagi ani na Eda, ani na pozostałych.

Było już późno, kiedy Katie Colebrook poszła do szopy, gdzie trzymali żywność, by zwołać męża.

— Wydaje mi się, że ojciec ma zapalenie płuc — powiedziała. — Wyszedł rano z domu, znalazłam go leżącego na śniegu. Powinnam ci była powiedzieć.

— Czy jest z nim źle? — zapytał niespokojnie Chris.

— Nie najlepiej — odparła Katie. Oparła uspokajająco, kładąc rękę na ramieniu męża. — Nie miał zbyt wiele ruchu w czasie ostatnich paru miesięcy, po prostu siedział w tym pokoju albo leżał w łóżku. Nie ma siły do walki.

Chris zdziwił się, widząc w jej oczach łzy, a jeszcze bardziej gdy poczuł, że sam płacze.

— Pojadę do Cooma sprowadzić doktora — powiedział. — Postaram się dotrzeć tam jak najprędzej. Spróbuję przedrzeć się bocznymi drogami.

Lekarz przyjechał do doliny następnego dnia, sam, saniami. W drzwiach domostwa powitał go John Colebrook.

— Sprowadź swoją matkę — polecił mu doktor.

— Jest w pokoju dziadka — powiedział John. — Nie pójdzie pan prosto tam?

— Nie w tej chwili. Najpierw muszę coś powiedzieć twojej matce. Lepiej wróć tu z nią i stań obok. To, co mam do powiedzenia, nie będzie łatwe dla żadnego z was.

— W takim razie najlepiej jak najpierw mnie pan to powie. O co chodzi? — Młody człowiek czekał, nie spuszczając wzroku z poważnej twarzy lekarza. — Chodzi o mojego ojca? Czy zdarzył się jakiś wypadek? Czy coś stało się mojemu ojcu?

Lekarz skinął głową.

— Udało mu się dotrzeć do mojego gabinetu, ale miał po drodze atak serca. To był zbyt duży wysiłek. Zawsze za dużo pracował.

— Wyjdzie z tego?

— On nie żyje, chłopcze. Miał drugi atak i od razu zmarł. Nic nie można było dla niego zrobić.

— Co pan mówi? — w drzwiach pokoju Samuela Colebrooka pojawiła się Katie z pobielełą twarzą. — Słyszałam, co pan powiedział. To nie może być prawda. To nie mogło się przydarzyć mojemu Chrisowi. Nigdy nawet nie był chory.

— Był chory od dłuższego czasu, Katie — powiedział lekarz cichym głosem. — Żył w ciągłym napięciu. Mówiłem mu, żeby nie przejmował się tak bardzo. Przykro mi. — Poklepał Johna Colebrooka po ramieniu. — Zajmij się matką, chłopcze. Ja pójdę do twojego dziadka.

Samuel Colebrook wyzdrowiał w ciągu dwóch dni. Trzeciego chodził już po domu i zabrał się za robotę.

— Powiedzieli mi, że umierasz — zdziwiła się Mary. — Powiedzieli mi, że ktoś umarł.

— Powinienem być umrzeć — odparł Samuel. — Może umarłem.

— Dla mnie nie wyglądasz na nieboszczyka.

— Mężczyzna czuje się lepiej, kiedy jest potrzebny — stwierdził. — Kiedy czeka robota, mężczyzna nie myśli o umieraniu.

— Gdzie jest Chris? — zapytała Mary.

— Lepiej niech Katie zajmie się tobą.

Mary pokiwała głową.

— Tak. Nigdy nie usłyszałam nic rozsądnego od ciebie. Lepiej już ją zapytam.

Z powodu mrozu pogrzeb mógł się odbyć po pięciu dniach.

Pomiędzy wieńcami, które czekały na ułożenie na grobie, znalazła się mała wiązanka kwiatów z napisem: Jonathan Travis. Jenny spoglądała na nią przestraszona tym, co zrobiła. Zerwała kwiaty w miejscu, gdzie spadł Jonathan, napisała jego nazwisko i położyła wiązanke w miejscu, gdzie każdy mógł ją widzieć. Ale była wystarczająco przykryta innymi kwiatami.

W miejscu gdzie spadł Jonathan... Nigdy nie pozwoliłam, żeby mi to powiedziano, myślała Jenny. Ale zawsze wiedziałam... nawet jeszcze, zanim to się stało.

Spojrzała na swego syna i wnuków: Jazon był wyraźnie zasmucony, Nathan stał wyprostowany w pozie pełnej szacunku, ale strzelał oczami z ciekawością, James Mitchell zaś rozpoczął kolejną pieśń, jak przystało na porządnego młodego prezbiterianina, którym się mienił.

— James chodzi po wzgórzach i oczekuje na objawienie, zupełnie jak w Biblii — poinformowała ją z dumą Jody.

Głównie po to, by najmłodsza Spigottówna objawiła mu to, co zdążyła już objawić całej męskiej połowie mieszkańców doliny, pomyślała Jenny.

— Jakiego typu objawienie? — zwróciła się do Jody.

— No wiesz, płonący krzak! Z którego dobiegałby głos Boga mówiący, co powinien zrobić.

— Jeśli natknie się na płonący krzew, niech lepiej nie marnuje czasu, czekając, by Bóg powiedział mu, co ma zrobić. Powinien biec co tchu po wiadro z wodą i miotły do tłumienia ognia, które trzymamy na takie okazje.

Jenny skupiła się na ceremonii pogrzebu. Rytuał tak samo prymitywny, jak ten, który odprawiali czarni, pomyślała — i w tej chwili dostrzegła wysoko pomiędzy skałami, na pokrytym śniegiem zachodnim stoku starego aborygena, zwanego Benong.

Dopiero wtedy, gdy jego twarz znikła, chowając się za drzewami, w śnieżnych czapach przypomniała sobie, że kiedyś uratował on życie człowiekowi, którego chowali teraz w drewnianej trumnie.

Ktoś zaczął zasypywać grób skutą na lód ziemią.

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. — Starszy kościoła prezbiteriańskiego z Cooma wygłaszał znajome słowa zerkając na kartę za każdym razem, kiedy miał wymienić imię człowieka, którego chowali.

Jenny spojrzała na Mary Colebrook. Podczas całej ceremonii stara kobieta stała, opierając się na lasce, pochylona nad wnukiem, milcząca, nieporuszona. Teraz drgnęła, zamrugnęła

oczami, jakby się powoli budziła. Pochyliła głowę, patrzyła na łopaty w rękach mężczyzn i grób, który napełniali ziemią.

Najpierw głos, który wydała, zdawał się pochodzić jakby z oddali — odległy zwierzęcy krzyk. Potem nagle obnażyła zęby i z jej ust wydostał się wrzask pełen niezrozumiałych, nie-ludzkich dźwięków.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, a potem twarze odwróciły się zawstydzone, jakby na widok kogoś nagiego.

Mężczyźni zasypali grób szybko, uklepali kopczyk marznącej ziemi, pokryli go śniegiem i zimowymi kwiatami. Na samym wierzchu położyli wiązanek Jenny z wyraźnie widoczną kartką.

Ktoś wysunął się do przodu, wyłamał z tłumu ludzi, przełożył kwiaty, zakrywając wiązanek. Jenny patrzyła na pochyloną głowę, na twarz o zaciśniętych ustach, na swego syna Jazona.

Od jak dawna wiedział? — zastanawiała się. Jak długo?

Kwiaty znów były ukryte, znowu stały się sekretnym podarunkiem: od nieżyjącego ojca dla nieżywego syna. Ale przez tę jedną chwilę twarz Jazona nie ukrywała niczego. Każdy mógł zobaczyć wszystko, co było na niej wypisane. Chris był jego bratem. I on go kochał. Wiedział, kim tamten jest i kochał go.

Mary ciągle krzyczała. Odepchnęła swego wnuka Johna i rzuciła się na zimną ziemię, uderzając w nią ręką, rozrzucając wieńce i wiązanki.

John Colebrook w tej chwili stracił z trudem utrzymywany spokój i łkając usiłował odciągnąć babkę od grobu swego ojca.

W pełnej zawstydzienia ciszy, jaka po tym nastąpiła, odezwał się jakiś męski głos:

— Zwariowała zupełnie. Biednej staruszce brak piątej klepki.

Mary pozwoliła komuś podtrzymać się i stała, nagle zupełnie spokojna, prawie królew-ska, uśmiechając się do zebranych:

— Mój chrystusowy syn jest ze swym ojcem w niebie — ogłosiła. — Oddałam syna Pa-nu. A z jego lędźwi narodził się syn kościoła.

— Kompletnie oszalała — odezwał się znowu ten sam mężczyzna i jakby na usprawie-dliwienie dodał. — Ktoś powinien jej pomóc.

Ludzie powoli odchodzili od grobu, pojedynczo i w grupkach, pozostawiając Mary z rękami uniesionymi i uśmiechniętą twarzą. Z jej ust nadal wylewał się potok słów.

— Zabierz mnie do domu, John — wyszeptała Katie Colebrook. — Weź mnie do domu. Twoja babka znajdzie sama drogę albo nie. Nie dbam już o to. Nie zniosę dziś niczego więcej. Dla tych, którzy czekają, stoi naszykowane jedzenie. Powiedz im. Ale niech mnie zostawią w spokoju.

— Ja zajmę się gośćmi — zaoferowała się Jenny.

Mary stała samotna, teraz już znowu cicha, i wpatrywała się w biały śnieg. Wciąż się uśmiechała.

— Powinienem wziąć ją do dwukółki — powiedział Samuel, który nagle znalazł się u boku Jenny. Ale nie podszedł do żony. — Będzie mi go brakowało — mówił dalej. Po chwili dodał. — Nic już nie stoi między nami. To śmieszne. Bo jedyne, o czym potrafię myśleć, to że będzie mi go brakowało. Tak samo jak brakowało mi Jonathana. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale to prawda. Brakowało mi go przez te wszystkie lata. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że mężczyzna tutaj może żyć bez kobiety, ale bez kumpli nie. Takie były dokładnie jego słowa. Nigdy ich nie zapomniałem.

Chwilę milczał, a potem odezwał się znowu:

— Nigdy nie mówiłem o nim Jonathan, chyba że w myślach. Zawsze nazywałem go Travisem. Nigdy Jonathanem, tak jak powinien przyjaciel.

Jenny nic nie powiedziała. Patrzyła na Mary, która stała nadal milcząca i uśmiechnięta.

— Powinienem podać jej rękę i zaprowadzić ją do dwukółki — powiedział jeszcze raz Samuel. — Ale przez chwilę chciałbym być sam. Przejdę się wzdłuż rzeki. Do tego starego drzewa. Znasz to drzewo, jest naprawdę stare, rośnie tam, gdzie wierzby i topole, które zasadziłaś. Jonathan lubił to stare drzewo. Chris też. Aborygeni nazywają je bookoola.

— Znam je — skinęła głową Jenny.

— Bookoola. To znaczy sowa. Mądra sowa. Stara, mądra sowa. Kiedyś myślałem, że jestem mądry. Że jestem już dostatecznie stary, by być mądrym. Teraz jestem jeszcze starszy. Może wreszcie wystarczająco.

— Ja się nią zajmę — powiedziała Jenny. — Zabiorę ją do domu. Są chwile kiedy tylko kobieta może zrozumieć drugą kobietę.

— Trzeba by kogoś tak starego i mądrego jak Salomon, żeby ją zrozumieć. A ty nie jesteś starą kobietą. Wcale. I nadal jesteś piękna.

Mary też kiedyś była piękna. Nawet piękniejsza niż ty. Jak posąg świętej z marmuru. I równie zimna. Ale wyszła z niej brzydota.

— Brzydota czasami chroni kobiety. Życie kobiety nie jest wcale łatwiejsze, kiedy mężczyźni uważają ją za piękną. Może trudniej takie kobiety zrozumieć.

Samuel popatrzył na Jenny, potem przeniósł wzrok na Mary.

— Niech Archanioł Gabriel postara się ją zrozumieć. Ale myślę, że nawet archaniołowie mają jej dzisiaj dosyć. — Stał jeszcze chwilę, przyglądając się żonie. — Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego to zrobiła — powiedział marszcząc czoło. — Wcale nie była takim typem kobiety. Nie potrafiłem tego zrozumieć.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział jeszcze przed odejściem.

— Chris był dla mnie zawsze dobrym synem. Żałuję, że mu tego nie powiedziałem.

Ludzie nabierają na pogrzebach apetytu, myślała Jenny, przyglądając się grupie żałobników pałaszujących pasztety i popijających je piwem, które wyniesiono jako poczęstunek dla przybyłych gości. Ciekawe, czy to chłód tak zaostrzył apetyt, czy widok kogoś martwego przypomina im, że sami żyją i chcą tym bardziej to udowodnić. Im są starsi, tym więcej jedzą. Jakby czcąc jakieś zwycięstwo. Starcy ze szczególnym zadowoleniem uczestniczą w pogrzebach ludzi młodszych od siebie.

Zajęta własnymi myślami, nie przysłuchiwała się rozmowom zebranych.

Na początku raczej cicho szeptano, z szacunku dla zmarłego, ale proporcjonalnie do ilości wypitego piwa, rozmawiano coraz głośniejsze. Tylko kiedy wymieniano jakieś szczególne nazwisko, głosy znowu zniżały się do szeptu.

Jenny, do której dotarł wreszcie sens rozmowy, zrozumiała, dlaczego tak wiele osób zjawiało się na pogrzebie Chrisa.

Po tym, jak w zeszłym tygodniu aresztowano białego za zastrzelenie czarnego, nazwisko Chrisa Colebrooka pojawiało się często w związku z tą sprawą.

Jenny przystanąła, nasłuchując, kiedy jakiś człowiek z Cooma przedstawiał właśnie dłuższą wersję tej historii.

— Najpierw doszła mnie wiadomość, że pasterz z jakiejś małej farmy w Jindabyne usłyszał odległy strzał, więc pojechał, bo oczekiwał, że złapie kłusownika. Zamiast tego natknął się na białego mężczyznę, siedzącego na skale przy drodze, obok stał spętany koń, a na ziemi leżał czarny, zabity strzałem w pierś.

Opowiadający zamilkł na chwilę i pociągnął łyk piwa.

— I ten biały twierdził, że czarnego zastrzelił mężczyzna, który jechał do Cooma po doktora Parsona, a on czeka teraz na ich powrót. Historia była dość naciągana, ale możliwa. Mówił,

że zna nazwisko człowieka, który to zrobił, ale nie powie, zanim sam z nim nie porozmawia. Trudno mieć mu to za złe. Nikt nie lubi donosicieli. Ale doktor Parson zaprzeczył tej historii. Tej nocy przyjechał do niego tylko Chris Colebrook. I jak wszyscy wiemy, jechał, żeby sprowadzić lekarza do swego ojca. Zjawił się sam ledwie żywy i każdy wie, co się jemu wydarzyło. Nie mając pojęcia, jaki jest stan starego Colebrooka, doktor czekał do rana, zanim wybrał się tu, by przekazać wieści. Tak więc był w Cooma całą noc i nikt więcej do niego nie przyjechał.

Mówiący podkreślił wagę słów zamaszystym gestem ręki.

— Doktor nic nie wiedział o żadnym zastrzelonym czarnym! Mężczyzna, którego znaleziono przy trupie, nie miał wiele do powiedzenia na swój temat. Na początku nawet nie chciał powiedzieć, jak się nazywa. Ale okazało się, że ma na nazwisko Soames. Ed Soames. Ptaszek więzienny. Więc jego słowa i tak za bardzo się nie liczą.

Mężczyzna przeszedł do szeptu.

— Kiedy zawlekli go do sądu i oskarżyli o morderstwo, przyznał, że był na wyprawie z trzema czarnymi i Chris Colebrook wyjechał na nich niespodziewanie. Powiedział, że ich czwórka, on i trzech czarnych, planowali najazd na farmę Godzederick, ale dojechali tam za dnia, więc postanowili ruszyć w stronę Jindabyne, a potem wrócić do Godzederick po zmroku. Właśnie tam dojeżdżali i stanęli, by zakryć twarze, tak powiedział, kiedy zjawił się Chris Colebrook i rozpoznał ich. Wtedy, zgodnie ze słowami Soamesa, Colebrook i dwóch czarnych pastuchów wymieniło kilka strzałów i Colebrook postrzelił jednego w pierś. Colebrook kazał Soamesowi czekać z ciężko rannym mężczyzną, aż on przywiezie doktora. Soames powiedział, że pozostałych dwóch czarnych uciekło. Trochę podkolorował opowieść. Powiedział, że kiedy czarny pastuch umarł, chciał też odjechać i zostawić go ot tak, ale uznał, że nie ma po co uciekać. Colebrook widział go i wiedział, co chcieli zrobić. Ale oni nigdzie nie dokonali napadu. Colebrook wcześniej na nich wyjechał. Więc obmyślił sobie, że lepiej będzie zostać i czekać na Colebrooka. I to właśnie zrobił, kiedy znalazł go tamten wolarz.

Mężczyzna wlał w siebie kolejny kufel piwa.

— Opowiedział dobrą historię. Ale oczywiście nie zyskał sobie sympatii, oskarżając nieżywego człowieka. Do tego czasu każdy, w tym też Soames, wiedział, że Colebrook nie żyje. Później Soames powiedział, że przynajmniej jeden z tych czarnych zjawi się, żeby potwierdzić jego słowa. Ale nikt się nie pojawił, a nawet jeśli jeden z tych czarnych nędzników wyskoczyłby z taką opowieścią, nikt by się nie przejął jego słowami. Może i byli z nim jacyś czarni, oprócz tego, co został zastrzelony. Założę się, że przynajmniej część tej historii jest prawdziwa.

Gdyby tak nie było, po co by się przyznawał, że jechał z tymi opryszkami. Ale nie zdało mu się to na nic. Kiedy biały człowiek zwiąże się z czarnymi... Sami wiecie. Ale tym, co go naprawdę załatwiło, był fakt, że chciał w tę sprawę wmieszać Chrisa Colebrooka. Sędzia uznał jego opowieść za stek kłamstw. Któryś z mężczyzn roześmiał się.

— Nie byłbym taki pewien, jak ten sędzia — powiedział. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli Colebrook spotkałby się z czarnymi, strzelałby do nich bez pytania. Nie raz to mówił. Tyle tylko, że nie przejmowałby się sprowadzeniem doktora. To tutaj Soames popełnił błąd. On po prostu nie znał Chrisa Colebrooka.

— Tak czy siak — powiedział pierwszy z mężczyzn, nie dając się strącić z pozycji głównego narratora. — Soames został oskarżony i uznany winnym. Kilka lat temu mógłby się wykręcić. Albo dostałby miesiąc ciężkich robót przez to, że już kiedyś siedział. Ale w dzisiejszych czasach wygląda to inaczej, w dużych miastach mnóstwo się mówi o niesprawiedliwości wobec czarnych.

— Dużo tam wiedzą w wielkich miastach.

— Cóż, sędzia musi to wziąć pod uwagę. Ale dla mnie Soamesa załatwiło, że się przyznał do konszachtów z czarnymi. Biały człowiek. Wszyscy tutaj boją się ich band, żeby nie wiem jak czule odnosili się do nich w miastach. Oczywiście sędzia tego nie powie na głos, ale przyłożył Soamesowi dwa lata ciężkich robót. A cokolwiek by się powiedziało przeciwko niemu, on jest białym człowiekiem. A to ciężki wyrok za zabicie czarnego!

26.

Szałas i budy na peryferiach Cooma wyglądały z daleka jak składowisko skorodowanych blach połączonych strzępami zwierzęcych skór. Było tam wilgotno. Z bliska można było rozróżnić oddzielne domostwa, rozpadające się i śmierdzące dla tych, których nosy nie nawykły do zapachu ich czarnych mieszkańców.

Gur siedział ze spuszczoną głową przed swoją norą, od czasu do czasu nerwowo rzucając spojrzenie na kobietę z chłopcem, która krzątała się przed ostatnim szałasem w rządzie.

Śnieg, który przed paroma dniami zakrył koleiny na drodze prowadzącej do osiedla czarnych, teraz już zamienił się w brązową breję. Czerwone od rdzy koła wozu należącego do Mercy Soames zapadały się w błocie głęboko, kiedy stary wałach sięgnął go powoli. Kobieta podkładała pod koła kawałki drewna, z trudem schylając się, a jeszcze ciężiej prostując. Chłopiec usiłował pomagać, ale raczej przeszkadzał. Kobieta była wyraźnie chora. Poważnie chora.

Znowu złapało ją przeziębienie, pomyślał Gur, tak jak każdej zimy. Zabijało ją po trochu.

Wszystkie białe kobiety wydawały mu się niezbyt zdrowe. Białe z choroby. I wszystkie dla niego wyglądały identycznie. Ale kobieta Eda Soamesa była naprawdę chora. I to coraz bardziej. Nie wytrzyma tak długo, by doczekać się na powrót Eda z więzienia.

Widział, jak kobieta Eda odwraca się w jego stronę. Stała tak i patrzyła. Nienawidził tego spojrzenia, ale nie ruszył się, ponieważ wtedy by wiedziała, że ją widział.

Odwróciła się plecami i znowu wzięła do pracy, podkładając kołki pod koła. Powiedziała coś do chłopca, który trzepnął konia. Koń szarpnął i koła wyskoczyły z koleiny. Wtedy kobieta wepchnęła chłopca na wóz i sama wdrapała się za nim.

Kiedy koń i wóz mijały Gura, ochlapując go błotem, on siedział ze spuszczonym wzrokiem, nienawidząc jej jeszcze mocniej. Czuł w sobie ciemny wstyd.

Kilka dni wcześniej przyszli do niego strażnicy, zadawali mu pytania. To było jej dzieło. Ona ich nasłała, chcąc by poparł opowieść Eda. Ale dlaczego miałby to zrobić? To była wina białych, jeśli jednemu kazali płacić za winę drugiego. Nie miało to z nim nic wspólnego. A strażnicy dali wyraźnie do zrozumienia, co zrobią z Gurem, jak tylko otworzy usta.

— Czy byłeś gdzieś w pobliżu strzelaniny? — pytali.

A kobieta stała koło nich, patrząc na niego w ten sam sposób, w jaki patrzyła zawsze potem. Strażnik widział to spojrzenie.

— Ponieważ zginął człowiek, władze nie potraktują sprawy jak zwykłego wykroczenia, na to już nie możesz liczyć — powiedział jeden ze strażników. Ostrzegął go. Więc Gur nie powiedział nic. Chcieli mieć Eda. A gdyby poparł wersję Eda, mieliby również i jego. Nie pomógłby mu nawet, gdyby próbował. Ani Edowi. Ani sobie.

Kiedy myślał o strażnikach, poczuł, że nienawidzi ich jeszcze bardziej niż kobiety Eda. Nie pozwalał już sobie myśleć o Edzie. Póki uczucia wstydu nie pokona gniew.

Kobieta mówiła o niesprawiedliwości. Niesprawiedliwości, jaka dotknęła Eda. A co ona może wiedzieć o niesprawiedliwości? Biali zawsze byli niesprawiedliwi dla jego ludzi. Czarni nigdy nic oprócz niesprawiedliwości od nich nie otrzymali.

Jeden z ludzi jego plemienia, który został kaznodzieją, też mówił o niesprawiedliwości. Gur nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. Pastor Dom, tak tamten siebie nazwał. Oni wołali na niego ojciec Dom. Zjawiał się w każdą niedzielę, czyściutki, dobrze odżywiony i opowiadał o Jezusie, nadstawianiu drugiego policzka i o tym, żeby nie zagrzewać się do nienawiści, kiedy spotka nas niesprawiedliwość.

Nienawidził ojca Dorna prawie równie mocno, jak nienawidził białych. Ojciec Dom nosił ubranie białego człowieka, upaść się na jedzeniu białego człowieka i mówił o bogach białego człowieka. Jakiego koloru był ten jego Jezus Chrystus? — zapytał go. Był białym człowiekiem, odpowiedział ojciec Dom, jakby zdradzał jakąś ważną tajemnicę.

To do ojca Dorna powinna się była zwrócić kobieta Eda Soamesa. Do umytego i czystego ojca Dorna.

Ed wściekł się kiedyś mówiąc, jak to czarny pastor zaproponował jego kobiecie, by sprzątała u niego w domu.

— Dopiero wtedy dobrze by się poczuł, gdyby miał białą za służącą — powiedział wtedy Ed. — Hipokryta.

Pewnie tam teraz jedzie, pomyślał Gur, bo gdzieżby indziej?

Jakiś czas potem zobaczył wóz jadący w stronę osiedla czarnych. Skręcił z głównego szlaku i zaczął zwalniać, bo konie grzęzły w błocie. Cugle trzymała kobieta i on ją znał. To była babka Eda z wielkiego gospodarstwa w Minaby Flat. Tam, gdzie żyła jego matka.

Przyglądał się jej zbyt zaciekawiony, by wstać i ukryć się w szalasię. I tak już było za późno. Widziała go i ściągała wodze. Koń zatrzymał się.

— Ty jesteś Rum, prawda? Syn Ringi?

To go przeraziło. Wystarczyło, że spojrzała, i wiedziała, kim on jest. Znała nawet jego prawdziwe imię. Patrzył na nią z otwartymi ze zdziwieniem ustami i przez chwilę nie wiedział, co robić. Skinął głową.

— Znasz Eda Soamesa, prawda? — zapytała go znowu. Wtedy chciał uciekać. Ona była z tej samej doliny co ten wąż Colebrook, więc może w dolinie wiedzieli więcej niż strażnicy. Może inni z doliny byli wtedy także w pobliżu.

— Nikogo nie znam — mówił, jakby zmagał się ze słowami.

— Wiesz, gdzie on mieszka?

— Jest w więzieniu — powiedział stłumionym głosem, kuląc się pod jej wzrokiem.

— On ma syna? I żonę. Gdzie oni mieszkają?

— Już tutaj nie mieszkają — powiedział Gur. — Wyjechali — Pragnął, by ona odjechała także. — Odeszli stąd.

— Wiesz, gdzie mogli pójść?

— Nie — skłamał Gur.

Pokręcił głową, spuszczać wzrok.

— Czy ktoś może wiedzieć? — nie ustępowała.

Gur znowu pokręcił głową.

— Jesteś pewien?

Gniew eksplodował w nim jak kula trafiająca prosto w cel.

— Biali nie opowiadają mi się — powiedział, spoglądając na nią. — Nie mówią czarnym, gdzie idą. To nam mówią, gdzie mamy iść. Tutaj też nieraz przychodzą, mówiąc, żebyśmy sobie poszli stąd do diabła. Nie mówią nam, gdzie jest ten diabeł, po prostu każą tam iść.

— Zabrali Eda — powiedziała Jenny. — Próbowałam się z nim zobaczyć, ale już go zabrali. Daleko stąd. Tam właśnie, gdzie mieszka diabeł. — Po chwili dodała. — I diabeł mieszka również tam, gdzie poszli ci, których zostawił. — Poczekała chwilę. — Jesteś pewien, że nie wiesz, gdzie mogłabym znaleźć jego syna i żonę? — zapytała znowu.

— Jesteś całkiem pewien?

Nagle zapragnął jej powiedzieć. Że znajdzie ich u ojca Dorna. Ale zanim znalazł odpowiednie słowa, odezwała się znowu.

— Byłeś z nim, prawda? Tam w pobliżu Godzederick?

Wtedy poczuł znowu lęk. W tej dolinie musieli coś wiedzieć, to pewne. Ktoś zobaczył, co się wydarzyło. Bo jeśli nie, skąd by wiedziała.

Nie powiedział nic tylko przesunął się lekko, oparł na dłoniach tak, żeby nie widziała, jak się trzęsie. Patrzył na swoje stopy, wciskał je w ziemię, przyglądał się, jak błoto wypływa między palcami, starał się zapomnieć, że ona wciąż tu czeka na swoim wozie i patrzy na niego.

Siedziała jeszcze długo, przyglądała mu się, czekała, żeby się odezwał. Potem zawróciła konie i odjechała, nie odzywając się już ani jednym słowem.

Gur podniósł wzrok, podążając spojrzeniem za koleiną, aż wóz zniknął na głównej drodze.

Jego myśl biegła dalej tym traktem, do Cooma, na południe przez płaskowyż i jeszcze dalej na wzgórze, a wreszcie do doliny Minaby Flat. Gur myślał o Minaby Flat przez resztę dnia, a także przez resztę zimy i wiosnę, aż w końcu myśli stłumiły lęk, odrzuciły uczucie winy i wstydu, pozostawiając tylko gniew. W dolinie nie było już tego podłego węża Colebrooka, który do nich strzelał, powtarzał sobie wciąż Gur. Tylko cała masa łagodnych starych krówek z tobołkami pełnymi pieniędzy.

Ostatniego lata Ed mówił o bogatych ludziach, którzy pchają się zewsząd do tej doliny. Ale bardzo szybko przestał mówić i stał się dziwnie milczący. Starał się powstrzymać Gura, by ten też o tym nie opowiadał. Powstrzymał go przed najazdem na dolinę. Zahamował wiele spraw.

Ale Eda Soamesa już także nie było.

W tej dolinie mieli wszystkie pieniądze tego świata. Najpewniej siadywali w nocy i liczyli je. Liczyli pieniądze i wspominali stare, dobre czasy, kiedy to w pięćdziesiątym czwartym zabijali sobie czarnych dla zabawy. Uwędzili na ich własnych ogniskach i pospychali ze skał. Po prostu dla zabawy.

Teraz kiedy Ed nie stoi już mu na drodze ani nie ma tego podłego węża Colebrooka strzelającego do czarnych, Gur pojedzie do doliny i odpłaci im. Przestraszy ich tak, że aż im w pięty pójdzie i odpłaci im również za to, co zrobili Edowi. Oskarżyli go o zabicie czarnego, a przecież to zrobił ten podły wąż Colebrook.

Zwykły najazd był niczym, pomyślał przypominając sobie słowa strażników. Zwykłe wykroczenie, tak nazwał to strażnik. Najazd był niczym.

Za dawnych czasów szczerp posiadał wojowników. Wodzów. Teraz już ich nie było. Przez jakiś czas inni traktowali Gura jak wodza, ale to się już skończyło.

Był nikim.

Pustka, którą czuł w sobie, potrzebowała wypełnienia.

Na wiosnę osiemdziesiątego drugiego Gur dołączał często do dzieci przysłuchujących się opowieściom starych ludzi. Historie te przenosiły go z powrotem we wspaniałe czasy przed przybyciem białego człowieka, który zjawił się, by okraść go ze wszystkiego, co mógł mieć. Karmiąc swój gniew wypełniał umysł myślami o dawnych dniach i o tym, co odebrało mu przyście białego człowieka, i o dolinie Minaby Flat, która, jak sobie powiedział, była siedliskiem wszelkiego zła.

Marzenia wydawały się rosnać w nim z każdym dniem, tak jakby zawsze były w jego umyśle, zakopane głęboko pod codziennymi wydarzeniami.

W fantazjach Gura czarny człowiek gwałcił i mordował. To białego człowieka wypędzał z jego ziemi, palił go w jego własnych ogniskach, strącał ze skał. A tymi białymi ludźmi byli mieszkańcy Minaby Flat — osiedla, obozowiska, szczepu, rodziny, która odrzuciła Eda Soamesa.

Coraz częściej myślał teraz o Edzie już z czystszy sumieniem. Żartował rozmawiając z nim w myślach o zemście, o odpłaceniu białym, niech spróbują własnego lekarstwa. Ale nagle to przestały być żarty. Marzenia karmiły jego spragnione ciało i duszę.

Aż nadeszło lato osiemdziesiątego drugiego i z nim potrzeba działania.

Gur przysłuchiwał się z większą uwagą starym mężczyznom, kiedy ciepłe noce wypłasyły ich z nędznych szałasów. Z każdą kolejną zimą ich męskość odpływała dalej w przeszłość. Teraz najczęściej rozmawiali o swej młodości i dzieciństwie, kiedy to ich rytuały, a nie rytuały białego człowieka, znaczyły przeminięcie kolejnego roku.

Rozmowy o dawnych ceremoniach dodały marzeniom Gura nowych wymiarów. Dały im wysokość, szerokość i głębię. I wreszcie marzenia przybrały kształt pomysłu.

Stopniowo stawał się on planem. Kiedy nadejdzie lato, Gur prześle kijami wiadomość młodym ludziom z różnych szczepów i zwoła ich na polowanie na ćmy bogong, postanowił. Tak jak za dawnych czasów! Przywróci stare obyczaje szczepom i życie będzie znowu takie, jak opowiadali starzy ludzie.

— Zrobię coś, czego nigdy wcześniej nikt nie zrobił — myślał Gur podniecony. — Zrobię coś, czego zdaniem białych nie da się zrobić. Zawrócę zegar. Przez cały dzień czas pobiegnie wstecz.

To było najcudowniejsze, najbardziej wstrząsające zamierzenie, jakie mu kiedykolwiek przyszło na myśl.

Pomysł przywrócił mu zaufanie we własne siły. I rósł tak w umyśle Gura, aż wreszcie był zbyt wielki, by się tam zmieścić. Potrzebny był tylko odpowiedni moment, by go opowiedzieć.

Przez całe dni wybierał spośród mieszkańców osiedla wojowników.

Jego wybór padł na młodych ludzi włóczących się koło pubu i sklepu prowadzonego przez Greka. Do tego kilku pasterzy, zadowolonych z siebie w tych kapeluszach z szerokimi rondami, jeżdżących na starych wałachach, z pełnymi żołądkami i kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Tyle że żaden z nich nie miał nawet części jego rozumu.

— Już wkrótce — obiecywał sobie — już wkrótce zadziwię ich wszystkich. Przeżyją największy wstrząs swego życia. Aż usiądą z wrażenia, kiedy zrozumieją, kto jest ich przywódcą.

— W przyszłym roku zapowiada się wielkie wydarzenie — powiedział mu jeden z pasterzy. — Słyszałem, jak sam szef o tym mówił. A on jest w radzie miejskiej — mówił dalej pastuch, wypinając pierś i promieniując odbitą chwałą. — Szykują się do obchodzenia Bóg wie której tam rocznicy założenia pierwszego osiedla w tych stronach. Ubiorą się w stare stroje i przybiorą miasto, żeby wszystko wyglądało tak jak za czasów starej farmy Kuma. Słyszałem, jak szef mówił, że chcą przypomnieć stare czasy.

Gur poczuł nagle, jakby lodowata dłoń ścisnęła mu serce, z którego wypłynęła cała krew. Biali pozbawili go wszystkiego. Teraz nawet kradną pomysły wprost z jego głowy.

Przez moment stał jak wryty, udręczony, potem słowa wylały się z niego szybko i obficie. Ale nie wystarczająco szybko i niewystarczająco wcześnie. Powinien był im to powiedzieć dawno temu, pomyślał, czując gorzką wtórność własnych słów.

Pasterz patrzył na niego z uśmiechem, zainteresowany, ale nie rozumiejący cudowności wspaniałej idei, która się za tym kryła.

— Widzisz więc, że wielkie wydarzenia nastąpią, zanim jeszcze biali zaczną swe obchody — zakończył Gur. Ale nie obnoś się z tym wszędzie. Nie chcemy, żeby biali cokolwiek wiedzieli.

Potem szybko opowiedział o swoich planach innym — widział wątpliwości malujące się na każdej kolejnej twarzy, niepewność, strach przed tym, co proponował. Zadowolenie, że spowodował wstrząs, było dziwnie zmaćcone.

Wreszcie przyszli do jego szałasów wszyscy razem, więc już mniej bojaźliwi. Zaczęli planować szczegół po szczególe, jakby żyli jeszcze w czasach istnienia szczepu. Widział rosnący w nich entuzjizm, jakiego nigdy wcześniej nie okazywali.

Ich podniecenie zwalczało jego lęki.

Zebrać się razem, zapalić parę ognisk i upiec na nich parę ciem — nie musieli się przecież obawiać za to kary. Mogli się rozbiec na długo przedtem, zanim biali zastawią na nich pułapki, tak uspakajał sam siebie.

Nastał grudzień i Gur wysłał wiadomość, uderzając w kije, by zwołać aborygenów do doliny Jindabye — starego miejsca zbiórki, gdzie szczep oczekiwał na znak nadejścia czasu wspinaczki na skały i polowania na ćmy.

Na tej chwili kończyły się fantastyczne plany Gura. Było w nim jeszcze zbyt dużo lęku i zbyt mało gniewu, by myśl powędrowała dalej.

Mieszkańców doliny Minaby Flat nic nie ostrzegło przed nadchodzącym, może z wyjątkiem Violet McGovern.

W pierwszym tygodniu grudnia podczas upałów wczesnego lata na dolinę spadł grad, tak jak latem siedemdziesiątego roku.

— To był zły rok i ten nie będzie lepszy — ogłosiła. — Zapamiętajcie moje słowa, ludzie będą się rzucać sobie do gardeł, jakby opuścił ich duch chrześcijański. Zjawiska nadprzyrodzone tak właśnie działają na człowieka.

— Ale w siedemdziesiątym roku Jazon Travis skończył dwadzieścia jeden lat i nasz los obrócił się ku dobremu — przypomniał jej George.

— Może znowu tak będzie i po Gwiazdce interesy się poprawią. Ludzie nie kupują teraz tyle co niegdyś.

Na farmie Travisów Jenny wieszała właśnie u powały świąteczny pudding, kiedy w drzwiach zjawił się Carruthers.

— Szukam Jazona — powiedział owiewając ją oddechem przesyconym piwem. Jego głos brzmiał wojowniczo. — Słyszałem, że sprzedaje resztę ziemi, którą posiada jeszcze w tej dolinie. I sprzedaje ją tanio — więc zamierzam ją nabyć. Z tego, co ludzie mówią, on chce wkrótce nas opuścić, wyjechać do Anglii i sprzedaje ziemię jakiemuś nieznanemu, całkiem obcemu człowiekowi. Po prostu powiedział w Cooma, żeby znaleźli kupca, choćby nawet niewiele płacił. No cóż, ja jestem z tej doliny. Mieszkam tu od pięćdziesiątych lat. To daje mi

pewne prawa. Jeśli jakaś ziemia ma być sprzedana tanio, mam prawo zgłosić się po nią pierwszy.

— Nie po naszą ziemię! — powiedziała Jenny, schodząc stopień w dół.

— Nie przyszedłem tutaj, by rozmawiać z jakąś spragnioną władzy babą. Chcę się widzieć z Jazonem.

— Jeśli postoisz tu jeszcze jedną chwilę, zobaczysz, jak ostry jest mój kuchenny nóż. A do tego dostaniesz w prezencie kawałek ziemi. Długi na sześć stóp, szeroki na dwa i głęboki na cztery, żebyś wygodnie pomieścił tam swój brzuch. Wynoś się stąd w jednej chwili, zanim cię zabiję!

Carruthers cofając się, potknął się o Ringę, która siedziała na podłodze.

— Nie pozwolisz mi być na swojej ziemi, ale sprowadzasz tych cholernych czarnuchów do swego domu — wrzasnął i wymierzył wściekłego kopniaka czarnej kobiecie.

Jenny złapała miedziany kocioł z pieca i chlusnęła w Carruthersa zawartością. Potem spojrzała z niepokojem, jak parująca, kremowa maź spływała po jego twarzy i głowie na pierś i ramiona.

Nathan, który pojawił się w tylnych drzwiach, zaczął się śmiać.

— Pan Carruthers wygląda, jakby go ktoś całego zarzygał.

— Idź szybko pod zbiornik z wodą — rozkazała Jenny. — Inaczej gorąca owsianka przeżre ci skórę do kości. A kiedy wrócisz do domu, posmaruj oparzone miejsca masłem. Albo miodem, tak jak robili to czarni. I żebyś nigdy więcej nie postawił tu swojej nogi, bo spotka cię coś gorszego.

Gur prowadząc swoich wojowników w stronę doliny, znalazł dobrą okazję, by pokazać, że nie boi się białego człowieka.

Stanął samotnie, blokując wąskie przejście, kiedy nadjechał Carruthers, zdążający do lekarza w Cooma. Jego twarz była równie rozpalona, jak miotająca nim wściekłość.

— Zejdź mi z drogi, ty kaleki bękarcie, bo inaczej stratuję cię. Właśnie kopnąłem twoją matkę, tak jak się kopie psa, i jeśli w tej chwili nie zejdziesz mi z drogi, mój koń potraktuje cię podobnie. Jesteś śmieciem, jak wy wszyscy, śmierdziejcie i zawadzacie. Do diabła z wami! — wrzasnął Carruthers i z całej siły klepnął konia, zmuszając go do biegu, a potem uderzył batem Gura, jakby symbolizował on wszystkie nieszczęścia, które spadły na białego człowieka w tym kraju.

Gur podniósł się powoli, kulawa noga krwawiła mu w miejscu, gdzie koń zahaczył podkową. Nie czuł bólu. Po prostu nie czuł nic.

— W porządku? — zapytał jeden z pasterzy. — Może lepiej zawrócimy?

Gur nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego noga jest dziwnie wygięta. Pierwszy raz w życiu wiedział, jak to jest, kiedy się ma zdrową nogę, zdawało mu się, że może iść bez utykania.

Spojrzał na pozostałych twardym wzrokiem.

— Czy idziemy polować na émy bogong w tych ubraniach? — zapytał silnym głosem. — W ubraniach białego człowieka? Zdejmijmy je i ubierzmy się tak jak potrzeba.

Jeden z pasterzy zaśmiał się nerwowo.

— Nie mam ogona dingo, by go dowiesić do moich własnych dzyndzawek!

Gur pochylił się i podniósł garść błotnistej gliny. Zabłocił się, kiedy upadł pod koniem, ale teraz nie miało to już znaczenia. Ziemia dodała mu siły.

— Tym się ubierzesz, jeśli jeszcze pamiętasz, jak powinieneś pomalować swoje ciało. A jeśli zapomniałeś, ja ci pokażę.

Ściągnął ubranie, które napawało go odrazą, wręcz nienawiścią.

Stał tak przez chwilę w grudniowym słońcu, ogrzewającym mu skórę. Poczul się wolny tak, jak powinien się czuć. A potem namalował znaki rytualne na swym ciele — zakrzywiony znak Moamby biegł naokoło jego szyi, a obok widniał znak Rumu — płomiennego ducha.

Pokryty malowidłami poczul się jeszcze lepiej. Bez nich przez całe życie wydawał się sam sobie nagi.

Inni naśladowali go. Ściągnęli ubranie i namalowali znaki na swych ciałach. Śmiali się. Z butelki, jaką zabrali ze sobą, czerpali odwagę. Upijali się.

— Narysujcie swoje własne znaki, nie mój! — polecił im Gur. Ale nie wszyscy mieli totemy, a niektórzy nie pamiętali swych symboli. Więc gdy Gur skończył malować swe ciało, zajął się nimi — malował znaki dzikich zwierząt, niektórych nawet z Afryki. Z zadowoleniem wymyślał dla nich totemy, bo chciał, by stali się dzicy. Dzicy i wolni! Tak jak on!

— Nie mamy dzid — powiedział jeden z pasterzy. — Co będziemy nieść w rękach? Patyki ze starych gałęzi i kamienne siekiery, które musielibyśmy sami wyciąć?

— Strzelające patyki! Oto co będziemy nieść. Strzelające patyki, tak stary człowiek nazywał karabiny ludzi. W dolinie mają ich całą masę. Po prostu weźmiemy je sobie!

Teraz już mieli w sobie siłę. Kiedy stali wymalowani jak w dawnych czasach, czuli się mężczyznami, wojownikami. I na dodatek strzelające patyki tylko czekały, żeby je wziąć. Lepsze niż jakiegokolwiek włócznie!

Stali mieszkańcy Minaby Flat

na dzień szesnastego grudnia 1882

w liczbie pięćdziesięciu dziewięciu dusz

Północna strona doliny:

Farma Colebrooków: Mary i Samuel Colebrookowie; Katie Colebrook i jej syn John Colebrook; Herb Elliot, jego żona Annie (z domu Annie Farley) i ich nowo narodzony syn Sam.

Farma Travisów: Jenny Garnett Travis, Jazon Travis i jego syn Nathan; Moamba-Ringa i jej córka Tally (Tallawang); Chang Lee i jego syn Kai Lee; najstarsza córka Spigottów. (Nathan i Kai Lee opuszczają dom i dolinę, udając się na wspinaczkę w góry.) Nieobecny: Angus McLaren, pasterz owiec, który wypasa je na równinnych pastwiskach.

Farma Mitchellów: Gus i Lottie Mitchell; Henry i Jody Mitchell oraz ich córka Freda „Free” Mitchell; wolarz Mitchellów. Nieobecny: James Mitchell, z wizytą u żony strażnika, w czasie gdy strażnicy patrolują teren na południe w stronę Gippsland.

Obejście Carruthersów: pani Fanny Carruthers; jej najstarszy syn Young Carruthers i troje młodszych dzieci. Nieobecny: Jim Carruthers, w Cooma, u lekarza.

Centrum osady:

Hotel: Downer Farley, właściciel pubu i pani Downerowa Farley; Ted Smith, pomocnik barmana i jego żona Charity (z domu Charity Jones). Sklep: George McGovern i jego syn Wetherly „Wet” McGovern. Szkoła: Violet McGovern sprzątająca podczas gwiazdkowych, letnich wakacji.

Herbaciarnia: Lee Mei-li (pani George'owa Farleyowa ma dzień wolny); klientka, pani Billowa Morrow z południowej części doliny i jej córki Olga i Agnes, obecnie z wizytą świąteczną przybyły z Sydney, gdzie przechodzą szkolenie pielęgniarstwa, przygotowujące do pracy w obecnie budowanym szpitalu w Minaby Flat.

Południowa część doliny:

Farma Farleyów: Dwóch pracowników farmy.

Farma Spigottów: Alfred i Gertie Spigott, jeden syn, cztery córki, dwoje małych dzieci.

Farma Sayersów: (uprzednio kurza Farma Daviesów) Pete i Charlie Sayers.

Gorzelnia Garnett: (Przeniesiona na południową część i odpowiednio powiększona) „Malt” Jones; Joseph „Murphy” Jones; jeden sezonowy pracownik znany jako Les.

Nieobecni: czterech pracowników gorzelnii. Wrócili do domów w Jindabyne.

Warsztaty Garnett: George Farley; dwóch pomocników stolarza, Steve Morrow i William „Bill” Morrow.

Dom przy warsztatach: pani George'owa Farleyowa.

Szpital Minaby Flat: (w budowie)

Nieobecni: budowniczy z Cooma, którzy wrócili do domów. Osiedle Garnett: pani Josephowa „Murphy” Jones. Mieszkańcy dwóch pozostałych domów przebywają w innych częściach doliny: Chang Lee, Kai Lee i Mei-li na farmie Trávisa i w Herbaciarni; pomocnicy stolarza William „Bill” Morrow i Steve Morrow w warsztatach Garnett; pani Maggie Morrow z córkami Olgą i Agnes mają zamiar opuścić herbaciarnię.

Ogniska zostały dostrzeżone o godzinie pierwszej po południu.

Gus Mitchell i jego syn Henry ruszyli na stok. Na farmie Mitchellów została tylko Jody Mitchell, która przygotowywała wieczorny posiłek, i trzęsąca się stara Lottie Mitchell, kołysząca się w fotelu na biegunach.

Mała Freda Mitchell wróciła do domu z farmy Travisów cała we łzach, ponieważ Nathan obiecał nauczyć Kai Lee wspinaczki, a jej nie zgodził się wziąć. Znalazła schronienie między dwiema szafami kuchennymi, gdzie mogła siedzieć na podłodze i zamartwiać się.

Jazon dostrzegł ogniska zaraz po tym, jak zobaczyli je Gus i Henry Mitchell. Ruszył na południe doliny, Jenny poszła za nim. Na farmie Travisów pozostał Chang Lee w kuchni poza domem, a razem z nim dziewczyna od Spigottów, Ringa i Tally.

Na zachodnich stokach Samuel Colebrook pracował przy starym wozie, starając się go zreperować, wygładzał drewno, oliwił koła, uzupełniał wszystko to, co — jak mu podpowiadała pamięć — wóz kiedyś posiadał. To zajęcie zajmowało mu ręce i myśli od śmierci Chrisa, jakby wskreszenie świetności wozu mogło zmienić przeszłość.

Ale gdy tylko ujrzał ogniska, posłuszny przyzwyczajeniu, które wyrobił przez wiele lat, ruszył na wschodnią stronę doliny, na pomoc sąsiadom. Herb Elliot, niespokojny o staruszkę, poszedł za nim. Katie Colebrook i jej syn John wyszli sprawdzić zbiorniki z wodą na zachodnim stoku i napełnić dodatkowe wiadra przygotowane wzdłuż rzeki dla każdego, kto mógłby ich potrzebować. W gospodarstwie pozostała tylko Mary Colebrook. Annie Elliot, ze swym maleńkim synkiem Samem, wyszła po zakupy do sklepu.

U Carruthersów, Fanny Carruthers i jej najstarszy syn Young patrzyli, jak mężczyźni przechodzą przez rzekę i kierują się na stoki. Wciąż rozjątrzeni obelgami, jakimi Jenny Travis obrzuciła ich rodzinę, postanowili pozostać na miejscu i chronić własną ziemię, na wypadek gdyby przy zmianie wiatru ogień się rozprzestrzenił.

Był gorący, suchy dzień, wiał lekki wiatr z północy. Trawa była już wysuszona w czasie trwających od kilku tygodni upałów. Od trzech lat nie było pożarów powyżej zabudowań doliny, ale ponieważ w czasie letnich miesięcy groźba ognia zawsze wisiała w powietrzu, zbiorniki na wodę zostały napełnione, miotły do gaszenia leżały naszykowane, a przecinki w lesie poprawione.

Niebezpieczeństwo, do którego się przywyka, nie wywołuje paniki ani nawet zaniepokojenia.

W sklepie pracował George McGovern ze swym synem Wetem. Ranek mieli pracowity, ale teraz jedyną klientką była tylko Annie Elliot. Violet McGovern wróciła ze szkoły i ułożyła się do popołudniowej drzemki.

Na zapleczu hotelu siedzieli Downer Farley i jego brat George, który przyszedł ze stolarni. Główną salę w pubie sprzątał pomocnik Ted Smith ze swoją żoną Charity. Nie było żadnego klienta.

Charity, która wyszła na zewnętrzną werandę i zobaczyła ogień, zawołała swego męża.

Maggie Morrow i jej dwie córki wyszły z herbaciarni w towarzystwie Mei-li.

— To tylko niewielki pożar buszu — uspokajał kobiety Ted. — Przy wietrze z północy nie zejdzie w dół do doliny. Na pewno już kilka osób się wspina, by go ugasić. — Mrużąc oczy, wpatrywał się w odległe stoki. — I następni idą, żeby im pomóc, widzę ich. Wystarczy ich w zupełności. Jeśli nie będą sobie mogli poradzić z ogniem, pójdę i pomogę im.

Mieszkający poza zakrętem doliny Pete i Charlie Sayers zauważyli smugi dymu podnoszące się ponad drzewa. Natychmiast ruszyli sprawdzać przecinki, które zostały wycięte między południowym a południowo wschodnim zboczem. Razem z nimi poszli Malt i Murphy Jones.

Alfred i Gertie Spigott wraz ze swą gromadką dzieci podążyli za dwójką pracowników z farmy Farleyów. Napełniali kubły wodą. Nie spieszyli się jednak zbyt. Pożar buszu przy północnym wietrze nie powinien stanowić dla doliny niebezpieczeństwa.

Bill i Steve Marrow, w położonych dość wysoko warsztatach, gdzie wyrabiano meble, byli jedynymi osobami w dolinie, których zaalarmował pożar. Osiemnaście lat w Kolonii nie

przyzwyczało ich do palącego się buszu, a leżące przy budynku drewno stanowiło dodatkowe zagrożenie.

— Lepiej polewajmy wodą budynek — zaproponował Steve. — Wystarczy, żeby jedna czy dwie iskry tutaj spadły, a wszystko pójdzie z dymem, najlepsze drewno, jakie ściągnęliśmy, farba i lakier też. To miejsce jest niczym gotowy fajerwerk, do którego wystarczy przytknąć zapalną.

Pani Josephowa Jones słysząc krzyki na zewnątrz, zainteresowana wyszła na werandę przed domem.

Widząc jakieś postacie pomiędzy drzewami, potrząsnęła głową.

— Jeśli Malt i Murphy się w to zamieszają, nie doszoruję ich przez następny tydzień. Ci, którzy tam idą, już są czarni jak aborygeni.

Czarny człowiek, kryjący się za granitowym nawisem, nie zwracał uwagi na ćmy unoszące się w ciemnych rojach, wypłoszone dymem ze szczelin. Przyglądał się białym mężczyznom wspinającym się na wzgórze i pozostawiającym za sobą nie strzeżone gospodarstwa.

Gur wypatrywał też dymnych sygnałów od tych członków plemienia, których wysłał na południowe i zachodnie stoki.

Kiedy Gus i Henry Mitchell dotarli na wschodnie wzgórze, Gur i jego ludzie przesunęli się już dalej, na trakt prowadzący do posiadłości w północno-wschodniej części doliny i do mostu na rzece.

W grupie Gura było dwunastu buszmenów, czterech okrążyło wzgórze, ale do tej pory tylko trzech białych mężczyzn i jedna kobieta gasili ogień na wschodnim stoku.

Gur powstrzymywał nerwową niecierpliwość swoich ludzi, trzymał ich pod kontrolą. Czekali i patrzyli, a wreszcie ich cierpliwość została nagrodzona. Najpierw stary Samuel Colebrook, a potem Herb Elliot, wreszcie George i Downer Farleyowie i Ted Smith z hotelu, a w końcu nawet Wet McGovern ze sklepu przeszli z zachodniej strony rzeki i dołączali teraz do pierwszej grupy walczących z pożarem.

Gur już miał posłać swych ludzi, ale jeszcze ich wstrzymał, czując nagłą zmianę kierunku wiatru na zachodni, który mógł przepędzić pożar z doliny.

Zmienił swe plany, wysyłając swych ludzi, by rozpalili ogniska na zachodnim stoku, gdzie stanął zagrożeniem dla całego osiedla.

Sam ruszył do najbliższego gospodarstwa, farmy Mitchellów, gdzie zostały tylko kobiety.

Stara Lottie Mitchell położyła się w pokoju. Wszystko wskazywało na to, że w kuchni pozostała tylko Jody. Jej córka korzystając z tego, że babka poszła do łóżka, kołysała się na fotelu na biegunach. Oparcie zasłaniało ją zupełnie.

Gur wpadł do kuchni, rozejrzał się i zobaczył strzelbę wiszącą na ścianie. Sięgnął po nią. Jody próbowała go powstrzymać. Uderzył ją, tak że upadła na ziemię. Zanim zdołała się podnieść, krzycząc histerycznie, złapał za broń. Podniecony kobiecym krzykiem, Gur podniósł nalożoną strzelbę i strzelił dwa razy.

Ogień na zachodnim stoku rozprzestrzenił się szybko, podsycany przez wiatr. Drzewa płonęły, las zamienił się w piekło, iskry sypały się na dolinę.

Katie Colebrook i jej syn John wrócili nad rzekę napełnić kubły. John jako pierwszy dostrzegł ogień na zachodnim zboczu. Ruszył biegiem w tamtą stronę, wołając na alarm, podczas gdy Katie biegła mostem, a potem główną drogą, wzywając mężczyzn z farmy Colebrooków. Przed sobą zobaczyła nagiego, wymalowanego aborygena, który kulejąc umykał z farmy Mitchellów w stronę posiadłości Travisów.

W kuchni Travisów Chang Lee usłyszał strzały, gdy przygotowywał jedzenie i picie dla ludzi walczących z ogniem. Nie przypuszczał, by ktokolwiek polował na króliki w takiej chwili. Ale przyszło mu do głowy, że być może ogień wypłoszył z lasu lisy. Ta myśl uspokoiła go na chwilę.

Jednak gdy usłyszał hałasy bliżej, zrobił to, co podpowiadał mu instynkt. Przypomniał sobie ataki na Chińczyków w 1861 i teraz zrobił to samo co wtedy. Wypatrzył schowek i zdążył tylko złapać wcale nie protestującą dziewczynę Spigottów, którą pociągnął za sobą do kryjówki, gdy w kuchni pojawił się Gur.

Ogień na północnym stoku przesunął się na wschód, gdzie podłoże było skaliste i płomienie niewiele znajdowały pożywienia. Niebezpieczeństwo dla doliny nadchodziło teraz z zachodu i wszyscy ludzie pośpiesznie tam przebiegali. Na ich drodze stanęła nagle Katie Colebrook. Zawróciła z nimi i pobiegła z powrotem przez rzekę na zachodnią stronę doliny. Krzyczała, że widziała młodego buszmena, ale w tej chwili nikomu nie wydawało się to znaczące.

Ruszyli w górę nie przygotowani na uzbrojonych aborygenów, którzy nagle wyrosli przed nimi jak spod ziemi.

Gur zamarł w drzwiach kuchennych na farmie Travisów. Jego uwagę przyciągał szalejący już teraz ogień na zachodnim stoku. Zapomniał o ostrożności. Zmiana kierunku wiatru wydała mu się częścią jego własnego planu. Ogień szalał w tym właśnie miejscu, gdzie w 1854

wydarzyła się Masakra Ciem Bogong. Ale biali, którzy wtedy mordowali jego pobratymców, mieli broń, dużo broni. Teraz on chciał zdobyć broń.

Ringa widząc go w drzwiach ze strzelbą w dłoni, wcisnęła Tally w róg kuchni i zasłoniła ją własnym ciałem. Nie rozumiała, co się działo, kierowała się tylko instynktem: lękiem przed bronią i potrzebą ochrony dziecka.

Nie rozpoznała w Gurze syna. Zbyt wiele lat minęło od czasu, gdy ostatni raz go widziała. Teraz czuła przed nim lęk, jakby był członkiem wrogiego plemienia, albo białym człowiekiem z bronią w ręku.

Gur rozpoznał matkę, ale jej obecność nie poruszyła go. Była po prostu kobietą, czekającą na powrót mężczyzny z polowania. Ponieważ nie znalazł w kuchni broni, przeszedł do domu i złapał strzelbę, która wisiała nad kamiennym kominkiem. Potem wybiegł. Zupełnie zapomniał, po co zjawił się w dolinie.

Nad całym jestestwem Gura zapanował teraz odwieczny rytuał jego plemienia — celem stała się zemsta nad wrogiem, którego musiał zniszczyć. Oko za oko.

Gur miał teraz dwie strzelby. Wybiegł z domu Travisów i ruszył przez rzekę, by znaleźć więcej broni.

Po zachodniej stronie rzeki Young Carruthers był jedynym mężczyzną w dolinie, który zorientował się, że ogień podłożyli aborygeni. Zobaczył ich, jak przemykali się po północno-wschodnim stoku i szli zachodnim zboczem doliny. Nie był pewien, czy powinien ostrzec mężczyzn wdrapujących się na zachodni stok, czy raczej zostać i strzec posiadłości swojej rodziny. Zdecydował się jednak wziąć strzelbę i pójść w góry. Właśnie opuścił teren należący do Carruthersów i zbliżał się do mostu, kiedy stanął na wprost Gura, który w jednej chwili podniósł broń. Zanim Young Carruthers miał szansę naszykować swoją, Gur zastrzelił go.

Mając trzy strzelby i dwunastu ludzi do uzbrojenia, Gur ruszył w stronę sklepu.

Centrum miasteczka było całkiem opuszczone.

W pubie została tylko Charity Smith. Annie Elliot, z maleńkim Samem w ramionach, przyszła właśnie do wujka Downera. Niechętnie rozdzielała się ze swym mężem Herbem w chwili kryzysu, ale czuła, że dla dziecka będzie bezpieczniej na południowym krańcu doliny.

Ponieważ Downer Farley i jej ojciec George dołączyli do walczących z ogniem, poprosiła, żeby Charity zaprzęgała powozik i zawiozła ją wraz z dzieckiem do warsztatów, gdzie mogła schronić się u matki.

W chwili gdy odjeżdżały, Gur wkroczył do sklepu.

George McGovern był sam. Mimo całego zamieszania Violet nadal spała. Kupiec widząc czarnego mężczyznę ze strzelbą w ręce, nie marnował czasu na zadawanie pytań.

Uciekł przez boczne drzwi do prywatnych pomieszczeń za sklepem i zaryglował się od środka.

Gur mógł obsłużyć się sam i zabrać wszystko, co tylko chciał.

W tym czasie grupa dziesięciu mężczyzn i dwóch kobiet zmagala się z ogniem na zachodnim stoku. Byli to: Jazon Travis, Gus i Henry Mitchell, Samuel Colebrook i Herb Elliot, George i Downer Farley, John Colebrook ze swą matką Katie, Ted Smith, Wet McGovern i Jenny Travis.

Wiatr nieco osłabł, ale ogień rozszalał się już tak, że atakował przecinki i zmuszał ludzi do wycinania kolejnych drzew.

Na wyposażenie walczących z ogniem składały się siekiery, kosy, mokre koce, kubły z wodą, miotły. Maczety przynieśli tylko mężczyźni z północnych gospodarstw. Jeśli chodzi o ilość, to mieli jedną siekierę, jedną kosę i trzy maczety.

Pięć osób z dwunastu było uzbrojonych, siedem nie. Żadna z dwunastu walczących z ogniem nie miała broni palnej.

Gur znalazł w sklepie sześć karabinów George McGovern dawno temu nauczył się trzymać materiały wybuchowe w chłodnej jamie za sklepem. Na półkach miał tylko niewielki zapas amunicji. Gur zdobył już dziewięć strzelb. Ale brakowało mu naboji. Nie znając się na broni, zabrał nieodpowiednią amunicję. Tylko połowa się nadawała.

Gur ruszył na zachodni stok wzdłuż ścieżki, która prowadziła do kapliczki Mary Colebrook, a potem wyżej do nowego cmentarza, za którym czekali na niego pozostali aborygeni.

Annie Elliot i Charity Smith dotarły do południowego skraju doliny. Znalazły tam mężczyzn debatujących, czy powinni wyruszyć na północ i dołączyć do zmagających się z ogniem, czy też pozostać, by strzec swojego dobytku zagrożonego w razie nagłej zmiany kierunku wiatru.

Charity opowiedziała o aborygenie, który zbliżał się do sklepu, w chwili gdy one odjeżdżały. Wspomniała też, że wyglądał na uzbrojonego. Ale Annie Elliot nic nie zauważyła i jej zdaniem Charity po prostu miała bujną wyobraźnię. Nikt nie zwrócił uwagi na to, co mówiły kobiety.

Na południowym skraju doliny pozostało dziesięciu mężczyzn. Postanowili, że pięciu, wspomaganym przez kobiety i dziewczęta, pozostanie pilnować gospodarstw, na wypadek

gdyby zaistniała taka konieczność, a pozostali dołączą do zmagających się z ogniem na zachodnim stoku.

Mężczyźni ciągnęli słomki.

Dołączenie do walczących wyciągnęli: Pete Sayers, Steve Morrow, Joseph „Murphy” Jones, chłopak Spigottów i pracownik gorzelni, na którego wszyscy wołali Les.

Walczący z ogniem rozpierzchli się w grupkach po dwoje i troje powyżej przecinek. Jenny Travis znajdowała się najbardziej na południe, Samuel Colebrook zajął pozycję w pobliżu niej, dalej stali Herb Elliot i Jazon.

Jeszcze dalej Katie i John Colebrook. O kilka metrów od nich Gus i Henry Mitchell, Wet McGovern, Downer Farley i George Farley.

Na samym końcu znalazł się Ted Smith.

Ogień huczał, płonące gałęzie trzeszczały. Hałas zagłuszył wystrzały.

Jenny obejrzała się na pracujących z nią ludzi. W tym momencie zabrzmiała kolejna salwa i ujrzała, jak Ted Smith potyka się i upada. Na jego karku pojawiła się krew. Rany w czasie walki z ogniem nie były niczym nadzwyczajnym, poza tym że ta spowodowała tragiczną konsekwencję. Wielu ludzi było poranionych i poparzonych od spadających gałęzi. W tej chwili jeszcze wszystko kojarzyło się z pożarem. Jenny już miała podbiec do zranionego mężczyzny, kiedy ujrzała, jak jakiś ciemny mężczyzna odciąga ciało. Ale wszyscy mieli czarne twarze od sadzy i węgla drzewnego. Jednak teraz dawało się wyczuć jeszcze jakąś inną woń. Do zapachu palonego eukaliptusa dołączył się zapach palonego ciała. Zanim ktokolwiek zdążył na to zareagować, czarni byli już wokół nich, mierząc ze strzelb i próbując zagnać w płomienie.

George Farley ruszył na napastników, unosząc w górę siekiere. Grupa aborygenów, nie zwracając uwagi na resztę białych, rzuciła się na niego.

Od strony grani rozległ się dziwnie odległy krzyk.

Kiedy Gur spychał George'a Farleya ze skały, czuł uniesienie. Jakby opanowała go nadprzyrodzona siła i uczyniła go niepokonanym.

To, co wydarzyło się w 1854, miało się teraz powtórzyć, tylko odwrotnie, jak w negatywie, który widział w zakładzie fotograficznym w Cooma. Białe jest czarne, a czarne jest białe. Właśnie tak, jak tego zawsze pragnął.

Kiedy usłyszał krzyki swoich ludzi, że nadchodzi następnych pięciu białych, tylko uśmiechnął się. Im więcej, tym lepiej!

Mężczyźni z południowej części doliny nadchodzili nie przygotowani, również bez broni.

Usłyszeli odgłosy strzałów — nie wiedzieli czy ktoś strzela do nich czy do kogoś innego — potem usłyszeli ostrzegawcze okrzyki, jakieś słowa nie mające sensu.

Pierwszy zginął chłopak Spigottów. Otrzymał kulkę w głowę, gdy tylko stanął na grani. Następny upadł Steve Morrow. Murphy Jones usiłował się ukryć i w tej chwili został zraniony w nogę.

Pete Sayers i mężczyzna, na którego wołali Les, uskoczyli na boki, jeden w prawo, drugi w lewo i zaczęli uciekać.

Pete znalazł się na ziemi tuż przy Jazonie. Les doczołgał się w pobliże Gusa i Henry'ego Mitchellów.

Niektórzy z czarnych napastników zaczęli rozpierzchać się rzucając broń — przeraziło ich nadejście białych. Nie byli pewni, czy wkrótce nie zjawią się kolejni.

Biali mężczyźni próbowali bronić się, używając wszystkiego, co im wpadło w ręce.

Jenny leżała z miotłą do gaszenia płomieni, usiłowała sięgnąć po porzuconą strzelbę.

Katie Colebrook, jedyna poza nią kobieta, zwinięta na ziemi, niezdolna była do jakiegokolwiek działania.

Ogień rozszalał się na nowo.

Herb Elliot wrzeszczał, że bez broni czarni są skończeni i żeby wszyscy wycofali się i pozwolili, by ogień dokończył dzieła. Słowa wcielił w czyn, odciągając Samuela Colebrooka od walczących w dół po stoku — chociaż starzec wrywał się, gdyż nie chciał zostawiać Jenny i swego wnuka Johna.

Jazon stał sam na końcu rzędu.

W tym momencie rozpoznał go Gur. Jazon stracił z oczu Jenny i w panice rozglądał się dookoła. Odwrócił się tyłem do Gura w chwili, gdy czarny chłopak zamachnął się z całej siły, by uderzyć go kolbą. Jazona w ostatniej chwili odepchnął Pete Sayers, który przyjął na siebie całą siłę uderzenia.

Stary Gus Mitchell upadł. Henry Mitchell spróbował go odciągnąć i nie zauważył aborygena, który natarł na niego z kosą. Henry podniósł głowę na czas, by zobaczyć, jak pracownik gorzelni, Les, uzbrojony tylko w miotłę, biegnie zagrozić drogę czarnemu mężczyźnie.

Widział, jak ten odwraca się w stronę pracownika gorzelni, wznosi kosę i zabija go.

Buszmen jeszcze raz uniósł zakrwawioną kosę, tym razem celując w Henry'ego Mitchella, który stracił świadomość toczącej się wokół walki. Klęcząc w bezruchu wpatrywał się w

martwego mężczyznę, którego wszyscy nazywali Les — w jego otwarte oczy, które wydawały się odpowiadać mu spojrzeniem.

Downer Farley podniósł chwilę wcześniej porzuconą na ziemię strzelbę i wymierzył w czarnego, ale niecelnie, kula trafiła w ramię. Mężczyzna przewrócił się razem z kosą.

— Nie trafiłem! Ale i tak cię załatwiłem, ty cholerny skurwielu! — wrzasnął Downer. Podskakiwał, śmiał się, bo ostrze kosy wglębiło się w genitalia leżącego na ziemi i wydzierającego się mężczyzny.

Poza linią porzrzucanych ciał młody John Colebrook walczył z ostatnim, pozostałym aborygenem. Obaj nie uzbrojeni mieli do dyspozycji tylko siłę własnych rąk.

Czarny mężczyzna zacisnął ręce na gardle chłopaka i dusił go.

Przez całe długie dziesięć minut, podczas których toczyła się walka, Katie leżała niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Teraz skoczyła na równe nogi. Złapała maczetę obiema rękami i cięła nią jak gilotyną. Praktycznie odcięła czarnemu głowę od ciała.

— Twoja ręka! Twoja ręka!

Słyszając zduszony szept syna Katie spojrzała na dłoń, którą ścisnęła ostrze maczety. Prawie odcięła sobie palce.

— To nie boli — powiedziała. — Zwiążę je razem pajęczyną, tak jak to robią czarni.

Walka była zakończona. Czarni leżeli martwi lub umierający, niektórzy uciekli. Pozostał tylko ogień. Ale wiatr ucichł, a wieczorna bryza dmuchała od wschodu. Na dodatek zaczęło mżyć.

Henry Mitchell objął rękami nieżywego pracownika gorzelni i kołysał się w przód i w tył, jakby go usypiając i cicho płakał.

— Co za wstyd. Co za wstyd. Nawet nie znałem jego nazwiska. Tylko Les. Zginął za mnie, a ja nawet nie potrudziłem się na tyle, żeby zapytać go o nazwisko. I to w tym kraju, w tym kraju, gdzie ludzie nie znani z imienia i nazwiska, nie są znani w ogóle. Tylko bękarty nie mają nazwiska. Bękarty i czarni.

Na grani leżało sześć ciał białych. Pete Sayers, chłopak Spigottów, Steve Morrow i Les. Wszyscy z południowej części doliny. Spalone ciało Teda Smitha znaleziono w popiołach. Trzy dni minęły, zanim wydobyto George'a Farleya z dna wąwozu.

Początkowo wydawało się, że rodziny Colebrooków, Travisów, Mitchellów, Farleyów, Carruthersów i McGovernów nie poniosły żadnych strat.

— Potrzebujemy kocy, żeby przykryć martwych i bandaży dla rannych — ktoś powiedział.

— Ja pójdę — zaofiarowała się Jenny.

— Lepiej, żebyś została, niech idzie Henry Mitchell — powstrzymał ją Downer Farley. — Pomogę mu zanieść ciało jego ojca do domu, a potem przyniosę z hotelu koce i prześciera-
dła na bandaże. — Po drodze do Farmy Mitchellów znaleźli ciało Younga Carruthersa. Ale i tak nie zostali przygotowani na to, co odkryli, gdy doszli do gospodarstwa Mitchellów.

Stara Lottie Mitchell obudziła się i wróciła na swój bujany fotel. Wpatrywała się w ciało Jody, niezdolna pojąć, co się stało. Free Mitchell stała ciągle w kącie płacząc rozgłośnie.

Jody nie żyła. Już po śmierci od dwóch kul ktoś zerwał z niej ubranie, zgwałcił ją i pokaleczył.

Downer Farley powoli wracał na wzgórze, niosąc koce i prześcieradła. Nie mógł pojąć tego, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny. W chaos jego myśli wdarł się nagły krzyk.

— To był George! Nigdy nie słyszałem, żeby krzyczał, ale to na pewno był George! Gdzie on jest?

Ci, którzy przeżyli, przemoczeni od deszczu, nie schodzili jeszcze wciąż ze wzgórza, jakby spóźniony szok odebrał im zdolność poruszania. Jazon pochylał się nad Petem Sayersem.

— Nie potrafię tego zrozumieć — powtarzał w kółko Jazon. — Zawsze się dobrze odno-
siłem do aborygenów. Zawsze im współczułem. Nie potrafię tego zrozumieć.

Nagle, jak jakiś prymitywny i dziki człowiek wyłaniający się z zamierzchłej przeszłości, pojawił się Gur. Wysoki, nagi i pomalowany gliną zawisł nad Jazonem z siekierą George'a Farleya w dłoniach.

Jenny widziała, jak siekiera wznosi się, a potem opada.

Do końca życia będzie widziała tę wznoszącą się i opadającą siekierę, wznoszącą się i opadającą...

Uklękła w trawie, podniosła strzelbę i strzeliła czarnemu człowiekowi prosto w głowę. Nie patrzyła na ciało Jazona, jeszcze długo nie mogła na nie spojrzeć.

Ktoś stukał do frontowych drzwi.

Kiedy Spigottówna otworzyła, stał tam Bill Morrow.

— Czy mogę się widzieć z panią Travis?

— Nie wiem, więc lepiej wejdz i sam ją zapytaj.

— To nie jest odpowiedni czas, by cię niepokoić — powiedział Bill Morrow do Jenny.

— Wszyscy staramy się trzymać nasze tragedie dla siebie, ale jest coś, co powinnaś wiedzieć.

— Usiądź.

— Dwie nasze córki, Agnes i Olga, urządziły ten budynek, w którym ma być szpital i będą się tam opiekowały rannymi. Pomyślałem, że powinnaś o tym usłyszeć jako pierwsza. To przecież ty wysłałaś je na przeszkolenie i ty wybudowałaś szpital.

Odwrócił wzrok od jej milczącej postaci i przyglądał się sprzętom w pokoju.

— Pewnie domyślasz się, że przynoszę złe wieści. Chodzi o warsztaty. — Zamilkł i zagryzł wargi. — Cała część mieszkalna. To nie czarni, ogień przeniosła iskra.

— Domy można odbudować — powiedziała Jenny. Nie patrzyła na niego. — Oczywiście jeśli chcecie pozostać w dolinie. To zależy od was. George Farley odszedł.

— Jest jeszcze coś. Pani Farley nigdy nie dowiedziała się, że została wdową. Znajdowała się w części mieszkalnej, kiedy belki stropowe nie wytrzymały. I nie była tam sama, tylko z córką Annie Elliot, a ta z kolei ze swym dzieckiem. Wygląda na to, że pani Farley próbowała uratować oboje spod płonących belek. Udało jej się wypchnąć Annie, ale dziecko zaczadziało. Spadająca belka uderzyła panią Farley, zabiła ją prawdopodobnie na miejscu, zanim dostał ją ogień. Nie męczyła się. Nasze dziewczyny mówią, że Annie wyjdzie z tego bez szwanku. A Herb Elliot jest dobrym człowiekiem. Nie mieliśmy o nim przedtem najlepszego zdania. Prawdę mówiąc, wcale go nie lubiliśmy. Ale w takich chwilach jak ta, człowiek pokazuje swoje prawdziwe oblicze, a on udowodnił, że jest porządnym człowiekiem. Dobrze zajmie się Annie.

— Dlaczego czuję się za to wszystko odpowiedzialna, za każdą rzecz, która się tu przytrafia?

— Z tego co słyszałem, zawsze brałaś na siebie odpowiedzialność. Więc może w taki sposób jesteś stworzona. Ale nie powinnaś się czuć odpowiedzialna za coś takiego. Nie mogłaś tego powstrzymać i nic, co zrobiłaś, tego nie wywołało.

Kiedy odszedł, usnęła, po raz pierwszy od przerażających wydarzeń.

Pozwalając, by sen wziął nad nią górę, usłyszała jeszcze własne słowa:

— Mike, gdzie jesteś? Potrzebuję cię.

27.

Mike wracał do domu.

Jenny siedziała przy biurku w swojej sypialni i przeglądała się w lustrze. Czoło miała zmarszczone.

— Co się stało z moimi włosami. Nie są już brązowe.

— Są srebrne — odezwał się od drzwi Nathan. — W tym tygodniu zmieniły kolor.

— Nie zauważyłam. Nie zauważyłam.

Jenny odwróciła się w jego stronę. Kiedy stał tam, wyglądał dokładnie tak jak Jazon. Jazon, który mówił jej, że będzie zdawał egzamin na uniwersytet. Tak samo pochylił się, żeby wybrać spomiędzy pocztówek tę przedstawiającą Langley. Nie. To był młodszy Jazon. Ten, który przyszedł po słownik, ponieważ miał do napisania esej, dzięki któremu mógł otrzymać stypendium.

— Twoje urodziny, Nathanie — powiedziała — przeszły, a ja o nich nie pomyślałam. Nic ci nie dałam.

— Nie szkodzi. Niczego nie chciałem.

— Ludzie powinni chcieć coś — powiedziała Jenny. — I powinni zdobywać to, co pragną. Twój ojciec chciał pojechać do Anglii.

— Tak, wiem. Mówił o tym bez przerwy. Wciąż pakował i rozpakowywał nasze kufry. Powiedział, że wyjedziemy do Sydney pod koniec stycznia i tam wsiądziemy na statek do Anglii. Ja nie chciałem jechać. Dla mnie to dużo za daleko. — Chłopiec popatrzył na nią niespokojnie. — Nie powiedziałem mu tego. Teraz cieszę się, że nie powiedziałem, ale nadal nie chcę jechać. Czy muszę?

Jenny potrząsnęła głową.

— Nie, ale powinieneś uczyć się, żeby pójść na uniwersytet. Tego chciał dla ciebie twój ojciec.

— A nie mógłbym zamiast tego iść do rolniczego college'u? To prawie to samo, a dla człowieka, który ma ziemię, nawet lepsze. Ja nie pragnę tego samego co mój ojciec.

Chłopak był nerwowy. Nie okazywał tego, jak zazwyczaj nerwowi ludzie. Nie szurał nogami ani nie wpatrywał się we własne stopy, nie uciekał spojrzeniem w bok. Zamiast tego prostował się, jakby chciał sobie przydać wzrostu, i patrzył osobie, z którą rozmawiał, prosto w oczy.

On mnie prowokuje, pomyślała Jenny, i przyjrzała się chłopcu badawczo. Wcale nie jest podobny do Jazona.

— Ludzie muszą zdobywać to, czego pragną, przynajmniej w jakiejś części. Sama ci to powiedziałam — Jenny uśmiechnęła się do wnuka. — A różni ludzie pragną różnych rzeczy.

— Czy pan Campbell widział się już z tobą? — zapytał Nathan. — Czy dlatego rozmawiasz ze mną o uniwersytecie?

Jenny zmarszczyła brwi.

— Nie znam żadnego pana Campbella.

— Poznałaś go na pogrzebie taty. Powiedział ci, że przyjedzie z tobą porozmawiać. Później. Za jakiś czas.

— Po co on się chce ze mną spotkać?

Chłopiec jeszcze bardziej się wyprostował.

— Wolę, żeby to on ci powiedział. Porozmawia z tobą o mnie i szkole rolniczej, i ziemi. O wielu sprawach. On ci powie.

— Kim on jest?

— To był najlepszy przyjaciel taty. Zawsze razem spędzali czas, kiedy ojciec zjeżdżał na niziny. Czasami zostawałem w domu u pana Campbella, a oni jechali do Tallaqueon. Tata mówił mi, że załatwia tam interesy.

— Tallaqueon?

— Po drodze do Eden. Chang Lee zna to miejsce. Mówił mi, że tam uprawiają warzywa. Pan Campbell prowadzi mnóstwo interesów. Pewnie handel warzywami musi być jednym z nich. Zapytałem o to kiedyś, powiedział mi, że obaj z tatą lubią ostry, chiński pieprz.

Jenny przeniosła wzrok z chłopca na ogród za oknem. Starła się wyobrazić Jazona w Gospodzie pod Smokiem, ale widziała tylko Mike'a. I piękną Chinkę u jego boku, z ręką opartą na ramieniu mężczyzny.

— Jack Campbell — przedstawił się właściciel pastwisk na nizinach. — Spotkaliśmy się podczas pogrzebu Jazona. Pewno pani nie pamięta.

— Nathan powiedział mi, że ma pan zamiar porozmawiać ze mną.

— Jazon był moim dobrym przyjacielem. Przez wiele lat. Będzie mi go brakowało. Już mi go brakuje. — Usiedli w salonie i Szkot wyciągnął fajkę, ale zaraz wsadził ją z powrotem do kieszeni. — Jestem wdowcem, a wdowcy nabierają złych przyzwyczajień.

— Jeśli pan ma ochotę, proszę zapalić — powiedziała Jenny. — Uważam, że mężczyzna z fajką dobrze wygląda.

— Nie każdy przepada za zapachem.

— Mnie to nie przeszkadza. Wąchałam gorsze.

— Fajka pomaga mi myśleć. Łatwiej też mi mówić o pewnych sprawach. — Zapalił spoglądając na Jenny zza pierwszej chmury dymu. — Proszę mi wybaczyć, ale oczekiwałem, że matka Jazona będzie staruszką. Ja sam jestem prawie w tym wieku co Jazon, a moja matka dobiega sześćdziesiątki.

— Wcześniej wyszłam za męża.

— Pani włosy na pogrzebie były jeszcze ciemne. Rozpacz różnie uderza w ludzi. Nigdy nie widziałem młodej twarzy okolonej srebrnymi włosami. Dzięki temu wygląda pani jakoś tak specjalnie.

— Miło, że pan to powiedział.

— Mówię tylko prawdę.

Jenny uśmiechnęła się. Miała ochotę mu wypomnieć, że nawet na temat jarzyn mówił prawdę, ale milczała.

— Lepiej nie będę sprawy owijał w bawełnę. Chodzi o Nathana. To młody człowiek o świetnej przyszłości. Należy do niego kawał ziemi. W odróżnieniu od Jazona ja to rozumiem. Człowiek, który sam ma ziemię, potrafi to wyczuć u drugiego. To jedna z tych rzeczy. Ja też posiadam sporo ziemi. Trzy rancho. Moją ziemię można mierzyć na mile. I mam tylko jedno dziecko. Córkę.

Jenny zeszywniała.

— Fakt, że jest kobietą, nie znaczy, że nie potrafi poprowadzić gospodarstwa.

Jack Campbell roześmiał się.

— Pani i moja dziewczynka macie sporo wspólnego. Ja wiem, czego pani tutaj dokonała! To prawdziwy cud. Mojej córce będzie łatwiej, z dobrą ziemią na nizinach. Da sobie radę. Ale kobieta potrzebuje mieć u swego boku mężczyznę.

— Co chce mi pan powiedzieć?

— Raczej poprosić. Dzieci praktycznie wychowały się razem. Nathan często przebywał u mnie w domu, od chwili gdy tylko odrósł od ziemi. Teraz oboje mają po trzynaście lat i to jest czas, kiedy mężczyzna potrafi zauważyć, jeśli coś się dzieje z dorastającym chłopcem i dziewczyną. Lubią się, a z czasem może się to przerodzić w głębsze uczucie. I o to właśnie, ni mniej

ni więcej, chodzi. Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym, niż gdybym zobaczył ich razem, kiedy już będą dorośli. — Zamilkł i zaciągnął się dymem. — Wtedy Nathan i moja dziewczyna odziedziczyliby moją ziemię wspólnie. I mogliby wybrać między jednym z trzech ranch.

— Z czterech — powiedziała Jenny. — Tutaj też jest gospodarstwo.

— To prowadzi mnie do sedna sprawy. Wiem, że cały majątek teraz jest pani własnością. — Zamilkł. — Kiedy Jazon przycisnęło i sprzedawał co mógł, ja chciałem wyratować co nieco dla Nathana. Pośrednik nieruchomości z Cooma zna mnie bardzo dobrze. Na tyle dobrze, by mi zdradzić coś w zaufaniu. Powiedział, że już ktoś zadbał o tę ziemię. Że pani ją odkupuje. Jazon nie wiedział o tym, a ja mu nic nie powiedziałem. Nie moją rolą było się mieszać w wasze sprawy rodzinne. Ale wiedziałem, że pani tę ziemię zdobywa dla Nathana. A to jest zła ziemia, pani Travis. Biedna ziemia. Praca i miłość nie mogą zamienić ją w dobrą. Zbyt dużo pracy może nawet ją zgubić. I to się tu właśnie przydarzyło. Ziemia zbyt często używana jako pastwisko zaczęła erodować. Teraz gdziekolwiek się spojrzy, jest to piaszczysta gleba.

— Mówi pan bez ogródek!

— Jeśli człowiek nie może powiedzieć prawdy, to lepiej by nic nie mówił. Nie powiedziałem, że to już koniec życia tej ziemi. W górach będą pastwiska tak długo, jak rząd będzie na to pozwalał. A osady zostaną, choć bydło i owce dawno stąd znikną. Nathan jest hodowcą bydła z urodzenia i wychowania. Ma przed sobą długą przyszłość, a po nim jego dzieci i wnuki. Ta ziemia nie ma takiej przyszłości.

— Nathan chce pójść do szkoły rolniczej. Tam go nauczą, jak uzdatniać ziemię.

— Oczywiście, nauczy się tam dużo, w tym tego, co ja pani mówiłem. Zresztą sporo już teraz wie. On marzy o ziemi na nizinach, ale nie przyzna się do tego. To nie jest chłopak, który będzie ranił, kogo kocha. Miał pojechać do Anglii z ojcem, nie chciał, ale zrobiłby to, bo kochał swego ojca. Z tego samego powodu zostanie tutaj na wyżynach, ponieważ kocha panią. To pani musi podjąć za niego decyzję.

Ponieważ Jenny milczała, Szkot zajął się fajką.

— Mojej dziewczynie na imię jest Jane. To było ulubione imię jej matki, trochę podobne do pani. Ona sama też jest do pani podobna. Nawet chce pójść do szkoły rolniczej. Mówi, że jeśli przyjmują tylko chłopców, to ona przebierze się za chłopca i w ten sposób się dostanie. Jest bardzo zdecydowana. Może to właśnie podoba się w niej Nathanowi. Przypomina mu panią.

Jenny spojrzała na gościa zmrużonymi oczyma.

— Nie wiedziałam, że Szkoci posługują się tak dobrze pochlebstwem. Myślałam, że to cecha Irlandczyków.

Szkot roześmiał się.

— Nie opowiadam kłamstw, chociaż może ozdabiam trochę prawdę.

— Przyszłość Nathana musi być taka, jaką on sam wybierze. Dwa razy nie popełnię tego samego błędu — powiedziała Jenny. — Ale dużo czasu minie, zanim on skończy swą edukację, tę szkołę rolniczą i w ogóle.

— Chciałbym, żeby w tym czasie mieszkał z nami, podczas przerw w zajęciach. Myślę, że jemu też by się to podobało. Zaprosiłem go, ale odmówił. I może nadal będzie odmawiał. „Jenny mnie potrzebuje” — powiedział, gdy zapytałem go o przyczynę. Bardzo mnie zaskoczył, kiedy tak panią nazwał. Nigdy nie słyszałem, żeby chłopak nazywał babkę po imieniu. Kiedy go skarciłem, powiedział, że zawsze tak o pani mówił za plecami.

Jenny uśmiechnęła się.

— Chyba mi się to podoba. Nigdy specjalnie nie zależało mi, by nazywano mnie babcią. — Zmarszczyła brwi na jakąś niespodziewaną myśl. — Jeśli już o tym mowa, to nigdy też nie lubiłam, gdy mówiono do mnie mamó. Zawsze myślałam o sobie jako o Jenny. Jenny Garnett. Upał lutego z muchami uderzającymi o okna przypomniał jej inne czasy.

Pod oknami poruszyło się coś w dużych paprociach zwanych tu orlicami. Ringa nigdy nie odchodziła daleko od domu. Prawdopodobnie była z Tally. Ostatnio więcej czasu spędzały razem.

— A co pan by zrobił z tą ziemią? — zapytała Jenny. — I do czego miałby ją wykorzystać kiedyś Nathan?

— Posadzi tu z powrotem przynależne temu klimatowi i ziemi drzewa. Odda ją góróm. I ludziom gór. Zawsze znajdują się ludzie poszukujący samotności. — Uśmiechnął się. — A pani stworzyła dla nich istny raj. Coś, czego pragną ludzie. Ale nie bydło i owce. One tego nie potrzebują. Bydło i owce muszą mieć porządne pastwisko nizinne. Oczywiście w Szkocji nie zawsze to było możliwe, ale owce hodowane tutaj to nie są te same zwierzęta, które mieliśmy w starym kraju.

Jenny popatrzyła na gościa.

— Nie lubię owiec. Nigdy nie lubiłam. Ale, oczywiście, gdybym je chciała hodować, mogłabym sprowadzić jakiś gatunek ze szkockich wyżyn. Nigdy mi to wcześniej nie przyszło do głowy.

— Czy to jest pani odpowiedź?

— Nie. Myślę, że odpowiedź otrzymał pan już od Nathana. A niezależnie od tego, co wybierze, decyzja należy do niego. — Uśmiechnęła się odprężona. — Tak to jest. A ja pomogę mu zrozumieć, że dla mnie również najlepiej będzie, jeśli on zrobi to, czego rzeczywiście pragnie.

Niecodziennie babka pozwala odejść wnukowi, pomyślała Jenny, kiedy Jack Campbell już sobie poszedł. I to zaraz po stracie córki i syna. Ale może najlepiej jest wszystko stracić raz a dobrze, a potem iść do przodu, czekając na to, co przyniesie życie. Poczowała pragnienie wydośtania się na powietrze. Jak najdalej od much bijących skrzydłami w szyby, jak najdalej od Ringi i Tally w krzakach paproci.

Powoli wspinała się na wschodnie zbocze. Wzgórze zdawało się bardziej strome niż niegdyś, gniew ciągnął ją do tyłu, ale jeszcze większy gniew pchał ją w górę. Czuła w sobie przymus, prowadzący ją do miejsca, którego unikała przez ponad trzydzieści lat.

Dotknęła kamienia nagrobnego po raz pierwszy i pozwoliła myślom zanurzyć się jakby w głąb ziemi, w której leżał jej zmarły mąż.

Przesuwając palcem po napisie zarosłym mchem, przedzierając się w myślach do starych wspomnień, wracała do Jonathana przez milczenie o nim do milczenia z nim, kiedy jeszcze byli razem.

Nagle ten sam gniew, który pchał ją na wzgórze, ciągnąc w górę, wypełnił wszystkie puste miejsca, które były zasługą Jonathana. Poczowała go aż w końcach palców. Zaczęła zdrapywać mech paznokciami, jakby orała po jego ciele, karząc go za to, że przywiózł ją w miejsce, gdzie zabijano jej dzieci albo wykradano je. Nagle gniew odszedł i pozostała znowu tylko pustka.

Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że siedzi na ziemi, oparta o głaz. Wydało jej się nagle, że tkwi w tej pozycji już bardzo długo. Dotrzymuje Jonathanowi towarzystwa. Wkrótce w tej dolinie nie pozostanie już nic z niego, żadna twarz, która była niegdyś jego twarzą. Odejdą i zabiorą go ze sobą. A ona zostanie, z jedną nogą przytwierdzoną do jego grobu — przecież zawsze tak było od chwili, kiedy została wdową. Jakby w połowie pochowała się tylko dlatego, by jemu coś udowodnić. Jakby chciała mu pokazać, czego mógłby dokonać, gdyby pozostał żywy!

Podniosła głowę i rozejrzała się naokoło. Przypomniała sobie chwilę, kiedy pierwszy raz ujrzała dolinę, ujrzała bezpieczeństwo, jakie ta ziemia jej ofiarowała. Wtedy to zakochała się po

raz pierwszy w życiu. Po raz pierwszy i na zawsze. Ona pozostała wierna swej miłości przez te wszystkie lata, ale dolina nigdy nie odpłaciła jej uczuciem.

Wokół grobu wyrosły wysokie drzewa. Wysokie miejscowe drzewa. W nich mieszkały ptaki, które nigdy nie wily gniazd na topolach nad rzeką. To były ptaki śniegu i gumowców. Należały do tego miejsca.

Przysłuchiwała się ich trelom, a jej sztuczna, wymyślona przynależność do tego miejsca zniknęła, uwalniając ją nareszcie.

Wstała i wygładziła na kamieniu poszarpany mech, który pokrywał wszystkie duchy i wszystkie winy.

Już miała się odwrócić, gdy jej wzrok spoczął na chacie. Opuszczona, poszarzała z wiekiem, była jak wyzwanie. Ruszyła w górę do domu, którego poprzysięgła sobie nigdy już nie odwiedzać.

W oknie ukazała się twarz — jakby pojawiła się główka syna Jazona z przeszłości. Ale przecież Jenny odeszła z tej chaty, zanim jeszcze Jazon wyrósł z pieluszek. Wyobraźnia płata mi głupie figle, pomyślała.

Drzwi nie były zarośnięte pnączami, a zawiasy zostały starannie oczyszczone z rdzy. Otworzyły się tak lekko, jakby zamknęła je odchodząc z tego miejsca zaledwie dzień wcześniej.

Weszła do środka, jej oczy przez chwilę przyzwyczajały się do panującego tam mroku.

Przez okna i otwarte drzwi wpadało trochę światła, ale drzewa, które obrosły dom, nadały temu miejscu wrażenie wiecznego półmroku. Coś poruszyło się w ciemności i nagle pojawił się przed nią w smudze światła mały chłopiec. Wpatrywał się w przybyłą.

— Co tutaj robisz? — zapytała Jenny.

— Patrzę.

— Tutaj nie ma wiele do patrzenia.

— Patrzę przez okno. Na dolinę.

— Czy znasz kogoś z doliny?

Chłopczyk potrząsnął głową.

— Nie. Po prostu lubię wyglądać przez okno i patrzeć.

Jenny podeszła do otworu w ścianie i wyjrzała na zewnątrz.

— Stąd już teraz nie widać prawie doliny. Nie możesz widzieć gospodarstw ani zabudowań miasteczka.

— Ja lubię patrzeć na drzewa. I skały.

— Chyba jesteś trochę za mały, żebyś sam tak zostawał. Ile masz lat?

— Skończyłem cztery, a niedługo będę miał pięć. A ty ile masz lat?

Jenny uśmiechnęła się do dziecka.

— W tej chacie mam skończone osiemnaście, a niedługo będę miała dziewiętnaście.

Chłopczyk kiwnął głową, przyglądając się jej z powagą.

— Nie powiedziałaś mi, co tutaj robisz sam jeden.

— Mój tata powiedział, żebym czekał na niego i patrzył. Szuka złota na wzgórzach. Powiedział, że jeśli znajdzie dość pracy, będziemy mogli tutaj mieszkać. — Chłopiec uśmiechnął się. — Podobałoby mi się to.

Jenny rozejrzała się po chacie, teraz już więcej mogła dostrzec.

— Nie ma powodu, byście nie mogli tutaj zamieszkać. To miejsce już do nikogo nie należy. — Spojrzała na dziecko. — Ale z okna nie widać wzgórz, nie będziesz widział ojca.

— Nie wyglądam na tatę. Czekam na niespodziankę. Może uda mi się zauważyć małego kangura albo koalę. Tata powiedział mi, że jeśli będę patrzył uważnie, to codziennie trafi mi się szczęśliwa niespodzianka. Coś, co mi sprawi przyjemność. To tak jak w tej książce. Tata mi ją czytał. O trzech księżniczkach, które zawsze znajdowały coś przepięknego. Może zobaczę jakieś dziwne zwierzę, ptaka albo coś takiego.

— Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze wypatrywałam ptaki — przypomniała sobie Jenny. — A co znalazłeś dzisiaj?

— Jeszcze nic, ale znajdę. Tata powiedział mi, że zawsze coś przychodzi. Tak się dzieje w książkach, które on mi czyta. Lubię opowieść o trzech księżniczkach, ale bardziej podobają mi się historie, które pisze tata. Jego opowieści są najlepsze ze wszystkich.

— Twój tata musi być miłym człowiekiem. A gdzie jest twoja mama?

— Umarła i poszła do nieba, kiedy mój tata był w więzieniu — chłopiec uśmiechnął się. — Wypuścili go wcześniej — powiedział jej — za dobre sprawowanie. Powinien siedzieć aż do połowy następnego roku, ale wypuścili go już teraz. Za dobre zachowanie — powtórzył z dumą.

W rogu pokoju stała pusta skrzynia. Jenny patrząc na nią przypomniała sobie, że używała starych skrzynek przywiezionych z Cooma do przechowywania whisky. Ale tę wykorzystała na kołyskę dla Jazona. Wymościła ją kocem i kładła na starym wozie, kiedy objeżdżała okoliczne

miejsowości ze swoją whisky. Uważniej przyjrzała się chłopcu, dostrzegając w jego rysach twarze ze starych wspomnień.

— Powiedz mi — poprosiła — jak się nazywasz?

— Tommy — odparł chłopiec. — Tommy Soames. — Znowu się do niej uśmiechnął. — A ty?

— Jenny — powiedziała. — Po prostu Jenny.

* * *

Wracała w dół po zboczu, świadoma, że mały chłopiec patrzy na nią z dziury okiennej starej chaty. Drzewa przed nią rosły coraz rzadziej, wreszcie widać było gospodarstwa i zabudowania miasteczka.

Zobaczyła Samuela Colebrooka, który kręcił się po swym gospodarstwie i co chwila odwracał głowę, by spojrzeć na drugą stronę rzeki. Był daleko od niej, na przeciwległym brzegu i kawał drogi w górę na zachodnim stoku, ale przez lata nauczyła się rozpoznawać jego charakterystyczne ruchy.

Gdy zbliżała się do swego domu, zauważyła Ringę i Tally. Przyglądały się jej przycupnięte między paprociami. Obserwowały ją tak od paru tygodni. Od dnia masakry. Za każdym razem, kiedy chciała do nich podejść, czuła, że jakaś siła powstrzymuje ją.

Dave i Charlie kończyli robotę w stajni. Teraz wskoczyli na siodła i odjechali na południe, w stronę farmy Sayersów.

Przypomniała sobie scenę w kuchni. Dave mnąc czapkę w dłoni mówił:

— Pojechałem do Sydney. Wróciłem tam — powiedział. — Nie wiedziałem, jak wysłać wiadomość kablem do Mike'a. Ludzie tam w głównym urzędzie pocztowym byli mili i pomocni, inni niż kiedyś — Skierował wzrok ku swoim stopom. — Nie było tak źle tam wrócić — dodał raczej do siebie, pewien, że ona go nie zrozumie. — Wiedziałem, że Mike chciałby, abym to właśnie zrobił.

— Bardzo to mądrze z twojej strony, Dave. Skąd wiesz, że on wraca? Mógł nie otrzymać twojej wiadomości. A nawet jeśli otrzymał, przecież zamierzał przez jakiś czas pozostać w Anglii.

— Powiedzieli mi, że powinienem wrócić pod koniec tygodnia i sprawdzić, czy nie nadeszła odpowiedź. Tak mi powiedzieli. Wytłumaczyli mi, jak przesyła się wiadomości przez lądy i oceany. Chociaż nadal to nie ma dla mnie sensu. W każdym razie znalazłem miejsce do mieszkania i przyszedłem z powrotem na pocztę po paru dniach. No i naprawdę była odpowiedź od Mike'a. Przyszła. Przywiozłem ją, żebyś mogła sama przeczytać.

Rozwinęła żółty kawałek papieru i przeczytała słowa adresowane do Dave'a.

„Odpywam następnym parowcem. Zamknij stajnie, wywieź konie na pastwiska i jedź do doliny. Zrób wszystko, co możesz, żeby jej pomóc do mojego powrotu. Jeśli Bóg pozwoli, będę pod koniec marca. Mike”.

— W chacie nad rzeką jest pokój Mike'a. Możesz tam zamieszkać — powiedziała. Zamilkła, porządkując myśli. Nagle sama zapragnęła znaleźć się właśnie w tym pokoju, gdzie zostały wspomnienia po Mike'u. — Czy znałeś Pete'a i Charliego Sayersów?

— Od lat. Zawsze kiedy zajeżdżali do Cooma, zjawiali się w stajniach.

— W takim razie jedź do Charliego. Został zupełnie sam. Pomóż mu, jak możesz najlepiej. Zostań z nim, albo mu powiedz, że przyda mi się tutaj. Ludziom dobrze robi, kiedy wiedzą, że są potrzebni. Ale jeszcze bardziej, jeśli mają w potrzebie kogoś koło siebie.

Konie znikły na południu, zostawiając za sobą wstążki kurzu. Bliżej, tuż pod oknem, ciągle poruszały się krzaki paproci, kołysane gorącym, lutowym powiewem.

— Jesteś w tej dolinie od pięćdziesięciu lat — stwierdziła Katie Colebrook. — Widziałam w Biblii zaznaczoną datę waszego przyjazdu. Dziewiąty marca 1833. Pięćdziesiąt lat temu! Szmata czasu.

— A w tym kraju jestem nawet dłużej — odrzekł Samuel. — Wiele miesięcy zabrał dojazd w to miejsce od zejścia ze statku. — Ale o tym nie chciał mówić.

Wstał od stołu i wyszedł na zewnątrz. W powietrzu czaił się już pierwszy chłód jesieni.

— Nie odchodź za daleko — krzyknęła Katie. — Wiesz, co powiedział lekarz. Nie możesz się przemęczać. Kiedy jesteś znużony, wszystko ci się zaczyna mieszać. Wychodzisz z gospodarstwa i zapuszczasz się nie wiadomo gdzie.

Szedł nie słuchając jej. Dotarł do mostu i przystanął na chwilę. Stare drzewo wyglądało jakoś inaczej. Jakby się przesunęło, wędrowało w górę nurtu. Woda spływała pomiędzy rozdzielonym pniem, by dalej spaść w wąwóz kaskadą. Ale drzewo trzymało się, jak zaparty na nogach pochylony człowiek, zmagający się ze wszystkim, co w niego wymierzał los. Jakby niczego się nie bał. Może to wcale nie było mądre. Słyszał kiedyś zdanie, że tylko bardzo mądry albo bardzo głupi nie zna lęku. Albo bardzo zmęczony. Tego nie powiedzieli. Może nie wiedzieli o tym.

Zaczął przechodzić przez most, ale zmienił zdanie. Zawrócił i poszedł wzdłuż brzegu rzeki aż do wąwozu. Nie lubił wąwozu. Nigdy nie lubił tego miejsca. Pochylił się wypatrując poprzez skały i kaskady wody szczytu skalistej ściany. Ale nie mógł wyprostować pleców.

Kręgosłup nie chciał go już słuchać. Nie potrafił zadrzeć głowy w górę. Więc popatrzył tylko na miejsce wiecznego odpoczynku Jonathana.

Wokoło widać było jakieś kamienie, których nie pamiętał, a strumienie płynęły innymi korytami, natomiast drzewa wokół kamienia wyrosły wysokie. Ale poza tym to miejsce wyglądało tak samo. Tylko że wtedy była zima i wszystko było oblodzone. Kawałki potłuczonego lodu, to pamiętał. I tę twarz, która patrzyła na niego. Nie lubię wąwozu, pomyślał znowu. Nigdy go nie lubiłem.

Przeszedł po kamieniach na drugą stronę rzeki i ruszył teraz lewym brzegiem, aż dotarł do zapory, którą zbudował jeszcze z Jonathanem, by powstrzymać wiosenne powodzie.

Usiadł na chwilę na brzegu, patrzył na rzekę i na stare drzewo bookoola. Kiedy spoglądał na nie z tego miejsca, wcale nie wydawało się pochylone. Raczej wysokie, proste i wciąż młode. Tak naprawdę to były dwa drzewa. Nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy, ale przecież to były dwa drzewa. Jedno pochylające się ku drugiemu. Wzrosły razem. Dlatego wydawały się takie silne i pewne siebie. Nawet drzewa mają więcej szans, jeśli nie rosną samotnie. Niewielu też się znajdzie ludzi, którzy chcą iść samotnie przez życie.

Powrócił myślami do Jenny, a wzrok podążył za myślą, przesunął się od podwójnego drzewa do wierzb płaczących i topoli maszerujących szpalerem wzdłuż rzeki. Musiała zasadzić te topole ponad dwadzieścia pięć lat temu. Wyrosły wysoko. Były wysokie i silne. Jak Jenny.

Lata nie miały wielkiego znaczenia. Latami nie warto było liczyć wieku. Niektórzy są starzy przez całe życie. Inni pozostają młodzi mimo upływu lat. Lata nie mają z tym nic wspólnego. To jak w tym powiedzeniu, że dobrzy ludzie umierają wcześniej. Co wcale nie znaczy, że źli żyją dłużej. To znaczy tylko, że ci, którzy mają świadomość popełnienia niegodziwości, zawsze czują się starzy. Podczas gdy tacy jak Jenny dożyją setki i umrą ciągle młodzi.

Powoli podniósł się, prostując z wysiłkiem. Odwrócił się od rzeki i szedł dalej przez równinę do drogi prowadzącej na wschodni stok. Przed sobą, wysoko, zobaczył skraj kamienia nagrobnego, potem widział większy kawałek, a wreszcie cały głaz, gdy nogi niosły go coraz wyżej.

Dotknął poszarpanego, brązowego mchu, który okrywał kamień, i poklepał go. Potem zawrócił na ścieżkę, przeszedł most i wszedł wreszcie na wąską drogę, którą wykarczował pięćdziesiąt lat temu.

Pięćdziesiąt lat! A przecież nadal widział czarnego mężczyznę. Stał tam nad ciałem czarnego chłopca i mierzył kością w Samuela.

Teraz czuł się zmęczony. Myśli mu się plątały, przeszłość mieszała się z terażniejszością. Ale było coś, co musiał zrobić. To pamiętał bardzo dobrze. Od dawna dzień po dniu to mu się przypominało.

Było jeszcze wczesne popołudnie, kiedy zaprzągnął konie do starego wozu. Wyjechał z farmy i opuścił dolinę. Czarnych nigdzie nie było widać. Samuel zmarszczył czoło wpatrując się w miejsce, gdzie widział kiedyś czarnego chłopca — a właściwie dwóch czarnych chłopców, biegali, rzucali oszczepami, jednego z nich zatrzymała jego kula. Krew chłopca połała się na skały, na kamienie. Ale teraz nie widać było tej krwi. Tylko gęstą trawę. Mrówki budowały swoje kopce. Nie było ani śladu krwi. Tylko czarny człowiek, Benong, schowany gdzieś między drzewami, przyglądał mu się przez cały czas. Benong zawsze był gdzieś niedaleko, patrzył i mierzył kością.

Stary wóz toczył się z trudem, szprychy jęczały, koła skrzypiały. Konie w skórzanym chomacie raczej przeszkadzały sobie wzajemnie niż pomagały. Pot pokrywał ich zgrzane grzbiety. Samuel znowu spojrział spod zmarszczonych brwi. Przecież to woły powinny ciągnąć wóz, nie konie. Powinien zwrócić razem z wozem i woły. Nie powinien był o tym zapomnieć, ale odjechał już za daleko od domu, by wracać.

Osadnik przecież zrozumie, że przebył zbyt daleką drogę.

Patrzył na mięśnie koni napięte pod lśniąca od potu skórą. Tak jak mięśnie jankeskiego żeglarza na trapie brygantyny. Mieli tylko dwa dni na usunięcie szkody spowodowanej przez sztorm. I trzeba załadować jeszcze raz ładunek, żeby zdążyć z następnym odpływem. Nie będzie czasu na sen, a on był taki zmęczony, tak bardzo zmęczony.

Stary wóz dotarł już do drogi przy Queanbeyan, kiedy dogonił go John Colebrook. Przez jakiś czas jechał po prostu obok i tylko przyglądał się dziadkowi.

Konie ciągnęły nadal wóz, a nieżywy Samuel trzymał ciągle wodze.

John prawie przez godzinę jechał obok, nie chcąc zatrzymywać koni, zawracać ich i wozu. Wydawało mu się, że jego dziadek zna miejsce, do którego zdąża i nie powinno się go zatrzymywać.

Pod koniec marca, w poniedziałek, Jenny ubrała się w swój najlepszy strój do konnej jazdy, zapakowała parę damskich drobiazgów do torby przy siodle, wskoczyła na konia i ruszyła do portu w zatoce Twofold. Dojechała prawie do Cooma, zanim obejrzała się po raz pierwszy, natomiast za Rock Flat obejrzała się po raz ostatni. A potem po prostu wróciła do domu, do doliny i wyczerpana zapadła w sen, licząc niepotrzebnie przejechane mile, zastanawiając się,

czemu nie była w stanie zrobić jedynej rzeczy, której pragnęła — stanąć na nabrzeżu i patrzeć, jak statek Mike'a wpływa do zatoki, ze świadomością, że on widzi ją stojącą tam i czekającą na niego.

Mike siedział na pokładzie parowca płynącego do Melbourne, kiedy wpływali do portu Jackson. Przypomnił sobie wtedy inny statek: brygantynę o kwadratowych żaglach, Edwarda Hammonda Hargravesa, który zmienił jego życie, wysyłając go do portu Phillip, by ogłosił bogactwo nie narodzonej jeszcze Kolonii. Przez tygodnie i miesiące, zanim nadszedł właściwy czas wyznaczony przez grubasa, Mike ścigał się z wiatrem, łapiąc dzikie konie — i swoją własną fortunę.

W połowie drogi, gdy przybijali wtedy do portu Phillip, Mike stał przy relingu, patrzył na skały i pytał oficera o krainę, która leżała za pasmem gór.

— Czy to miejsce pana jakoś bardziej ciekawi? — chciał wiedzieć bosman.

Potrząsnął głową.

— Na pewno nie zainteresuje mnie nigdy nic, co ma związek z tymi górami.

— Tak pewnym nie można być niczego — odpowiedział bosman.

Ale on był pewny.

A byłby jeszcze bardziej pewny, gdyby wiedział o złotym samородku, którego miał wkrótce znaleźć.

I nadal byłby pewny, choćby wiedział o dziewczynie, którą miał spotkać.

Ale to bosman miał rację — tak pewnym nie można być niczego.

Następnej środy rano, kiedy statek wpłynął do zatoki Twofold, by zaopatrzyć się w świeżą wodę i wysadzić jednego pasażera, Dave czekał na brzegu z ulubionym ogierem Mike'a osiodłanym i gotowym do długiej drogi.

— Gdyby to ona sama tu czekała, tak jak miałem nadzieję, nie musielibyśmy jechać do tej cholernej doliny. Wciągnąłbym ją na statek, kazałbym zamknąć kapitanowi w brygu i nie wypuszczać aż znaleźlibyśmy się w połowie drogi do Irlandii. Dobry kapitan za godziwą zapłatę chętnie by pomógł przytrzymać niesforną narzeczoną.

— Czy domyślała się, że mógłbyś to zrobić? — zapytał Dave nie bardzo sam wierząc w pogrożki Mike'a.

— Skąd mogłaby się dowiedzieć? — zapytał Mike ze śmiechem.

Dave potrząsnął głową.

— Nie wiem. Zebrała się, żeby tu przyjechać. I przejechała potężny kawał drogi, ale coś musiało zmienić jej decyzję, bo wróciła do doliny.

Mike wyszczerzył zęby.

— Widocznie znowu ją nawiedzałem w snach.

Dave spojrział na niego swym zawsze nieco zdziwionym spojrzeniem, choć tym razem kryła się w nim prawdziwa ciekawość.

— Może jest jasnowidząca — powiedział. — Matka Pete'a i Charliego Sayersów była Irlandką czy Walijką, jedno z dwojga, i też była jasnowidząca. Między innymi dlatego oni zdecydowali się wyemigrować do Kolonii.

Mike roześmiał się, ale dziwnie krótko.

— Ostatnie miesiące w dolinie nie były najłatwiejsze — Zerknął na Dave'a. — Przyjaźniłeś się z Sayersami, prawda?

Dave kiwnął głową.

— Przez wszystkie te lata, od kiedy się tu zjawili. Najbliżsi przyjaciele, jakich kiedykolwiek miałem. Teraz mieszkam z Charliem. — Spojrział na Mike'a. — Powiedziała, że najbardziej jej pomoże świadomość, że Charlie nie jest sam. Pete zginął ratując Jazona. Chyba po prostu zachował się instynktownie. Po tym Jazon i tak dał się zabić, więc śmierć Pete'a była na nic. A Pete i Charlie nigdy tak naprawdę nie wybaczyli Jazonowi, że wyrzucił ich z pracy. Tak było, choć Jenny starała się, żeby to wyglądało inaczej.

Mike przysłuchiwał się w milczeniu nieskładnej opowieści Dave'a o masakrze.

— Czy Charlie Sayers jest dobrym koniarzem?

— Jednym z najlepszych — odparł Dave.

— A jak tobie się podobało gospodarowanie na farmie?

— Lubię to. Wydaje mi się, że znowu jestem chłopcem.

— Ty i Charlie powinniście pomyśleć, żeby razem pracować. Częściowo na jego farmie w dolinie, ale nie zapominając o twoich stajniach w Cooma.

Koń Dave'a zarżał uderzony nagle kolanami jeźdźca.

— Przepraszam, staruszkule, ale to mnie zaskoczyło — mruknął Dave. Spojrział na Mike'a.
— Nie posiadam w Cooma żadnych stajni.

— Teraz już tak — odparł Mike. — Kiedy znajdziemy się w dolinie, ty i twój przyjaciel Charlie powinniście zaplanować, kiedy wybierzecie się na pastwiska, żeby zagonić konie.

— Nie wiem, co powiedzieć — mruknął Dave. — Zabrakło mi słów.

— Od chwili, gdy wyjechaliśmy z Twofold, nie zamykały ci się usta, a już wjeżdżamy do Cooma, więc słowa pewnie gdzieś po drodze zgubiłeś — zażartował Mike. — Kiedy znajdziesz kilka, opowiedz mi, co się działo na farmie Travisów po śmierci Jazona.

— Wszystko wskazuje na to, że nic się specjalnie nie zmieniło. Ten chłopak, Nathan, jest dwa razy lepszym gospodarzem, niż był jego ojciec. Jazon mało się zajmował gospodarstwem. Nie każdemu takie życie pasuje.

— Nie — powiedział Mike. — Dla niektórych to wcale nie jest życie.

Jenny siedziała na werandzie i patrzyła na drogę.

Wydawało jej się, że połowę życia spędziła tak patrząc, czekając na jego powrót. Pomyślała, że ma już tego dość i w tej chwili zobaczyła Mike'a i Dave'a, którzy wyłonili się zza wzgórza na koniach, by zaraz zniknąć między drzewami i budynkami gospodarczymi. Potem pojawili się znowu w miejscu, gdzie główna droga dochodziła do mostu i spotykała się z odnogą prowadzącą do jej gospodarstwa.

Tam konie zatrzymały się. Dave przejechał przez most i skierował się na południe, w stronę farmy Charliego.

Jenny przez chwilę nasłuchiwała. Spodziewała się, że koń Mike'a skręci ku jej domowi, że usłyszy coraz bliższy stuk kopyt, coraz bliższy i szybszy... Ale nic takiego nie nastąpiło. Na drodze panowała kompletna cisza. Jenny wstała i wyteżyła wzrok, spoglądając poprzez drzewa w stronę mostu, a potem ruszyła biegiem, w dół, do parku nad rzeką. Otworzyła furtkę i skierowała kroki ku wodzie.

Mike leżał na brzegu, oparty na ramieniu i ciskał kamienie w nurt, podczas gdy jego koń pasł się na trawie.

Jenny stanęła jak wryta, wpatrując się w niego, próbowała uspokoić oddech i serce, które tłuło się w piersi.

Odwrócił się i spojrzał na nią, ale nic nie powiedział i nie ruszył się nawet. Po prostu patrzył.

— Wygląda na to, że zawsze jak jedziesz do tej doliny, musisz wylądować na ziemi — powiedziała Jenny, kiedy już mogła spokojniej odetchnąć.

Mike nadal milczał. Powoli podniósł się i tylko ją obserwował. Jenny podniosła rękę do włosów na pół świadomym gestem.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? Moje włosy. O to chodzi?

— Jesteś taka piękna, Jenny, że chce mi się płakać. I ta masa srebrnych włosów. I twoja złota skóra. Jesteś srebrno-złotą wróżką. W sam raz dla Irlandczyka. Tyle tylko, że tych wróżek nigdy nie ma w pobliżu, kiedy są potrzebne.

— Miło słyszeć, żeś odzyskał trochę irlandzkiego akcentu, który poprzednio straciłeś w Anglii. I dobrze, że wróciłeś do domu.

— Nie wróciłem do domu, Jenny. Wróciłem po ciebie, tak jak ci wcześniej powiedziałem. Ale nie wróciłem do domu. Moim domem jest Irlandia.

Strzepnął trawę z ubrania. Stał przed nią wysoki i wyprostowany, jego noga wyleczyła się już całkowicie.

— Przysiadłem tutaj, żeby się zastanowić, co mam ci powiedzieć, kiedy cię zobaczę. Irlandczyków nigdy nie ma pod ręką, kiedy są potrzebni, tak mi kiedyś powiedziałaś. A ten Irlandczyk nawet teraz nie chce tutaj być. Ale pragnie być z tobą.

— Ponieważ uważasz, że potrzebuję ramienia, na którym bym się mogła wypłakać?

— Przywiozłem to ramię z daleka, Jenny.

— I jakie słowa wymyśliłeś dla mnie, kiedy tak odpoczywałeś na trawie?

— Nic, co by zdziwiło taką znawczynię Irlandczyków jak ty.

Mike wziął konia za uzdę jedną ręką, dłoń Jenny ujął w drugą i ruszył w stronę domu.

— Kiedy Irlandczyk jest w Irlandii, nietrudno mu być pod ręką. To w innych miejscach zdobywa swą fatalną reputację.

— Gdzie byłeś w grudniu?

— W Connacht. Gwiazdka to specjalny czas w okolicach zatoki Galway i w Connemarrze. Obchody zaczynają się z początkiem grudnia. Depeszę Dave'a przywiozły do mnie najszybsze konie z Londynu.

— To znaczy, że byłeś dokładnie tam, gdzie powinien być Irlandczyk. Tam gdzie jesteś potrzebny!

— Tak, Jenny, moja miłości, i tam znowu będę.

— Mike, jest coś, co chciałabym ci powiedzieć...

— Spójrz, czy to Tally jest tam na górze? Czy Ringa?

— Teraz trudno już je rozróżnić. Tally była kiedyś jak biała dziewczynka. Biała dziewczynka o czarnej skórze. Zmieniła się po grudniu. A może to ja się zmieniłam. Spogląda na mnie takim smutnym wzrokiem, ale nigdy nie zbliża się. Zawsze jest blisko Ringi. Mike milczał.

— Niedawno odkryłam coś zabawnego u Ringi — odezwała się Jenny. — Tak na nią wołałam przez te wszystkie lata. Ringa. Ale Tally powiedziała mi, że ona nazywa się Moamba. To oznacza ducha wody. Matka Ringi myślała, że ojcem dziecka jest duch górskiej rzeki. Tally twierdzi, że prawdziwym ojcem Ringi był najpewniej Benong, ten czarny człowiek, który zawsze łązi po szczytach. Tally mówi, że on jest kurdatchi, ktokolwiek miałby to być.

— Kurdatchi to ich szaman — powiedział Mike przenosząc wzrok w stronę szczytów. — A to ja Moambie nadałem imię Ringa. Myślałem, że ona może nazywa się Minabee. Kiedy opuściliśmy jaskinie, słyszałem, jak inni czarni tak na nią wołali. To imię przerażało ją, więc nadal mówiłem do niej Ringa. Reagowała na nie.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— To było nieważne.

— Imię, które ją przerażało, jest imieniem tej doliny — powiedziała Jenny. — Ciekawam, dlaczego się go bała.

— Od wszystkich duchów i zjaw, czterokopytnych bestii i koszmarów nocnych, wybaw nas Panie.

— Uważasz, że ludzi łatwo przestraszyć, jeśli są zabobonni.

Mike spojrział na nią, a potem znowu rozejrzał się po dolinie, do której zajeżdżał zaledwie pięć razy w życiu i za każdym razem coraz mniej chętnie.

— Nie, nie powiedziałem tego. Powiedziałem, że dobry Pan wybawi nas.

Mike przywiązał konia przy domu, spojrział w stronę chaty nad rzeką, potem w stronę domu, a wreszcie na Jenny. W jego oczach czaiło się pytanie.

— Najlepsze lata ciągle jeszcze są przed nami, a ja nie mam zamiaru spędzić ich sam, Jenny. Ani z tobą w tej dolinie.

— Nigdy nie stałam ci na drodze, Mike'u. A ciebie aż swędzą pięty.

Mike spojrział na nią i zdążył jeszcze złapać jej spojrzenie, zanim odwróciła głowę.

— Nigdy nie możesz być mi bliższa, niż byłaś przez te ostatnie lata, Jenny. Byłaś częścią mnie, jakbyś nosiła moją własną skórę. Byłaś najlepszą częścią mnie. Wszystkim, co było warte życia, otrzymałem od ciebie. Ale masz rację, że mnie swędzą pięty, nie zaprzeczam. Nie jestem w stanie tu wytrzymać. Nigdy nie potrafiłem tu zostać długo.

— Każde twoje słowo ocieka miodem, Mike. Chodźmy do domu, usiądziemy na werandzie, a ja naleję ci herbaty. Może to cię trochę ostudzi.

— Słowa miodem płynące? Nie przez cały czas. Prosiłem cię, żebyś wyszła za mnie za męża, prawda? Takie poważne pytanie nie ma nic wspólnego z pochlebstwami. Nawet dla Irlandczyka. I to nie moim pochlebstwom powiedziałaś „nie” w pięćdziesiątych latach. To mnie odrzuciłaś, Mike'a Donohue!

— Tak właśnie się stało. Były sprawy, którymi musiałam się zająć, a na ciebie nie było już w nich miejsca. A w życiu, jakiego ty pragnałaś, nie było miejsca dla mnie, w każdym razie nie dla mnie z moimi pragnieniami i potrzebami. Tak więc oboje żyliśmy życiem, które sami sobie wybraliśmy.

— Nigdy nie twierdziłem, że na twych ramionach nie siedzi mądra głowa, Jenny, ale strasznie się marnujesz jako kobieta.

Jenny uśmiechnęła się dziwnie, nalala mu herbaty i podsunęła filiżankę.

— Wcale nie i dobrze o tym wiesz. Nigdy się nie marnowałam. Choć mogłoby się tak wydarzyć, gdybyśmy się pobrali, wtedy kiedy oboje byliśmy jeszcze młodzi i przynajmniej jedno z nas jeszcze głupie. Odszedłbyś, nim by minął rok, i już nigdy bym cię nie zobaczyła. A tak się ułożyło, że miałam cię koło siebie przez całe życie. I prawdopodobnie będę cię miała przez jego resztę.

Jenny umilkła, odwracając spojrzenie od Mike'a, który nic nie mówił tylko czekał.

Spojrzała przez belki werandy na otaczającą ją zielenią, gdzie kryły się Ringa i Tally.

— Przez wszystkie te minione lata lubiałam myśleć, że Ringa i ja rozumiemy się, że nie potrzebujemy słów. Może nawet tak było przez jakiś czas. Ale nie przez cały, nawet nie przez większość czasu. A teraz jest tak, jakbyśmy były sobie zupełnie obce. Z Tally jest tak samo. — Spojrzała znowu na Mike'a. — I może również z tobą. Za każdym razem, kiedy cię widzę, masz mi tyle do powiedzenia. Ale gdy powinienes powiedzieć coś ważnego, milczysz. Tak jak teraz.

— Co chciałabyś ode mnie usłyszeć, Jenny?

Patrzyła na niego. Wreszcie wzruszył ramionami i powiedział.

— Dave mówił mi, że Nathan wybiera się do szkoły rolniczej. On i Charlie zaproponowali, że zajmą się gospodarstwem do czasu, kiedy ją skończy. Nie musisz już drzeć o przyszłość doliny, Jenny.

Odsunął filiżankę, sięgnął przez stół i poklepał ją po dłoni.

— Zrobiłaś dobrą robotę, Jenny.

Wzrok Jenny zatrzymał się na ręce, która poklepywała jej dłoń. Sięgnęła po paczkę na muchy i uderzyła go.

— Jeszcze jedno protekcyjne słowo, Mike'u Donohue, i połamię krzesło na twojej głowie. Jeśli nie muszę drżeć o przyszłość doliny, to dlatego, że położyłam pod nią solidne fundamenty! Nathan nie wróci już tutaj. On będzie porządnym właścicielem porządnej ziemi. Hodowcą bydła na nizinach. Gospodarstwo i ziemię w dolinie daję w prezencie zupełnie innemu człowiekowi. Człowiekowi gór. Na tej ziemi przelano krew, a pod ziemią ukryte jest złoto. Krew i złoto. Na tym właśnie zbudowana jest ta dolina. To miejsce na wysokie drzewa, nie na głupie kłębki wełny!

— Kiedy szliśmy od mostu mówiłaś, że chcesz mi coś powiedzieć. Więc o to chodziło.

— Nie, nie o to. Nie sądzę, by moje plany dotyczące tej doliny w ogóle cię interesowały. Ale ponieważ powiedziałam tak dużo, powiem do końca. Już zapisałam, podpisałam i zarejestrowałam papiery, w których oddaję prawie wszystko, co posiadam w tej dolinie komuś, kto mnie nawet nie zna. Ale wydaje mi się, że ten ktoś zna siebie, a to prawie to samo. — Odwróciła głowę i spojrzała na swoją posiadłość. Poczwała w sobie lekkość, jakąś obietnicę, poczuła, że mimowolnie się uśmiecha. — I nie może tego nie przyjąć, ponieważ zapisałam to również jego synowi. Daję to wszystko Edowi Soamesowi.

— A jakie masz plany dotyczące samej siebie, Jenny?

— Wydaje mi się, że nie mam po co robić jakichkolwiek planów. — Jenny znowu wyjrzała przez paliki werandy, szukając wzrokiem między krzakami. — Spakowałam wszystko, czego mi potrzeba. Spakowałam już całe tygodnie temu. Niewiele chcę wziąć ze sobą. Tyle tylko, co zmieści się do starego kufra, który zawsze trzymałam. — Zamilkła w oczekiwaniu. — Może mnie też zaczynają swędzić pięty.

Mike wydał okrzyk zwycięstwa.

— Cały świat czeka, byś go odkryła, Jenny.

Przez szczeliny w deskach Jenny widziała, jak promień słońca pada na poruszony przez Tally liść paproci. Potem podniosła wzrok i rozejrzała się po dolinie — złotobrazowej w popołudniowym słońcu.

— Uważam, że dolina najlepiej wygląda o tej porze roku — powiedziała. — Najładniejsza jest wiosną, ale jesień bardziej pasuje do mojej natury. Niedługo przyjdzie zima. Jonathan nigdy nie lubił zimy. Chciałabym stąd odjechać przed śniegami.

— Znacznie wcześniej — zgodził się Mike.

Tally pojawiła się w plamie światła przed werandą. Spojrzała na Jenny, a potem uśmiechnęła się do Mike'a.

— Idę na spacer — oznajmiła. — Bardzo piękny dzisiaj dzień.

— Każdy dzień jest piękny — powiedział Mike. — Jesteś tylko jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć.

Tally z uczuciem popatrzyła na Jenny, a potem odeszła. Już wysoka, z długimi nogami ludzi jej rasy.

— Rzadko o tej porze powietrze drży od upału — powiedziała Jenny. — Może w dolinach to się zdarza, ale nie tutaj. — Zmarszczyła brwi szukając słowa. — Rozprażone powietrze wywołuje iluzje.

— Chciałaś mi coś powiedzieć, pamiętasz? Wciąż mi jeszcze nie powiedziałaś.

— To właściwie jest pytanie — odparła Jenny. Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie. — Czy dla nas nie jest za późno, Mike? Nawet już nie potrafimy się przy sobie zachowywać naturalnie. To jest tak, jakby świadomość, że możemy wreszcie być razem, nieważne gdzie, stanęła między nami.

— To jest bardziej odpowiedź niż pytanie, Jenny — powiedział Mike, unikając jej wzroku i starannie dobierając słowa. — Może to dlatego, że wszystko stało się tak nagle, zanim zdążyliśmy się do tego dobrze przygotować.

— Tak nagle! Kręcisz się koło mnie od trzydziestu lat. Ja mam spakowany kufer od miesięcy i czekam na ciebie. Jak masz zamiar się jeszcze przygotowywać?

— Nie chciałbym, żebyś później uważała, że wykorzystałem moment, kiedy byłaś najśłabsza.

— Najśłabsza! Opowiedz mi o tym swoim Connacht! Co trzeba zrobić, żeby ci twoi biedni Irlandczycy mieli pracę?

— Jeszcze wiele. Naprawdę dużo.

— W takim razie nie mamy po co marnować tutaj czasu.

Mike sięgnął do kieszeni, sprawdzając palcami, czy ma bilety na statek.

— Nie, nie mamy po co, Jenny. Nie więcej niż czterdzieści osiem godzin. Statek wraca do zatoki Twofold i możemy być na pokładzie w poniedziałek po południu. Umówiłem się z kapitanem, że udzieli nam ślubu, jak tylko wypłyniemy na morze. Tego oczekują od nas ludzie w Irlandii. W samych domach farmerskich jest ich teraz osiemnaście do dwudziestu, poza tym stajenni i ich pomocnicy, ze dwunastu rybaków na kutrach, pięciu czy sześciu kamieniarzy w

kamieniołomach. I każdy z nich ma solidną rodzinę w Connacht. No i są jeszcze gajowi i ich rodziny i ci, którzy mieszkają w samym zamku. Do przyszłej Gwiazdki w Connacht populacja będzie wynosiła jakieś sto sześćdziesiąt dusz, a przybywają następni, tacy co szukają pracy i muszą ją znaleźć...

Jenny śmiała się i płakała, zakrywając twarz dłońmi.

— ...i zanim nadejdzie zima, musimy zbudować warsztaty, żeby zapewnić pracę rzemieślnikom. Naprawdę nie możemy tracić czasu, Jenny. Tylu ludzi zależy od nas, musimy być tam gdzie jesteśmy potrzebni. A poza tym...

L R

EPILOG

Duchy krążyły w powietrzu. Doskonale wyczuwało się ich obecność przy każdej skale i drzewie — ich szepty obracały powietrzem, kręciły nim w najdziwniejszy sposób, odpychały Tally do tyłu, głaskały jej twarz, rozczesywały włosy.

Z następnym podmuchem dopadły ją głosy. Bardzo, bardzo stare. To głosy moich przodków, pomyślała Tally i nie dopuściła do siebie lęku, który czuła nieraz jako małe dziecko. Te duchy były przyjazne. Czuła się mniej samotna, kiedy słyszała ich głosy. Miała świadomość przynależności.

Szła dalej, w stronę południowo-wschodniej grani, wąską ścieżką nad wąwozem.

Kiedy dotarła na szczyt, położyła się na brzuchu, przysunęła do samej krawędzi wąwozu i spojrzała w dół. Pograżyła się w marzeniach i pozostała tam tak długo, aż słońce opadło na dno wąwozu i stamtąd raziło ją płonąca czerwienią nawet przez zamknięte powieki.

Odsunęła się od skraju przepaści, wstała i rozejrzała się. Potem ruszyła szlakiem ku miejscu, gdzie wznosił się kopiec pogrzebowy, a w nim czuwał jeden z jej przodków.

Pagórek otaczały ciernie. Od pięćdziesięciu lat Benong swą kamienną siekierą i nożem przycinał krzaki tak, by ten, który pilnował doliny, miał niczym nie zasłonięty widok.

Pochyliła się i dotknęła leżących na ziemi gałęzi, na niektórych pozostał jeszcze ślad śniegu, powoli rozpuszczającego się w wiosennym słońcu.

Krzewy wypuszczały nowe pędy.

Tally szukała jakichś świeżych dowodów obecności starego człowieka. Ale nie było ich. Kamienne narzędzia zniknęły.

Stojące w pobliżu drzewo gumowca miało wycięty kawał kory i wyryty znak sowy, bokookoła. Tally niechętnie, podeszła bliżej. Mrówki zbudowały kopiec zamykający otwór u podnóża pnia drzewa. Świeże liście na wpół zasłaniały białe, oczyszczone przez mrówki kości.

Tally spojrzała na oznaczone totemem drzewo, a potem uciekła wzrokiem w bok. To była tjurga, miejsce jakie jej przodkowie wybierali sobie na wieczny odpoczynek zarówno ciała, jak i duszy. Patrzyła na zachodzące słońca. Tak mocno raziło jej oczy, że aż popłynęły z nich łzy.

Odwróciła się i spojrzała w dół na dolinę. Widziała ją tak, jak widział ją strzegący to miejsce przodek Tally — wypełnioną gospodarstwami białych ludzi, z zagrodami dla zwierząt,

pociętą płotami. Po jej ludziach nie zostało nic tylko kawałki skał pokryte mchem. Bagnisty mech — tak to nazywały szkolne książki. Pokrywał dawno zapomnianą przeszłość.

Złożyła ręce w trąbkę, jak to od dziecka robiła, by posłać przez dolinę przenikliwe „he-lo”, które odbijało się echem od otaczających dolinę gór. Ale zamiast tego, wiedziona jakimś prymitywnym instynktem, odrzuciła głowę w tył i wydała przejmujący krzyk rozpacz.



L R